

X

GLÓWNE PRĄDY LITERATURY XIX STULECIA.

PRELEKCYE

WYKŁADANE W UNIWERSYTECIE KOPENHAGSKIM

przez

J. BRANDESA.



T. 4.

WARSZAWA.
Nakład Redakcyi „PRAWDY“.

—
1883.



Zamiarem moim jest odmalować w poezyi angielskiej pierwszych dziesięcioleci obecnego wieku silny, głęboko uzasadniony i płodny w skutki prąd duchowego życia angielskiego, który wyzwolony z form klasycznych i tradycyi, sprowadza panujący nad całą literaturą naturalizm, od naturalizmu prowadzi do radykalizmu, od targnięcia się na narzucony konwenans literacki zrywa się do potężnego rokoszu przeciwko religijnej i politycznej reakcyi, a nosi w sobie zarody wszelkich idei wolnomysłnych i wszelkich czynów wyzwalaających, które następnie urzeczywistniła kultura europejska.

Okres literatury pięknej, który chcę tu przedstawić, jest to okres bujnie bogaty, o nadzwyczaj rozmaitych, częstokroć obcych względem siebie albo i wrogich duchach i szkołach, których wzajemny związek nie jest widocznym bezpośrednio, lecz osłania się dopiero oku krytycznemu. Wszakże okres ten ma swoją jedność, a obraz, który nam on przedstawia, przez samą historję ułożony został w związek, jakkolwiek skądinąd różnobarwnym i ruchomym wydawać się może.

I.

Naprzód i przede wszystkim ta grupa literatury angielskiej posiada pewne znamiona charakterystyczne, które są wspólnymi całemu kierunkowi ducha europejskiego w tym okresie, ponieważ wynikają z tych samych przyczyn. Napoleon zagrażał Europie uniwersalną monarchią. Po części instynktowo, po części z jasną świadomością zagrożony duch ludu, ażeby ująć przed pogwałceniem, wszędzie cofał się do własnych źródeł życia. Uczucie narodowości budzi się i wzbiera w Niemczech podczas wojny o swobodę, w Rosji wybucha płomieniem z pożarem starej stolicy, w Anglii zapala się w Welingtonie i Nelsonie i w krwawych bitwach od Nilu aż do Waterloo broni dawnego panowania Anglii na morzu, w Danii huk dział bitwy na Przystani wywołuje nowego ducha ludu i nową poezję. Owo to uczucie narodowości powoduje naokół ludy do zagłębienia się w dzieje własne i we własne obyczaje, w cykle własnych podań i klechd. Zamiłowanie świata ludowego prowadzi do badania i odtworzenia właściwego tak zwanego „ludu“, dolnych warstw społecznych, których jeszcze była nie opracowała poetycka działalność wieku osiemnastego. Co więcej: reakcja przeciw językowi całego świata przywraca część nawet dyalektom.

W Niemczech, jak wskazaliśmy poprzednio (tom II), natchnienie uczucia narodowości spowodowało zapal do przeszłości niemieckiej, do wieków średnich, ich wierzeń, zabobonów i społecznego ich porządku. We Włoszech z hymnami Manzoniego zachodzi niejakiś nawrót ku katolicyzmowi. Dogmatyczna i ascetyczna religia zyskuje tu wagę, jako poezja i moral; z wiary staje się ona artystycznym motywem. Religijny zapal Manzoniego jest takż

sam, jak ów zapal, który odprowadzał papieża do Rzymu i Aleksandra I-go natchnął ideą Przymierza Świętego. We Francji, która, chociaż sam Napoleon wychował ją w wielkości, zagnana duchem czasu, wstąpiła na podobną drogę jak Niemcy, ruch literacki zwrócił się przeciwko Akademii, przeciwko tak zwanej klasycznej, t. j. abstrakcyjnie kosmopolitycznej literaturze i poza wiek Ludwika XIV sięgnięto do poetów szesnastego stulecia, do Du Bellaya i Ronsarda, ba nawet do biednych dziwacznych poetów, których wyszydził był i wyparł Boileau ¹⁾. W Danii, umysły na początku wieku głównie poszły za prądem niemieckim. Stawano w opozycji przeciwko literaturze francuskiej. Poemat Oehlenschlägera *Biust w Podróż do Langelandu* wskazuje charakter nowego ruchu. Naprzód poeta biust, który znajduje w pokoju, bierze za popiersie Voltai-re'a i mówi:

Nie jesteśmy z jednej szkoły
Jeden z nas ustąpić musi.

Następnie przekonywa się, że stoi przed popiersiem Ewalda i w słowach pełnych zapalu wynurza dzięki poecie. Również i w *Hamadryadzie* Haucha nowa szkoła rozpoczęła walkę z francuskim kierunkiem duchowym, szczególnie jak ten przedstawiał się, widziany przez okulary niemieckie. Oprócz tego Steffens wprowadził prąd kultury ku Północy. Ale w drugim, również znaczącym, stadium, tego ruchu, polemika z Francją przetwarza się w polemikę z obczyzną wogóle, szczególnie zaś Niemcami, które u nas w Danii oddawna grały rolę ciemnicy, i przez dziwny, lecz naturalny bieg rzeczy właśnie powrót do świata ludowego,

¹⁾ Por. Wystąpienie Wiktora Hugo, pierwsze pisma Sainte-Beuve'a z zakresu historii literatury, Teofila Gautier: *Les grotesques*.

któremu oddano się tu za przykładem Niemiec, oddala nas coraz bardziej od Niemiec. (Zob. Grundtvig i zwrot ku światu północnemu).

W Anglii spotykamy te same główne rysy, które cechują ruch umysłowy wszystkich innych krajów. Otrząsniono się z kultury francuskiej, która w wieku osiemnastym oświadczyła wyższymi warstwami społeczeństwa. Ostatni poeta kierunku klasycznego, Pope, wkrótce w oczach młodszego pokolenia miał nie wydawać się już mistrzem. Skubano małego człowieczka za zdobną jego perukę i wstąpiono na pięknie urządzone grządki jego ogrodu. I teraz pokazało się, jaką to potężną rezerwę posiadał lud brytyjski w świeższych, niewyczerpanych kulturach, królestwach, które leżały poza środkowym punktem życia politycznego. Irlandya, która w wieku osiemnastym wydała takiego myśliciela, jak Swift, i pisarza, jak Goldsmith, posiadała skarbnicę wspaniałych melodyj, które, skoro tylko wielki poeta liryczny włożył w nie słowa, zadźwiękły ze wszystkich śpiewających ust Europy. Walijczycy zebrali i ogłosili dawne swoje poezje, a w Szkocyi, której dolnych warstw społecznych nie ogarnął jeszcze uciśniony sposób życia fabrycznych robotników angielskich i której mieszkańcy, dumni swoją przeszłością i ojczyzną, utrzymali się przy swoich pieśniach ludowych, przy swoim zabobonie i politycznym duchu odrębności, wpłynął w ostatnim trzecim wieku osiemnastego *Ossian* Macphersona, jako protest przeciw zimnorozumowej i ujętej w prawidła, sztucznej poezji. Wpływ jego był również wielkim na Alfieriego i Foscolo we Włoszech, jak na Herdera i Goethego w Niemczech, a na Chateaubrianda we Francyi. Później następuje w Anglii zebranie pieśni ludowych angielskich przez biskupa Percy, a w Szkocyi zebranie starszokockich balad przez Waltera Scotta. Ale pomiędzy tymi dwoma leży jeden z prądów literackich, biegnących

do kraju i napowrót, na który głównie chciałbym zwrócić uwagę i który występuje tu w sposób uderzający. W pewnej wiosce pod Getyngą mieszkał wkrótce po ukazaniu się zbioru Percy'ego biedny mały urzędnik sądowy w najuciążliwszych warunkach, do którego ręką naraz pewnego dnia dostaje się ta książka. Sprawia ona takie wrażenie na Bürgerze, że wywołuje rewolucję w jego duszy i budzi w nim chęć napisania czegoś takiego, co oddawna wygnaniem było z dobrej poezji prawidłowej, co atoli Bürger wbrew Baggesenowi (zob. tegoż *Labirynt*) nazywał „właściwą poezją:“ baladę. Tak więc rozpoczyna sławną swoją *Lenore*, wypracowując ją powoli, tydzień po tygodniu i z tak pewnem przekonaniem o ważności kroku, który przedsięwiera, że jego listy do przyjaciół przepełnione są najsilniejszą otuchą ku sobie. Balada ukazuje się i wkrótce obiega całą Europę. W r. 1795 pewna młoda dama w Edynburgu zapoznaje z nią innego urzędnika sądowego, i ten młody jurysta, nazwiskiem Walter Scott, w którym również ukrywał się poeta i daleko większy, odbył pierwszy występ poetycki tłumaczeniem tej balady i drugiej: *Dziki strzelec*. Skoro te tłumaczenia przyjęto przychylnie, zaczął uważać siebie za poetę. I na podstawie tych tłumaczeń oraz przekładu *Götza z Berlichingen*, które Scott wydał w r. 1799, w jego poezjach wzniosła się romantyka szkocka.

Spotykamy tu więc pierwiastkowo w tej literaturze technienie pospólnej reakcji europejskiej przeciwko wiekowi osiemnastemu. Znajdujemy żywotne uczucie narodowości, usuwające kosmopolityzm w Anglii u Wordswortha w postaci poetycznie opisowego patryotyzmu, a u Southeya jako całkiem lub napół urzędowe uwielbienie domu królewskiego i wielkich czynów narodowych, podczas kiedy Scott i Moore zdają się niejako wcieleniami dwu pozostałych królestw. Przedstawicielem ogólnego nawrotu ku ludowi naprzód i przede wszystkim jest Wordsworth,

który szczególnie przedstawia życie niższych i najniższych klas—przedstawicielem pociągu do świata średniowiecznego naprzód i przede wszystkim Scott, który zamilowanie starożytnika do pomników dawnych łączy z torysowską żądzą przedstawienia w jaknajpojętniejszym świetle odwiecznej przeszłości. Romantyka właściwego zabobonu ma swego poetę w Coleridge'u, którego rozmyślna naiwność i prostota pokazuje bliskie pokrewieństwo z takimiż przymiotami Tiecka; Coleridge również, jako przedstawiciel ówczesnej filozofii niemieckiej podnosi abstrakcyjnie naukowy protest przeciw okresowi oświecenia. Jego teoria jest nawskroś nieangielską, jako czysto apryoryczna w przeciwieństwie do doświadczonego charakteru umiejętności angielskiej, jest konserwatywna, religijna i historyczna, ponieważ poprzednia filozofia była radykalna, niedowierczą i metafizyczną; jest to schellingizm, który z początku stara się, ile tylko można, zachować rezultaty przeszłego wieku, który atoli z coraz to większym uporem i ograniczonością pędzi ku odwrotnemu krańcowi tego, na czym rozbito się w okresie poprzednim. Jako przedstawiciel zawile fantastycznego kierunku występuje Southey w swoich epeach wschodnich, a nakoniec, co się tyczy zrozpaczonych i namiętnych bohaterów, występują oni w dzikszej i bardziej męskiej postaci u Byrona, kiedy znowu u Shelleya wiara w duchy i rozwiązywanie wszelkich stałych form w eteryczną muzykę przypomina panującą u Novalisa serdeczność i rozpiętność.

II.

Ale te wspólne i szeroko poprowadzone główne rysy wieku w nader wydatny sposób modyfikuje szereg znamion

specyjalnie angielskich, które, nie nadarzając się gdzieindziej, znajdują się u pisarzy skądinąd najniepodobniejszych do siebie, jakich wskazać może ten okres literatury angielskiej.

Te rysy razem wzięte sprowadzić się dają do jednego rysu głównego: do dosadnego *naturalizmu*. Powiedzieliśmy, że pierwszy ruch był taki, iż pisarze stają się narodowymi. Ale stać się narodowym znaczyło w Anglii stać się naturalistą, jak w Niemczech znaczyło zostać romantykiem, w Danii staropółnocnym. Ci pisarze angielscy wszyscy bez wyjątku pielęgnują, badają, czczą naturę z myślą najpobożniejszą. Wordsworth, który namiętności swoje lubi wystawiać jako idee, formalnie, niby sztandarem, powiewa wyrazem „natura“, i w majestatycznych obrazach, lecz z drobiazgową troskliwością, przedstawia góry, jeziora i rzeki, wieśniaków i mieszkańców północnej Anglii. Obrazy natury Scotta wykonane są, jak wiadomo, na podstawie licznych, na miejscu zebranych wiadomości, a są tak wierne, że botanik z nich mógłby poznać roślinność danej okolicy. Keats jest to, przy całym swoim zaslepionym zapale ku starożytności i mitologii greckiej, obdarzony najprzenikliwszymi zmysłami i najsubtelniejszą wszechstronną zmysłowością, sensualista, co wszystkie gatunki blasku barw i śpiewu ptaków i miękości jedwabiu i smaku jagód i woni kwiatów, które ogarnia natura, widzi, słyszy, odczuwa, smakuje i pije oddechem. Moore jest to sama, uduchowiona tylko, zmysłowość. Rozpieszczony i rozpieszczający poeta zdaje się żyć otoczony dokoła wszelkimi najpiękniejszymi i najdrobniejszymi właściwościami natury. Olśniewa naszego ducha blaskiem słońca, odurza go melodyami słowika i upaja go słodyczą. Żyjemy z nim w nieustannych widzeniach lotu skrzydeł, kwiatów, tęczy, uśmiechów, rumienienia się, plonienia, łez, pocałunków i jeszcze pocałunków. Rzeczywiście, naturalizm jest głę-

boką, do dna sięgającą dążnością w takich utworach, jak *Don Juan* Byrona i *Cenci* Shelleya. Innemi słowy: na gruncie angielskim naturalizm jest tak silnym, że przenika sobą niemniej supranaturalizm romantyczny u Coleridge'a, jak wysoce religijny teizm u Wordswortha, jak ateistyczny spirytyzm u Shelleya, rewolucyjny liberalizm u Byrona i interes historyczny u Scotta. U wszystkich poetów owłada on osobistą ich wiarą i poetycznym ich kierunkiem.

Ten silny, bujnie nasycony realizm opiera się na rozlicznych, mocno uwydatnionych przymiotach angielskich. Naprzód miłość lądu i morza. Wszyscy prawie, występujący w tym okresie, poeci angielscy są to albo lądowcy albo żeglarze. Muza angielska oddawna już była przyjaciółką dworu pańskiego i fermy. Czysto angielska poezja Wordswortha odpowiada ściśle znanym malowidłom i miedziorytom, które przedstawiają wiejskie życie anglików z piętnem zdrowia i spokoju równowagi, z ewangelicznym tu i owdzie blaskiem ponad sceną, ilekroć przedstawionym jest ojcowski pochód kaznodziei wiejskiego, albo budujący charakter modlitwy domowej. Burns, śpiewak za pługiem, największy poetyczny geniusz Szkocyi, wcześniej poświęcił szkocką poezję wsi, a prawda tkwi w owym uszczypliwem wyrażeniu, że Scott we wszystkich swoich epopeach napisał tylko rymowany podręcznik podróży po Szkocyi. Że już jego współcześni doznawali takiego wrażenia, widzimy to z satyrycznych żartów Moore'a, że Scott w swoich poematach „załatwia“ dwór pański jeden po drugim ¹⁾.

¹⁾ Should you feel any touch of poetical glow
We've a Scheme to suggest—Mr. Scott, you must know,
Having quitted the Borders, to seek new renown,
Is coming, by long Quarto stages, to Town;
And beginning with Rokeby (the job's sure to pay)
Means to do all the Gentlemen's Seats on the way.

A jaką rolę odgrywają te dwory pańskie w życiu dwu, tak biegunowo przeciwnych, charakterów poetyckich, jak Byron i Scott! Imię Newstead Abbey jest nierozłącznie związane z imieniem Byrona, jak Abbotsford z imieniem Waltera Scotta. Dawne opactwo, ze swoją średniowieczną i fantastyczną architekturą, jest dla Byrona konieczną folią jego tytułu parowskiego i zakładem jego prawa do ojczystego ogniska w Anglii. Wynurza on to wówczas, kiedy po raz ostatni żegna się z ojczyzną. Posiadłość Waltera Scotta nie jest wprawdzie tak starożytna i szanowna; ale kupuje sobie Abbotsford, kiedy życzenie posiadłości ziemskiej, które zawsze było w nim silne, staje się nieodpartem i w najszcześniejszym okresie życia tam spędzonym, urządza się tak, jak gdyby nigdy nie wzrastał z innym widokiem przed oczyma, jedno z tym, ażeby okazywać królewską gościnność starożytnego szkockiego właściciela ziemi i prowadzić butne jego życie na otwartem powietrzu. Największą dla niego przyjemnością jest szalona rokosz brodzenia przez rwące potoki, chociażby nawet przy zboczeniu o kilkanaście kroków mógł był przejść przez most; jeżdżenia na koniu tak dzikim, że nikt inny uskromić go nie może, i przebijania łososiów dziurytem przy blasku pochodni, już to przemokłszy od deszczu, już to drętwiąc od zimna podczas nocy. Komuż ze znawców życia Byrona nie przyjdzie tu na myśl namietność do dzikich harców konnych i puszczania się wplaw z zagrożeniem życia!

Pomimo to, w stosunku obu poetów do ich posiadłości, tkwi pewne przeciwieństwo, charakteryzujące odmien-

Now the Scheme is (though none of our hackneys can beat him)
To start a fresh Poet through Highgate to meet him;
Who, by means of quick proofs—no revises—long coaches—
May do a few Villas, before Scott approaches.

Moore: *Intercepted letters* Nr. 7

ne ich natury. Upodobanie Byrona w Newsteadzie miało swoją zasadę w jego skłonnościach arystokratycznych, upodobanie Scotta w Abbotsfordzie — w jego instynktach historycznych. Jak dwór Walter Scotta miał w tle swoim las Ettrick, tak tło Newsteadu stanowił wsławiony przez Robin Hooda i wesołych jego towarzyszy las Sherwood. Wszakże te wspomnienia nie wywarły widocznego wpływu na poezję Byrona, jakkolwiek w trzynastej pieśni *Don Juana* sam opisuje wybornie opactwo. Przeciwnie, wspomnienia lasu Ettrick odzywają się jak stała zwrotka przez całą poezję Scotta, tak, że on to właśnie, nie Byron (w *Ivanhoe'm*), wskrzesza z martwych życie i poezję lasu Sherwood.

Drugim angielskim warunkiem naturalizmu jest zamięlowanie poetów do wyższych zwierząt i nieustanny ich stosunek do świata zwierzęcego. Mają oni szczególniejsze zamięlowanie do wszystkich zwierząt domowych, będące w nich wynikiem angielskiego uczucia ojczyzny. Zabierają z sobą dom i zwierzęta domowe, jeżeli wyjeżdżają w podróż! Wszyscy prawie ci pisarze są sportsmanami, przedewszystkiem namiętymi jeźdźcami. Rysy te potrzeba mieć na uwadze, ażeby, jak to często się zdarza, nie upatrywać dziwacznej indywidualnej właściwości w takich, które są czysto psychologicznymi znamionami ludu. Nie daremnie rasa ta pochodzi od dwóch mitycznych pogan z imionami końskimi: Hengist i Horsa. Zamięlowanie Byrona do koni, psów i wszelkich zwierząt dzikich, którą to cechę tak często podnoszono, jako wydatną właściwość mizantropijnego wygnańca — znajdujemy również wybitnie panującym u żyjącego, w kwitnącem szczęściu domowem, Walter Scotta. Znany list Arnolda Mathew o życiu w Newstead przedstawia nam Byrona jako młodzieńca, otoczonego całą menażeryą, a wśród niej niedźwiedzia i wilka; zapiski Medwina o jego życiu we Włoszech

malują jego odjazd z Rawenny w r. 1821 „z siedmiu służącymi, pięciu wozami, dziewięciu końmi, małpą, buldogiem, dogiem, dwoma kotami, trzema perliczkami i innymi ptakami.“ Podobne szczegóły mogłyby się zdawać czysto osobistą właściwością. Ale przeczytajmy tylko dla porównania w biografii Walter Scotta opis jego przejazdu do Abbotsfordu. Cała różnica jest ta, że tandeciarska buda antykwaryusza miesza się tu komicznie z menażeryą: „Pociąg podobny był do karawany, wozy napelnione były starymi mieczami, łukami, zbrojami i lancami, kury rozkwaterowano po dawnych hełmach i same krowy w tej procesyi musiały dźwigać stare chorągwie, sztandary i muszkiety. Obok pociągu biegł tuzin dzieci chłopskich obarczonych przyrządami do rybołówstwa, sieciami i dzirytami na łososie i prowadzących wszelkiego rodzaju psy na linie.“ Spotykamy znak ciężkiej melancholii Byrona w jego przywiązaniu do psa, Boatswaina, i w uroczystym napisie, który kazał umieścić na grobie ulubieńca. Lecz dla zrozumienia tego rysu należy pamiętać, że rokoszujący się życiem Scott, kiedy umarł jego ulubiony pies, Camp, kazał pochować go uroczyście w swoim ogrodzie, a cała rodzina, płacząc, otaczała grób do koła.

Ale jeszcze charakterystyczniejszą, niżeli zamięlowanie do posiadłości ziemskiej, do koni i psów, aniżeli świadectwa, które sobie wystawia w poezyi angielskiej, jest szczególniejsza miłość Anglika ku morzu. Anglik jest to istota ziemnowodna. Znaczną grupę obrazowania natury w całym tym okresie stanowi malarstwo marynarskie. Była to dawna, po wszystkie czasy świetnie ponawiana tradycja, że Anglia jest królową morza, poezya angielska była i pozostała najwspanialszym malarzem i tłumaczem morza. Technienie świeżości i swobody jego przebiega przez najlepszą poezję tego kraju, morze samo zdawało się jego poetom jakoby symbolem swobody, tak samo, jak

Alpy po wszystkie czasy wolnym mieszkańcom Szwajcaryi
Z całą prawdą woła Wordsworth (w swoich *Sonetach do wolności* I, 12):

Dwa głosy brzmią: jeden od morza,
Drugi od gór, oba potężne,
Od wieków uszu twych pieczętota,
Radosny ton twój, o swobodo!

I dla tego dawno pogrzebany duch z czasów Wikin-
gów wynurza się napowrót u najznakomitszych poetów
kraju w tym wieku, w którym poezja angielska obecnego
stulecia zdaje się, że doszła wierzchołkowego punktu.
Poemat Coleridge'a „Stary żeglarz“ nagromadza całą
okropność i grozę morza, wędrówki Wikin-
gów u Byrona odzwierciadlają się wprost w *Childe Haroldzie* i *Don Juanie*,
namiętność Shelleya do morza żyje i technie w falowaniu
jego rytmów i we wszystkich tych jego pieśniach, które
opiewają wiatr i balwany, zwłaszcza w jego arcydziele,
w *Odzie do wiatru zachodniego*.

Przeniesiony na społeczeństwo, naturalizm jak to już
miało miejsce u Rousseau'a, staje się rewolucyjnym, a poza
owem zamilowaniem do posiadania ziemi i chęcią naraza-
nia się na kaprysy morza i zapanowania nad nimi, stano-
wiącą głęboko przyczynę naturalizmu, kryje się u anglika
jeszcze głębsze narodowe uczucie samodzielności, które
przy danych stosunkach historycznych w tym okresie z na-
tury rzeczy poprowadzić musiało do radykalizmu. Żaden
narod nie jest tak przenikniony tem uczuciem siebie, jak
angielski, spostrzegać się to daje najlepiej, jeżeli bretoń-
czyk występuje zagranicą pomiędzy obcymi, jego tytuł ja-
ko anglika zapowiada go „jak fanfara“. Ta samodzielność,
która przeszła do literatury angielskiej, ich sztukę w chwi-
lach stanowczych uczyniła sztuką charakteru i ona to

w okresie, który mamy przed oczyma, przeważa i sprowa-
dza przewrót w literackim ruchu Europy.

Anglika potrzeba było na to, ażeby, jak Byron, po-
wstrzymał potok, który wypłynął z Przymierza Świętego—
anglika, naprzód dlatego, że tylko poeta angielski mógł być
mieć potemu charakter, następnie dlatego, że w owym
czasie tylko poeci Anglii posiadali wybitny pociąg
i ów bystry zmysł polityczny, który zawsze cechował
ten pierwszy. ba może nawet jedyny naród parlamen-
tarny. Powtóre potrzeba było anglika na to, ażeby
z taką dziką energią własnemu ludowi rzucić rękawicę.
Tylko w najdumniejszym narodowości swoją ludzkie mo-
gły się znaleźć wielkie duchy, mające dosyć dumy, ażeby
stawić czoło narodowi. Wspomniana samodzielność oso-
bista u górujących umysłów poetyckich ludu ma swój wa-
runek w prawdziwie angielskiej jego właściwości. Ci
poeci nie mają, powiedziałbym, zgoda żadnej teorii, dosć
rzadko estetyczną, nigdy filozoficznej; kiedy np. niemcy
Lessing, Herder, Goethe i Schiller zdobywają sobie zna-
komite zasługi w nauce, wśród grupy poetów angielskich
niema ani jednego męża nauki. Owszem, co rzecz naj-
dziwniejsza, ci pisarze nigdy nie dzielą się z sobą myślami
o swoich utworach. Goethe i Schiller korespondują z so-
bą bez końca o naturze i prawidłowym obrabianiu rozma-
itych przedmiotów, ba nawet wiodą spór nieraz dosyć sze-
roki o jedną strofę mniej lub więcej; Heiberg i jego szko-
ła kierują się pewnymi zasadami estetycznymi, na które
zgodzili się i są prawie zarówno krytycznymi, jak i pro-
dukcyjnymi; ale Scott, Byron i Moore, których przecież
łączy serdeczna przyjaźń, wykonywają poetyczne utwory
swoje, każdy sam przez się w zupełnem wyosobnieniu, nie
udzielając sobie nawzajem, ani życząc sobie skinienia,
rady, rozmowy, o zaczętej pracy z bratem poetą. Jeżeli



nawet całkiem wyjątkowo ma miejsce jakiś wpływ. jako to Wordswortha, a mianowicie Shelleya na Byrona, to dzieje się to, że tak powiem, potajemnie, zupełnie bezwiednie, i w taki sposób, że o jego przedmiocie nie ma ani wzmianki, ani wyznania. Jeden z pisarzy amerykańskich wybornie określił ten przymiot rasy mówiąc: „Każdy z tych wyspiarzy sam jest wyspą.“

Dotknęliśmy poprzednio zmysłu politycznego i interesu politycznego. Jak żaden z tych poetów nie jest mężem nauki, tak nie ma prawie między nimi takiego, któryby nie był politykiem. Dążność polityczna jest bezpośredniem następstwem realizmu narodowego. Rozmaite przekonania mogą tych poetów rozdzielać politycznie, ale wszyscy oni przystępują do stronnictwa, Scott jako torys, Wordsworth jako rojalista, Southey i Coleridge naprzód za, a następnie przeciw nowoczesnym zasadom swobody, Moore za irlandczyków, Landor, Byron i Shelley, jako radykalni za uciśnionych u wszystkich ludów i za same uciśnione narody. Jeżeli musimy wyłączyć jednego tylko poetę, mianowicie Keats'a który uprawiał sztukę prawie tylko dla sztuki, to nie zapominajmy, że umarł w dwudziestym piątym roku życia. Z tego uwzględnienia interesu rzeczywistości wynika, że kwestye sporne czysto literackie (np. klasycyzm albo romantyzm) w nich niedotykającej życia abstrakcyjności, nigdy nie mogą tu dojść do takiego wygórowanego znaczenia, jakie równocześnie przypisujemy czysto literackim sporom w literaturze niemieckiej, duńskiej, a nawet francuskiej. Lecz zabawna to rzecz widzieć u tych poetów, jak popęd anglika do ujęcia praktycznego łączy się z fantastyczną skłonnością poety. Scott niechęć swoją ku rewolucyi posunął do czystej donkiszoterii. Tak np. porozumiał się z jednym ze swoich przyjaciół, księciem, ażeby w razie, jeśliby francuzi zamysляли o wyładowaniu do Anglii, puścić się do lasów i tam żyć,

jak Robin Hood i jego towarzysze. Prawie w tym samym czasie Southey i Coleridge w pierwszym jakobińskim zapale młodości zapowiedzieli swoim znajomym, że chcą wynieść się do samotnej okolicy w Ameryce; wybrano sobie brzegi Susquehanny, ponieważ nazwa tej rzeki wydawała się młodym ludziom szczególnie „piękną i melodyjną“; następnie chcieli tam utworzyć gminę pantisokratyczną, gdzie wszelka własność miała być wspólną, a wszyscy ludzie w stanie natury równymi. Landor, który skądinąd nie wzdragał się jako żołnierz w Hiszpanii naprawdę narażać życia w walce za swe idee, młodzieńcem będąc, u siebie w Warwickshire, chciał sprowadzić napowrót czasysielanek arkadyjskich; jako poeta odpowiada on niemal socjaliście Owenowi. Shelley, który w polityce posiadał tak subtelną wrażliwość, że wciąż przypominać sobie będziemy jego wyrażenie w wierszu *Julian i Maddalo*:

Ja jestem jak nerw, który, każdy, na ziemi
Nigdzie nie poczuwany, nacisk odczuwam.

Shelley—który tyle rewolucyj politycznych przeczuwał, którym na pięćdziesiąt lat przed przeprowadzeniem reformy parlamentu nakreślił dokładny jej plan w broszurze politycznej, a w dramacie *Hellas* przepowiedział szczęśliwy koniec powstania greckiego, w czasie, kiedy ono mężom stanu zdawało się być bez nadziei—Shelley jest czystym fantastykiem, skoro tylko zaczyna mówić o zbliżającym się złotym wieku rodzaju ludzkiego. Przeczytajmy, jak on go opisuje, w *Królowej Mab*: „Topnieje lud bieguna północnego, pustynie pokrywają się niwami i cienistymi gajami, bazyliszek liże stopy dziecięcia, które dzieli się z nim śniadaniem, wiatry stają się melodyjnymi, owoce wciąż są dojrzałe, kwiaty wciąż piękne. Lew igra z kozłeciem, człowiek nie zabija już i nie pożywa zwierzęcia, ptaki już nie uciekają przed człowiekiem. Niema już

trwogi.“ Czyż nie przychodzą tu mimowolnie na myśl niektóre z najszańszych utopij współczesnego socjalizmu francuskiego? Wprowadzenie falansterów, podług planu nakreślonego przez Fouriera, do tego stopnia wpłynęłoby na ekonomię całej ziemi, że ostatecznie nawet stosunki natury uległyby radykalnemu przeistoczeniu: korona zorzy północnej, oparta na biegunie północnym, udzielałaby Syberyi ciepła Andaluzyi, człowiek wyzuliłby morze z jego soli, a w zamian nadałby mu smak limonady, a potwory morskie pozwalałyby się zaprzęgać do naszych okrętów, jako konie morskie. Szczęściem wynalezienie wkrótce potem maszyny parowej tę uprząż uczyniło zbyt ciężką. Nawet Byron, bez zaprzeczenia, najpraktyczniejszy z tych poetów, jest jednak poetą w swojej polityce. Nie ulega wątpliwości, że królewska korona grecka nęciła go jako cel jego usiłowań.

Nie mamy więc zamiaru chcieć ukrywać, jak mało angielskim poetom zbywa na fantastyczności nawet pod względem praktycznym. Mimo to jednakże przez ich moralizm i pogląd na życie przebiega rys realistyczny, którego w takim uwydatnieniu nie znajdujemy u żadnego innego ludu. W ich poezyi znajduje się więcej rozpuszczonych granów zdrowego rozsądku ludzkiego, aniżeli w utworach innych poetów. Wszystkich ich cechuje żywy *popęd ku sprawiedliwości*. Wordsworth odziedzicza go po Miltonie, Byron i Shelley czują go tak pierwotnie, jak gdyby mogli uprawomocnić go wbrew świata. Nie odegrywa on żadnej roli ani u wielkiego niemieckiego poprzednika Byrona, Goethego, ani u sówicie uposażonego talentem jego następcy francuskiego, Musseta. Żaden z nich nie pozwał nigdy, tak jak on, książąt i rządów przed trybunał sprawiedliwości. Ale właściwie angielskim jest szczególniej fakt, że sprawiedliwość, o której marzą Angliacy, nie jest sprawiedliwością, którą np. wielbi Schiller,

nie jest ideą aprioristyczną, lecz dzieckiem użyteczności. Aby zrozumieć to wyraźniej, wybierzmy sobie poetę tak idealistycznego, jak eterycznego, jak Shelley, a zobaczymy, że jego moralność jest również uwybitnioną filozofią użyteczności, jak Bentham i Stuarta Milla. Co do tego punktu, znajdujemy ważny ustęp w jednym z jego traktatów. W rozdziale drugim *Spekulacyj moralnych* mówi: „Jeżeli ktoś obstaje przy zapytaniu, *dla czego* powinien posiadać szczęście ludzkości, to wymaga on matematycznej albo metafizycznej zasady czynu moralnego. Dziwaczność takiego sceptycyzmu jest mniej widoczna, ale nie mniej rzeczywista, jak taka dziwaczność, gdyby np. wymagano zasady moralnej na fakt matematyczny lub metafizyczny.“ W teorii: „Najwyższe szczęście dla możliwie największej liczby,“ i w głębokim, praktycznym popędzie do sprawiedliwości, który jest psychologizmem jej źródłem, leży istotnie wychodni punkt radykalizmu poezyi angielskiej podczas wielkiej reakcyi europejskiej.

III.

Ponieważ Angliacy są zarazem ludem najwytrwalszym i najbardziej przedsiębiorczym, ponieważ są narodem, który najbardziej przywiązany jest do ojczyzny i najchętniej podróżowania, który najpowolniej zastosowywa się do zmian i posiada najwybitniejszy ze wszystkich polityczny zmysł swobody, przeto umysły w tym kraju z natury samej rozszczepiają się na dwie wielkie grupy polityczne, z których jedna wyraża konserwatywną stałość, druga odważnie śmiałą wolnomyslność. Podział stronnictw nie ma tu żadnego podobieństwa z ich stosunkami we Francyi. Chociaż to będzie przesadą powiedzieć z Tainem, że Fran-

cya ma tylko dwa stronnictwa: dwudziestoletnich i czterdziestoletnich, jednakże jestto podział istotny, którego historyczne nazwy stronnictw są tylko modyfikacyami. W Anglii podział ich ma swą zasadę w samym charakterze narodowym, i w tym ruchliwym okresie jej poezji widzimy Wordswortha, jako przedstawiciela jednej grupy znamion, a Byrona jako typ drugiej.

Atoli jeszcze głębiej uzasadniła ten rozszczep w pierwszych chwilach stulecia dwustronna natura głównego wypadku owych czasów. Tym głównym wypadkiem była wojna z Francją. Już o niemieckiej wojnie o niepodległość użyliśmy wyrażenia, że było to wprawdzie powstanie przeciwko straszliwej tyranii, ale przeciwko takiej, która reprezentowała idee rewolucyi, i że była to wprawdzie walka o dom i ognisko, lecz pod komendą starych dynastij reakcyjnych. Jeżeli to słusznie dało się powiedzieć o walce Niemiec, nierównie więcej stosuje się do Anglii, na której niezależność nie targnięto się, której atoli interesy w wysokim stopniu zagrożone zostały i która podczas całego długotrwałego okresu wojny i długo jeszcze potem nie widziała na czele ruchu, jak Niemcy, ludzi najgoręcej miłujących swobodę, lecz najwyższą władzę złożyła w ręce najtwardszego i najuporczywszego w reakcyi rządu torysów, jaki kiedykolwiek widziały dzieje.

Dlatego też tło całego tego okresu literatury pięknej jest tak ciemne. Obłoki, stanowiące je, są ciężkie i czarne, *sunbeamproof*, jakby je nazwał Shelley. Anglia ukazuje się, jako tło obrazu, który chce rozwinąć, niby krajobraz przy oświeceniu nocy. Wielkie przymioty ludu wprowadzono na błędne drogi: jego osobiwsza stałość użytą została na zwalenie popędu do swobody u innego ludu, jego szlachetną miłość swobody zużytkowano na zwalenie samowładztwa napoleońskiego, aby następnie nadużyć jej do podźwignięcia wszystkich zbótwiałych tronów, które pod

osłoną wyziewu prochowego pod Waterloo, ciosano z takim pośpiechem, z jakim niegdyś tylko szafoty. Neutralne przymioty ludu wykarmiono na złe: miłość własna i stałość wyrosła na szlachetną zakamieniałość serca i kupiecki egoizm, które tak udatnie kwitną w czasach reakcyi; lojalność względem domu królewskiego rozpałała się aż do stopnia służalstwa, a poczucie siebie rozniecone zostało na nienawiść międzynarodową, jaka wyrasta podczas długich wojen. Nakoniec złe przymioty ludu rozwinęły się nad wszelką miarę. Zamiłowanie do zewnętrznej przyzwoitości za jakąkolwiek cenę, będące ciemną stroną instynktów moralnych, zamieniło się na obłudę moralną a trzymanie się tradycyjnej religii państwowej, ten wyroczny towarzysz praktycznego i niespekulatywnego kierunku ducha — zaostrzył się z jednej strony na obłudę religijną, z drugiej na nietolerancyjną żądzę prześladowania. Nie było okresu przyjaźniejszego dla rozwinięcia się hipokryzji i fanatyzmu, nad ten, w którym przywódcy narodu zachęcali go wprost do ufania w swoją religijność wobec wolnomysłnej Francyi. Najwięcej ze wszystkich ucierpieł na tem wiele poeci kraju. Stało się dziś trywialnością wspominać owe „cant,” które Byrona wypędziło z ojczyzny, i niejeden subtelniejszy umysł gotówby uważać za zacne, acz ograniczone przekonanie to, co dawniej nazywano poprostu obłudą. Jednakże w żaden sposób nie mogą pisać się na takie pojmovanie rzeczy. Religijność, która się uzewnętrznia, jak to robiła angielska przeciwko Byronowi i Shelleyowi, jest nie tylko niedorzecznością, lecz opiera się na niezmiernej ograniczonosci i najwstrętniejszą na świecie obłudą. Co do tego punktu, przytoczę poglądy znakomitego postrzegacza angielskiego, Ralfa Waldo Emersona, ponieważ Emerson, jako najpierwszy krytyk amerykański, jako największy wielbiciel anglików i sędzia rasy własnej, daje wszelką

rękojmię wiarogodności. Mówi on tedy: „Ospalność rozumu angielskiego we względzie religii pokazuje, ile to rozsądku i nierozsądku mieszkać może społem w jednym mózgu. Religia anglików, to frazes; ich kościół — lalka; a wszelką krytykę odpychają tam wrzaskiem trwogi. Spodziewasz się, że w dobrym towarzystwie śmiać się będą z fanatyzmu motłochu; nie robią tego; oni sami są motłochem... Anglicy, którzy we wszystkich rzeczach nienawidzą zmian, a przedewszystkiem brzydzą się niemi w sprawach religijnych, obstają przy najostateczniejszym strzępie religijnym, z obrzydliwą hipokryzyą. Anglicy, życzyłbym sobie, ażeby to ograniczało się li do nich, ale jest to brudny popęd, który leży we krwi anglosaksońskiej na obu półkulach — są obłudnikami przed wszystkimi innymi ludami. Francuzi pozostawiają im bezwarunkowo ten przemyśl. Cóż może być wstrętniejszego, jak dworskie dygania, robione przed Bogiem w naszych książkach i gazetach! Prasa popularna czuwa gorliwie nad utrzymaniem ścisłej miary w świętej postawie, a codzienna religia jest to Synai, którego piorunową strzałę kuja bogaci. Jeżeli biskup spotka się z człowiekiem inteligentnym, to jedynem dla niego wyjściem jest to, że pije z nim wino.“ Ten obraz odnosi się mniej więcej do r. 1830 — wyobraźmy więc sobie, jakim był stan rzeczy na dwadzieścia lat pierwiej.

Przedewszystkiem jednak najgodniejszy pożałowania błąd ludu, jego chęć uciskania, formalnie podniesiony został do systematu. Do żadnego okresu nie stosuje się tak dalece, jak do tego, to, co uznano za główną szkodę Brytanii. Anglia, Szkocya i Irlandya wspólnie uciskają dalekie kolonie, Anglia i Szkocya uważają sobie za wspólną sprawę uciskać Irlandyę, poniżać kościół irlandzki, osłabiać przemysł i handel w Irlandyi; Anglia wysiła się, ażeby wyprzeć na drugi plan Szkocyę, w samej zaś Anglii

bogaty uciska biednego, a kasta panująca wszystkie inne. Z 30 milionów mieszkańców w tym okresie, tylko milion miał prawo głosowania, i kto tylko może czytać wycieczki przeciw posiadaczom ziemi w „Bronzowym wieku“ Byrona, dostrzeże, jak bezwstydnie podczas wojny wzbogacali się oni kosztem innych klas i z jaką bezwzględnością cała ich polityka zmierzała do tego, ażeby i nadal utrzymać taki kierunek.

Rzeczony stan rzeczy wywiera częścią zgubny, częścią zaś zagrzewający i podniecający w odwrotnym kierunku wpływ na pisarzy kraju. Ci, w których słabo płonie ogień święty, gasną wcześniej i stają się reakcyjnymi podporami stanu panującego. Przeciwnie ci, których brzemienne piorunem duchy postępowały uparcie przeciw wiatrowi, pod naciskiem tych stosunków rozwijają patos swobody, prowadzające drganie w atmosferze politycznej. Tym poetom Anglia wydaje się „Gibraltarem konwenansów“ i opuszczają ziemię rodzinną, ażeby na ojczyznę swoją miotać wszelkimi pociskami szyderstwa i gniewu i zbombardować ją w szturmie.

Co do politycznych stosunków tego kraju, potrzeba nieco szerzej dotknąć szczegółów, ażeby należycie poznać grunt, na którym wzrasta literatura, i ażeby zrozumieć nieliterackie (polityczne, społeczne i religijne) zasady, które rozdzielają poetów na wrogie sobie nawzajem grupy.

Na tronie Anglii na początku stulecia, już od r. 1760, zasiadał Jerzy III. Od dziecięcych jego lat matka starała się wpoić w niego wygórowane i nieangielskie wyobrażenia o znaczeniu władzy monarchicznej, jakie były panującymi na stałym lądzie, i zamiar ten powiódł się do takiego stopnia, że jeden po drugim wysocy lordowie, których wybierano na ochmistrzów dworu księcia, zrzekali się tego urzędu, ponieważ pracowano nad przeciwstawieniem się ich wpływowi. Jeden z nich lord Waldegrave, któ-

ry był nietylko przenikliwym postrzegaczem lecz i oddanym stronnikiem domu hanowerskiego, pozostawił nam obraz charakteru swojego wychowanka wcale a wcale nie ponętny. Przedstawia go, jako dosyć zdolnego, ale bez wszelkiej pilności, jako ściśle prawego, ale bez otwartości i prostoty, które prawość czynią ponętną; jako szczerze pobożnego, ale zawsze baczącego uważnie na uchybienia i grzechy bliźniego, jako stanowczego, ale upartego i pełnego przesądów. Opowiada następnie, że oburzenie i gniew nigdy się u niego nie objawiają, lecz zwracają się na wewnątrz i chwilowo powodują hamowanie się i udanie, ażeby później objawić się tem silniej, i że ten sam król, który miał tak spiżową pamięć na wszelką niesprawiedliwość, jaką mu wyrządzono, posiadał więcej niż królewską zdolność zapominania przysług, jakie mu wyświadczano. Ale największym może jego błędem jako człowieka publicznego i władcy, było zupełne skostnienie ducha w przesądach. W życiu prywatnem był prostym, rzetelnym niezawodnym i w swoich podwładnych wzbudzał wielkie poszanowanie, chociaż wady jego wychowania nigdy nie były sprostowanemi. Kiedy przyszedł do władzy, posiadał małą albo żadnej znajomości ludzi, jak i książek, a w ciągu całego życia był i pozostał zupełnie nieświadomy wręczach literatury i sztuki. Ale samolubne jego otoczenie dworskie dostarczyło mu niepomiernej znajomości ludzi, i on, do którego wielcy i mali wyciągali rękę, gdzie tylko mógł zwrócić oczy — wkrótce był w stanie ocenić wartość każdego człowieka i obliczyć korzyść, jaką tenże mógł mu zapewnić. Zdrowego z natury rozsądku nie zaostrzyły w nim ani studia, ani podróże lub rozmowy; ale umiał zapuszczać się we wszelkie kwestye szczegółowe, nie wymagające najwykwintniejszego wykształcenia duszy i myślenia, prowadzić je z dzielnością konieczną dla panującego,

który wcale nie miał chęci ograniczania się na tem, ażeby być królem tylko z imienia ¹⁾.

Gdybym duńskim moim ziomkom chciał w zrozumiały dla nich sposób i jednym wyrazem scharakteryzować Jerzego III-go, to powiedziałbym: był to angielski Fryderyk VI. Był on prawdziwie patryarchalnym monarchą i poczuwał w sobie ojca ludu swego. Kraj utracił za niego swoje kolonie północno-amerykańskie, jak Dania za Fryderyka VI utraciła Norwęgję, wszelako ani ta strata, ani nierozsądna polityka, która ją spowodowała, nie nadwyreżyły popularności monarchy. Prowadzenie domu Jerzego III-go było wzorem domowego życia angielskiego gentlemena. Pierwszą jego zasadą było wstawanie ranne! Było ono urządzone skromnie, porządnie, ekonomicznie, pod każdym względem, co się zowie, po obywatelsku. Było ono nudnem do takiego stopnia, że na jego wspomnienie „wzdryga się“ dziejopis Thackeray. Pewnego dnia wstawszy sam wcześniej rano i pobudziwszy swoich paziów, podczas rannej przechadzki, król gwarzył z każdym, kogo tylko spotkał; wstępował incognito do niejednego domu i chaty, podarował to dziecku szylinga srebrnego, to biednej kobiecie kure. Innym razem on i królowa spotkali małego chłopca, z którym zaczęli rozmawiać, nareszcie król powiedział do niego: „Uklęknij, ty mówisz z Jej królewską mością!“ Kiedy jednak malec z należnego względu na swoje nowe spodnie wzbraniał się uporczywie, ten wczesny zmysł ekonomii tak silnie wzruszył starego króla, że chłopca przycisnął do serca.

Życie na dworze wlokło się z gnuśną jednostajnością, która młodych książąt wypędziła daleko z ojezyny, a po części była powodem, że się tak źle udali. Wieczorem

¹⁾ Massey: *History of England* t. I, str. 59 i inn.

król grał w tokkadylie, albo znajdował się na koncercie wieczornym, gdzie regularnie się kiwał, a tymczasem pażowie śmiertelnie ziewali w przedpokoju.

Codzienne przechadzki en famille odbywały się na wale windsorskim, lud gromadził się dokoła i przypatrywał, a mali uczniowie Etonu pod łokciami tłumu wychylali czerwonołice twarze. Muzyka grała, a kiedy koncert na otwartym powietrzu kończył się, król nie omieszkiał nigdy uchylić swego trójkątnego kapelusza i pozdrowić muzykantów temi słowy: „Dziękuję wam, moi panowie.“

Któryż duńczyk na te sceny nie wspomni sobie mimowolnie przechadzek Fryderyka VI-go i jego wodnych przejażdżek, jako wielkiego admirała, w ogrodzie Frederiksbergskim! Podobnie jak on, Jerzy III zjednał sobie serca swoim obywatelskim obejściem się i wytartym do nitek surdudem; i do Jerzego III-go zastosować można to, co o Fryderyku VI-ym mówi Orla Lehmann, że „w niewymuszonej prostocie króla (tak co do rozumu, jak i obejścia się) w dobrotliwym jego udziale tak w doli, jak i w niedoli jednostek, widziano wynagrodzenie za wady męża stanu i władcy,“ a jak niewielu wogóle zwracało uwagę na te ostatnie! Dla znakomitej większości angiolków, stary Jerzy był nadzwyczaj rozumnym mężem stanu i potężnym monarchą — wspomnę tu tylko sławny mieźioryt, gdzie Jerzy — w starej peruce i w opiętym, starym, brudnym uniformie windsorskim — przedstawionym jest, jako król Brobdingnagu, trzymający w jednej ręce małego Gulliwer a przez lornetkę teatralną w drugiej, przyglądający się człowieczątku. Jak sądzicie, kto był małym Gulliwerem? Miał on na sobie trójkątny kapelusz i szary surdut z pod Marengo. Największej części moich duńskich współziomków mógłby tu przyjść na myśl stary obrazek, który powtórzony w krociach fotografii, przed kilku laty miał szczególne powodzenie. Był na nim pod-

pis: „Ukochana wysoka rodzina“; przedstawiał Fryderyka VI-go z całym jego pokoleniem, od największego do najmniejszego, na przechadzce. Czy następujący obrazek familijny, który znajdujemy u miss Burney, nie jest najdoskonalszym poboczniakiem tamtego? Mamy tam odmalowaną popołudniową przechadzkę w Windsorze: „Była to istotnie przenajmilsza procesya. Mała księżniczka Amalia, która właśnie skończyła już trzy lata, szła sama jedna naprzód wsukience z cienką muslinową narzutką i władnym zamkniętym kapeluszu, w białych rękawiczkach i z wachlarzem, do najwyższego stopnia zachwycona paradą i wciąż kręcąca głową, aby zobaczyć każdego, kto tylko przechodził; ponieważ wszyscy spacerujący stawali w szeregu przed domami, skoro tylko zbliżała się rodzina królewska, ażeby zostawić dla niej wolne przejście. Następnie szedł król i królowa, niemniej uradowani uciechą ukochanego dziecka; następczyni tronu szła pod ramię z lady Waldegrave, następnie — księżna Augusta, prowadząc się pod ramię z księżną Ancaster, generał Bude, książę Montague i major Price, który, jako koniuszy, zamykał pochód.“ „Jakiż piękny obraz!“ woła Thackeray: „Kiedy zwolna przeciąga procesya, kompania muzyki odegrywa stare swoje melodye, a światło słońca pada na stare mury twierdzy i oświeca sztandar królewski, powiewający z wielkiej wieży, potężne wiązy i lojalny tłum widzów, witający ukochane dziecię z jego niewinnym uśmiechem.“

Oto domowa sielanka, w obec której na zewnątrz rażące przedstawia przeciwieństwo namiętne ze strony króla żądza ciemnienia Ameryki północnej, zwalczania rewolucyi francuskiej, zniszczenia kościoła irlandzkiego i utrzymania handlu murzynami w całej jego okropności. Ale nawet i domowa idylla nie dotrwała do końca wieku. W r. 1788 król miał pierwszy napad obłąkania, i już wówczas z niesłychanym roznamiętnieniem roztrząsano w par-

lamencie kwestyę regencyi księcia Walii, która w r. 1810 stanowczo uchwaloną została. Opozycja wróżyła sobie wówczas, że na długo obali rządy torysowskie, jeżeli książę mianowany zostanie regentem. Tymczasem jego charakter i obyczaje w takim były osławieniu u ludu, że z obawą patrzano na jego wstąpienie na tron. Ale właśnie w chwili, kiedy miano podać wnioski do prawa w tym przedmiocie, Pitt znalazł się w możności przedstawienia w parlamencie buletynu lekarskiego o spodziewanem bezpośrednio wyzdrowieniu Jego królewskiej mości i niebezpieczeństwo minęło tym razem. Rozczarowanie księcia było wielkie a tem mniej mógł je ukrywać, że podczas choroby króla wcale a wcale nie dawał dowodów usposobienia synowskiego. Posiadał on pewien talent naśladowania postawy i głosu, i podczas choroby ojca główny jego żart zależał na tem, ażeby dobre głowy, wesółych i rozpustnych mężczyzn i kobiety, które wchodziły w jego otoczenie, zabawiać kopiowaniem miny i działań obłąkanego ojca. W tym jednym rysie mamy jego charakter, charakter człowieka, który dla zewnętrznej ogłady i postawy, przez tak długi czas nazywany był „pierwszym w Europie gentlemanem.“ Podziwiać przychodzi zręczność, z jaką ten człowiek umiał, chociaż tylko na krótko, zjednywać sobie najrzadsze umysły swojego czasu. W kole otaczających przyjaciół swoich miał Burkego, Foxa i Sheridaną. Naturalnie, do słuchania księcia wabiły ich nie jego poglądy na kwestyę konstytucyjną, albo na stosunki w Irlandyi—jego poglądy na takie rzeczy! — on z Foxem rozmawiał o grze w kostki, a z Sheridanem o winie. To były punkty, gdzie spotykały się interesy błazna i geniuszów i gdzie przyjaciel a współzawodnik Brummela dla dandych owoczesnych stanowił powagę w kwestyi: jakie to guziki stosowne są do takiej a takiej kamizelki i jaki sos harmonizuje z pewnym rodzajem pasztetu. Zobaczmy następnie, jakim

sposobem zjednał sobie na krótką chwilę Moore'a! W liście poety do matki z czerwca 1811 r. (Memoirs tom I, str. 225), widzimy wyraźnie, że „serdeczna poufalskość“ księcia regenta pochlebia mu. To samo chwilowo miało miejsce z Byronem; pojednawczy jego list do Walter-Scotta pokazuje jasno, jak mało był obojętnym na pochlebstwa regenta względem *Childe-Harolda*. A teraz dopiero Scott! W usposobieniu swoim, jako uparty torys, był on zawsze wiernym stronnikiem księcia regenta, pomimo całej skądinąd szlachetności swej i prawości. Kiedy Jerzy IV, jako król przybył do Szkocyi, gdzie wystąpił w ubiorze wodza klanu, z obnażonemi tłustemi łydkami i ze szkockim fartuchem na bezkształtnym brzuchu, Byron wydrwiwa to na końcu swojego „Wieku brązowego“ — Walter-Scott udał się na pokład jachtu królewskiego, dla powitania go, wziął szklanekę, z której właśnie pił Jego królewska mość wyprosił sobie łaskę zatrzymania jej dla siebie, przyrzekł że ona zostanie na wieki w jego rodzinie, jako drogi spadek, poszedł do domu, zastał tam niespodziewane odwiedziny, rzucił się na krzesło, i — usiadł na kieszeni, aby zbyt wczesnie i z boleścią przypomnieć sobie upominek króla. Pozostał wiernym Jerzemu IV-mu, nawet wówczas, kiedy Moore oddawna już uklął go strzałami dowcipu, kiedy Byron oddawna już wyszydził go krwawymi epigramatami, i kiedy nawet Brummel, podczas przechadzki w Hydeparku, przypatrywał mu się przez lornetkę, jakby obcemu i towarzyszącemu księciu zapytał: „Kto to jest ten tłusty przyjaciel pański?“

Nasz „tłusty przyjaciel“ stopniowo zrobił się nadmiernie otyły. Życie, jakie prowadził, gdzie następowała orgia po orgii, nadało mu taką tuszę, że już nie mógł chodzić. Kiedy miał wyjeżdżać, wysuwano z okna deskę i po niej wciągano go do powozu. Kiedy w Glasgowie i Lancashire tkacze krzyczeli w niebogłosy z głodu, urządzał ol-

brzymie uroczystości z niesłychanym przepychem i przyjmował zbiegłego Bourbona, jako Ludwika XVIII-go. Dziecko jest ojcem męża, powiada Wordsworth. Jerzy IV-ty wstąpienie swoje w życie dworskie odznacza wielkim czynem, godnym jego późniejszego życia. Wynałazł on nową sprzączkę do trzewików. Miała ona długości cal a pięć cali szerokości. „Okrywała,“ jak opowiadają współcześni, „całe podbicie i sięgała na dół po obu stronach stopy.“ Czytamy tam, że przy pierwszym jego ukazaniu się na balu dworskim, miał kaftan z różowego jedwabiu z białymi wyłogami, jego kamizelka z białego jedwabiu naszywana była różnobarwnymi materyami lśniącem i ozdobiona mnóstwem naśladowanych drogich kamieni. Jego kapelusz był ozdobiony dwoma rzędami pereł ze stali, w liczbie pięciu tysięcy, oraz guzikiem i sznurkiem z tegoż metalu i zrobiony krojem wojskowym.

Krój wojskowy! Zaprawdę, przysłał on głowie, która go nosiła. Ta głowa wówczas, kiedy jej właściciel zaczął prowadzić dwór w nowym przepysznym swoim pałacu Carlton-House, była pełna powierzchownych planów zachęty nauk, literatury i sztuk, i na chwilę zdawała się wyglądać poważnie, kiedy słychać było, że u stołu księcia regenta Walter Scott, najlepszy powieściopisarz swojego czasu, z nieograniczoną lojalnością i gracyą uracza niewyczerpaną pełnią rokosznych i zaprawionych humorem historyj, albo kiedy Moore w tem kole śpiewał niektóre ze swoich pieśni anakreontycznych, albo kiedy Grattan, dumny przywódca irlandczyków, ogniem swojej przejętej uczuciem i fantazyą wymowy, przyczyniał się do zabawy. Ale jakże prędko ludzie ci ustąpili miejsca towarzystwu, które zupełnie inaczej przypadało do księcia regenta: kucharzom francuskim, tancerzom francuskim, dżokejom, błaznom dworskim, kuplerzom, krawcom, bokserom, jubilerom i fechtmistrzem. Z takimi to ludźmi przepędzał

czas, jaki pozostawiały mu metresy i knajpy. Artystyczny zmysł i gust swój wykazywał, skupując za wysoką cenę całe fury chińskich fajek. Przeto zaledwie artysta został regentem, zerwał z dobrymi głowami stronnictwa wigów, których towarzystwa szukał pierwaj. Przerzucił się i nagle został torysem. Zdaje mi się, jakoby czterej regenci europejscy, w pierwszej połowie obecnego wieku, mieli jakieś uderzające podobieństwo familijne jedni do drugich: Ludwik I bawarski, Fryderyk Wilhelm IV pruski, Chrystyan VIII duński i ten książę regent angielski. Są to czterej reakcyjni beletryści na tronie. Tu, podobnie jak w Danii, w rodzinie króla dyletantyzm literacki następuje po prostocie patryarchalnej. Ma się rozumieć, w Anglii był on połączony z najzgubniejszymi obyczajami i prawie niepodobną do pojęcia gnuśnością. W r. 1816 w Newgate siedziało 58 skazanych na śmierć, którzy spodziewali się, że zabawy i roztargnienia księcia regenta zostawią mu czas na podpisanie wyroku śmierci albo ulaskawienie i wielu z nich w tem oczekiwaniu przesiadziało od grudnia aż do marca. Napróżno w parlamencie rozlegał się głos straszliwej wycieczki Broughama przeciwko „tym, którzy, kiedy więzienia przepełnione są nieszczęśliwymi, nie mogą na chwilę przerwać swoich zabaw, aby temu okropnemu ważeniu się pomiędzy życiem a śmiercią położyć koniec“. Czytajmy o tem satyry Moore'a w *Twopeny Post-bag*. Okazuje się tu, że wdzięczny śpiewający ptaszek irlandzki miał dziób i szpony. Z życia Scotta widzimy (tom III, str. 342), z jakim spokojnym uśmiechem regent w r. 1815 żartuje sobie z wierszy Moore'a, który opisuje jego stół, jako założony z jednej strony dziennikami mód, a z drugiej strony niepodpisanymi wyrokami śmierci! Wiersze te były aż nadto sprawiedliwe, ale bardzo mało pomogły. Jeszcze w mowie parlamen-

tarnej, którą miał w kwietniu r. 1812, Castlereagh powiedział: „Niepodobiestwem jest dla Jego królewskiej wysokości uwolnić osoby swej od przeciążającego stosu papierów, nagromadzonych na jego stole, a w satyrze Moore'a *The insurrection of the papers*, powiedziano:

On one side lay unread Petitions,
On th' other hints from five Physicians,
Here tradesmen's bill,—official papers,
Notes from my Lady, drams for vapours,
There plans of saddles, tea and toast,
Death-warrants and the Morning Post.

I po tem wszystkiem, w cztery lata później, regent kazał sobie podsumować 58 wyroków śmierci!

Powiedzieliśmy, że zaledwie przywdział insygnia władzy, naraz zerwał z dotychczasowymi przyjaciółmi i został torysem. Utworzono wielkie, długotrwałe ministerium Tory, z lordem Liverppol na czele, giętkim, ale dobrodusznie gnuśnym reakcyonistą, z którego osoby oburzenie zawsze przychylało się na jego kolegów. Jako pierwszy minister, był on pewnym rodzajem króla konstytucyjnego, z prawymi zamiarami i mierną zdolnością. Posiadał on, podobnie jak jego kolega, lord Sidmouth, taki przywilej, że ani się go obawiano dla mocy charakteru, ani zazdroszczono mu z powodu talentu. Najznakomitszą i najwybitniejszą osobistością w ministerium był lord Castlereagh, człowiek miernych zdolności, ale energiczny, którego Wilberforce dla jego zimnej krwi nazwał raz rybą. Miał on piękne rysy twarzy i głos imponujący a jego postawa zewnętrzna pokazywała większe oznaki godności, aniżeli dostało się ich w udziale któremukolwiek z członków izby niższej od czasów Roberta Walpole'a. Był on „szlachetny lord ze wstęgą błękitną.“ Był on oddawna przekonani absolutystycznych, a obcowanie z nieodpowiedzial-

nymi władcami stałego ładu przyłożyło się jeszcze więcej do rozwiniecia w nim pojęć najniebezpieczniejszych dla ministra konstytucyjnego. Żadne zgola przeświadczenie o ograniczoności własnej, albo o brakach wychowania nie przeszkadzało mu pryskać potokiem kulawych sądów i kruchych dowodów. Szkolne jego wykształcenie było tak małe, że nie był w stanie związać dwóch zdań prawdziwo, nader często też jego swada wzbudzała śmiechy izby, ale z niezachwianą uporczywością wytrzymywał wszelkie napady, i zdawało się, że żadne podejrzliwe lub cierpkie wyrażenie na włos nie mogło go zbić z toru, tak, że wobec parlamentu przybierał raz po raz dawny ton absolutystyczny: „My tylko rozumiemy itd.“ Zarówno Byron jak Schelley i Moore karcili go w swoich poezyach. Nakoniec wspomnieć nam należy o kanclerzu, lordzie Eldon, wcieleniu doktryn stronnictwa torysów, którego myśli dniem i nocą skierowane były ku temu, ażeby, jak się wyrażał, „utrzymać w całości konstytucję“. Kto chciał usunąć ten lub ów stary monopol, to lub owo przestarzałe krępowanie lub ograniczenie swobody, albo nawet starą, okrutną księgę prawa karnego, podług jego mniemania, podnosił rękę na konstytucję. Pomimo to, on sam nieustannie był pierwszym do zawieszenia jej paladyum, prawa, ilekroć stawało mu w drodze. Znieść na pewien czas akt *habeas-corpus*, włożyć kaganiec na prasę i t. p.,—takie zbawienne amputacje były, podług jego poglądów, życiem dla konstytucyi, wlewanie zaś w nią nowej krwi, było dla niej śmiercią.

Owo to ministerium w r. 1814 swoją żądzą przywrócenia zasad zachwianych przez rewolucję wprawiało w zdumienie Aleksandra I, cesarza rosyjskiego. Cesarz rosyjski wysydział ministerium angielskie, oskarżając reakcyjne jego dążności i zawiązując stosunki z przywódcami opo-

zycy w Londynie. Pierwsze wrażenie rewolucyi francuskiej na rząd i lud angielski było w początkach sympatyczne. Przeciwnicy, Pitt i Fox byli jednomyslnymi w powitaniu jej, jako jednego z największych i najzbawienniejszych wypadków w dziejach ludzkości. Ale skoro tylko za kanałem popłynęła krew, masa ludności, a nawet większość opozycyi, widziała zagrożenie wszystkich tradycyi swoich: władzy królewskiej, religii, prawa własności i wytworzyła olbrzymie stronnictwo porządku. Burke pierwszy spośród wigów z całą gwałtownością potępił rewolucyę i szczególnie gromił przyjaciela swego i współstronnika, Foxa za to, że bronil jej ducha. Starzy wigowie przyłączyli się do Burkego. Pitt, który uplanował był szereg koniecznych reform, nie miał teraz odwagi wystąpić przeciwko zgubnemu systematowi wyborczemu w Anglii, i na stanowcze zapytanie wyznał, że jakkolwiek głęboko przeświadczony jest o konieczności reformy parlamentarnej, chwila jednak obecna nie okazuje się przyjazną dla tak śmiałych eksperymentów. W każdym ruchu wolnomyslnym, nawet najniewinniejszym i najśluszniejszym, zaczęto upatrywać najstraszniejszy jakobinizm. Kiedy Wilberforce rozpoczął agitacyę przeciw handlowi niewolnikami, poparł go zarazem rząd i opozycja. Tylko król, właściciele okrętów i arystokracja byli przeciwko niemu. Kiedy jednak w r. 1791 ponownie podniósł tę sprawę, usposobienie tak się zmieniło, że abolicjonistów uważano prawie za jakobinów i prawo o zniesieniu handlu niewolnikami odrzuconem zostało 163 głosami przeciw 88. Przyłączyło się do tego w Anglii zatrważające wrażenie, jakie rewolucya francuska wywołała w Irlandyi. Wiadomość o niej powitano tam tak, jak niewolnicy i heloci witają zwiastowanie wolności. Chociaż lud irlandzki, pod przewodztwem szlachetnego Henryka Grattana, z takim zapalem opiewanego przez Byrona, w r. 1782 osiągnął był uznanie swoje-

go parlamentu i został zarówno uprawniony z angielskim, atoli pod względem handlowym i religijnym doznawał ogólnego ucisku. Nawet umiarkowany Tomasz Moore używa wyrażenia, że jako dziecię rodziców katolickich, przyszedł na świat z jarzmem niewolnika naokoło szyi. Opowiada, jak chłopcem będąc, w r. 1792 wzięty był przez ojca na urządzoną z powodu rewolucyi uroczystą ucztę w Dublinie i jak przewodniczący zabrał głos toastowy: „Oby świeży powiew wiatru od Francyi sprowadził odzielenie się dębu irlandzkiego!“ Pisma jego malują ruch, jaki przeszedł po młodzieży irlandzkiej. Znał i uwielbiał jej przewodcę, Roberta Emmeta. Kiedy Emmet w dublińskim klubie dyskusyjnym, którego był gwiazdą przewodniczą i ozdobą, wymownemi słowy opisywał czyny rzeczypospolitej francuskiej; kiedy — z aluzją do Cezara, który, płynąc przez Rubikon, w jednej ręce trzymał miecz, a w drugiej swoje komentarze—odezwał się: „Tak Francya brnie po przez wzburzone nawałnicą morze krwi, ale kiedy jedną ręką wywija mieczem przeciw ciemierzom, w drugiej trzyma ona skarby nauki i literatury niezbrukane krwawym potokiem, przez który wybija się naprzód“, wtedy młody jego współziomek wsłuchiwał się nietylko w bezpośrednią treść mowy, lecz i w każde zboczenie albo aluzyę, która w traktowany temat wesnuć mogła Irlandyę. Jakoż podobnych napomknien nie brakło. „Jeżeli lud“, zawołał pewnego dnia, „który bystro posuwa się naprzód w poznaniu i sile, zauważy nakoniec, jak daleko rząd jego cofnął się wstecz, cóż innego wówczas uczynić należy, jak podciągnąć rząd do poziomu ludu!“ Niedalekim był dzień, kiedy Robert Emmet za te zuchwałe słowa ciężko miał odpokutować. W r. 1798 wybuchnął nagromadzony materiał palny, a Castlereagh, podług wyrażenia Byrona, młode ręce swoje obmył w krwi Erynu! Wściekłość, z jaką rząd wystąpił przeciwko rokoszanom, była tak zwie-

rzęca i dzika, że za ledwie stłumieniu jakiegokolwiek powstania w czasach nowożytnych towarzyszyły podobne okropności. Wkrótce wrócimy do tego przedmiotu z powodu melodyj irlandzkich Moore'a. Nienawiść przeciw rewolucji ciągnęła się dalej, jako nienawiść przeciw Napoleonowi. Przeszła ona wszelkie granice rozumu. Thackeray opowiada anegdotę, pokazującą jej stopień. „Przybyłem“, mówi, „dzieckiem z Indyi, i okręt nasz w powrocie przybił do wyspy, gdzie mój czarny służący przedsięwziął wraz ze mną długą przechadzkę po skalach i wzgórzach, aż doszliśmy do ogrodu, w którym kroczył i wracał jakiś człowiek“. „To on“, powiedział czarny, „to Bonaparte. Pożera codziennie po trzy owce i wszystkie małe dzieci, które może złapać“, a Thackeray dodaje: „W państwie brytańskim było więcej ludzi, niż ten biedny służący z Kalkuty, którzy równie lękali się korsykańskiego ludożercy“. Nienawiść ta występuje równie silnie w sonetach Wordswortha, jak w poezjach Southeya i u Walter-Scotta w okrzyczanej biografii Napoleona. Wojny napoleońskie są wstępem do wielkiej reakcji brytańskiej: akt habeas-corpus zostaje kilkakrotnie zawieszonym, dawne postanowienie Edwarda III o zdradzie stanu zaostrożonem, prawo zgromadzeń i petycyj ograniczonem, wolność prasy zamienila się w czezy wyraz. Mianowicie w Szkocyi wydobyto napowrót okrutne prawa z czasów starodawnych a wysoce wykształconych ludzi wysyłano, jak pospolitych zbrodniarzy, do australskich kolonij karnych. Przeciwno republikanom i mężom swobody ważono się mówić w Anglii o nieograniczonej władzy korony, o parlamentach i sądach przysięgłych, jako o władzach podrzędnych. Utworzyło się wszechwładzące stronnictwo pod hasłem obozowem: król i kościół!

Sam król był obłąkany, książę regent gorzej niż obłąkany, a kościół zhipokryzowany. W r. 1816 nastą-

pili nieurodzaje, powodzie, głód. Trawiący głód wypędzali na oślep dokoła w kraju niższą ludność z domu i posiadłości. Shelley to usposobienie umysłów wyraził w *Masce anarchii*. W Leicestershire robotnicy z rozpacz zburzyli tkactwa koronkowe i porozbijali warsztaty. W ich obronie Byron miał pierwszą swoją piękną mowę w parlamencie. Z dziennika Romilly'a widać, jak niemożliwem było dla kilku ludzi wolnomyslnych, przeprowadzić najmniejszą reformę. On, powszechnie czczony i szanowany reformator okrutnego prawodawstwa karnego w Anglii (ten sam, który tak się dał poznać, jako prawny doradca księżny Walii i adwokat lady Byron), mówi w swoim dzienniku z r. 1808: „Jeżeli kto życzy sobie wytworzyć stosowne wyobrażenie o nieszczęśliwych skutkach, które rewolucya francuska i następujące po niej okropności spowodowały w naszym kraju, niech tylko spróbuje jednej lub drugiej reformy prawodawczej podług zasad humanitarnych i liberalnych. Przekona się on nietylko, jak głupia obawa zmian, lecz jaki duch okrucieństwa wstąpił w tyłu jego współziomków“. Na wniosek Romilly'ego o zniesieniu prawa z czasów Wilhelma III, podług którego, okradzenie sklepu karano śmiercią przez powieszenie, lord Ellenborough, silnie poparty przez lorda Eldona, odpowiedział pożałowaniem, że „jakaś tam filozofia nowoczesna nawet mądrych postanowień, trwających wieki, teraz tykać się waży“, i nietylko rząd, lecz członkowie parlamentu w wielkiej liczbie byli jakby opętani żądzą wieszania. Sam Romilly opowiada, że jeden z młodszych jego kolegów w parlamencie na każde przełożenie i zarzut, odpowiadał stereotypowym frazesem. „Ja jestem za powieszeniem wszystkich (*I am for hanging all*). A przecież należałoby myśleć naprawdę, że w dziewiętnastym wieku już czas w Anglii położyć koniec namiętności wieszania, która zbyt niekorzystnie świadczy o głębokim gruncie dzikości w narodzie.

Za Henryka VIII powieszono 72,000, złodziei, a za Jerzego III wieszano w przecięciu po 2000 rocznie, co od roku 1760 do 1810 daje piękną sumę 100,000. W r. 1817 prześladowanie swobody myślenia i pisania zamieniło się formalnie w systemat, podczas procesów przeciw staremu miłośnikowi książek, Honemu, który osobiwszem połączeniem miłości prawdy i rozsądku wciąż a wciąż przed sądem unicestwiał wszelki zamiar pociągnięcia go do kary za obrazę Boga. Potem, w r. 1818 nastąpiły zaburzenia biednej ludności w Manchester, gdzie jazda ciężła dobytą bronią, a żołnierze tratowali bezbronne tłumy ludu. Wrażenie tego faktu znajdujemy w poematach Shelleya z r. 1819.

Niezawodnie więc polityczne tło tego okresu literatury jest ciemne, — ciemne obawą przerażonych filistrów przed wybrykami ruchów swobody we Francyi, ciemne tyranicznymi zacheceniami dumnych torysów i uciskiem ze strony panującego kościoła, ciemne od przelanej krwi katolików irlandzkich i robotników angielskich — a do tego wszystkiego na szczycie społeczeństwa obłąkanie nosi koronę na skroniach Jerzego III, a berło spoczywa w ręce ospalej rozpusty, która w postaci księcia regenta zajmuje tron królewski, jako uosobienie ograniczonosci, zasiadającej tam z jego ojcem. I ten to jest tron, który lord Eldon podpira swojemi sześciu kneblowemi prawami, w jakie przekształcił prastarą konstytucję Anglii, tron, uwielbiany i wychwalany w równie niegramatykalnych jak wrogich swobodzie mowach parlamentarnych Castlereagha i w równie niemelodycznych, jak dobrze opłaconych pochlebnych hymnach Southeya, aż nakoniec proces rozwodowy pomiędzy Jerzym IV a Karoliną, z całem straszliwym i wszelkie pojęcie przechodzącem zgorszeniem, jak kloaka, lejący się strumieniem z trybuny izby wyższej, aureolę korony i godność dworu zatapia w morzu błota, i raz po raz uderzające pioruny rewolucyj w Hiszpanii,

Grecyi i Ameryce południowej oczyszczają powietrze, Castlereagh podrzyna sobie gardło, a Anglia za Canninga uznaje rzeczypospolite południowo-amerykańskie i uzbraja się na bitwę pod Navarinem.

Poezye Shelleya, Landora i Byrona mają swoje polityczne odbicie w tych rządowych działaniach Canninga. Ale same mowy Canninga są dopełnieniami do dzieł tych poetów. Niedbale mowy Castlereagha i jałowe, ubogie treścią jego depesze — podwójnie ubogie treścią, ponieważ jako prawdziwy człowiek interesów ze szkoły Metternicha przenosił ustną komunikację — zastąpione zostały bezpośrednio otwartą i płonąca wymową Canninga. Kiedy przedtem Castlereagh jak koledzy, którzy go przeżyli, na haniebnym kongresie werońskim zmierzał jedynie do tego, ażeby pod pozorem pokoju ewangelicznego, utrzymać w Europie milczenie i ciemność; teraz mowy Canninga świeciły jak pożar lasu wśród głębokiej nocy Przymierza Świętego. Wielką zasadniczą jego myślą polityczną było prawo ludów do stanowienia o sobie. Umarł 8 sierpnia r. 1827; ale d. 10 października tegoż roku stoczoną została bitwa pod Navarinem, która była niejako ostatnią wolą zmarłego; a która dla nas jest dziś politycznym symbolem przebudzenia się nowego ducha w Europie.

Miss Martineau: *The history of England during the thirty years peace* tom I, II. — Massey: *History of England during the reign of George the Third*. tom I—IV. — Thackeray: *The four Georges*. — Reinhold Pauli: *Geschichte Englands seit den Friedensschlüssen 1814 und 1815*. — Emerson: *English characters*).

IV.

Podeczas lata r. 1797 ciekawość mieszkańców małej wioski na brzegu Somersetshire'u zajmowała się często dwoma młodymi ludźmi, którzy od niedawna zamieszkali tam i których codziennie widywano przechadzających się spolem, zajętych gorącymi, nieskończonymi rozmowami, gdzie wśród żywych zapytań i odpowiedzi słyszeć się dawały trącające obczyzną wyrazy i nazwiska niezrozumiałe dla przechodniów. Jeden z dwu tych młodych ludzi miał lat 27, w wyrazie twarzy wskazywał głęboką powagę, niezachwianą godność, nawet uroczystość w swojej istocie, podobny był zwłaszcza do młodego kaznodziei metodystów, a głos miał jednotonny, nujący. O parę lat młodszy jego towarzysz, który mówił z płynnością bez przerwy, z niepokojem, częstem poruszaniem rąk, miał wielką, okrągłą głowę, której forma kazała się domyślać wzniosłej inteligencji, twarz gładką, głębokie, jasnobrunatne oczy z natchnieniem, mętnem, smutnem wejrzeniem i osobliwszym wyrazem sennie niepewności i zwykłej słabości charakteru w tym rodzaju, który nie wyłącza nagle wybuchającej siły. Głos jego był muzyką, jego wymowa nawet powściągliwego słuchacza jego i przyjaciela zdawała czarować. Któż byli ci młodzi ludzie, którzy wcale nie szukali towarzystwa w tej okolicy? Takie zapytanie zadawali sobie mieszkańcy. O czemże innem rozprawiać mogli tak gorąco, jeśli nie o polityce, a w takim razie któż to mógł być inny, jak nie sprzysiężeni, nie jakobini z planami rozruchu! Wkrótce rozeszła się wieść, że starszy z dwu przyjaciół, mr. Wordsworth, na początku rewolucyi przez długi czas bawił we Francyi i gorąco podzielał owoczesny zapal socjalistyczny, a młodszy, mr. Coleridge, wcześniej dał się poznać, jako żarliwy demokrat i unitarysta, napisał dramat: *Upadek*

Robespierre'a, wydał dwie broszury polityczne: *Conciones ad populum*, ba nawet wymyślił plan urzędzenia, wraz z kilku spółmyślnymi, gminy socjalistycznej w dalekiej Ameryce. Czy można było dalej wątpić? Pewna miłościwa dusza w sąsiedztwie doniosła o przyjaciółach rządowi w Londynie, a ten nasłał szpiega, który miał zbadać cel ich przechadzek i przedmiot ich rozmowy. Wkrótce w spokojnej okolicy ukazał się czerwono nosy szpieg policyjny z fizyognomią Bardolpha, chodził śladem niepostrzeżony za przyjaciółmi, a widząc ich krążących z papierami w ręku, już nie wątpił, że „rysują mapę okolicy“. Przemawiał do nich raz i drugi a obrał sobie kryjówkę w krzaku za ławką na skraju, na ich ulubionem miejscu odpoczynku. Tu leżał przez całe godziny na czatach. Zrazu mniemał, że sprzysiężeni zwietrzyli grożące im niebezpieczeństwo, ponieważ w ich mowie nieraz powtarzał się wyraz, który w uszach jego brzmiał jakoby spy-nosy (szpieg z nosem), który to wyraz gotów był stosować do siebie; wkrótce atoli przekonał się, że to było nazwisko człowieka, który napisał książkę i umarł już oddawna. Widać, że przyjaciele wymówili nazwisko Spinozy po angielsku. Rozmowa wyłącznie prawie ściagała się do książek i jeden zachęcał drugiego, to, aby przeczytał dzieło, to, aby zwrócił uwagę na nie. Ale policyjant nie mógł schwycić ani jednego wyrazu o polityce, i wkrótce zawiedziony zaprzestał trudów swoich, aby gdzieindziej skierować nos śledczy.

W samej rzeczy nie można tu było odkryć nic zagrażającego; albowiem z polityczno-rewolucyjnego odurzenia dwaj przyjaciele wytrzeźwili się oddawna, a nawet owego Spinozę, który tak wielką odgrywał rolę w ich rozmowie, znali tylko z drugiej ręki i rozprawiali o nim, nie rozumiejąc go, a o przyswojeniu go sobie niema co i mówić. Coleridge to z pierwszych pism Schellinga poznał filozofię substancji i teraz nieobytego z filozofią przyjaciela swego

wtajemniczał w nowo nabytą mądrość. Ale w tych rozmowach Spinoza był tylko symbolem mistycznego kultu przyrody; imię Jakóba Böhme'a brzmiało spokojnie obok imienia tamtego. Chodziło tu nie o naukę, lecz o poezję, a jeżeli w tych długich rozprawach była mowa o rewolucyi, tedy ta rewolucya była czysto literacka i poetycka, co do której poglądy obu wiejskich pustelników, pomimo różnicy w wychodnich punktach, ryczałtowo zgadzały się z sobą.

Ostatecznym wynikiem tych rozmów było, nie innego ani też mniejszego, jak *świadomy* rozbrat literacki z duchem wieku osiemnastego, który równocześnie pod rozmaitemi formami następuje w Europie.

Coleridge miał naturę badawczą, której wstręt do pudru francuskiej literatury klasycznej wzbudził się już był w szkole, gdzie oryginalny nauczyciel uważnego wychowanka ostrzegał od harf, lutni i lir w stylu prozaicznym, zamiast których pożądanymi by były „pióro i kałamarz“, a od muz, Pegaza, Parnasu i Hipokreny w liryce i podobne szczegóły nazywał znieważająco manierami perukowemi i konwenansem. Stąd Coleridge Popemu i jego następcom odmawiał imienia poetów i przysięgał na sonety Bowlesa: o Popem mówił tak, jak u nas młodzi przyjaciele Oehlenschlägera nieco później mówili o Baggesenie. Naturalność germańska była w nim wrodzoną nieprzyjaciółką wszelkich: esprit, ucinków i epigramatów; zalety szkoły pochodzącej z Francyi nie zdawały mu się poetycznemi; zdaniem jego, polegały one na prawidłowym i ścisłym obserwowaniu ludzi i obyczajów w sztucznym i wykwintnym stanie towarzyskim i na wygładzonej formie, którą przybierały te spostrzeżenia; rzeczona forma stanowiła pewien rodzaj logiki, rozwiniętej w gładkich i mocno epigramatycznych wierszach; nawet jeżeli treść była natury nierzeczywistej, poeta zwracał się do rozumu,

a nawet w ciaglejszem opowiadaniu poetycznem, po każdym drugim wierszu na końcu starano się o uciniek, a całość wyglądała jakby „łańcuchowy sylogizm epigramatów“. Podług zdania Coleridge'a, mówiąc innemi słowy, nie było tam myśli poetycznych, lecz niepoetyczne, ubrane w taką mowę, którą z przyzwyczajenia nazywano poetyczną; w samym początku poematu nie było tam nic fantastycznego, co mówię, nieraz tak dalece zbywało poecie na fantazyi, że od wielkich lub małych liter początkowych zależało, czy wyrazy uważane być miały za uosobienia, czy też za czyste pojęcia; a przytem, kiedy wielcy dawni poeci angielscy, jak Spencer, najfantastyczniejszy pomysł umieli wyrazić najczystsza i najprostsza angielszczyzną, tymczasem ci późniejsi nie byli w stanie najpospolitszych trywialności wysłowieć inaczej, jak tylko nędną nakręcaną i fantastyczną angielszczyzną, tak, że rezultat wyglądał jak gdyby ucho i sfinks wspólnie łamały sobie głowy nad jego skutecznieniem. Ze wstrętem odwracał się Coleridge od owych usiłowań, zmierzających do pokrycia braku fantazyi przewrotną dykcją. Jak dalece ona zachodziła, pokazuje następujący wiersz poety Donne, w odzie na szczepienie ospy krowiej:

„Zejdź, o! szczepienie ospy, niebios córo!“ ¹⁾

Ale nawet u daleko lepszych poetów, jeszcze w najlepszej późniejszej poezyi angielskiej, nazbyt długo zachowywała się moda brania abstrakcyj za postacie. U Shelleya *dwie bliźnie siostry*, *Błąd i Prawda*, (the twins Error and Truth) występują jako osoby działające. Cały ten systemat retoryczny zdawał się Coleridge'owi pochodzić wprost od zwyczaju pisania wierszy łacińskich w szkołach.

¹⁾ Inoculation! heavenly maid, descend!

W przeciwieństwie do tego systematu ideałem, jaki snuł się w jego duszy, było: myśli naturalne wyrażać stylem naturalnym, któryby nie był ani książkowo uczonym, ani płaskim, nie pachnął ani lampą, ani zlewem, a staroangielskie balady w zbiorze Percy'ego z niefałszowaną ludowością swych naturalnych tonów zdawały mu się w tym względzie drogosciazami. I on też pragnął słyszeć brzmienie takich tonów natury.

Tu stanął przeciwko niemu Wordsworth ze swoimi myślami i zaciekaniami. Był to jeden z tych umysłów, które znajdują pewność i upodobanie w sądach stanowczych i aż do szorstkości energicznych. Jego pojęcie o całej poezyi angielskich od czasów Milтона było takie, że lud, wydawszy tego wielkiego męża, utracił siłę poetycką i zatrzymał jedynie formę kompozycyjną, tak, iż rzekomo poezya zależy tylko na sztuce mownej i na graniu wyrazami, i że poetę ocenia się jego stopniem opanowania instrumentem mowy. I dlatego styl metryczny coraz bardziej oddalał się od prozy. Otóż zadaniem poety sprowadzić go napowrót do niej, tak, żeby od mowy codziennej różnił się tylko formą rytmiczną. Kiedy Coleridge szalał za melodyą naturalną, tymczasem Wordsworth był tak radykalnym, że w teorii mógł się zadawać naturalnym rymowanym dyalogiem prozaicznym.

Do tego naturalizmu w pojmowaniu formy przyłączył się podobny naturalizm i w pojmowaniu treści poetycznej. Było to jedno z ulubionych twierdzeń Wordswortha i jednym z najgwałtowniejszych zarzutów przeciw panującej szkole literackiej, że pomiędzy Miltonem a Thomsonem nie nadarzył się ani jeden oryginalny obraz natury zewnętrznej, ani jedno nowe jej przedstawienie. Sam, obdarzony wysokim stopniem wrażliwości na zjawiska natury materialnej, okrzyk: „natural! natural!“ wziął sobie za godło—a przez „nature“ rozumiał wieś w przeciwień-

stwie do miasta. Przez życie miejskie ludzie zapomnieli o ziemi, na której żyli; już jej nie znali; wprawdzie przypominali sobie grube rysy fizjonomii pola i lasu, ale nie szczegóły życia natury, nie różnorodną jego widowność o niezliczonych uśmiechniętych, promieniejących, poważnych i okropnych scenach. Któż znał jeszcze nazwy rozlicznych drzew i dzikich kwiatów, któż znał wskazówki pogody lub wiatru, albo wiedział, co to znaczy, że obłoki właśnie tak a tak przeciągają, że trzoda tak się skupia, albo, że mgły tak się staczają w dolinie! Wordsworth od czasu, jak dzieckiem będąc, bawił się pomiędzy wzgórzami Cumberlandu, już dawno umiał tłómaczyć wszystkie te runy. Głęboko był oswojony z wszelkim rodzajem przyrody angielskiej na wiosnę i w zimie; miał on wrodzoną zdolność wyrażania tego, co widział i uczył i zaciekania się nad tem, pierw nim wyrażał — zdolność dokonania z pełną świadomością tego, co sobie zamierzył—reformy poetyckiej, którą rozpoczął był biedny Chatterton, „bezsenny chłopiec“, i syn chłopca a tak dalece przewyższający Wordswortha wrodzonym talentem, Burns. Wprawdzie był on tylko jednym z licznych organów owego zamilowania do natury, które tak się rozpowszechniło w Europie od końca zeszłego wieku, ale posiadał mocniejszą niż ktokolwiek inny w trzech królestwach i tętniejszą świadomość faktu, że nowe technienie poetyckie powionęło nad Anglią.

Otóż co do tego porozumieli się z sobą przyjaciele, że całą poezję angielską podzielić można na trzy grupy: czas siły i młodości poetyckiej, od Chaucera do Drydena; okres bezpłodności poetyckiej od Drydena włącznie do końca wieku osiemnastego; i wiek odrodzenia, który teraz zaczął się od nich, będąc już zapowiedzianym przez ich poprzedników. A właśnie jak ludzie nowocześni w Niemczech i Danii, podobnie i ci młodzieńcy wyszukiwali wielkich, wybitnych znamion, mających wyrażać ich różnicę od tych, którym

wypowiadali walkę—i znaleźli zupełnie te same, co tamci. Przypisywali sobie samym fantazyę i zarazem właściwie twórczą zdolność; pisali karty za kartami z niejasnem uwielbieniem imaginacyi w przeciwieństwie do „fancy“, jak Oehlenschläder i jego szkoła wychwalali fantazyę a Baggesenowi przyznawali co najwyżej humor. Oni mieli rozum, ich poprzednicy tylko rozsądek, oni posiadali geniusz, tamci tylko talent, oni byli siłą twórczą, tamci tylko krytyką. Nawet Arystoteles, jako niepoeta, nie mógł wzniesć się do tytułu wyższego nad tytuł talentu. I w Anglii rzucano się na Nureddina i poczuwano się wyższym nad jego pozbawione natury badanie.

V.

Właściwym tedy punktem wyjścia Wordswortha było, że ludzie w życiu miejskiem i wśród jego roztargnień zapomnieli naturę: ukarani zostali za to, ponieważ pożyście społeczne rozszczepiło ich siły i zdolności i osłabiło czułość ich serc na proste i czyste wrażenia. Pomiedzy krociami sonetów Wordswortha znajdujemy jeden, który, odnośnie do tej myśli głównej, szczególnie zdaje się znaczącym (*Select Poetical Works*. Tauchnitza edycja, T. I, str. 365). Zaczyna się on od narzekania, że świat ludzki aż nazbyt otacza nas dokoła, i że stąd mało dostrzegamy w naturze takiego, coby stawało przed nami, jako własne. Następnie poeta mówi:

Morze, co księżycowi odśłania swe łono,
Wiatry, co wyjąc, wnet się wzbijają w nawałnicę,
A teraz jeszcze ciche jak kwiat, w sen się tulą,
Wszystko, to wszystko schodzi na nas bez wrażenia,
Nie wzrusza nas.—Bodajbym raczej poganinem
W jakiejś dawno przebrzmiałej urodził się wierze;

Wtedy z każdej piękności błyskałby mi wokół
Jakiś tam blask nie całkiem ginący wśród noey,
Widziałbym, jak Proteusz wynurza się z morza,
Słyszał, jak Tryton w rożek muszlowy zadyma.

Są to godne uwagi wyrazy w ustach Wordswortha, godne uwagi, ponieważ pokazują, czem to jest w gruncie wszelki prawdziwy naturalizm, choćby się otulił nie wiem ilu szmatami teistycznymi: w najgłębszym rdzeniu swoim jest on spokrewniony z właściwym starożytnej Grecyi poglądem na naturę, a wrogi wszelkim urzędowym dogmatom nowożytności, w najgłębszym rdzeniu nosi on piętno panteizmu, który, jak widzimy, w tym wieku zapanował nad poetycznem uczuciem natury we wszystkich literaturach. Wskazaliśmy już (tom II) panteizm, ukrywający się pod romantycznem pojmowaniem natury Tiecka; spotykamy go tu pod postacią zapominającego siebie i na wpół bezwiednego zlania się człowieka ze wszechnaturą, jego ujścia, jako tonu oddzielnego, w jej wielkiej harmonii. Wyraz swój znalazł on w małym osobliwszym poemacie (*Select Poetical Works*. Tom I, str. 241):

Sen ogarnął ducha mego
Wraz z całą niedolą ludzi;
Nie czuje on, jak tam krążą
Czasy ziemskich lat.

Nie go nie wzrusza, nie patrzy w górę,
Ciche, jak w sennem leży marzeniu,
Tylko się w ruchu ziemi kołysze
Społem ze skałą i drzewem i głazem.

Jeżeli się zagłębimy w nastrój duszy, z którego wypłynął podobny wierszyk, to będziemy mieli symptomat czysto panteistycznego pochodzenia wyobrażeń: życie nieświadome uważane tu jest jako zasada i źródło świadomego,

a wszystkie istoty ziemskie pojmowane są, jako zrosnięte w łonie natury, aż do punktu, gdzie budzi się świadomość. I w takim to małym utworze tkwi jeden z zarodków poezji nowego stulecia; albowiem człowiekowi ucywilizowanemu, którego rozwinął i wysławił wiek przeszły, doba nowoczesna przedstawiła człowieka, jako istotę natury w kole wszystkich jej krewnych, ptaków i dzikich zwierząt, roślin i kwiatów. Chrześcijaństwo nakazywało miłować wszystkich ludzi, panteizm naturalistyczny nakazuje miłować najmniejsze zwierzę. Sądzę, że *Hart-leap-well* jest dla mnie najmilszym ze wszystkiego, co napisał Wordsworth. Ten prosty poemat — podwójny romans — to porywająco wymowne rzecznictwo za biednym, rzuconem na pastwę i szczerem zwierzęciem, jeleniem, t. j. przedmiotem, któremu poeci klasyczni tylko kulinarny i gastronomiczny interes wyjednać mogli, a którego wielbiciele czasów rycerskich, nawet Scott, bohaterom swoim zabijać by kazali setkami. Wzruszający, pomimo pospolitej treści swojej, wielki i prosty w stylu jest on szlachetnym świadectwem głębokiej *czei* ku naturze, będącej dyplomem szlachectwa Wordswortha.

Tę *czei* jest u niego naprzód i nadewszystko *cześć* ku dziecięcości i ku dziecięciu, a znów to poszanowanie dla istoty ludzkiej, w nieświadomości swej stojące najbliżej natury, stanowi jeden z oryginalnych rysów nowego stulecia. W małym poemacie, który Wordsworth umieścił na czele wszystkich innych, odnoszących się do okresu dzieciństwa, mówi:

Serce się moje raduje, gdy widzę,
Jak powietrze barwi tęczę.
Tak było, gdy się wiosna ma zaczęła,
Tak jest dziś, kiedy wyrosłem na męża,
Niechże tak będzie, gdy starość zawita,
Albo inaczej — niech umrę!

Dziecię, to ojciec mężczyzny.
O! bodajby dni me zawsze
Łączyła spójnia *czei* ku przyrodzie!

Tu uczucie poszanowania ku dziecku posunięto tak daleko i tak postawiono na czele, że wchodzi na miejsce *czei* ku starości. Ale, jak to wskazaliśmy na innem miejscu ¹⁾, wprowadzenie dziecka w naturalne jego prawa poetyczne, jest jednym tylko z wielu zjawisk wstąpienia na tron naiwności w literaturze europejskiej. „Wiek ośmiemnasty, który siłę swoją ma w umyśle rozumującym, ma nieprzyjaciela w wyobraźni, w której widzi tylko sprzymierzeńca i poddańczego niewolnika przestarzałych tradycji, królową swoją w logice, króla w Voltairze, przedmiot swojej poezji i nauki w abstrakcyjnym, oświeconym i społecznym człowieku — ów wiek dziecko, niebędące ani społecznem, ani oświeconem, ani abstrakcyjnym, wysyła z pokoju mieszkalnego i wyprawia je daleko do izby mamki, gdzie może nasłuchiwać się dowoli baśni, powiastek i historyj o zbójcach, ma się rozumieć, pod warunkiem, że wyrosłszy na mężczyznę, postara się o zapomnienie wszystkich tych niedorzeczności. W społeczeństwie wieku dziewiętnastego następuje przeciw temu reakcja“. Znajdujemy ją tu, z najsłabszymi jej następstwami, nawet u poety tak refleksyjnego, jakim był Wordsworth. W jednym z sonetów (*Select Poetical Works*. Tom I, str. 364), opisuje przechadzkę, którą odbywa podczas pięknego wieczoru z małą dziewczynką; maluje łagodną uroczystą chwilę wieczorną, nazywa ją „*cichą* jak zakonnica, zadyszana od modłów,“ i następnie zwraca się do dziecka z tymi wyrazami:

Towarzyszko ma, dziecień lubie, dziewczę lubie,
Niedotknięta modłami zdała się pierś twoja,

¹⁾ Zob. pismo J. Brandesa o H. C. Anderseniu jako poecie baśniowym w *Das geistige Leben in Dänemark*, A. Strödtmanna, str. 296.

A przecież nie mniej *boskiem* jest twoje istnienie—
 Na łonie Abrahama leżysz przez rok cały
 I modlisz się nad arką *wewnętrzną* świątyni,
 Zawsze, zawsze jest z tobą Bóg, nam nieświadomy.

Wyjście teistyczne u Wordswortha jest obowiązkowe, ale, jak dostrzeże każdy uważny czytelnik, przyczepione tylko do głównej myśli o boskiej istocie swoją naturze dziecka. W sławnej odzie do nieśmiertelności przeprowadza tę myśl główną tak zagorzale, że nawet tyle zapamięta-
 łemu wielbicielowi naiwność, jakim był Coleridge, wydawała się zbyt silną. Odzywa się on tu do dziecka sześciolatniego:

O ty, którego powierzchowność
 O kłam obwinia duszy nieskończoność,
 Mędrzeze najlepszy, co jeszcze otaczasz
 Dziedzictwo twoje, oko między ślepymi ty,
 Co, głuchy i niemy czytasz wieczną głębię,
 Wciąż przenikniony duchem wiekuistym—
 Ty wieszczu i proroku,
 Przed którym w świetle prawdy to stoi,
 Czego my całe życie bez końca szukamy!

Wprawdzie wszystkie te zdania otrzymują pewnego rodzaju poetyczno-filozoficzne wyjaśnienie, jeżeli wielkość dziecięcia sprowadzoną jest do tego, że jest ono bliższem życia przed urodzeniem, a tym sposobem i bliższem odpowiedni o nieśmiertelności, aniżeli my, lecz i to nawet, podług upoważnionego prawie tłómaczenia Coleridge'a nie może być uważane bynajmniej za dosłowny pogląd Wordswortha. Dziecko odbiera tu cześć, jako wychowanek natury, a młodzieniec, który zawsze od „wschodu“ podróżować musi, jest jeszcze „kapłanem natury“ ¹⁾.

¹⁾ The Youth, who daily farther from the East.
 Must travel, still is Nature's Priest.

W wielu utworach swoich Wordsworth powraca myślą do wrażliwości na wszelkie sceny natury, jaką posiadał w wieku młodzieńczym. W jednym z nich, który, podobnie jak wszystkie jego poezye, ma długi i rozwlekły tytuł (*Influence of natural Objects, in calling forth and strengthening the imagination in Boyhood and early Youth*), dziękuje duchowi wszechświata, że od chwili dzieciństwa namiętności, z których układa się nasze życie duchowe, nie przeplatał w nim poziomemi i drobnemi dziełami ludzkimi, lecz wzniosłymi, trwałymi przedmiotami: życiem i naturą. Tym sposobem, powiada, oczyszczały się żywioły jego uczuć i myśli, aż nakoniec poczuł jakąś wielkość (*grandeur*) w tętnach swojego serca. Zważmy subtelne i głębokie poczucie natury w następującym obrazie:

Nie odmierzano mi skąpo tych rzewnych
 Chwil obcowania! W dniu listopadowym,
 Kiedy mgły, lecąc w padół, pustoszą jeszcze
 Czynią pustkowia; w południe wśród lasu;
 I w letnich nocy zacisznym spokoju,
 Kiedy brzegiem lekko ruchomego jeziora
 Śród ciemnych wzgórz wracałem do domu,
 Taką była ma rozmowa;
 Moją na polach i we dnie i w nocy
 I nad wodami całe długie lato.
 Anim ja w zimnej porze—kiedy słońce
 W morzu tonęło, a w odwiecznym
 Okna chat wioski świeciły na miłą—
 Na ostrzeżenie nie zważał. Szczerze
 Był ten czas dla nas wszystkich, zachwyceniem
 Był dla mnie—kiedy na raz dzwonek wiejski
 Wybił sześć głośniejszych dźwięków—ja wciąż pędzę
 Z dumną radością, jak żwawy ten rumak,
 Co mu nie tęskno za domem. Na łyżwach
 Po białym lodzie my przelatujemy.
 A wciąż oboje, a wciąż naśladowując
 W wszystkich dni letnich zabawy i lasu

I polowania i różek myśliwski
 I sfor szczekanie i szczwanie dziczyzny.
 Tak bez ustanku przez mrozy i mroki,
 A żaden głos nam nie zmilkał, nie, w echu
 Gwar się nasz cały odbił od urwiska,
 A łyse drzewa i skały lodowe
 Jak miedź brzęczały; od wyżyn dalekich
 Jakiś ton obey wmieszał się do zgiełku,
 Tęskny ton, ledwie słyszany; na wschodzie
 Skrzyty się jasne gwiazdy; na zachodzie
 Lekko dogasał złoty strop wieczoru.

Nieraz pędziłem na cichą zatokę,
 Aby się wymknąć z gwaru i dla żartu
 Skryć na uboczu przed tłumem swawolnych,
 Płynąc, przekrajać w wodzie odbłask gwiazdy
 A odbłask, lśniąc się na gładkiej równinie,
 Weiaż ustępował przedemną i nieraz,
 Kiedyśmy zdali się na pędy wiatru,
 A szare brzegi na prawo i lewo
 Prześlizgiwały się pośród ciemności,
 To ja z szalonym pośpiechem na pokład
 Nawy spadałem wśród wiru i pęd jej
 Powstrzymywałem; ale jeszcze skała
 Tam i sam błysła, jakby się doprawdy
 Ziemia widocznie kręciła przedemną.
 Aż coraz słabiej, słabiej przepływają
 Góry przedemną — spojrzałem za siebie
 Wszystko uciekło jak letnie jezioro.

Zdaje mi się, że to jest obraz natury, niemający sobie
 równego. Ale w jednym z najpiękniejszych i najznakomitszych
 poematów, *Tintern Abbey* ¹⁾, sam Wordsworth
 swoje uczucie natury odmalował w takich wyrażeniach,
 o których później nie bez zasady utrzymywał, że one od-

¹⁾ *Poetical Works*, Londyn 1843. Tom II, str. 164. W dobrem
 skądinąd wyborze wydania Tauchnitza braknie tego poematu.

Przyp. niem. tłumacza,

brzmiewają echem w najcelniejszych i najpoetyczniejszych
 miejscach *Childe Harolda* Byrona, a które w każdym razie
 niezaprzeczenie stanowią epokę w poezji angielskiej.
 Mówi on:

. Bo kiedy
 Grubsze roskosze lat mego dzieciństwa
 I rzeźwe jego zabawy minęły:
 Jednem i wszystkim była mi natura.
 Czem byłem wówczas, opisać nie mogę.
 Gwarny wodosпад osiadał mnie wtedy
 Jakby namiętność; niebotyczna skała,
 Góra, głęboki las czarnocienisty,
 Cały ich wygląd, ich barwy ponętą,
 Miłością były dla mnie i uczuciem,
 Żadnej podniety niepotrzebującym
 Przez pasma myśli ani interesu,
 Któryby nie wynikał z oka.

Może to i wygląda komicznie, kiedy Wordsworth
 w r. 1820 opowiada Moore'owi o plagiatach Byrona z jego
 poematów i dowodzi, że cała pieśń trzecia *Childe Harolda*
 jakoby zbudowaną jest na jego uczuciach i jego (Words-
 wortha) stylu; może lord Russel ma słuszość, kiedy z tego
 powodu odzywa się sucho: jeżeli pierwotwórcą *Childe Ha-*
rolda jest Wordsworth, to w takim razie jest to najlepszy
 jego utwór—wszelako łatwo pojąć, że Wordsworth musiał
 poczuwać, iż główne miejsca w owej trzeciej pieśni, oraz
 piękne miejsca o samotności w poprzednich pieśniach tylko
 w antytezie i w sztucznej formie zawierały to, co u niego
 samego wypowiedziane było po prostu i naturalnie ¹⁾. Nie
 trudno w tych wybuchach dostrzedz zranioną próżność
 ograniczonego i zaćmionego umysłu, ale nie należy zapo-
 minać o tem, że Wordsworth rzeczywiście pierwwej uderzył

¹⁾ Zob. Thomas Moore: *Memoirs*. Tom III, str. 161.

ów akord, który Byron urozmaicił następnie z tak potężnym talentem, jak również i o tem, że oddzielne, szczególnie uderzające i żywotne wiersze Wordswortha widocznie pozostały w pamięci Byrona. Któż np. może czytać ten wiersz w *Childe Haroldzie* (pieśń trzecia, strofa 72).

Dla mnie wysokie góry są uczuciem,

a nie przypomnieć sobie dopiero co przytoczonych wyrazów? albo któż może zaprzeczyć, że Byron owe usposobienie przejawia od Wordswortha i rozwija je, kiedy tamże (strofa 75) śpiewa dalej:

Góry i namiot niebieski i fale
Czyż nie są cząstką mnie, jak jam ich częścią?
Czyż miłość ku nim czystą namiętnością
Nie przeniknęła mego serca?...

Ale kiedy Wordsworth w *Tintern Abbey* namiętność swoją do przyrody przedstawia jako nastrój miniony, który trwał przelotną tylko chwilę podczas lat przejściowych, aby wkrótce poddać się pod władzę rozważań, tymczasem u Byrona jest ona uczuciem stałym, uczuciem, wyrażającym jego istotę. U Byrona jego jaźń w swoim stosunku do natury nie jest zaprzągniętą w jarzmo teistyczne, pomiędzy nim a naturą nie ma rzuconej tamy dogmatycznej: w mistyce panteistycznej poczuwa on się jednolitym z naturą, a nie kojarzy ich pomiędzy sobą żaden *deus ex machina*.

Bezpośrednia namiętność nie jest również charakterystyką stosunku Wordswortha do natury. Jego właściwość w sposobie pojmowania i wrażeń natury ma cechę nierównie dalszą i bardziej skomplikowaną. Wrażenie, chociaż odebrane świeżymi zmysłami, ulega przytępieniu i złagodzeniu przez rozważanie nad niem; nie usposabia ono poety bezpośrednio do pieśni. Jeżeli ostatni może powiedzieć z Goethem:

Ja śpiewam, jak śpiewa ptaszek
Mieszkający wśród gałęzi,

nie jest to śpiewanie takie, jak śpiewa słowik, nie jest to bijąca strumieniem pieśń miłości, co to świadczy o upojeniu duszy i urąga ciszy nocnej, którą przerywa i rozpędza. Wordsworth sam opisał śpiew słowika podobnymi wyrazami (*Select Poetical Works. Tom I, str. 240*); a następnie dodaje:

Tegoż samego dnia usłyszałem
Czy śpiew, czy rozmowę dzikiego gołębia;
Acz zagrzebany między gałązkami,
Głos jego płynął ku mnie po wietrzyku.
I nie ustawał, lecz gruchał a gruchał
Z jakąś zadumą o swoich zalotach.
Bo o miłości śpiewał, odurzając,
Zwolna zaczynał a nigdy nie kończył;
Pełną wewnętrzną rokoszy i wiary
Była piosenka ta — piosenka dla mnie.

Wordsworth chciał odmalować samego siebie w tym wierszu: „and somewhat *pensyvely* he wooed.“ Zwyczajem tylu innych poetów, praktykę swoją starał się podnieść do teorii i dowieść, że każda dobra poezja powinna posiadać przymioty jego poezji. Każda dobra poezja mówi, jest mimowolnem wezbraniem potężnych uczuć, jednak cenny utwór nigdy nie wyszedł z pod pióra człowieka, któryby oprócz tego, że w niezwykłym stopniu był uczuciowy, zarazem nie *przemyślał długo i głęboko*. Powodem tego, podług jego poglądu, jest naprzód to, że prąd uczuć naszych wciąż otrzymuje nastrój i kierunek od myśli, powtóre, że same myśli nasze niczem innem nie są, jak tylko „przedstawicielkami wszystkich uprzednich uczuć“, — głęboka i szczęśliwa, chociaż niezadawalająca naukowo, nazwa,

która trafnie charakteryzuje właśnie jego rozwagę poetycką.

Rozwaga, jeśli ją określić dokładnie, zasadza się tu mianowicie na tem, że dusza gromadzi i przechowuje wrażenie natury, ażeby niejako przetrawione, gruntownie przyswojonem zostało, a później kiedyś wydostane napowrót z jej magazynu, następnie jeszcze raz obejrzanem i użytem być mogło. Kto właściwość tę u Wordswortha dobrze zrozumiał, ten posiada klucz do jego oryginalności. W *Tintern Abbey* poeta wykazuje nam, jak to ciche przyswajanie sobie podobnych ludzkim usposobień natury w wieku męskim nastąpiło po bezpośrednim i silnem roskoszowaniu się pięknnością natury w latach młodości:

Czas już ten przeminał,
I wszystkie jego bolesne rokosze,
I wszystek zachwyt myśli odurzający.
Lecz nie uskarżam się, bo na ich miejsce
Przyszły dziś inne dary—za stracone
Suta nagroda. Wszak się nauczyłem
Na przyrodzenie poglądać już nie tak,
Jak w dniach *bezmysłnej młodości*—już nie tak!
Lecz się wsłuchując w molową muzykę
Ludzkości, *nie tak ostrą i chrapliwą*.
Ale dość silną na zwalenie zmysłów
I oczyszczenie. I oto poczułem
Dziś teraźniejszość, która mię szlachetną
Podniosłych myśli rokoszą podnieca...
Jakieś powianie, dech, który popędza
Wszystko, co myśli samo i jest w myśli
A który krąży wśród wszechrzeczy.

Wordsworth opisał tu swoje pole, łagodnie a dobitnie oznaczył dziedzinę, która jest prawdziwie jego dziedziną. Jakież to przeciwieństwo wobec Byrona, który rzadko kiedy albo nigdy nie usłyszał ludzkiego głosu

w naturze, a jej samej nigdy nie słyszał bez oddźwięków wrzaskliwej dysharmonii, który nawet w *Childe Haroldzie* całe życie ludzkie nazywa „fałszywym tonem“ w akordzie wszechświata.

Ale nie dostaliśmy się jeszcze do najcharakterystyczniejszych myśli w *Tintern Abbey*. Są to myśli, w których Wordsworth maluje ciche oddziaływanie nagromadzonych i przechowywanych wrażeń natury na duszę. Oto jego wyrazy:

Lecz te piękne formy
W oddali dawnych lat nie były dla mnie
Tem, czem krajobraz dla oczów ślepego:
Nie raz w samotnym gmachu, w zgiełku miasta,
W chwilach znużenia, rokosz najszczytniejszą
Im byłem winien.
. Ależ i uczucia
Dziś zapomnianych przyjemności, które
Może nie słabe wywierają wpływy
Na ową cząstkę najlepszą w następem
Życiu pocziwca: na bezlik tych drobnych
A bezimiennych uczynków dobroci,
Miłości, których on już nie pamięta.

I wskazuje, że tym wrażeniom natury zawdzięcza inny jeszcze i szlachetniejszy dar, szczęśliwy i jasny zmysł, który brzemionom życia ujmuje ciężaru i szereg myśli swoich zamyka przekonaniem, że w owej błogiej chwili, kiedy ogląda nanowo znane sobie miejsca, tkwi nie tylko przyjemność chwilowa, lecz oraz „materiał życia i pokarmu na przyszłe lata“.

Zwrot ten raz po raz ponawia się u niego. Jako szczególnie wybitną skazówkę, przytoczę wiersz *Poems of imagination* (*Select Works. Tom I, str. 241*), gdzie poeta opowiada, jak podczas samotnej wędrówki nad jeziorem nagle odkrył cały zastęp złotych narcyzów, które pod wiatrem

chwiały się i pływały tak szczerlnie jedno przy drugich, jak gwiazdy drogi mlecznej i w rokoszniejszym jeszcze ruchu, anizeli pluskające fale, nad których brzegiem rosły:

Patrzę i patrzę — zmysł mój ani marzył
O zyskach tego widoku.
Bo nieraz, kiedy z brzemieniem zadumy,
Nocą łożę me zalegam,
Przed okiem duszy lśnią mi się ich płasy
Błogosławieństwem i pociechą;
Wtedy i lekko i jasno mi w duszy
I serce płąsa z narcyzów orszakiem.

Zwyczajnemu życiu poety lirycznego w chwili obecnej nie odwrotniejszego być nie może, nad to samowiednie przechowywanie przez liryka angielskiego chwili teraźniejszej na użytek przyszły. On sam przyznaje sobie charakter zbieracza: formalnie gromadzi sobie zimowy zapas świetlnych widoków letnich — i tkwi tu coś prawdziwego, wszechludzkiego, co zbyt wielu ludzi pomija i odwleka, ale przedewszystkiem tkwi tu coś narodowego: nie zadziwiło to nikogo, że naturalizm *angielski* zaczyna od utworzenia sobie, ekonomicznie i po gospodarsku, kapitału i składu wrażeń natury.

Wszyscy my znamy usposobienia, mogące doprowadzić do tego. Niejeden z nas, wobec dalekiego, nieprzejrzanego widoku na błękitne, słonecznym blaskiem świecące morze, czuł, że codzienny widok takiej widowni natury powinienby rozszerzyć duszę i wszelką maluczkosć wynieść z jej kątów, żałował, że musi opuścić te miejsca i do wrażenia przyczepił się szczerlnie, ażeby być w stanie ponowić w sobie jego działanie. Podobnież na widok pięknych krajobrazów — szczególnież kiedy patrzyliśmy na nie podczas podróży i z przekonaniem, że nie tak prędko będzie można

napawać się ich pięknoscią — usiłowaliśmy zachować się jak można najbierniej, ażeby obraz ów wyrzył się głęboko w pamięci. Często też wracamy instynktowo do pięknej pamiątki, jak wogóle dusza mimowolnie cofa się ku wszelkim jasnym wspomnieniom szeregu swoich obrazów, aby zaczerpać z nich moc i otuchę życia. Ale silniejsze bodźce u reszty z nas zagłuszyły takowe. Nie moglibyśmy zamarynować ich na przyszłość, ani też odzuwać ustawicznie. Życie towarzyskie, wrzawa świata i gra namiętności pozabawiły nas możliwości znajdowania głębokich i budzących najwyższe natchnienie rokoszy we wspomnieniu o oświetlonych słońcem kwiatach albo o zrosniętych z sobą olbrzymich drzewach. Inaczej działało się w duszy poety angielskiego, którego życia powołaniem było obudzić nanowo interes i zmysł na wszystkie owe elementarne usposobienia i wrażenia. Bezczylnie praktyczna dusza jego wegetowała w tych marzeniach natury, i niepodobna zaprzeczyć, że to wciąż wracające zajmowanie się najprostszymi wrażeniami natury utrzymało duszę jego w takiej swobodzie i czystości, że mógł poczuwać pięknosć w naiwnych i ziemskich jej formach bez fantastyczności i zapalania się. Jak rzadką jest taka zdolność! jak często braknie jej największym i najprzedniejszym umysłem! jak prędko znów zaginęła ona w poezyi angielskiej! Najpiękniej i najsilniej objawia się ona w niewielkiej liczbie poetycznych postaci kobiecych, których kontury Wordsworth narysował w swoich drobnych poematach. Bohaterowie jego poezyj opowiadających są nierównie mniejszej wartości; już to zadaniem ich jest wzbudzić zajęcie dla ludności wiejskiej i najniższych warstw ludu, już to poeta przedstawia ich w tym celu, ażeby wywołać wpływ moralizujący. Ale kilka, lekko naszkicowanych postaci kobiecych pochwyconych tym samym spokojnym, ale zakochanym poglądem, jakim Wordsworth zapatruje się na ptaki i drze-

wa — to sama natura. To sama angielska natura kobieca i nikt nie pochwycił jej rysów pewniejszą ręką, niż Wordsworth. Odczytajmy tylko jeden z tych drobnych utworów (*She was a phantom of delight. Select Poetical Works Tom I, str. 238*), który w każdym przekładzie bezwątpienia musi stracić pewną część właściwej piękności swojej:

Gdym ją ujrzał po raz pierwszy,
Było to widmo rokoszy,
Wdzięczne zjawienie ku ozdobie życia,
Na chwilkę tu mi zesłane.
Oczy jej, jak gwiazdy zmroku,
Jak zmrok ciemny jej włos;
A co reszta — to uszczknięte
Z barw majowych, blasków świtu.
Elf tańczący, jasny obraz,
Co odurza, siłą stawia.

Widziałem ją bliżej siebie:
Był to duch, lecz i kobieta,
Gdy lekko dom przebiegała
Krokiem dziewczęcej swobody;
Twarz jej — słodkie wspomnienia
I jeszcze słodsza obiecuje przyszłość.
Istota nie za dobra i świetlana
Dla czynów ludzkich i obowiązków codziennych,
Dla śmiechu, płaczu, radości i bólu
Chwały, nagany, pocatunku i żartu.

Dziś ze spokojną już widzę rokoszą
Każde tętno w tem arcydziele,
Istność, tętnącą myśli technieniem;
Jakiej potrzebuje pielgrzym życia.
Rozum, i wola nigdy nieuśpiona
Wytrwałość, poczciwość i siła,
Prawdziwa kobieta, która mężczyznę
Pokrzepić, ostrzedz i poprowadzić może,
A przytem duch, który
Anielskim światłem promienieje.

Jeżeli nie myli się moje oko, mamy tu prawdziwy naturalistyczny ideał angielskiego typu kobiety, i można zgotować tryumf Wordsworthowi, porównując niniejszy obraz z ideałami kobiecymi, które najwięksi poeci Anglii usiłowali nakreślić w bezpośrednio następującym czasie. Weźmy np. przedstawioną przez Shelleya eteryczną opiekunkę kwiatów i owadów, w jego poemacie *Czuła roślina* (mimoza). Obraz czarodziejskiej piękności jest wdzięczny jak wszystko, co wypływa z pod pióra Shelleya; jej czułość dla roślin, wzruszające jej współczucie ku wszelkim brzydkim i wzgardzonym zwierzątkom „których zamiar, jakkolwiek przynosiły szkodę, jest niewinny,“ jej elficznej istocie nadają rysy ludzkie, atoli człowiekiem ona nie jest podobnie, jak *Czarodziejka Atlasu* Shelleya, albo zagadkowa bohaterka jego *Epipsychidionu*. Shelley, podobnie jak skowronek, którego opiewał, był pogardzicielem ziemi (scorner of the ground). Albo weźmy namiętne bohaterki wschodnie w pierwszych powieściach poetycznych Byrona: Medorę, Gulnarę, Kaled! Nie dosięgają one tej pięknej prostoty. Występują nie inaczej, jak w najwyższej namiętności, miłość ich, oddanie się i rezygnacja przekraczają wszelkie granice. Wytworzone są dla świata czytelników, w który odurzające życie miejskie wśród wiru ludzi w Londynie i nieustanne zajmowanie się wypadkami całego świata wraziły pewnego rodzaju nerwową żądzę najsilniejszych duchowych środków podrażnienia. Wordsworth zaś od początku miał przed oczyma to piękne i godne trudu zadanie, ażeby dać dowód, jak głęboko naturę ludzką wzruszyć można, rozczulić i porwać za sobą bez użycia grubych albo gwałtownych sprężyn podniety. Wiedział on wprawdzie, że ten, co się przyzwyczaił do barw krzyczących, nie byłby w stanie upodobać sobie takie dzieła, których oryginalność zawisła na kolorycie łagodnym i zgodnym z naturą, ale postanowił oczekiwania czytelnika

nika co do wpływowych środków poematu zwrócić na naturalne ich ślady.

VI.

Poetyckiej siły Wordswortha i ograniczenia jej nie można zrozumieć dokładnie bez rzutu oka na bieg jego życia. Było to życie szczególnie idylliczne i otoczone opieką. Urodził się z zamożnego stanu średniego (jego ojciec był obrońcą sądowym), odbywał studia w Cambridge, podróżował, wrócił do domu i już w r. 1795 odziedziczył po wielbicielu jego geniuszu 900 funtów, i te wraz z działem sumy 8,500 funtów, które pewien lord angielski wypłacił rodzinie, jako dług należny zmarłemu ojcu, postawiły go w możliwości opędzenia potrzeb życia, tak, że nie potrzebował chwycić się stałego oznaczonego zawodu. W r. 1803 ożenił się, w r. 1813 przeniósł się do Rydal Mount nad „Jeziorami“. Odtąd posiadał synekurę, jako intendent stempla z dochodem rocznym 500 funtów aż do roku 1842, w którym zrzekł się jej na rzecz jednego z synów; w r. 1843 nastąpił po Southeyu, jako Poet laureate, i w tej godności pobierał 300 funtów pensji rocznie aż do śmierci. Nastąpiła ona w r. 1850, kiedy właśnie skończył osiemdziesiąty rok życia. Zabezpieczony ze wszech stron przeciw zewnętrznym zmianom życia, zapatrywał się na nie protestancko-filozoficznym okiem. Podobnego rodzaju życie nie było sposobnem do rozniecania namiętności: to też nie ma jej ani w jego życiu, ani w jego poezji. W biegu życia innych górujących pisarzy zdarzać się zwykła ta lub owa ciężko wążąca na szali okoliczność biograficzna, jeden lub wiele zwrotów, to lub owe historyczne źródło melancholii, albo mocy charakteru, albo twórczości, u Wordswortha nie podobnego nie

znajdujemy. Nie złamało go żadne wrodzone nieszczęście, nie nie podnieciło do kroku ryzykownego, wyciskającego swe piętno na całym duchu. Wprawdzie był chłostany i wyszydzony przez krytykę i to dosyć długo: od r. 1800 do 1820 deptano jego poezję, od r. 1820 do 1830 targano ją, a po r. 1830 uznano ją ogólnie. Lecz opozycja nie była dosć niedorzeczną i gorącą, walka nie dosć zapalczą, a zwycięstwo dosć świetnem, ażeby biegowi jego życia nadać blask i barwę, albo uczynić go treścią jego poezyj. A przeto samo wnętrze jego życia osobistego nigdy nie było tak silne i energiczne, ażeby mogło pochłonąć jego poezję, albo dostarczyć jej przedmiotów. Skłaniało ono go raczej do wyzierania na zewnątrz. Całą jego duszę wypełniały otoczenia natury i mały, nieznaczny świat ludzi, w którym żył. Nie zaprzatało go, tak dalece jak Byrona, własne ja, aby nie miał posiadać dosć spokoju duszy na przebywanie w dziedzinie małości, które z taką łaskawością i tak sympatycznie przedstawiał i opisywał.

Wprawdzie czuł on siebie środkowym punktem w swoim świecie. Z idyllicznej i dalekiej siedziby swej wysyłał od czasu do czasu zbiory poezyj albo i większe utwory, których wyjaśniające przedmowy obok długiego szeregu przykładów wpajały w czytelnika przekonanie, że wszystkich wielkich poetów spotykało zapomnienie i wzgarda ze strony współczesnych, że każdy pisarz, jeśli jest wielkim i oryginalnym, sam dopiero musi stwarzać kierunek gustu, któryby mógł znaleźć upodobanie w jego dziełach, i że jego poprzednicy, pod względem tego wszystkiego, co jest wspólnem między nim a nimi, wprawdzie utorowali i wyrównali mu drogę, że jednak w tem wszystkim, co stanowi specyjalną jego właściwość, znajduje się on w takim samym położeniu, jak Hanibal w pośrodku Alp (przedmowa z r. 1815). Wiedział on dobrze, że żaden

umysł torujący drogi nie może spodziewać się pełnego uznania od innych współczesnych, jak od tych, którzy są młodszy, niż on. Ale krytyka, która nie była dosyć gwałtowną, aby go uczynić tak wojowniczym i deprecyjnym wszelkie względy, jak Byron, uczyniła go uprzedzonym o sobie i zarozumiałym. Rozmaitość w jego życiu zależała na tem, że w łonie podziwiającej go rodziny odbierał przypadkowe wizyty takich wielbicieli, którzy podróżowali pieszo po okolicy i przynosili do niego listy polecające. Rozmawiał z nimi w tonie zimnym i pełnym godności, nie raz obrażał ich egoizmem, z jakim nieustannie wychwalał swoje utwory, przytaczał je i wygłaszał; obojętnością, jaką okazywał odnośnie do wszystkich innych; męczącym rygorem, z jakim od swego otoczenia wymagał wszelkich widomych oznak hołdu, oraz powagą z jaką powtarzał choćby najmniej znaczące słowo, wypowiedziane kiedykolwiek na jego pochwałę. Posiadamy mnóstwo charakterystycznych anegdot o jego wygórowanem wyobrażeniu o sobie. Tomasz Moore opowiada (*Memoirs*. Tom. III, str. 163), że pewnego dnia Wordsworth, będąc na obiedzie u lorda Dawy, nagle ni stąd ni zowąd, chociaż nie rzucono tam ani słówka, któreby naprowadzało na ten przedmiot, z jednego końca stołu na drugi krzyknął: „Dawy! czy wiesz Pan, dlaczego ja Białą sarnę z Rylstone'u kazałem drukować w formacie in quarto?“ — „Nie, a dlaczego?“ — „Aby pokazać światu mój pogląd na nią.“ Wordsworth nigdy nie wygłaszał innych utworów, jak tylko swoje. W dniu, kiedy ukazał się *Rob Roy* Waltera Scotta z godłem wyjętem z poematu Wordswortha *Grób Rob Roya*, Wordsworth był u pewnej rodziny, która właśnie otrzymała była ten romans, a wyglądała go z natężoną ciekawością. Chwycił książkę i spodziewano się, że odczyta obecnym pierwszy rozdział; ale zamiast tego pobiegł do szafy z książkami, wyjął tam swoich dzieł i od-

czytał towarzystwu własny poemat. Emerson przechował nam notatki, skreślone po dwu odwiedzinach u Wordsworth'a, a oddzielone od siebie latami. Po pierwszych odwiedzinach pisze: „Wordsworth mówił źle o francuzach, nie lepiej o szkotach; żaden szkot podług niego, nie umie pisać po angielsku. Jego pogląd na francuzów, irlandczyków i szkotów, zdaje się, że był sformułowany z całym pośpiechem, podług małych historyjek, które do niego albo do członków jego rodziny doszły w dyliżansie albo wozie pocztowym. Twarz jego rozweselała się raz i drugi, a zresztą konwersacja jego nie odznaczała się ani szczególniejszą mocą, ani szczególniejszym poletem. Wordsworth chlubi się swoim otwartem prawdomówstwem, ale zdumiewać się trzeba nad ciasnemi granicami jego myśli. Jeśli wnioskować z jednej rozmowy. robił on wrażenie ograniczonego i iście angielskiego umysłu, okupującego rzadkie godziny natchnienia najsuchszą prozą w innych.“ Po drugich odwiedzinach (1833) pisze: „Wordsworth wprowadzał na stół ulubiony temat, że społeczeństwo przez kulturę powierzchowną zyskało oświecenie bez uwzględnienia zgola wykształcenia moralnego. Szkoły na nie się nie przydadzą. Nauczyciel szkolny nie jest wychowaniem. We mnie i we wszystkich dobrych amerykańców chciał wpoić to przekonanie, że należy uprawiać moralność, pierwiastek konserwatywny. Lżył i lajał *Wilhelma Meistra*. Ma on być pełen wszelkiego rodzaju lubieżności; zdaje się, jak gdyby muchy parzyły się w powietrzu. Nigdy, jak powiada, nie doszedł dalej nad część pierwszą i cisnął książkę, tak był oburzony. Przytoczył swoje sonety: *Uczucia wspaniałomyślnego hiszpana* i *Dwa głosy* i wygłosił swoje wiersze do skowronka.“ Zdaje mi się, że w tym fotograficznym zapisku mamy całego Wordsworth'a, jakim był w obcowaniu codziennem: szydercze sądy o wszystkich

narodach obcych, argument przeciwko nowożytniej kulturze, ten sam, jaki dziś w Azji mahometanie zawsze mają na pogotowiu przeciwko niej, a mianowicie, że ona daje się połączyć z wielką niemoralnością, uwielbianie konwencyonalnej moralności, jako pierwiastku konserwatywnego (prawdziwa moralność jest to najradzykalniejszy, jak tylko być może, pierwiastek), przypominające Novalisa oburzenie na Goethego, nareszcie przytaczanie własnych wierszy, jako finał!

W r. 1843 Wordsworth pewnego dnia zetknął się po raz pierwszy z Dickensem. Wordsworth tchnął wielką pogardą ku wszystkim młodym ludziom; to też wspólny przyjaciel, u którego miało miejsce to spotkanie, był ciekawy, jakie na niego zrobił wrażenie wielki humorysta. Podniósłszy we właściwy sobie sposób wargi w górę i podwinąwszy jedną nogę na drugą, tak, że widać mu było nagie kostki nad skarpetkami, odpowiedział powoli: „O, nie jestem bardzo skłonny zapatrywać się krytycznie na ludzi, których spotykam, ale skoro już pytasz mnie pan, wyznam otwarcie, że uważam go za młodego człowieka bardzo gadatliwego i bardzo zwyczajnego, ale zresztą może być on wcale dzielny człowiekiem. Czy rozumiesz mnie pan, nie jest moim zamiarem powiedzieć cośkolwiek przeciwko niemu, ponieważ nigdy nie czytałem ani jednego wiersza z jego pism.“ Po niejakiem czasie wspólny znajomy wystąpił ostrożnie z zapytaniem do Dickensa, jak podobał mu się uwieńczony poeta. „Podobał się! — odpowiedział Dickens. Wcale a wcale nie. To straszny stary osioł!“¹⁾ Czytelnik zapewne nie będzie się pisał na taki sąd doraźny. Ale to pewna, że w osobistym obejściu Wordswortha musiało być coś drażniącego w najwyż-

¹⁾ „Like him! Not at all. He is a dreadful old ass!“ R. S. Mackenzie: *Life of Dickens*.

szym stopniu cierpliwość. „Jeśli mówił“, powiada jeden z jego współczesnych, „to pracował jak wieloryb i tonem wyroczni ogłaszał truizmy.“ Wyraz „truizm“ (prawda, która zbyt jest prawdziwą, aby potrzeba było ją wypowiadać), określa coś więcej jeszcze, niż ustna jego produkcja. Dotyczy on całego kontemplacyjnego i dydaktycznego stylu poezyi. Nie ma w niej zgola właściwej siły duchowej, ani namiętności, lecz tylko hamletowskie zatrzymywanie się na wielkiej kwestyi bytu lub niebytu. Urodzenie, śmierć i przyszłość, cierpienia i grzechy człowieka w tem i nadzieja przyszłego życia, maluczkość całej sfery wiedzy naszej, oraz zatrważający stosunek nasz do świata nadprzyrodzonego — oto są, jak powiada Masson¹⁾, stałe i nieuniknione przedmioty ogólnie-ludzkiej a szczególnie wordsworthowej kontemplacji i troskania się. Ale myśli te, niestety, ponieważ odnoszą się, nie do punktu środkowego, lecz do skrajnego okręgu koła naszej wiedzy, biegają po torach, które nie prowadzą donikąd, po starych, wydeptanych drogach i głębokimi śladami wyżłobionych, a krążących w kółko, po których kroczyć można ze spokojną i poważną melancholią, ale bez pożytku i zysku dla siebie lub innych. Okoliczność, że Wordsworth wciąż zatrzymuje się na tym okręgu koła wiedzy ludzkiej, który zwolennicy religij pozytywne uważają za naturalne centrum myśli naszych, spowodowała, bardziej niż jakakolwiek inna przyczyna, że jego sława, chociaż wielka w Anglii nigdy nie mogła tak dalece przesięgnąć za granicę kraju.

Kiedy Coleridge zapoznał się osobiście z Wordsworthem, ten już napisał tyle, że można było wytworzyć sobie sąd o rodzaju jego oryginalności. Jeśli co w poezyi Wordswortha uderzało Coleridge'a, to mianowicie połączenie głębokiego uczucia, z tem, co mu się wydawało

¹⁾ Zob. Masson: Wordsworth, Shelley, Keats i inne zarysy.

myslą wielką, wykwinutą równowagą pomiędzy prawdą w spostrzeżeniu a wyobraźnią w modyfikowaniu spostrzeżenia, przede wszystkim zaś zdolność rozprzestrzeniania atmosfery świata idealnego na formy, sytuacje i subtelności, które w skutek nawyknienia, straciły już powab dla oka pospolitego.

Otóż pierwsze rozmowy Wordswortha i Coleridge'a obracały się naokoło tego, co podług nich stanowi dwa główne punkta poezji: a mianowicie zdolność wzbudzenia współczucia czytelnika wierną prawdą naturalną, oraz zdolność nadania utworom powabu nowości, zmieniając dawny strój w barwach wyobraźni. Niespodziewany urok, jaki poczuwa oko i dusza przy grze światła i cienia w naturze, nowy i czarujący wygląd, jaki znanemu już poprzecznie krajobrazowi nadają promienie blasku księżyca albo zachód słońca—zdawały się im dawać wskazówkę, w jaki sposób oba te żywioły połączyćby można. Tu miała być prawdziwa poezja natury, chodziło więc o podniesienie jej napowrót. Nie chcieli oni naśladować bezpośrednio natury, lecz poezję natury.

Postanowili przeto napisać szereg poematów, któreby się składały z dwu różnych rodzajów. W pierwszym wypadku i osoby działające miały być nadprzyrodzone a wyzszłość, jaką sobie tu zakładano, miała zasadzać się na prawdziwie dramatycznej w przedstawieniu takich wzruszeń duszy, jakie z natury samej towarzyszyłyby sytuacji, gdyby była rzeczywistą. Ależ naturalną w tem znaczeniu byłaby ona dla każdego, kto kiedykolwiek czuł się stojącym na gruncie złudzenia pod wpływem nadprzyrodzonym. Wykonanie tego zdania przypadło w udziale Coleridge'owi i nie ulega wątpliwości, że on właśnie postawił je. Każdy czytelnik, obeznany z literaturą europejską, widzi przytem, w jak bliskim zostaje ono pokrewieństwie z zadaniami, postawionemi i rozwiązanemi przez romantyzm

niemiecki. Wyłącznie angielskim jest tylko fakt, że nacisk pada tu nie na nadprzyrodzoność, albo fantastyczność, lecz na prawdę naturalną, tak, że romantyzm stanowi tu tylko jedną z form naturalizmu.

W drugim rodzaju poematów miano czerpać przedmioty z życia codziennego. Lecz Wordsworth, na którego przypadła ta grupa, zamierzył sobie najprostszym i najnaturalniejszym zdarzeniom nadawać pozór czegoś nadzwyczajnego, nowego, ba, nawet nadprzyrodzonego, wyrывая duszę z drzemki nawyknienia i zmuszając ją do zwracania się ku piękności i cudom, które świat rzeczywisty niepostrzeżenie rozsłania przed zmysłami ludzkimi. Zrobił on próbę naprzód w *Baladach lirycznych*, które w przedmowie nazwał „eksperymentem,” mianowicie: czy przedmioty, z natury swojej nienadające się do przedstawienia „ornamentального,” pomimo to, chociaż przedstawione w języku życia codziennego, nie mogą zainteresować; a następnie, dalej prowadził próby w setkach poematów nader nierównej wartości, których bohaterowie i bohaterki należą ogółem do niższych i najniższych klas narodu, wzrosli wśród zajęć wiejskich i przedstawieni są w ramach życia wiejskiego. W naszej literaturze duńskiej nie posiadamy wcale grupy poetyckiej w tym rodzaju. Przeciwnie, kto z uwagą bada Wordswortha, spotka się tu i owdzie z pewną formą anegdoty poetycznej i tonem opowiadania, która przypomni mu *Sztandar chorążego* Runeberga ¹⁾. Nawet w rytmie i miarze wiersza znajdujemy tu i owdzie niejaki podobieństwo; ciekawą byłoby rzeczą dowiedzieć się, czy Runeberg w ogólności znał poetę angielskiego; może całe to słabe podobieństwo pochodzi stąd, że zdarzenia u obu stale mają miejsce w po-

¹⁾ Przetłumaczone ze szwedzkiego przez Hansa Wachenhusena—Lipsk, Lorek, r. 1852.

dobnej, ciasnymi granicami zawartej miejscowości: w okolicy jezior angielskich i w okolicy jezior fińskich. W każdym razie różnica pomiędzy nimi jest ogromna. U Runeberga: wojownicze tło i nastrój tonu, ognisty styl liryczny, patryotyczny i historyczny zapal — u Wordswortha bezczynne życie w sielskim spokoju, postawa czysto epicka i cały patryotyzm pasterski, zamilowanie do życia i bytu paru wiosen. U Runeberga zapal żołnierza do wojska, u Wordswortha współczucie karczownicy wiejskiego ku gminie.

Tymczasem jest jeden poemat duński, który w uderzający sposób przypomina ton i styl Wordswortha, tylko o wiele dramatyczniejszy nad wszystko to, co on napisał, mianowicie: *Przekupień owoców* Henryka Hertza. Poemat ten daleko pierwej, nim poznałem Wordswortha, zawsze zdawał mi się dziwnym ze względu, że jest jedynym wśród poezji Hertza, jakkolwiek zresztą tyle strun odzywało się w nich. Bohater jego zdaje się jakby stworzonym na to, aby się dostał pod pióro Wordswortha; zdolność wzruszenia bez uwielbienia jest właśnie specjalnym przymiotem mistrza szkoły jezior. Ma się rozumieć, jednakże poemat ten nie posiada właściwości, po której poznajemy Wordswortha w jego typie — właściwości, którą sam on nazywa zdolnością nadawania niemal nadprzyrodzonego blasku przedmiotowi najpowszedniejszemu. Oto przykład, pokazujący jego metodę w tym względzie. Wybieram poemat, który jest bezwątpienia jednym z najcharakterystyczniejszych jego utworów, chociaż nie wahałbym się nazwać go wysmienitym poematem. Ma on tytuł *Resolution and Independence*. Poeta opisuje swoją przechadzkę w letnim poranku, szklenie się rosy, śpiew ptaków, uciekanie zająca przez pola, i przypomina sobie, że sam przeżył nierozważnie jak polne zwierzęta i ptaki leśne i że takie życie może kiedyś pomścić się na nim. Przychodzi mu

na myśl, ilu to znakomitych poetów kończy życie w niedostatku i boleści, i najprozaicniejsze troski o przyszłość dręczą jego serce. W tem nagle wśród tej samotnej okolicy spostrzega starca w oddali:

. . . Zdawał się najstarszym
Z wszystkich, co kiedykolwiek nosili włos siwy.
Jako na szczycie góry głaz olbrzymi,
Zdała widzialny, cudem zda się ludziom,
Co dziś badają go, nie mogąc pojąć,
Skąd się wziął tutaj, jak i w jakich czasach,
Niby zwierz morski wczółgał się tam kiedyś,
Aby wśród skalisk wygrzać się na słońcu:
Takim się zdawał mąż pod lat brzemieniem,
Nie całkiem żywym, ani też umarłym,
Lub w sen zapadłym; skurczone miał ciało,
Głowa i nogi prawie się już z sobą
Stykały w długiej pielgrzymce żywota.
Jak gdyby dzikich boleści potęgą,
Społem z chorobą dręczącą przed laty,
Więcej, niż ludzki włożyła nań ciężar...
Stał nieruchomo starzec, jak ten obłok,
Co głośnych wiatrów huczenia nie słyszy;
Ale niech tylko ruszy się, — ciszę
Zburzy dokoła.

Jak genialnem jest tu podwójne porównanie i jak mistycznie oddziaływał Starzec podobnym jest olbrzymiemu głazowi na górze, a znów głaz ten wygląda tak majestatycznie, że wydaje się, iż zwierz morski wczółgał się na górę. Z osobliwszą siłą poeta oddał w ten sposób wrażenie głębokiej starości. Starzec zdawał się „najstarszym człowiekiem,” jaki żył kiedykolwiek. Gdybyśmy się znajdowali w Niemczech, albo na gruncie romantyki, nie zdziwilibyśmy się na wiadomość, że mamy tu przed sobą szewca z Jerozolimy. Ale jesteśmy w Anglii, a Wordsworth jest naszym przewodnikiem. Pokazuje się więc, że

ów starzec jest w wysokim stopniu zwykłą istotą ludzką, zbieracz pijawek z powołania, z powołania, które przystoi starym i słabym ludziom w okolicy wodnej. Pocieszająca, bogobojna mowa jego, spokój umysłu nawet wśród ostatecznego osamotnienia i ubóstwa—łagodzą obawę młodego poety o przyszłość, i postanawia, ilekroć w duszy jego powstałaby miała podobna bojaźń, wspomnieć sobie starego zbieracza pijawek. Nie jest to „polot odaiczny“, jak uważał gdzieś Ewald, ale jest to dobry wzór właściwego Wordsworthowi daru nadania najtrywialniejszemu, najbardziej naturalistycznemu przedmiotowi piętna fantastycznego i wspaniałego przez sposób jego traktowania. Usiłowanie to w niejednym z poematów Wordswortha samo się skarykaturowało, a mianowicie wszędzie tam, gdzie u niego mistyczno-religijne albo okropne wrażenie wypływa z jakiegoś osobliwszego albo przykrego zdarzenia, opatrzonego przez poetę w urok tak zwanej nadprzyrodzoneści. Wygląda to do najwyższego stopnia dziecinnie, kiedy w poemacie *Krzew cierniowy* opowiadać (którego ani stan, ani stosunki nie są wskazane, którego atoli Wordsworth, jak sam mówił do Coleridge'a, wymyślił sobie jako starego wysłużonego i wietrznego kapitana okrętu) z taką ekstazyjną grozą, jak gdyby szło tam o historię strachów, prawi o biednej obłąkanej dziewczynie, która podczas nocy, w czerwonej sukience, siedzi pod krzewem cierniowym i narzeka. W czystą parodję przechodzi ten kierunek u Wordswortha w jego *Peter Bell*, z taką pretensją przedstawionym publice, który, gdyby nie tegoż imienia satyra Shelleya, niezawodnie byłby zupełnie zapomniany. Mianowicie rozłoszczenie się rubasznego i okrutnego giermka na nadnaturalny upór, z jakim biedny osioł woli raczej znosić najstraszniejsze plagi, aniżeli ruszyć z miejsca, przy współdziale zapalanej ciemnotą fantazyi staje się powodem moralnego nawrócenia giermka. Jak się bowiem pokazało,

przyczyną wytrwałości osła było to, że jego pan, w tem miejscu, na którym on stanął, wpadł był w wodę, i że tym sposobem chciał zwrócić jego uwagę na przygodę. Moralna wielkość osła występuje tu w świetnym przeciwieństwie z osłostwem człowieka i Wordsworth, któremu zbywało na wszelkim zmyśle komizmu, nie omieszkiał podnieść rzeczzonego przeciwieństwa. I nie jest to przypadek, lecz rys charakteru. Nowa szkoła, w swoim wstręcie do jaskrawości, a zamięłowaniu prostoty, czuła rzeczywistą skłonność do osłów, tych nieruchawych, cierpliwych i szczególnie zaniedbanych tworów przyrody, które wciąż zostają w cieniu przy blasku mniej okazałych zwierząt. Coleridge w swoim wierszu: *Do młodego osła, kiedy jego matkę obok niego przywiązano do kolka*, uniósł się aż do gorącego wykrzyku: „Witam w tobie brata!“ ¹⁾ i do więcej niż filantropijnego życzenia, aby osła w życiu przyszłym udarować mógł pastwiskiem w dolinie pełnej nadziejskiego pokoju i szczęśliwości — a wówczas wesołe jego ryczenie milej brzmieć mu będzie w uchu, aniżeli najśłodsza muzyka. Cóż dziwnego, że drwinkarz Byron zaraz pochwycił owe powitanie braterskie i wyśmiał je w swojej pierwszej satyrze: *Bardowie angielscy i recenzenci szkoccy!* Coleridgeowi jednak ten krańcowy naturalizm nie wydawał się naturalnym, był on nawet pierwszym, co wyszydzał jego wybryki. Przeciwnie Wordsworth, który z natury swej zmierzał do konsekwencji, a przytem był usposobienia polemicznego, jako poeta, czysto literacki naturalizm posuwał do ostatecznych i skrajnych konsekwencji.

Prawie zawsze wybierał sobie przedmioty z życia mieszkanców wiosek, a szczególnie niższych klas ludu, i to nie na to, ażeby, jak francuzi przeszłego wieku, będąc

¹⁾ Innocent fool! thou poor despised forlorn!
I hail thee brother.

sam wyrobionym i wygładzonym, używać rubaszości, jako przeciwieństwa i z poczuciem wyższości, lecz w przekonaniu, że prawdziwe namiętności serca w klasach tych znajdują dla siebie lepszą dziedzinę i większej dosięgają dojrzałości, niżeli w ludziach wykształconych, i że, jako podlegające mniejszemu przymusowi, przemawiają prostszym językiem. Zdaniem jego, zasadnicze uczucia serca ludzkiego występują u mieszkańców wsi prościej i elementarniej, aniżeli w życiu miejskiem. Nakoniec miał przekonanie, że pożyte z pięknem i trwałymi formami przyrodzenia, wraz z koniecznym i stałym charakterem zatrudnień wiejskich, musi nadawać większą trwałość i moc wszelkim uczuciom. Tu więc w godzinie urodzin nowego stulecia znajdujemy zaród trwającej więcej niż pół wieku i daleko rozkrzewionej, a z kraju do kraju przenoszącej się głównej teorii estetycznej, która w Niemczech, Francji i Skandynawii prowadzi do poezji wieśniaczej i historii wiejskiej, a w rozmaitych krajach do szczególnego uświetnienia mowy człowieka pospolitego. Rozczłonkowując ten zaród botaniczny, poznajemy zasadniczą historię naturalną samej rośliny.

Wychodni punkt Wordswortha jest czysto *topograficzny*. Opis miejsca w najrozleglejszym znaczeniu wyrazu stanowi jeszcze większą jego właściwość, aniżeli Scotta. Zadaniem jego życia było tak odmalować naturę angielską i natury angielskie, jak je znał twarzą do twarzy. A ponieważ opisywać chciał tylko to, z czem zapoznany był blisko, więc doszedł do takiego poglądu, że dla każdego poety koniecznem jest przywiązywać się do pewnego oznaczonego przestworu ziemi i nawet własne swe imię związał z jeziorami Anglii północnej, których okolice ogólnie stanowią sceneryę jego poezyi. Co więcej, posunął się on tak daleko, że miejsce urodzenia indywiduum nazywał dziedziną, przydającą się najlepiej na widownię jego dzia-

łałości przez całe życie. Tak więc stał się specjalnie angielskim malarzem natury, a jego opisy pozyskały tym sposobem czysto miejscowy interes. Dowcipny i wnikliwy angielski krytyk sztuki, John Ruskin, słusznie nazwał Wordswortha wielkim poetycznym malarzem krajobrazów w owym okresie. Kiedy Byron raz po raz uciekał z ojczyzny, aby cudzoziemskimi i gorącemi barwami malować naturę Grecji i Wschodu, kiedy Shelley wzdygał się przed klimatem Anglii, jako zabójczym dla jego delikatnej budowy ciała i wciąż uwielbiał wybrzeża i rzeki Włoch, kiedy Scott opiewał Szkocję a Moore niezmordowanie wychwalał piękność zielonego Erinu, to sam tylko Wordsworth, jako anglik czystej krwi, głęboko utkwiał serce w bycie wiejskim i, niby stary dąb, wrósł w jego grunt krociami korzeni. Było to jego dumą: zostać prawdziwie angielskim poetą opisowym. Jeżeli przeto zagłębiał się w jakąś okolicę, w której przebywał, jeżeli odbywał przechadzkę, żeglował, chodził do kościoła i przyjmował odwiedziny wielbicieli, wszystko to działo się z całą najdrobiazgowszą znajomością życia niższych klas okolicy i w ogóle życia wiejskiego. Przedmioty te widział on tak jasno, jak dobry i godny karczodziela wioski angielskiej w tym rodzaju, którego sam opisał w *Wycieczce*.

Specjalnością jego są wszelakie zwykłe zdarzenia parafialne i przygody parafialne, jakie zachodzić mogą w wiejskiej okolicy w Anglii: powrót dawno zaginionego dziecka wiejskiego do okolicy, gdzie ojczysta jego chata znikła i gdzie imiona wszystkich ukochanych swoich spotyka na krzyżach cmentarza (*Bracia*), los biednej uwiedzionej i opuszczonej dziewczyny (*Ruth*), nocna jazda chłopca idyoty do lekarza i jego zbłądzenie (*Chłopiec-idyota*), zdumiewająca przygoda, jakiej uległ ociemniały młodzieniaszek nie poniosłszy klęski (*Słupy chłopiec górski*), zale starego zanego ojca nad wyrodnym synem (*Michael*), za-

losne przywiązanie ulubionego w całej okolicy pocztyliona dyliżansu do pukla włosów i następne usunięcie go z urzędu (w czterech pieśniach p. t. *The waggoner*). Jedyną stroną nieangielską w sposobie, w jaki poeta przedstawia wspomniane przygody, nawet łżejsze i weselsze, jest zupełny brak humoru w opowiadaniu. Zamiast humoru, jak wybornie wyraża się Masson, Wordsworth ma „twardy, dobrotliwy uśmiech.“ Zastąpieniem tego braku jest głębokie i poważne patos, z jakim opowiada tragiczne i poważne sceny z tych prostych historyj miejscowych. Jeżeli przy całej swej czystości i prawdziwości nie ma ono charakteru wstrząsającego pytyjsko, ani też ognistego w duchu nowożytnym, tedy tem silniejszy wywiera wpływ na większość ludzi, którym się podoba, że poeta nie podnosi się zbyt wysoko nad ich poziom i którzy odczuwają dobroczynną i gojącą stronę sympatyj, z której wypłynęło patos. Jest to sympatya, przypominająca sympatyę kapłana albo lekarza, która przytem, jakkolwiek mniej łagodna niż tamte, porywa wykończonem wyrażeniem swoim.

Nigdzie wyrażenie to nie wydaje mi się piękniejszym, jak w poematach *Szymon Lee* i *Stary żebrak z Kumberlandu*. Pierwszy poemat jest anegdotą o starym strzelcu, który w młodości swej był najdzielniejszym czy to z trąbką, czy z psem, czy pieszo, czy konno, ale teraz na stare lata tak osłabł, że pewnego dnia poeta widzi go zaledwie mogącego z wysiłkiem wykonać pracę wykopania korzenia zbótwiałego drzewa.

„Zbyt to dla ciebie ciężko, dobry stareze,
Daj mi, mówiłem, motykę do ręki!
Z wesołą twarzą przyjął pomoc moją,
A ja, zwrócony ku niemu,
Uderzam—jedno cięcie i w tej chwili
Wylatuje z ziemi korzeń,

Z którym starzec tak długo
Z wielkim porał się wysiłkiem.

Oko staruszka zalało się łzami,
Dzięki, pochwały wybuchły potokiem
Z piersi biedaka, a tak gorąco,
Że prawie końca nie było.
Często złe serca przyjęły
Zimno uczynek szlachetny.
Ach! częściej jeszcze dziękczynienia ludzi
Smutną trwogą mnie przejęły.

Niewielu poetów okazało tak, jak Wordsworth, piękny nabożny hołd ku niewinnie bezużytecznym, pokornym Venerabiliom rodzaju ludzkiego. *Stary żebrak* przedewszystkiem służy za przykład. Wordsworth opisuje, jak starzec, wszystkim znany, chodzi tam po okolicy od domu do domu:

Znałem go, będąc dzieckiem, już był wtedy
Tak stary, że się dziś nie zdaje starszym.
Wciąż kroczy cichy, samotny ten człowiek
Z takim wyrazem niemocy, że jeździec,
Pędząc bez troski, oschle biedakowi
Małego datku nie rzuci na ziemię,
Nie — stanie, aby w sam kapelusz jego
Złożyć pieniążek; ba i wciąż, wciąż potem,
Kiedy popuści wodzy rumakowi,
Z boku, w połowie nawstecz się zwracając
Na żebrzącego spogląda. Kobieta,
Gdy u rogatki latem przede drzwiami,
U kołowrotka zasiadłszy, na gościńcu
Widzi żebraka, to rzuca robotę,
Otwiera przed nim rogatkę na przejście;
Sługa pocztarski, którego huczące
Koła zagłuszą nieraz dziadka, woła zdala,
A jeśli stary i po ostrzeżeniu
Nie ustępuje, to woźnica skręca
Powolnym stępem na ubocz i mija

Stareca uprzejmie, nie mając na ustach
Ni przekleństw, ni cichego gniewu.

Jednak nie sądziecie że bezużyteczny,
Wy męże stanu, co mądrze, rozumnie
Wciąż wywijacie miotłą, by ze świata
Wymieść zgorszenie wszelkie. Pyszałkowicie
Co nadymacie się dumną ufnością
W talenta wasze, mądrość lub potęgę,
Nie nazywajcie go ciężarem. Jest to
Prawo natury, że nie masz stworzenia
(Najnikczemniejsze niech będzie, najgorsze
I najszkodliwsze), w którymby się jednak
Nie ukrywało cośkolwiek dobrego:
Jakiś puls dobra, technienie, siła życia
I dusza, z wszelką formą bytu związkiem
Nierozerwalnym złączona...
Gdzie tylko stary żebrak się pokaże,
Łagodny przymus zwyczaju do czynów
Miłości wzywa, a zwyczaj to spełnia,
Co nakazuje rozum i na przyszłość
Gotuje roskosz miłą rozumowi.
Tak więc uczucie tej nieosiągniętej
Jeszcze rokoszy nieznacznie ku enocie
Kieruje duszę i ku poczciwości.
Bogacz, co błogo przesiaduje sobie
Przed drzwiami domu swego i jak owoc
Pod blaskiem słońca dojrzewa, młodzieniec
Szczęsny, bezmyślny—ci co pod bezpiecznem
Żyją schronieniem, wzrastając i kwitnąc
W gaju, wraz z rodu swego odrostkami...
Wszyscy w tym starcu widzą potulnego
Ich ostrzegacza, co w duszę im weiska
Bodaj przelotną myśl szukania szczęścia
We wnętrzu samych siebie.

Przeczytajmy ten poemat w ciężkich wierszach oryginalu a powiemy sobie: chociaż to jest kazanie, jednak jest to kazanie in optima forma. Wszak właśnie w tym naturalizmie, który w późniejszym wzroście swoim, drogą na-

stępstwa logicznego, rozwinął się na humanizm i radykalizm, od początku tkwił zaród do moralizowania i religijności ewangelicznej. Wyszukiwał on prostych sercem, ubogich, maluczkich w oczach świata — to zgadzało się z moralnością ewangelii. Gardził wykwinutą cywilizacją, a do bohaterów jej odwracał się tyłem, wybierając sobie rybaków i chłopów — do tego stopnia szedł za przykładem ewangelii. Tym sposobem u Wordswortha w prostym następstwie kult natury połączył się z tak wysoce popularnym w Anglii, moralizującym i protestancko-chrześcijańskim żywiołem. Nie należy też odrzucać bezwarunkowo jego moralnych poezyj nauczających. Kryje się tam nieraz swojego rodzaju wielkość w sposobie przedstawienia prostej nauki. Widzimy prawdziwą szczytność w wyrazach, którymi w *Laodamii* zasmuconej narzeczonej oznajmiamy, że zamiast odzyskania swego narzeczonego, rzec się go musi, ażeby przez miłość wznieść się ku wyższemu życiu duchowemu:

Ucz się śmiertelną tęsknotą wzlatywać
Ku wyższemu celowi. Na to przedewszystkiem
Świątą miłości siłę ci nadano;
Tak górno-lotną stała się namiętność
Zabicia siebie; słodka to niewola,
Podobna więzom sennego marzenia,
I miłość musi ustąpić przed nim.

Nawet abstrakcyjna oda do *Obowiązku*, zawierająca czysto kantowskie natchnienie, ma wiersze genialnie-niedorzeczne, szczytne, jak niejeden parodoks Ojców kościoła. Poeta odzywa się do obowiązku:

Ty utrzymujesz w takcie ruchy gwiazd
Najstarsze nieba przez Ciebie są jeszcze
Silne i młode.

Ale wszystkie takie utwory szybko zwracają czytelnika do wyłącznie właściwych Wordsworthowi poezji, do jego sielanek.

Rzućmy jeszcze okiem na te utwory i na teorię, której one, w myśl poety, nadawać mają moc obowiązującą. Bez wątpienia opisowi życia wiejskiego Wordsworth przyznawał większe znaczenie dla poezji, aniżeli wogóle się mu należy. Wprawdzie otoczenia jego były tej natury, że prowadziły do takiego przeceniania teoretycznego. Jeżeli do bohaterów swoich mógł użyć shepherd-farmers cumberlandzkich i westmorelandzkich jako modeli, pochodzi to stąd, że ci ludzie, którzy z jednej strony dosyć są niezależnymi, aby musieli pracować dla innych, z drugiej strony jednak jeszcze nie wzniesli się po nad konieczność pracowania i nad poziom pierwotnej prostoty—że ci ludzie okazują ogólnie poetyczne przymioty. Żeby życie wiejskie samo przez się miało rzekomo czynić człowieka lepszym, to zabobon, może ono i przytępić go również. Coleridge n. p. powiedział, że jeżeli w Anglii metodę traktowania praw dotyczących ubogich w Liverpoolu, Manchesterze i w Bristolu porównamy z metodą, podług której rozdzielają wsparcie biednym na wsi, to porównanie wypadnie stanowczo na korzyść miast. Ale Wordsworth przecenił także znaczenie opisu zajęć wiejskich odnośnie do własnej jego poezji. Albowiem nie dość na tem, że głównymi osobami w wielu najcenniejszych jego utworach (jak np. *Ruth*, *Michael*, *Bracia*) nie są wyraźnie chłopci lub mieszkańcy wsi, lecz skutek naturalistycznej namiętności i spokrewnionego z nią pociągu do moralizowania, przez uwielbianie najniższych klas społeczeństwa, nieraz nazwę tego lub owego zajęcia, drobnego i mało znaczącego, zespolił z takimi przymiotami i zdolnościami, które prawie niepodobieństwem jest spotkać w połączeniu z niem w rzeczywistości. W poemacie *Wycieczka* (*The Excursion*) Wordsworth

z wielkiem upodobaniem wygłasza paradoks, że wielcy poeci ukrywają się wśród najniższych stanów ¹⁾; zaspokaja również ewangeliczne jego instynkta pomyślenie sobie niezależności talentu od majątku i od dobrych zewnętrznych stosunków życia. Chociaż nawet przypuścilibyśmy taką niezależność, nie jestże to raziącą niestosownością w poemacie wyznaczyć poecie profesję kominiarza, a następnie w wymyślonej biografii tłumaczyć, jakim sposobem został on zarazem poetą, filozofem i kominiarzem? Takie osobliwsze zjawiska uwiarogodnić może tylko rzeczywisty opis życia człowieka. W poezji razi tak daleko posunięty naturalizm, ponieważ zdarzenie jest zbyt mało typowem. A jakaż jest różnica pomiędzy tem zdarzeniem a wielu takimi, gdzie Wordsworth w usta kramarza skrzynkowego, zbieracza pijawek, chłopca kładzie myśli, których nie można słyszeć, bez zdziwienia, z takich ust? Stąd, aby uwiarogodnić i wytłumaczyć swoje charaktery i wytłumaczyć zaspokajająco, Wordsworth widzi się zmuszonym przytaczać mnóstwo przypadkowych, podrzędnych okoliczności, które są koniecznymi dla uzasadnienia prawdopodobieństwa pewnego faktu w życiu rzeczywistym, który atoli z przyjemnością podarowalibyśmy poecie. Drobnostkowe uwzględnianie prawdopodobieństwa, drobnostkowa skrupulatność w wystawieniu pobudek jest do najwyższego stopnia nużąca u Wordswortha, szczególnie w długich przejściach i opisach *Wycieczki*, które Byron dowcipnie scharakteryzował, jako wieczne: „Tu wchodzimy, a tu schodzimy, a tu obchodzimy naokoło!“ ²⁾.

¹⁾ Wielu poetów stworzyła natura
Ludzi z najwyższą potęgą duchową
I wzrokiem wieszczym i boskim geniuszem,
Tylko bez daru sztuki rymotwórczej.

The Excursion, Księga I. The wanderer.

²⁾ Or Wordsworth with his eternal: Here we go up, up, and up, and here we go down, down, and here round about, round about! Look at the nerveless laxity of the *Excursion*. What interminable prosing! Byron.

Ale wybór treści przez Wordswortha prowadzi go do pewnej osobistej właściwości pod względem języka, którą możnaby uważać za ostateczną konsekwencję naturalizmu. Wordsworth postawił twierdzenie, że mowa, którą przemawiają przedstawione przez niego klasy, byle ją tylko oczyścić z plam — jest najlepszą, jaką tylko być może, ponieważ mężczyźni i kobiety ze zwykłej warstwy ludu na wsi żyją w ustawicznym obcowaniu z przedmiotami, od których pierwiastkowo pochodzi najcenniejsza część mowy naszej, i ponieważ, z powodu jednostajności i ciasnoty widnokręgu swego, najmniej są oni narażeni na próżność towarzyską, prowadzącą do tego, że my szukamy wyrażen i waży je. Otóż ponieważ ta mowa jest najlepszą, zdaniem Wordswortha, przeto niepodobienstwem będzie dla każdego poety położyć zamiast niej wyrażenie lepsze; i to zarówno, czy piszemy prozą, czy wierszem. Tym sposobem Wordsworth dochodzi do swego znanego i zajmującego paradoksu, że „pomiędzy mową prozaiczną a utworem miarowym ani zachodzi, ani może zachodzić istotna różnica.“ Gdyby on chciał tu być założyć protest przeciwko nudnym i oplakanym przekręcaniom mowy, do których bardzo wielu najznakomitszych nawet poetów doprowadziła potrzeba rymu i brak poczucia rytmicznego, zgodzilibyśmy się z nim z całego serca. Co do nas, chętnie piszemy się na rozdział w poetyce Teodora Banville ¹⁾, noszący tytuł *Licentia poetica* a treść taką: „Nie ma jej“. Ale Wordsworth chce, aby myśl jego rozumiano zupełnie inaczej. Twierdzi on, że mowa powinna nie tylko w wielkich działach każdego dobrego poematu nieodzownie pod każdym innym względem, wyjąwszy metrykę, zgadzać się z prozą, lecz nawet w najważniejszych działach najcenniejszych poematów zgadzać się całkowicie ze stylem prozy. Albowiem mówi Words-

¹⁾ *Petit traité de poésie française*, str. 56.

worth, jakkolwiek prawdziwą i żywotną byłaby mowa poety, nigdy jednak nie może się stać tak żywą i prawdziwą, jak mowa tego, który znajduje się rzeczywiście w pomyslanej przez poetę sytuacji; czyli innemi słowy: nie może nigdy przewyższyć prozaicznego wyrażenia rzeczywistości, lecz co najwyżej zbliżyć się tylko do niego. Z iscie angielskim uporem broni doktryny swej przeciw pociskom, jakie ze wszech stron padały. Jako wzorowy poemat w znaczeniu nowej poetyki przytaczano niegdyś napisaną przeciw stylowi baladowemu, pocieszną zwrotkę Johnsona

Włożyłem kapelusz na głowę
I sam ku wybrzeżu poszedłem
I tam napotkałem człowieka,
Co trzymał kapelusz swój w ręku ¹⁾.

To nie poezya, powiadają. Zgoda, odpowiada Wordsworth, ale też i jako proza nie jest to ani samo przez się zajmującym, ani prowadzi do czegośkolwiek zajmującego, a przeto nie jest w stanie wprawić w ruch uczucia i myśli. „Pocóż dowodzić, że małpa nie jest Newtonem, jeżeli nie jest człowiekiem?“ I powszechnemu twierdzeniu, które w tych mniej więcej wyrazach streszcza, że: autor, pisząc wiersze, zobowiązuje się poniekąd odpowiedzieć pewnym nawyknieniom duchowym, w dziele swoim dać wstęp pewnym szeregom pojęć a usunąć starannie wszelkie inne — przeciwstawia następnie przekonanie o tożsamości dobrej poezyi i dobrej prozy, które oparte na jego wstępie ku przesadzie poetycznej. do tego go doprowadziło w poetycznem jego tworzeniu, że swój styl poetyczny pod tyłu

¹⁾ I put my hat upon my head
And walked unto the Strand
And there I met another man,
Whose hat was in his hand.

względami wzorowy i mistrzowski to zbyt mocno ogranicza, to go zniża aż do trywialności.

Co się tyczy uwielbienia dla mowy ludu pospolitego na wsi, będącego wychodnim punktem Wordswortha, a które nie jest bez analogii z pieczą o języku ludowym, do której w naszym kraju dał inicjatywę Grundtvig—na-przód należy nadmienić, że wymagana przez poetę, oczyszczona z prowincjonalizmów i podług prawideł gramatyki sprostowana mowa chłopska nie będzie się różniła od mowy każdego innego człowieka wykształconego, tylko, że pojęcia chłopów są szczuplejsze i ciemniejsze. Powtórę ostatni z powodu mniejszego rozwinięcia zatrzyma się na oddzielnych faktach, wziętych z ograniczonego doświadczenia, albo z tradycyjnej wiary, kiedy tymczasem człowiek wykształcony upatruje związek pomiędzy rzeczami i doszukuje się ogólnych praw. Wordsworth sądzi, że przedniejsza część mowy pochodzi od przedmiotów, które otaczają chłopów i zatrudniają go. Ależ wyobrażenia, obracające się około pożywienia, okrycia, bezpieczeństwa, dobrobytu bynajmniej nie są najprzedniejszą częścią mowy. Również niestusznem jest domagać się z Wordsworthem od tej mowy pewnego tylko stopnia namiętności dla przyznania jej zaszczytnego tytułu poetycznej; gdyż namiętność nie stwarza myśli nowych i nowego zapasu wyrazów, tylko zawartą w nich treść podnosi do podwyższonej działalności i mowy potocznej nie jest w stanie zamienić na poezję, ponieważ zaledwie podnieść ją może do prozy. Już to samo jest dziwną pomyłką naturalistyczną Wordswortha, że miesza z sobą wyrazy: „mowa potoczna“ i „proza“. Dobra proza już jest oczyszczoną ze czecznych i bezmyślnych powtórzeń, z chwiejnych i jakliwych sposobów mówienia, które zawsze pociągają za sobą połowiczne wykształcenie i zamęt, a których Wordsworth wszędzie, gdzie tylko wprowadza dykcję gramatyczną, aż do zbytku na-

gromadził do wielu swoich poezyj. Ten właśnie nieszczęśliwy pociąg do jaknajplytszego naśladowania natury powoduje w jego poematach nagle i zmusne przejścia od wysokiego i szlachetnego stylu do zupełnie pospolitego. Rzućmy okiem np. na wiersz *Ślepy chłopiec górski*. Poezja, podług określenia Wordswortha, ma swój początek we wzruszeniu serca, które przypominamy sobie w chwili spokoju. Dąży ona do naśladowania mowy natury, z tem jedynie zastrzeżeniem, że poeta, ponieważ jego powołaniem jest udzielać przyjemność, a nie wprost prawdę, używa formy wierszowej, która rytmem i rymem gotuje czytelnikowi szereg małych przyjemnych niespodzianek. Miara wiersza robi wrażenie, budząc ciekawość i zaspakajając, ale w tak łatwy sposób, że bynajmniej nie zwraca na siebie samodzielnej uwagi, wywiera ona, powiedziałbym, jak przygotowana sztucznie atmosfera, albo jak wino przy ożywionej rozmowie, dzielny, ale niedostrzeżony wpływ na świadomość. Swoją stale powracającą prawidłowością uśmierza i łagodzi namiętną albo porywającą treść opowiadania, a dążeniem swoim do odjęcia mowie piętna rzeczywistości nadaje utworowi pewnego rodzaju połowiczną świadomość o jej nierzeczywistości. Co do reszty, zdaniem Wordswortha, najprzedniejsza nawet poezja pod żadnym względem od prozy różnić się nie może. Zapomniał postawić sobie zapytania, czy odwrotnie, nie ma mnóstwa takich wyrażen, składni i zdań ogólnych, które w toku prozaicznym są na swoim miejscu, które atoli w poezji razilyby mocno, i czy w każdym poemacie patetycznym, bez wszelkiego wymuszenia, nie spotykamy takiej budowy i porządku zdań, albo takiego użycia postaci mownych, które w stylu prozaicznym byłyby niemożliwe?

Jeśli w jakim znaczeniu możnaby powiedzieć, że wielka część najlepszej poezji równa się mowie życia rzeczywistego—to jedynie w tem znaczeniu, że wyrażenia jej

są takie, jakich użyłaby, i to w nader rzadkiej okoliczności, mała liczba wysoko wykształconych ludzi. W rozmowie powszedniej słowa snują się i błakają luźnie, w mowie publicznej skupiają się w spójny związek myśli, a w dziele pisanem zdanie wypracowane z samej natury zwija się wciąż w przeróżne zakręty. Nakoniec w wierszu forma nigdy być nie może zanadto spójną i dobraną. Tu obowiązuje teoria, wypowiedziana przez Teofila Gautier we wspaniałym jego poemacie *Sztuka*.

Oui, l'oeuvre sort plus belle
D'une forme au travail
Rebelle,
Vers, marbre, onyx, émail!
Point de contraintes fausses!
Mais que pour marcher droit
Tu chausse,
Muse, un cothurne étroit!

Wszelako, pomimo zarzutów, jakie słusznie i stosownie zrobićby można tej poetyce, albo właściwiej mówiąc, „prozaice“ Wordswortha—teorii, jaką współcześni przyjęli tak, jak gdyby była jednoznaczna z ową starą piosenką czarownic w Makbecie: „Piękno jest brzydkiem, brzydkie jest pięknem“—dla nas potomnych ma ona wysoki stopień ważności, jako dobitny i niedwuznaczny wyraz pierwszej literackiej ostateczności naturalizmu angielskiego.

VII.

Straciliśmy na chwilę z oka Coleridge'a. Kiedy Wordsworth i on dzielili pomiędzy sobą nowe rodzaje poezji, dostało mu się w udziale, jak już wspomniano, wprost

przeciwnie Wordsworthowemu, zadanie: traktowania treści nadnaturalnej sposobem naturalnym. Rozwiązał on je w dodatkach, dołączonych do *Poezji lirycznych*, i w ogóle w małym cyklu poematów, z którymi łączy się znakomite jego imię, jako poety.

Samuel Taylor Coleridge był dzieckiem wiejskiem i synem kaznodziei, urodzonym w październiku r. 1772 w Devonshire. Od roku 1782 — 90 uczęszczał do szkoły w Christ's Hospital w Londynie, i od tego czasu szkolnego liczy się jego przyjaźń z drugim angielskim poetą romantycznym, gorącym jego wielbicielem, Karolem Lamb. Od r. 1791 — 93 odbywał studia w Cambridge, bez widoków i środków pomocy, poczem w napadzie rozpacz, spowodowanej, czy to długami, czy nieszczęśliwą miłością, nagle pożegnał miasto uniwersyteckie i pod pseudonimem Silas Titus Cumberback zapisał się do 15-go pułku dragonów ¹⁾. Zdaje się, że bynajmniej nie ambicya skłoniła go, jak na kilka lat przedtem naszego Ewalda, do probowania szczęścia w rzemiośle żołnierskiem, lecz wyłącznie brak środków zarobienia na życie. Jakoż cztery tylko miesiące był dragonem. Bo kiedy pewnego dnia na ścianie pod siodłem napisał elegię łacińską: *Eheu, quam infortunii miserrimum est fuisse felicem!*¹⁾, jego kapitan przy tej okoliczności spostrzegłszy stopień jego wykształcenia, zrobił potrzebne kroki do jego rodziny, ażeby mógł powrócić do Cambridge'u. Poczem przypada krótki okres, w którym Coleridge występował jako demokrat anti-ortodoksyjny i wskutek tego musiał wybić sobie z głowy wszelką myśl o karierze uniwersyteckiej. Nadmieniliśmy już o wspólnem jego i Southeya uwielbieniu ku Robespierrowi (pierwszy akt dramatu

¹⁾ ... being at loss, when suddenly asked my name. I answered Cumberback, and verily my habits were so little equestrian, that my horse. I doubt not, was of that opinion...

Upadek Robespierre'a napisał Coleridge, drugi i trzeci Southey) i o szalonych jego planach komunistycznych i kolonistycznych. Członkami małego towarzystwa wychodźczego, przez nich założonego, byli tylko: Coleridge, Southey, młody kwakier nazwiskiem Lovell i młodzieniec Jerzy Burnet, towarzyszy szkolny Southeya, ale bożek Hymen w r. 1795 zachwiał te zagrażające społeczeństwu plany. Coleridge wyjechał był do Bristolu dla odbywania wykładów publicznych i rozwinął tam całą wymowę, która u niego — podobnie jak u tak czarującego mową ustną poety norweskiego Welhavena — zdaje się, że wyssała siły z jego dzieł poetyckich. Młoda dama w owym mieście pozyskała jego serce i jeszcze w tym samym roku Coleridge zaręczył się z Sarą Fricker, a jej siostry: Edyta i Marya Fricker, rodowe nazwiska zamieniły na nazwiska Lovell i Southey i — podróż do Ameryki skończyła się tak, jak podróż dzieci u Chrystyana Winthera ¹⁾). Jakim sposobem Coleridge, który przez całe życie swoje nie miał woli, mógłby był wykonać plan tak daleko sięgający! On, który nigdy nie wykonał nic innego, jak tylko to, czego nie postanowił, albo co podług jego natury nie dało się wykonać! W r. 1796 Coleridge, będący jeszcze naówczas namiętym unitaryuszem, „namówiony“ został przez kilku innych filantropów (zawsze go namawiają) do wydawania pisma tygodniowego *Stróż* (*The Watchman*), które miało dawać 32 stronnice w wielkiej ósemce za cenę umiarkowaną cze-

¹⁾ W żartobliwym poemacie Winthera (*Ucieczka do Ameryki*) czytamy, że dwaj mali nieponie, którzy przybyli do domu ze złemi świadectwami szkolnemi i zostali za to złążani, postanawiają wynieść się do Ameryki, którą wystawiają sobie jako sumę wszelkiej wspaniałości i swobody. Właśnie, zaopatrzeni w wielką Biblię obrazkową i obwarzaniek przyprowadzony korzeniami, wyruszają, gdy wtem matka woła ich do stołu i tym sposobem kładzie koniec podróżniczym ich planom.

rech pensów i którego ogniste zaproszenie do prenumeraty miało dewizę: „Wiedza jest potęgą.“ Dla zebrania abonentów przedsięwziął — tak był młodym — podróż agitacyjną z Bristolu i Sheffieldu na północ i naokół po kraju, we wszystkich wielkich miastach po drodze prawil kazania, jako bezpłatny kaznodzieja w niebieskim surducie i białej kamizelce, nie mając chęci wdziania bardziej kapłańskiej odzieży, ażeby nie mieć na sobie „ani jednego kawałka przypominającego nierządnicę babilońską.“ Zostawiony przez niego opis tej odysei pokazuje nam młodego romantyka, jakim był i pozostał: nieroztropnego we wszystkim, co światowe, zapalającego się naprzemian do wszelkiej połowiczności religijnej i politycznej, ale pryskającego humorem w pochwyceniu śmieszności innych i własnej.

Swoją wyprawę wojenną rozpoczął w Birminghamie i pierwszą zaczepkę skierował przeciw surowemu kalwinistcie, odlewaczowi świec z profesyi. Był to chudy, posępny człowiek, którego długość tak dalece górowała nad szerokością, że w swojej odlewni mógł być służyć za pogrzebacz. „I ową twarz!“ woła Coleridge. „widzę przed sobą jeszcze w tej chwili, ów fładrowaty, czarny, niciasty włos, błyszczący od tłustości, obcięty w linii prostej z czarnemi ścierniami, brwi jego barwy prochowej, które wyglądały jak osmalony odrost po przeszło tygodniowej operacji cyrulika. Widzę dotąd guziki jego sukni, w doskonałej harmonii z grubymi i lepkiemi powrozami, które śmiało nazywać mógł swoimi włosami, i które z pewnem zakrzywieniem na zewnątrz przy karku — jedynym zakroju na zgięcie — spadały na kamizelkę, podczas kiedy twarz chuda, ciemna, surowa, z głębokiem pionowemi zmarszczkami sprawiała mi niejasne wrażenie człowieka, wytrzeszczającego oczy przez zamknięty ruszt pełny sadzy, tłuszczu i żelaza. Ale był on jednym z gatunku typów pełnej krwi, prawdziwym przyjacielem swobody,

jak mi powiedziano, na dogodzenie wszystkim, dowiódł on kiedyś, że Mr. Pitt jest jednym z rogów drugiego zwierza apokalipsy, które przemawiało jako smok...“ Przez całą godzinę Coleridge rozwijał przed nim całą swoją wymowę, dowodził, opisywał, rokował i prorokował, zaczął od stanu niezależności narodów, a skończył na nowym rozświecie tysiącioletniego królestwa. Fabrykant świec wysłuchał go z wytrwałą i godną uwielbienia cierpliwością, chociaż pewien wcale nie ambrozyjny zapach dał poczuć gościowi, że przybył w dniu odlewania. Nakoniec odezwał się: „A ile to będzie kosztować, sir?“ — Tylko trzy pensy, sir, za pojedynczy numer, który wychodzi co ośm dni.“ — „Ależ to uczyni pokazną sumkę przy końcu roku. A ileż, jak pan mówileś, można otrzymać za te pieniądze?“ — „Trzydzieści i dwie stronnice, sir, w wielkiej ósemce, bitym drukiem“. „Trzydzieści dwie stronnice! A niech mnie Bóg bron! Wyjawszy, co przeznaczam dla familii na święto—wszak to jest więcej, aniżeli przez cały rok kiedykolwiek przeczytać mogę, sir! Jestem ja tak dobrze, jak już nie wiem kto tutaj, za wolnością i prawdą i wszystkimi temi historyami, sir! ale tym razem nie bierzcie mi za złe, sir! — muszę prosić pana bardzo i bardzo o wybaczenie.“

Tak zakończyła się pierwsza ze strony Coleridge'a, próba zdobycia sobie rekrutów do walki przeciw Trójcy świętej. Druga, w Manchesterze u wytwornego i zamożnego hurtownego handlarza bawełny, poszła tak, że ten zmierzył go od stóp do głowy i zapytał, czy „ma rachunek tego artykułu“. Coleridge podał mu zaproszenie do przedpłaty, a handlarz z mrużeniem, rzuciwszy okiem na pierwszą a jeszcze bystrzej na drugą i ostatnią stronnicę, zmiął kartkę, następnie potarł ostrożnie i z zastanowieniem jedną o drugą, schował do kieszeni z wyrazami: „Idź pan sobie z tym artykułem!“ odwrócił się tyłem do Coleridge'a, cofając się do swego kantoru. Po tych nieudatnych pró-

bach, Coleridge porzucił myśl zyskania sobie abonentów pojedynczo, pomimo to jednak z tego znakomitego objazdu powrócił z tyciłem blisko nazwisk na liście prenumeratorów. Ale już pierwszy numer wyszedł, w prawdziwie Coleridge'owski sposób, spóźniony; drugi, zawierający traktat przeciw dniom świątecznym, odstraszył 500 abonentów konserwatywnych, a następnie numery, które były pełne wycieczek przeciwko francuskiej filozofii i moralistyce, oraz przeciwko tym, którzy zwracali się do biednych i nieumiejętnych, zamiast wstawiać się za nimi u ludzi zamożnych i znacznych — spowodowały pozostałych abonentów jakobinских i demokratycznych do wykreślenia się z listy. Coleridge, opowiadając sam ten fakt, zdaje się ani przypuszczać, że to była naturalna kara za całą jego połowiczność, która zależała na tem, że nigdy nie chciał wyprowadzić wyników własnej myśli. Był połowicznym na polu politycznem, również połowicznym na polu religijnem; kiedy już jako starzec pomyśli sobie o tym czasie, woła sam: „Mózg mój był u Spinozy, chociaż całe moje serce było u Pawła i Jana“, i pośpiesza przedstawić czytelnikowi prawdziwe dowody bytności Boga i Trójcy, których w młodości zgłębić nie mógł ¹⁾. Kiedy pismo tygodniowe doczekało się zaledwie dwunastu numerów, Coleridge został dziennikarzem, naprzód pisał przeciwko ministeryum Pitta, ale wkrótce, kiedy jego poglądy przybierały coraz bardziej kierunek konserwatywny, stał się ministeryalnym i zwłaszcza po zajęciu Szwajcaryi przez francuzów — zapalonym wrogiem ich. Tak anti-francuskimi były jego artykuły w *Morning Post*, że nawet zwróciły uwagę Napoleona, a Coleridge jako ich autor był szczególnym przedmiotem jego gniewu. Podczas pobytu autora we Włoszech nawet wolność jego byłaby zagrożoną, gdyby

¹⁾ Zob. *Biographia literaria*. Tom I, część II, str. 208 i n.

zawczasu nie został ostrzeżony tak przez posła pruskiego, Wilhelma Humboldta, jak i przez samego kardynała Fescha, za pośrednictwem podrzędnego urzędnika.

Rok 1797, ten sam, w którym on poznał Wordswortha, pod względem poetyckim był stanowczym rokiem w życiu poety, był to jego *annus mirabilis*. W roku tym napisał sławną na cały świat balladę swoją: *Stary majtek* i stanowiący epokę w poezji angielskiej fragment *Christabel*.

Christabel jest to wstęp do cyklu romansów, który nigdy nie miał dalszego ciągu, najwcześniejszy poemat angielski, który przeniknięty jest duchem romantycznym w najcisłejszym znaczeniu wyrazu i dlatego treścią swoją, spadkiem tonu, charakterem i tokiem wiersza budził potężne wrażenie w sercach poetów współczesnych. Nieprawidłowa a jednak dźwięczna miara wiersza wywierała tak silny wpływ na Waltera Scotta, że w pierwszym swoim poemacie romantycznym *The lay of the last minstrel* przywołał ją sobie. Wyznaje on często, jak wiele winien jest „pięknemu i tantalizującemu ułamkowi *Christabel*“, który, jak wszyscy inni ówczesni poeci, poznał w rękopiśmie, ponieważ Coleridge przez całe lat dwadzieścia odczytywał go we wszystkich towarzystwach, nim utwór ten ujrzał światło, jako własność publiczna. Byron poznał go w taki sam sposób, jak Scott. A ponieważ, przed usłyszeniem go, w jednym ze swoich poematów (*Obleżenie Koryntu*, N. 19) napisał kilka wierszy, pokazujących podobieństwo z parą wierszy z *Christabelu*, przeto później skorzystał ze sposobności wypowiedzenia w objaśnieniu kilku wrażeń na pochwałę tego „dzikiego, znakomicie oryginalnego i pięknego poematu“. Że jednak nie wszyscy dzielili uwielbienie tych poetów, a jeszcze większe Wordswortha, widzimy z życia i korespondencji Moore'a. Tak on jak i Jeffrey robią silne zastrzeżenia co do afektacji w tym poemacie (Por. tom II i tom IV, *Memoirs Moore'a*).

Dla duńskich i niemieckich czytelników, których Tieck i bracia Schleglowie, a później szczególnie Ingemann tak zasadniczo wprowadzili w tajniki owej poetycznej manieri, fragment nie przedstawia tak wielkiego interesu. Naiwność bez granic w sposobie opowiadania i cała umyślna dziecinność w rozkładzie i tonie jest dla nas tem, czem biały chleb dla dzieci piekarskich. Najwyższą zaletą poematu, niezależnie od wdzięcznej i pełnej jego melodyi, jest osobliwsza magia, z jaką odmalowanym jest charakter złej czarodziejki, osobliwsza *demoniczność*, która nigdy przedtem w poezji angielskiej nie wystąpiła z taką mocą, jak tutaj. Należy zrobić tu uwagę, że chociaż pierwsza część poematu napisana było w r. 1797, jednakże nietylko część drugą poeta utworzył dopiero w r. 1800, lecz bezwątpienia przedsięwziął oraz przerobienie w tym roku, to jest, kiedy podczas wspólnej podróży po Niemczech z Wordsworthem zapoznał się z nowoczesną poezją niemiecką, średniowiecznymi jej warunkami i najnowszymi dążnościami.

Drugiglówny jego utwór, ballada *Stary majtek*, jeszcze wyszukaniej naiwny w dykeyi i, jak średniowieczne ballady ludowe, które jako pismo ulotne sprzedają się po zaułkach, opatrzone prozaicznym wykazem treści na brzegach stronic, dobił się największej popularności z pomiędzy wszystkich poezji Coleridge'a, chociaż przy pierwszym ukazaniu się spotkały go gorzkie zaczepki. Po przepełnionym afektacją wstępie (trzej goście weselni zapominają o swoim przeznaczeniu przy opowiadaniu starego majtka—taką rozwija on przed nim wymowę—„i do tego jeszcze na ulicy“, jak mówi Falstaff) następuje okropna historia o strachu na zaczarowanym okręcie, której wszelkie okropności pochodzą stąd, że jeden z majtków tak był lekkomyślny, iż zabił albatrosa, który szukał schronienia na okręcie. Cała osada, wyjąwszy prawie jego tylko, za tę niegościnnność

ponosi karę śmierci i zaguby. Niedługo po ukazaniu się poematu, krytyka angielska, jak opowiada Swinburne, podniosła nader żywo zapytanie, czy moral (nie godzi się zabijać albatrosa?) nie przeważa tu do tego stopnia, że szkodzi fantastycznej stronie poematu, podczas gdy inni utrzymywali, że wada poematu tkwi w braku moralu rzeczywistości, a w naszych czasach punkt ten dał powód do podobnego sporu pomiędzy Freiligrathem a Julianem Schmidtem ¹⁾. Krytyka nowożytna niezawodnie skwitowałaby chętnie balladę i jej autora z *moralu*, gdyby tylko można było doszukać się tam jądra poetycznego. Co do nas, wyznajemy, że doszukać się go nie mogliśmy, i zdaje się nam, że możemy wykazać przykładem, gdzie tkwi tu błąd główny. W *Zimokwitach* liryka niemieckiego, Moritza Hartmana spotykamy obszerniejszy poemat, który chociaż nie zapowiada się jako naśladowanie *Starego majtka* Coleridge'a, pokazał mi się na pierwszy rzut oka naśladowaniem. Rozwija się on w takiej samej formie metrycznej, a przedmiot jest nawskroś spokrewniony. Ma on tytuł *Camao*. Ptak camao, który w tym poemacie odpowiada albatrosowi u Coleridge'a, przez całe wieki średnie był hodowany w każdym szlacheckim domu półwyspu pirenejskiego i traktowany ze czcią, którą zawdzięczał powszechnie panującemu zabobonowi. Ten ptak mógł się wychować w takim tylko domu, którego czci nie splamiła jego

¹⁾ Julian Schmidt w swoim *Poglądzie na literaturę angielską w wieku XIX* (str. 91) przytoczył *Starego majtka* Coleridge'a jako najdotykalszy dowód, iż szkoła jezior zesłała na to, że wymyślała „*historye bez points*.” We wstępie do swojego wydania poezji Coleridge'a (Tauchnitza wydanie str. XXIV) Freiligrath występuje przeciw takiemu twierdzeniu. Poemat ten, mówi, posiada niezaprzeczenie swój *point*, swój moral, zannadto oczywisty, ażeby do jego wyciągnięcia potrzeba było tak szczegółowej maszyny.

jego gospodyni; umierał, skoro tylko na cześć pana padła najmniejsza plama przez niewierność żony. Klatka jego wisiała zwykle w przedsionku. Otóż w poemacie Hartmanna oblakany starzec, który tu przypomina chorego na duchu majtka Coleridge'a, opowiada, że będąc paziem, zapalał najdzikszą namiętnością ku żonie swego pana i że śpiewanie ptaka na cześć jej czystości, której zawdzięczał życie swoje, ciągle go dręczyło, kiedy odepchnięty i przyprowadzony do rozpaczey jej obojętnością, uciekał z jej zamku. Jego pan wrócił z wyprawy wojennej i przyprowadził z sobą przyjaciela, młodego, pięknego bohatera śpiewu, któremu pani zamku okazuje przyjaźń najserdeczniejszą i przeciw któremu paż z zadróści wkrótce zapala się całą nienawiścią. W szaleństwie miłosnem donosi potajemnie o mniemanej niewierności obojga, ale pan odpowiada mu spokojnie, że Camao żyje i właśnie w tej chwili śpiewa na cześć Estrelli. Wówczas, w chciwej krwi zazdrości postanawia zemścić się i zabija ptaka. Vasco przeszywa żonę sztyletem i od tej chwili błędny i oblakany zbrodniarz tuła się od kraju do kraju, nie mogąc nigdy znaleźć spokoju duszy.

Pod względem właściwości i artystyczności władania mową, *Camao* można postawić niedaleko obok *Starego majtka*; ale pod względem jądra poetycznego nie tylko stoi on wyżej od swojego wzoru angielskiego, lecz oprócz tego krytykuje jak najwyborniej balladę Coleridge'a i wynikającą z niej całą afeekcyjnie romantyczną sferę pojęć. Tu zabicie ptaka jest czynem rzeczywiście ludzkim, spełnionym z rzeczywiście ludzkiej pobudki; tu ukaranie tego, który go zabił, nie jest wyskokiem dziwactwa, lecz sprawiedliwym i naturalnem następstwem jego występku; tu nieszczęście, które śmierć ptaka sprowadza na żonę Vasca i na niego samego, wiąże się łańcuchem przyczynowości,

kiedy tymczasem śmierć majtków za niegościnność względem albatrosa wygląda jak pewnego rodzaju obląkanie rozumu; tu na koniec pokazuje się wydatnie różnica pomiędzy prawdziwie poetycznym zużytkowaniem wyobrażenia zabobonnego a romantycznym jego traktowaniem. W obu poematach wszystko opiera się na zabobonie, i Hartmann dalekim jest od myśli poddawania go pod krytykę racjonalistyczną; ale nie wtrąca doń jeszcze drugiego zabobonu, piękność jego poematu nie zależy zupełnie od tego, czy czytelnik, w pospolitem znaczeniu wyrazu, *wierzy* w magiczny wpływ Camao, lub nie, kiedy tymczasem przewrotność romantyczna właśnie w kożeniu się przed magicznością i tem, co niewytłumaczalne, widzieć każe sumę wszelkiej mądrości życia i wszelkiej poezji. Ale jeżeli *Stary majtek* nie stoi wysoko w porównaniu z poezją, która rozwinęła się później z zakątka romantyzmu, jednak poemat ten góruje znacznie nad wielu pokrewnymi utworami romantyki niemieckiej. Przy całym urojeniu romantycznym, czuć w nim natchnienie morza, rzeczywistego, naturalnego morza, którego zmienne usposobienia i jego zastraszająca i groźna powagę opisuje. Świeży wietrzyk, spieniony szum, złowieszcza mgła i gorące, miedzianej barwy niebo wieczorne ze swoim krwawym słońcem, wszystkie te żywioły są to żywioły natury i cała groza miotanych na morzu, głód, rozdzielające pragnienie, które doprowadza ich do tego, że ssą krew z ramienia własnego, blade twarze, okropne rżęzenie, straszliwa zgnilizna, wszystkie te żywioły są to żywioły rzeczywistości, a odmalowane z całą naturalistyczną siłą anglika.

Nawskroś angielskim jest również ten rys, że Coleridge potrafił uznać sam jaknajtrafniej ujemne strony utworu, jakim jest sławna jego ballada. Główny przymiot narodowy, humor, pozwala mu pod tym względem zachować

uważając uderzającą niezależność umysłu. Posłuchajmy, jak się odzywa co do własnej krytyki samego siebie. Jeden z poetycznych dyletantów wyraził przyjacielowi życzenie, aby go zapoznano z poetą, ale wzdragał się, skoro tylko nastręczyła mu się po temu sposobność, a to z powodu, że on właśnie jest autorem nadzwyczaj cierpkiego epigramatu na *Starego majtkę*, który, jak mu wiadomo, wielce rozgniewał Coleridge'a. Poeta zapewnił przyjaciela, że jeżeli epigramat jest dobry, to wzbudził w nim jeszcze większą chęć zapoznania się z autorem, i prosił, o przeczytanie mu wiersza. I następnie ku wielkiemu zdumieniu, jak i radości Coleridge'a, pokazało się, że było to kilka żartów, które on sam napisał i umieścił w gazecie *Morning Post*. Jeżeli dodamy do tego, że Coleridge napisał trzy sonety dla naśmiania się, jak powiada, z przesadzonej prostoty i płaceliwego samolubstwa nowego kierunku — sonety, których nadęte zwroty wzięte były wyłącznie z jego poezyj, niepodobna będzie zaprzeczyć, że z rzadką wyższością umysłu starał się wyzwolić z owej zaciekłości i przesady w doktrynie, która stanowiła najsłabszą stronę romantyzmu niemieckiego.

Pomimo to duch jego najmocniejszy i najistotniejszy pokarm otrzymał z Niemiec. Był on najpierwszym anglikiem, który przeniknął do nietkniętych jeszcze stopą cudzoziemca lasów literatury niemieckiej, i to w tym mniej więcej czasie, kiedy pani Staël torowała ku nim drogę szczepom romańskim. W tym samym czasie, kiedy tworzył wspomniane wyżej najznakomitsze swoje poezje, zaczyna uczyć się po niemiecku, a Schiller i Kant pociągają go naprzód. Następnie w r. 1798 wraz z Wordsworthem przedsięwzięcie podróż do Niemiec w celu odkryć literackich. W Hamburgu nasi młodzieńcy odwiedzają patriarchę Klopstocka, który wychwalał Bürgera, ale zre-

szłą odzywał się zimno i nieprzyjaźnie o młodszej szkole literatury i właśnie o bożyszcach Coleridge'a, Kancie i Schillerze, którego *Zbójców*, oświadczał wyraźnie, że czytać nie może, ale natomiast, tem obszerniej rozmawiał z nimi o *Mesjadzie* i oburzeniu swoim na złe przekłady angielskie tej epopei. Coleridge zaczął w Niemczech studyować język górnoniemiecki starożytny i wieków średnich, czytał minnezengerów, majsterzengerów i Hansa Sachsa, a po powrocie do kraju ogłosił przekład *Wallensteina* Schillera, którego nieco później Benjamin Constant opracować miał dla sceny francuskiej. Późem osiada nad owemi „Jeziorami“ w Anglii północnej, gdzie Wordsworth i Southey cokolwiek pierwsi rozbili już swoje namioty, a od których otrzymała nazwę swoją szkoła literacka utworzona przez nich podług pojęcia współczesnych. Nazwa ta jednak oznacza nie więcej, jak gdyby w r. 1830 Haucha, Ingemanna, Wilstera i Piotra Hjorta chciano nazwać „Sorunami“. Poeci angielscy szkoły Jezior tak samo różnili się od siebie rodzajem zdolności, jak wymienieni tu docenci w Soröe. Ale krytyka zestawiała wciąż Coleridge'a z Wordsworthem i Southeyem, ponieważ wiadano, że zostawał w przyjacielskim i serdecznym stosunku z tymi mężami, ponieważ nigdy nie pominął sposobności wysławienia ich, podobnie jak i oni nie pomijali sposobności pochwalenia jego, oraz ponieważ jego i resztę członków szkoły Jezior, raz co kwartał w *Quarterly Review* wieńczono świeżymi wawrzynami, a grzesznika Byrona jednocześnie chłostano świeżymi skorpionami. Następstwo było takie, że nigdy prawie nie wylano ługu krytyki, ażeby i Byronowi także, który prawie całkiem milczał, nie dostało się po grzbiecie. Ta okoliczność że szkoła Jezior, mniej więcej tak samo, jak prerafaelici i nazareńczycy w malarstwie, zesła ostatecznie na same tylko zagłębianie się poetyczne, na sam tylko

zmysł dziecięcy i dziecięcą wiarę, na samą tylko potulność kapłańską i namaszczenie, dostarczała ostrej i gryzącej krytyce ustawicznych powodów do szyderstwa i zaczepki przeciw temu, który przed wszystkimi innymi występował jako teoretyk szkoły. W wieku jeszcze młodzieńczym w poemacie Coleridge'a *Pożar, Głód i Morderstwa*, wszystkie okropności, na zapytanie, kto je sprowadził, odpowiadają następną, ściągającą się do Pitta, straszliwą zwrotką:

The same! the same!
Letters four do form his name:
He let me loose, and cried: Halloo!
To him alone the praise is due.

Teraz był on wiernym dziennikarzem Mr'a Pitta, i, jak wszyscy inni członkowie szkoły Jezior, surowym torysem, nieprzyjacielem pojęć liberalnych, tak na polu państwa, jak i kościoła; cóż więc dziwnego, że razem z innymi był narażony na stronnice i ustawiczne zaczepki partii liberalnej! A przecież tak łatwo było i tak naturalnie, jako poetę, odróżnić go od reszty i przyznać mu zaszczyt, jaki należał się jego oryginalności. Niewielka liczba poezyj, które napisał w ciągu dość długiego życia swego, odznacza się przedziwną melodyjnością mowy; jej harmonie nie tylko są wykuintne i pieściwie wpadają w ucho, jak u Shelleya, lecz przytem związane są kontrapunktowo i bogato, a tchną osobiście poważną i pełną treści słodyczą; każdy wiersz ma smak i wagę kropli miodu. W poematach *Miłość*, albo *Lewty*, bezwątpienia najwdzięczniejszych jego utworach, w fantazyi wschodniej *Kubla Khan*, wysunętej z sennego marzenia, słyszymy słowiczy głos Coleridge'a, z całym przyborem najwspanialszych, najprzeróżniejszych kadencyj gardła ptasiego, przypominający flet, wabiący, trylujący i śpiewający.

Shelley, jak trafnie powiedział Swinburne, jeśli go porównamy pod względem harmonii języka z Coleridgem, jest tem, czem skowronek w porównaniu do słowika. Ale poezya Coleridge'a jest równie nieplastyczna, jak melodyjna, również beznamiętna, jak nasyciona dźwięcznością. Jestto poezya czysto romantyczno-fantazyjna, t. j. ani nie przedstawia przeżytego energicznie, osobistego życia duszy, ani też nie oddaje spostrzeżeń ze świata otaczającego. Pod tym ostatnim względem, rzecz godna uwagi, podróż Coleridge'a na południe pozostała zgoła bez żadnej zdobyczy dla jego poezyi; jedyny owoc, który wyniósł stamtąd po powrocie, hymn *Przed wschodem słońca w dolinie Chamouni*, gdzie noga jego nigdy nie postąpiła, jest parafrazą opisu doliny u dobrze znanej w piśmiennictwie naszym poetki Fryderyki Brun. Jego zmysł historyczny był również małym, jak zmysł miejsca. Sam mówi: „Kochany sir Walter Scott i ja byliśmy względem siebie w diametralnem, lecz harmonijnem przeciwieństwie, z tego względu, że każde stare zwaliska, wzgórze, rzeka, albo pień drzewa, wywoływały w jego duszy cały zastęp historycznych i biograficznych asocjacji... kiedy przeciwnie, ja sądzę, że mógłbym przejść przez dolinę Maratońską, nie poczuwszy ku niej większego interesu, jak ku każdej podobnej dolinie. Karol Lamb napisał traktat o pewnym człowieku, który żył przed laty, mnie znów przyszła myśl dodania traktatu o człowieku, który wogóle żył nie w czasie, lecz po za czasem, albo obok niego.“¹⁾ Stąd jego poezya składa się, w literalnem znaczeniu wyrazu, z obrazów sennych; ten poemat, który najlepsi znawcy stawiają najwyżej, układał we śnie podczas marzenia.

¹⁾ *Specimens of the table-talk of the late Sam. T. Coleridge. Tom. II., str. 225.*

Właśnie jego życie było tak pozbawione woli i planu, jak życie marzącego we śnie. Niezdarny z natury, z latami stawał się coraz skłonniejszym do odkładania wszystkiego i ta żądza wiecznego zwlekania od dnia do dnia (*procrastination* anglików), nagromadzała na jego drodze coraz to więcej trudności, których swoją siłą pracy przemódz nie był w stanie. Dla znalezienia ulgi w cierpieniach ciała uciekał się do opium, ale wkrótce oddał się zupełnie używaniu, które w wyższym jeszcze stopniu pozbawiło go zdolności przeprowadzenia jakiegokolwiek planu. Po niestałem, tułackim życiu, zmieniając kolejno miejsca pobytu u przyjaciół, podczas którego miewał niekiedy odczyty o historii literatury i umieszczał dodatki w czasopismach, jako niezdolny już do kierowania życiem własnem, oddał się opiece lekarza, nazwiskiem Gillman, i mieszkał w Highgate u tego człowieka i pod jego władzą wśród dobrowolnego rozłączenia z rodziną, którą powierzył pieczy przyjaciela i szwagra swojego, Roberta Southeya. Po odurzeniu się opium nastąpiło teraz wytrzeźwianie się do skruchy, wyrzutów samemu sobie i coraz to bardziej prawowierczej religijności. To, co napisał w tym okresie, przecięciowo ma na celu zbić kacerstwa własnej młodości, w dogmatyce bronić, przeciw wszelkim zaczepkom krytycznym, Trójcy, w polityce — państwowego kościoła angielskiego.¹⁾ Emerson po odwiedzinach u Coleridge'a opisywał go nam, jako „starego i pełnego przesądów“, oburzonego bezwstydem, jakiego dowiodła garstka Pristleistów, że ośmieliła się poddać w wątpliwość nietykalną przez całe wieki teorię Pawła o Trójcy i nadziewającego mowę swoją wszelkimi trywialnościami człowieka starego. Osiemnaście lat upłynęło mu wśród marzeń, konwersacyj i ukła-

¹⁾ *On the constitution of Church and State according to the idea of ach. Lay Sermons.*

dania budujących traktatów, a w całym przeciągu tego czasu wywierał nierównie mniejszy wpływ utworami, aniżeli podniecającą działalnością swoją. Podniecał innych i dodawał im bodźca do utworzenia; mieszkał w pobliżu Londynu i dla bijącego potokiem talentu rozmowy, nieustannie odwiedzany przez autorów, żył, jako naoczny widz życia, w rozmowie z takimi ludźmi, jak Karol Lamb, Wordsworth, Southey, Leigh, Hunt, Hazlitt, Carlyle, właśnie w tych samych latach, kiedy duchy odwrotnego kierunku, Shelley i Byron, z ognistą siłą podnosiły głos przeciwko politycznemu i społecznemu porządkowi, o którego doskonałości on był przekonany. Kiedy utraciłszy wolę i poddawszy się karności, jak dziecko, sprawę zachowania życia swego oddał w cudze ręce, a zachowany, coraz to dalej kształtował się na konserwatystę, dwaj wielcy poeci swobody, odepchnięci przez własną ojczyznę i pozostawieni li tylko energii osobistej, rozwijali w sobie najwyższe uczucie samodzielności, które przebiło się jeszcze w historii literatury, i kiedy ani ktokolwiekbyś inny, ani oni sami nie zrobili dla zachowania swego życia, na długo jeszcze przed czasem trawili się w namiętnych walkach, ażeby być wydartymi światu przez wczesną śmierć. Swoboda badania i swoboda jednostki była dla nich równie cennym klejnotem, jak dla niego kościół angielski.

VIII.

Coleridge i pozostali członkowie szkoły Jezior bez wątpienia byli dalekimi od nazywania siebie inaczej, jak tylko gorącymi przyjaciółmi swobody. Już przeszły były czasy, kiedy reakcyoniści nazywali siebie inaczej: jedną

z najpiękniejszych poezyj swoich, odę *Francya*, Coleridge napisał jako hymn na cześć swobody, i świadczy się tu obłokami, falami i lasami, że zawsze ją miłował, a Wordsworth, który jej poświęcił wyrażenie dwie wielkie grupy swoich utworów, uważa się nawet za wybranego jej rzecznika. Przy pobieżnem czytaniu tych poetów, można by ich poczytywać za tak zamilowanych w swobodzie, jak Moore, Shelley i Byron. Ale sam nawet wyraz swoboda oznacza coś innego w ustach tamtych, aniżeli tych. Dla zrozumienia tego wyrazu potrzeba rozebrać go za pomocą dwóch zapytań: swoboda—od czego? swoboda czego?

Swoboda, podług tych poetów konserwatywnych, jest to pewne określone, ograniczone dobro, które posiada Anglia, a którego braknie Europie; jest to służące krajowi prawo rządzenia sobą bez jedynowładcy, a przedewszystkiem bez jedynowładcy obcego szczepu. Kraj, posiadający ten przywilej, jest wolnym. Przez swobodę więc w tym obozie rozumie się wolność od obcej samowładcy politycznej, o swobodzie czegośkolwiek w obozie tym, powiedziałbym, niema mowy. Rzućmy okiem na sonety Wordswortha o swobodzie i zobaczmy, co to on opiewa. Opiewa walki plemion europejskich przeciw Napoleonowi, w którym widzi pewien rodzaj antychrysta (Scott nazywa go „djabłem na płomiennym tronie.”)

Poeta ubolewa nad zdobyciem Hiszpanii, Szwajcarii, Wenecyi, Tyrolu. Opiewa walecznego Hofera, dzielnego Schilla, śmiałego Toussaint L'Ouverture'a, którzy wazyli się stawić opór władcy, a niemniej Gustawa Adolfa szwedzkiego, który z romantyczno-rycerską nieudolnością rzucił rękawicę Napoleonowi, obwieszczając zapal ku Restauracyi burbońskiej. Wszak wkrótce potem Wiktor Hugo i Lamartine, jako legitymiści, również opiewać mieli jego syna, księcia Gustawa Wazę. Z Napoleona nienawiść i wstręt przenosi się na Francję. W jednym

z sonetów („Inland within a hollow walle I stood“) Wordsworth opowiada, że kanał pomiędzy Anglią a Francją na chwilę wydawał mu się wązkim, jak wiejskie jezioro, i że ogarnęła go trwożliwa myśl, iż Anglia może się zrosnąć z owym zatraconym krajem; i znów pokrzepia go ta myśl, jak wielkim jest angielski duch narodowy, a jak poziomym francuski. W innym sonecie cieszy się tą myślą, jakich to znakomitych ludzi i pełne znaczenia dzieła wydała Anglia, i zdumiewa się, że Francja przeciwnie nie wydała „ani jednego znaczącego tomu, ani jednego ducha mistrzowskiego, i że ma tak wielki brak zarówno ludzi, jak i książek.“

Dlatego wciąż zwraca się do Anglii, jego sonety są długim wynurzeniem miłości ku temu krajowi, ku któremu ma takie uczucia „jak kochanek i dziecko“, jedyne-
mu krajowi, na którym teraz „opierają się wszystkie nadzieje ziemi“ (*Sonnets dedicated to Liberty*. Part. I, Nr. 17 i 21). W sonetach swoich towarzyszy on ojczyźnie w jej walkach, na każde jej zwycięztwo pisze pieśń pochwalną, jak Southey; stąd jego sonety o swobodzie zamyka, nader charakterystycznie, wielką pompatyczną *Oda dziękczynna* na zwycięztwo pod Waterloo. Zapytujemy siebie dzisiaj, jaką to swobodę sprowadziła bitwa pod Waterloo; ale pojmujemy doskonale, że grupa poetów, której bohaterami narodowymi byli: Pitt, Nelson i sam Wellington, której pieśni pochwalne w oczach konstytucyi angielskiej, jako swobody samej, i w oczach Anglii, jako państwa wzorowego, miały najwyższe znaczenie, że ta grupa u znakomitej większości narodu mogła pozyskać taką popularność, jakiej nawet do dziś dnia nie udało się jeszcze osiągnąć ich wielkim przeciwnikom poetycznym. Dla tamtych naród, jaki był wówczas, był ideałem, ci chcieli swój zmusić do tego, aby skierował oko na nieosiągnięty jeszcze, ba nawet na niepoznany jeszcze ideał; tamci pochlebiali narodowi i na-

gradzano ich wawrzynami, ci wychowywali i karcili go i wyrzuceni zostali z jego łona. Kiedy Scottowi ofiarowano godność „poety laureata“ a sprawował ją tak Southey, jak i Wordsworth, tymczasem naród angielski aż do obecnej chwili żadnem świadectwem publicznem nie spełnił jeszcze obowiązku swego względem Shelleya ani Byrona ¹⁾. Powód jest ten, że ich pojęcie o swobodzie tak różnem było od pojęcia szkoły Jezior. Według nich idea swobody nie urzeczywistniła się w pewnym kraju albo w pewnej konstytucyi, nie istniała jako rzecz gotowa; według nich walka o swobodę nie urzeczywistniła się też w wojnie, egoistycznej z początku, przeciw rewolucyjnemu zdobywcy; czuli oni głęboko, ile to nieswobody tak politycznie, jak i duchowo, religijnie, jak i socjalnie, wzrosnąć może i dojrzeć pod tak zwaną swobodną konstytucją. Nieskłonni do pisania pieśni pochwalnych o tem, jak daleko zaszłaby na tej drodze ludzkość a zarazem i ich ziomkowie, pod tak zwanym rządem swobody dopatrzyli oni głęboką i palącą potrzebę swobody, potrzebę swobody pod wszelkim względem: myślenia bez uwagi na dogmaty, pisanie bez płaszczenia się przed opinią publiczną, działania zgodnego z najgłębszą ich indywidualnością, nie podlegając kontroli tych, którzy sami nie posiadając zgola własnej osobistości, okazywali się najgłośniejszymi i nielitościwymi sędziami błędów charakteru, połączonych z samodzielnością, oryginalnością i geniuszem. Widzieli oni, że kasta panująca pod „swobodą“ jest obłudną i kłamie, wysysa i rabuje, knebluje i więzi, okuwa w kajdany i pęta, z równą złośliwością, jak to czyni przy swej nieograniczonej władzy oddzielny autokrata, a nie mając za sobą, jak on, powagi wielkiego umy-

¹⁾ W ostatnich dopiero czasach Disraeli, jako prezes *Byron Memorial Committee*, stanął na czele zbierających składki na posąg poety, który ma być wzniesiony na jednym z placów publicznych w Londynie.

słu i usprawiedliwienia geniuszu. Dla poetów szkoły Jezior przymus nie był przymusem, skoro tylko był *angielskim*; tyrania nie była tyranią, skoro była *konstytucyjnie-monarchiczną*; obskurantyzm nie był rzeczywistym obskurantyzmem, skoro wypływał z kościoła *protestanckiego*. Poeci radykalni nazywali przymus przymusem, nawet kiedy ten nad głową swoją trząsał narodową chorągwią Anglii i jako godło policyjne nosił kokardę angielską, gniew tamtych przeciw królom absolutnym rozciągali do królów w ogóle, życzyli oni sobie widzieć ziemię wolną nie tylko od rządów księży katolickich, lecz od opiekuństwa w ogólności. Kiedy widzieli, że poeci przeciwnej szkoły, którzy w zapale młodości zaszli byli tak daleko jak oni, z całą żarliwością kliki renegatów wysławiają torysowskie rządy Anglii, uważać ich mogli tylko za nieprzyjaciół swobody. Dlatego to Shelley w swoim sonecie do Wordswortha ubolewa, że „opuścił prawdę i swobodę; dla tego to Byron wobec Southeya czuje w sobie pokusę. „żeby go rozkroić jak dynię“, idła tego to zawsze w namiętności tych poetów do swobody tkwi święty gniew, szlachetny ogień, którego ani iskiereki znaleźć nie można w platonńskiej miłości swobody szkoły Jezior. Kiedy Shelley śpiewa do swobody:

Nad światło błyskawie zuchwalszy twój wzrok,
Nad ziemi trzęsienie bystrzejszy twój krok.
Natarciem zagłuszasz ty szal oceanu,
Spojrzeniem oślepiasz ty wybuch wulkanu,
A słońca pochodnia przy twojej tak błyska,
Jak błędne ogniki bagniska

czujemy, że ta swoboda nie jest rzeczą, którąby można uchwycić rękami, lub udzielić jako podarunek w konstytucyi, albo wnieść do akt w kościele państwowym, lecz że jest ona wiecznym postulatem ducha ludzkiego, nieprze-

dawnionem prawem człowieka do samego siebie, ogniem niebieskim, który Prometeusz jako iskrę złożył w sercu ludzkim, kiedy je urabiał, a które najwięksi poeci rozniecili w płomień, będący źródłem wszelkiego światła i wszelkiego ciepła dla tych, którzy czują, do jakiego stopnia grobowo ciemnem i lodowatym byłoby życie bez niego. Oto jest owa swoboda, która w każdym nowym stuleciu z nowym imieniem wypływa, która w wiekach średnich pod imieniem kacerstwa prześladowaną jest i wytępianą, w wieku szesnastym pod imieniem reformacyi napadaną i zwalczaną, w wieku siedemnastym skazywaną na stosy, jako czarniactwo i ateizm, w wieku osiemnastym pod formą filozofii podniesioną zostaje do ewangelii, ażeby podczas rewolucyi w postaci polityki stać się potęgą, a która nakoniec w naszym stuleciu przez przedstawicieli przeszłości piętnowaną jest nowoczesnem obelżywem imieniem radykalizmu.

Swoboda, którą wysławiają poeci szkoły Jezior, była pewną, *konkretną*, określoną sumą swobód, nie swobodą. Przeciwnie, co wysławiają poeci rewolucyjni, była to wprawdzie co do istoty swojej prawdziwa swoboda, ale swobodę tę pojmowali oni tak *abstrakcyjnie*, że w szczegółach zbyt często sięgali po nad cel. W osłabieniu wszelkich istniejących rządów widzieli tylko osłabienie złego rządzenia, w nawpół barbarzyńskich powstaniach uciśnionych plemion widzieli jutrzencę wiecznej swobody. Shelley był tak abstrakcyjnym, że uważał bitwę za wygraną, gdyby mógł jednym ciosem wytępić wszystkich królów i księży. a Byron późno dopiero na drodze doświadczenia dowiaduje się, jak małą miarę cnót republikańskich posiadali sprysiężeni w imieniu swobody europejscy mężowie rewolucyi. Mężowie szkoły Jezior, byli zabezpieczeni przeciw szlachetnym błędom i przedsmakom poetów radykalnych, ale potomność więcej doznała rozkoszy i korzyści z wybryków

miłości swobody ze strony tych, aniżeli z ograniczonej nakoń i ogrodzonej wolnomyslności tamtych.

IX.

Tu jest chwila wyznaczenia miejsca człowiekowi, który był największym nieprzyjacielem Byrona i Shelleya, a najlepszym przyjacielem Coleridge'a, i który biorąc ogólnie, jako najwydatniej górujący romantyk, stoi blisko obok Coleridge'a, jakkolwiek jego utwory pod względem wagi i treści stoją daleko po za utworami jego przyjaciela.

Robert Southey urodzony w Bristolu r. 1774, był synem tamiecznego kupca handlującego płótnem i przez całe życie swoje zachował piętno przypominające, że przyszedł na świat wśród ciasnych stosunków i z ciasnym widnokresem przed oczyma. Po krótkich studiach w Oxfordzie, podobnie jak inni poeci szkoły Jezior, uniesiony został prądem ducha rewolucyjnego; w r. 1794 utworzył nawskroś jakobiniczny poemat: *Wat Tyler* ¹⁾. Porzuciwszy wraz

¹⁾ Jako napis nad pokojem, w którym siedział uwięziony morderca króla Martin, napisał około tego czasu następujące wiersze:

For thirty years secluded from mankind
Here Martin lingered. Often have these walls
Echo'd his footsteps, as with even tread
He paced around his prison. Nnt to him
Did Nature's fair varieties exist;
He never saw the sun's delightful beams;
Save when through yon high bars he pour'd a sand
And broken splendour. Dost thou ask his crime?
He had rebell'd against the King, and sat
In judgement on him, for his ardent mind
Shap'd goodliest plans of happiness on earth
And peace and liberty. Wild dreams! but such
As Plato loved etc.

z innymi plany wyemigrowania i pozyskawszy *swoją* miss Fricker, udał się w r. 1797 do Londynu. Od r. 1807 pobierał pensję państwową 150 funtów rocznie. Po śmierci poety Peya został „poet laureate“ z 300 f. rocznej płacy. To stanowisko, z którym łączyło się zobowiązanie opiewania wszelkich zdarzeń dotyczących domu królewskiego. regent ofiarował naprzód Walter-Scotowi, który w tym przedmiocie zasięgnął rady swojego łaskawcy, księcia Buccleugh. Odpowiedź księcia tak brzmiała: „Czyż pan mógłbyś wytrzymać, słuchając jak w dzień urodzin królewskich czereda chrapliwych i skrzeczących chórystów wygłasza pańskie wiersze w recitatiwach ku zbudowaniu biskupów, paziów, dam dworu i gwardzystów? Okropność, potrzykroć okropność!“ W skutek tego Scott odmówił przyjęcia ofiarowanego mu zaszczytu, lecz zaproponował Southeya, jako poetę lojalnego i potrzebującego. Przez największą część życia zmuszony był żyć z pióra, a stąd pisał wiele rzeczy z konieczności zewnętrznej. Przy swojej pracowitości, oszczędny i ozdobiony wszelkimi dobrymi

Na to wiersze Canning utworzył następnie tę pocieszną parodję: Napis nad celą w Newgate, w której siedziała uwięziona mis Brownrigge morderczyni ucznia:

For one long terme or ere her trial came,
Here Brownriggelinger'd. Often have these cells
Echo'd her blasphemies, as with shril voice
She scream'd for fresh geneva. Not to her
Did the blithe fields of Tothill, or thy street,
St. Giles, its fair varieties expand;
Till, at the last, in slow-drawn cart she went
To execution. Dost thou ask her crime?
She whipp'd two female prentices to deat
And hid them in the coalhole. For her mind
Shap'd scrietes plans of discipline. Sage schemes!
Such as Lyeurgus taught etc.

przymiotami domowymi, pozostawił kapitał 12.000 f. Jego romantyka, podobnie jak u Niemców, była daleką od wyłączenia cnót mieszczańskich i parafiańskich; przeciwnie, najdoskonalej harmonizowała z niemi. Wszak miała ona tak mało do czynienia z życiem; ale w zamian nie krępowała szanownej jego filisteryi w tem, aby fantazyę puszczał w najdalsze poloty orientalne.

W pierwszym okresie Southeya, wolnomyslnym, tkwiło widocznie coś pięknego i ciepłego w jego talencie. Miał natchnienie, miał otuchę. Jego epos z r. 1797 *Joan of Arc*, jest poematem, wynikającym z równie głębokiego współczucia ku bohaterce francuskiej, jakie w pięć lat później wynurzył Schiller w swoim dramacie *Dziewica Orleańska*. Jak *Dziewica Schillera*, tak i poemat Southeya jest przeciwnikiem do Voltaire'owskiej *Pucelle*—co większa, przyzwoity poeta angielski zapewnia nawet w przedmowie, że nigdy nie dopuścił się winy rzucenia okiem na ten poemat. W *Joannie d' Arc* Southey nie jest jeszcze romantykiem. Wzrok poety przebiega naprzód tu i owdzie aż do swoich czasów. W pieśni trzeciej wystawia panią Roland, jako kobietę heroiczną, która została męczenniczką swojej miłości ojczyzny; w pieśni dziewiątej — Lafayette'a, którego imię swoboda zawsze miłować będzie; a nawet w odmalowaniu czynów Joanny, całe odmiennie od Schillera, poeta unika wszelkiego odwoływania się do sprężyny magicznej. W głównem miejscu poematu (w pieśni trzeciej), gdzie *Dziewica* jest badana w przedmiocie wiary, ona, a przez jej usta poeta, tak zacie i tak otwarcie wyznaje cześć natury, że czujemy z całą głębokością, iż gruntem, na którym stoi i sam Southey, jest panujący nad całą ówczesną poezją angielską naturalizm. Kobieto, mówi ksiądz do Joanny:

Kobieto, ty zdajesz się szydzić
Z pobożnych modłów naszego kościoła;
I—jeśli dobrze zrozumiał tve słowa—
Mówisz, że ciebie samotność, natura
Twych religijnych uczuć nauczyła,
Że tobie teraz msze i rozgrzeszenie,
I święte ciało pańskie, są nieznane.
Jakże to bez nich mogłaby natura
Nauczyć ciebie prawdziwej religii?
Nie, grzeszyć tylko naucza natura;
Sam tylko kapłan naucza nas skruchy,
Tylko na jego wezwanie Piotr Święty
Otwiera bramę niebieską; on tylko
Wybawia duszę z mąk ogniów czyściowych.

Na to odpowiada dziewica:

Gdyby, ojcowie świętego kościoła,
W takich zawitych rzeczach proste dziewczę,
Jak ja, błdziło, nie kładzie tej zbrodni
Na karb krnąbrnego rozumu, co siebie
Sądzi mocniejszym nad mądrość przedwieczną!
Zaprawdę, dawno już ja nie słyszałam
Tonu mszy, dawno drżącemi ustami
Ciała pańskiego jam nie przyjmowała;
Lecz ptaszek, który wesolą pieśń swoją
Ku pozdrowieniu zasyla jutrzence
W dzikiej melodyi szczęścia zdawał mi się
Daleko słodsze dźwięki pobożności
Wsnuwać do ucha, niżli kiedykolwiek
Górnio sklezione sale sztuki ludzkiej.
A przecież nigdy ja bez dziękczynienia
Dojrzałych jagód winnych nie zerwała,
Nie pomyślawszy o Bogu, co taką
Niekrwawą dał mi biesiadę. Wy mi powiadacie,
Że nas natura uczy tylko grzeszyć:
Czyliż jest grzechem choremu jagnięciu
Zawiazać rany i zwilżyć je lekko
Łzami mojemi? A tego natura
Mnie nauczyła. O nie, nie, ojcowie,
To nie natura naucza nas grzeszyć

Natura cała to dobro, wdzięk, miłość!
 W cienistej ciszy zielonego lasu
 Niema występku, co w gniewne policzki
 Weiska rumieniec krwi; nie ma tam nędzy,
 Niema tam biednej matki, która błąda,
 Wychudła, patrzy na zgłodniałe dziecię
 Takim bolesnem, schorzałem spojrzeniem
 Że jej karząca wymowa tam kiedyś
 Pozwie przed sądy możnych tego świata.

Uważny czytelnik już w tym małym ustępie deklamacyjnym będzie mógł dostrzedz nie tylko echo namiętności rewolucyjnej z tamtej strony kanału, która tu przekształconą została w angielski kult natury, lecz oraz brak w młodym poecie zdolności nadania swojemu przedmiotowi rzeczywistej barwy miejsca i czasu. Francya i wieki średnie są tu dla niego tem, czem później miał być dla niego Wschód i świat baśni—kostiumem, pod którym każe działać swoim ideom angielskim i protestanckim. Jednakże potrzeba było pewnej odwagi, ażeby w owym czasie, kiedy narodowa nienawiść przeciwko francuzom była tak żywa, wysławiać narodową bohaterkę wroga, i poemat, pomimo oschłości swojej, tak w uczuciu jak i barwie, jest dziełem, przynoszącem zaszczyt młodemu poecie, ale duch, który jego zdolnościom nadał tu wyższy polot, wkrótce zniknąć miał z poezyi Southeya.

Im bardziej z duszy jego ustępował bezinteresowny zapal młodoci do wielkich zadań i marzeń ludzkich, tem bardziej poczuwać zaczął popęd do zastąpienia tej oschłości przez inny środek: przez zapłodnienie jej strumieniem czysto zewnętrznej romantyki. Stopniowo zdobył sobie już poprzednio panowanie nad środkami językowymi: był w stanie pisać wiersze lekkie, lecz melodyjne i przy całej chwiejności i monotonii nader dźwięczne. Otóż to pieściwą i giętką formą osnuwał wszystkie zabobony Arabii

i wszystkie fantastyczne marzenia Wschodu, i z takiej to mieszaniny powstały główne jego dzieła: *Przekleństwo Kehamy* i *Thalaba, niszczyciel*. Kierunek ku Wschodowi, jest kierunkiem powszechnie romantycznym, znajdujemy go równocześnie u Oehlenschlägera (*Aly i Gulhyndi*) i, kiedy ten ruch doszedł do Francyi, u Wiktora Hugo (*Les orientales*). Ale co szczególnie wabić musiało poetów angielskich ku Wschodowi, to bezbarwne życie protestanckie w ojczyźnie ze swoim surowem i zimnem dekorum. Potrzeba było jednak irlandczyka, Tomasza Moore'a, kolorysty z celtycką krwią w żyłach, ażeby, chociażby tylko w przybliżeniu, zrozumieć naród i świat baśni, jakim był świat staroperski i w mowie angielskiej przedstawić naturę wschodnią stylem niejako obsypanym klejnotami i barbarzyńskimi ozdobami. *Lalla Rookh* nie jest arcydziełem, a jest zbyt europejskiem i humanicznym w charakterach i rozmyślaniach, ale *Thalaba* w porównaniu z *Lalla Rookh* jest nadzwyczaj mdłym utworem i tak powściągliwo przyzwoitym, jak kazanie angielskie. Poemat ten, który w swoim czasie zażywał pewnej sławy, grzeszy krzyżcem przeciwieństwem pomiędzy pstremi błyskotkami sceneryi, a trzeźwą zaernością uczuć. Znajdujemy się tu z jednej strony w świecie nie mniej najeżonym przygodami, niż świat *Tysiąca i jednej nocy*; ale zarazem w świecie, gdzie nieprzerwanie słyszymy naukę monoteizmu i filantropijnej moralności. Życiem bohatera kieruje najspeyalniejsza opatrność. Kiedy ma on opuścić dom opiekuna swego, na to potrzeba aż takiego faktu, że chmara syryjskiej szarańczy, ścigana przez stado ptaków, przelatuje nad domem, jeden z ptaków upuszcza z dziobu szarańczę, która pada pod nogi Thalaby, a na jej czole wypisano drobniutkimi wierszami:

„Kiedy się słońce zaćmi o południu,
 Wtedy się wynieś, synu Hodeiraha!”
 (Pieśń III, strofa 32).

Ale poeta, urządzając tak awanturniczą sceneryę, w tymże samym czasie nie omieszkiał zabezpieczyć czytelnika, jak w Joannie d'Arc, od błędnych poglądów religijnych miejsca i czasu. Wszystkie jego główne osoby wobec swoich religij wschodnich są racjonalistami i nader mało braknie, ażeby byli dobrymi protestantami. Kiedy ukazuje się szarańcza, opiekun Thalaby, Mooth, mówi (Pieśń III, str. 29):

Czy ty myślisz,
Że zapach wody, rzucony na jakiś
Meczet syryjski przez słowo zakłęcia,
Które tylko tłuszcze durzy,
Tu ją sprowadził z Korasanu?
Nie, Allah, który stworzył ją na karę.
Na plagę, tu wskazał jej drogę.

Rodowity arab nie mógłby wyrazić się krytyczniej. I tak wszędzie. Southey nagromadza motywy fantastyczne, ażeby następnie — jeżeli sam znuży się nimi, albo jeżeli mu się zdaje, że czytelnikowi nauka nie będzie do smaku, przeciąć je od razu tym lub owym tekstem ewangelii. Thalaba nosi na palcu talizman, który go ochrania od złych duchów. Dlatego też wszystkie usiłowania złego ducha, Lababa, zmierzają do tego, ażeby wyłudzić od niego pierścień. Raz np. próbuje zdjąć mu z palca, kiedy spał. Ale jakiś dobry geniusz nasyła osę, która zadaje Thalabie mocne ukąszenie tuż nad pierścionkiem, tak, że niepodobna ściągnąć go przez miejsce napuchnięte. W podobny sposób jego plany doznają ciągłego pokrzyżowania. Nakoniec straszliwemu czarownikowi Moharebowi udaje się oszołomić młodzieńca. Przemożony przez niego kilkakrotnie czarownik sztydzi sobie z niego, że nieprzyjaciela nie mógł pokonać w otwartym polu, lecz tylko za pomocą talizmanu i chytrością swoją dokonywa tego, że

Thalaba pierścień swój rzuca w otchłań. Następnie walka rozpoczyna się na nowo. Spodziewaliśmy się, że teraz musi ugiąć kolano, stojąc bezbronny wobec siły nadprzyrodzonej. Ale nie: Thalaba pomimo to zwycięża. Jak i dlaczego? Wypowiada to głos z nieba: Ponieważ pierścień nie był prawdziwym talizmanem, prawdziwym talizmanem jest wiara (Pieśń V, nr. 41). Ale na cóż cały ten aparat? Poeta prowadzi nas po pieczarach podziemnych, gdzie odcięte głowy ludzkie muszą być rzucone węzom strzegącym wejścia, gdzie utrzymać można świecę palącą się tylko wtedy, jeżeli wędrowiec włoży ją w odrąbaną rękę ściętego mordercy i t. d., słowem po świecie, w którym dzieje się zupełnie inaczej, aniżeli w państwie brytańskim. Ale całość — to tylko balet, nagle następuje zmiana sceny: garderoba wschodnia znika i sufler odczytuje artykuł wiary. Następnie znów zaczyna się balet. Scena przedstawia ucztę ze zbyt kowną zastawą, z przepysznyemi winami w złotych naczyniach, winami, „rózowemi, jak jutrzienka“, a lśnącemi szafranowo „jak słoneczna mgła wieczoru“, albo jak rubin i ambra. Ale cóż pomoże cała ta wabiąca wspaniałość? Thalaba jest zbyt dobrym muzułmaninem, aby dać się uwieść:

Ale Thalaba nie tknął napoju.
Wiedział on, że mu prorok zabronił
Tego napoju, który grzech płodzi.
Goście też w niego już nie wmuszali
Płynnego ognia drugi raz, bowiem
Z oczu młodzieńca patrzy żelazne
Postanowienie.

Ścisłe rzecz biorąc, *Niszczyciel* jest członkiem jednego z angielskich towarzystw wstrzemięźliwości; jako prawy tea-totaler chce on pić tylko wodę, a przytem zajadać ka-

wony (Pieśń VI, nr. 24). Następnie scena napelnia się figurantkami:

Trupa tancerek wcisła się w rzędy
Ze dzwoneczkami w około stóp,
Które dzwoniły lekko do taktu.
Przejrzyste suknie z zuchwałym bezwstydem
Sprzedajne wdzięki ich wykrywały
Wśród pochotliwej gry ruchów mimicznych.

Nie obawiajmy się, Thalaba jest zarliwym przeciwnikiem arabskiej poligamii, i nasz młody wędrowny anglik ubraja się myślą o swojej narzeczonej w ojczyźnie:

I obejrzał się Thalaba,
Lecz w sercu jego był talizman;
Którego święta alchemia
Ponęty wabnej sceny
W enotliwy poryw zmieniała:
Przed jego okiem przepłynął obraz
Oneizy, słodkiej dziewczyny Arabii.

Thalaba ukazał się w Anglii prawie w tym samym czasie, kiedy w Danii wyszedł na widok publiczny *Aladdin*, (*Kehama* odnosi się do r. 1801, *Aladdin* do 1804, *Thalaba* wyszedł w r. 1810). Jak zimno, jak rybko wygląda on w porównaniu z duńskim bratem swoim! Osiąga swój cel, zeni się ze swoją „dziewczyną arabską“. Dlatego, ażeby wszystko było prawdziwie ascetyczne i religijne, jego luba umiera tej samej nocy. Ażeby wszystko nabrało zacięcia wschodniego, *Thalaba* zmuszony zostaje przez fatum arabskie zabić młodą, niewinną dziewczynę, imieniem *Laila*. Aby wreszcie wszystko zakończyło się prawdziwie ewangelicznie, kończy on na tem, że w patetycznej mowie żałobnej przebacza czarownikowi, który jest sprawcą wszystkich jego nieszczęść, tym samym, którego szuka

przez całe swe życie dla pomszczenia śmierci ojca, a który teraz nie jest w stanie wymknąć mu się:

Starcze—mówi *Thalaba*—nie zabijam ciebie!
Bo krzywda mnie i moim przez ciebie zadana,
Już w samej sobie gorzką kryła karę.

O *Thalabo*, ty przemawiasz jak książka, ale jak jedna z tych książek, które się zamyka. Zamknijmy ją i zwróćmy spojrzenie pożegnalne na autora. Nawet *Thackeray*, który *Southeya*, jako człowieka charakteru, wychwala do najwyższego stopnia, co do głównego jego dzieła musi wyznać, że w walce pomiędzy *Thalabą* a czasem, podobno ten ostatni, *niszczyciel* utrzymał pole bitwy. Chciałbym wiedzieć, ilu też z żyjących dziś anglików czytało ten poemat. Potomności imię *Southeya* jest i pozostanie znanem jedynie z historycznych jego wycieczek przeciw *Byronowi* i z boskich odwetów tegoż. *Widzeniu Sądu* *Southeya* winniśmy podziękować za *Widzenie* *Byrona* i przez wzgląd na to ostatnie chętnie wybaczymy mu tak *Kehamę*, jak i *Thalabę*.

A przecież, jakkolwiek te poematy tyle zawierają częściej fantasterii, do malowania natury nie rozciąga się ona w takim stopniu, jak u romantyków w Niemczech. Nawet wśród wszystkich tych romantycznych obłądów nie ginie trzeźwa zdolność naturalistyczna. Jak piękną jest zaraz pierwsza strofa poematu w opisie nocy w pustyni, której łagodny spadek tonu *Shelley* w latach młodości naśladował w swój *Królowej Mab*:

O, jak wspaniała jest ta noc!
Rosą, świeżością tchnie powietrze;
Mgła nie zakłóca, chmurka nie mroczy
Niebios wesela.
W przepychu pełni roztacza księżyc
Błękitną głębię tam.

W promieniach jego drzemie
 Pustyni szary krag;
 Niebem, jak morzem opięty!
 O, jak wspaniała jest ta noc!

Śpiew karawany w piątym akcie *Aladdina* nie daje nam piękniejszego obrazu blasku księżyca na piasku pustyni. A takich obrazów znajdujemy u Southeya nie mało. Kiedy opisuje trwożliwą antylopę, która słyszy krok wędrowców i staje wahająca się, dokąd zwrócić się ma przy niepewnym świetle zmierzchu; albo strusia, który w ślepym pośpiechu pędzi wprost naprzeciw nich, a tymczasem nad pustynią obsiadają ruchome mgły nocy (Pieśń IV, nr. 19), to nie jest wcale scenerya w stylu niemiecko-romantycznym, lecz wierny obraz natury Wschodu, wykonany na podstawie obserwacyjnego ducha angielskiego.

Współcześni i przyjaciele Roberta Southeya o jego charakterze gorętsze złożyli świadectwa, aniżeli skądinąd co do człowieka tak wątpliwej opinii politycznej i literackiej można się było spodziewać. Dla Wordswortha był on przyjacielem godnym zaufania, dla Coleridge'a najlepszą podporą, co niemało waży na szali; Walter Savage Landor, pomimo swojego wręcz odrębnego stanowiska politycznego, zaszczycał go przyjaźnią, która zagasła dopiero ze śmiercią, i która w *Imaginary Conversations* Landora wystawiła dla siebie więcej niż jeden pomnik. Kiedy Emerson dnia 15 maja r. 1833 był na obiedzie u Landora, napisał tak: „Jadłem obiad u Landora, dręczył mnie Southeyem, ale któż to jest Southey?” — Widzimy, że Landor usiłował wytworzyć prozelitów dla swego przyjaciela. Nakoniec Thackeray, poszukując typu angielskiego dżentelmana, nie wahał się wziąć za wzór biednego, pilnego i mocnego Roberta Southeya.

Ale żadne świadectwo na korzyść osobistego charakteru Southeya nie będzie mogło ocalić jego charakteru

literackiego. Przez jego pieśni pochwalne na dom królewsko-angielski i jego denuncyację na Byrona, charakter ten został napiętnowany raz na zawsze. Że podobnie jak inni członkowie szkoły Jezior, przybrał zimną i wrogą postawę przeciw temu zjawisku literackiemu, było to rzeczą naturalną. Ale że on sam poeta, wiarołomnem oskarżeniem o niemoralność i niereligijność poduszczał popółstwo przeciwko innemu i tak nieskończenie wyższemu nad siebie poecie, to jest zbrodnia, której nie przebaczy mu historya i którą karze tym sposobem, że imię Southeya zachowuje jedynie w przypisku do działalności Byrona.

Kiedy ukazał się *Don Juan*, Southey pisze: „Nie jestem ślepy na to, że publiczność jest szczególnie nietolerancyjną względem prób reformy literackiej, ale życzyłbym sobie, ażeby nietolerancya literacka wpływała ze zdrowszego sądu i tyczyła się więcej moralności dzieła, aniżeli jego kompozycji, więcej ducha niż formy. Życzyłbym sobie, ażeby skierowała się przeciwko potwornej mieszaninie zgrozy i szyderstw, niemoralności i bezbożności, którą tak jest skalana poezya angielska naszych czasów. Przeszło od lat pięćdziesięciu literatura angielska odznaczała się swoją czystością moralną, będącą skutkiem, a z kolei znów przyczyną poprawy obyczajów ludu. Ojciec bez niebezpieczeństwa mógłby być każdą nowo wydaną książkę dać do rąk dzieciom, jeżeliby tylko na karcie tytułowej nie miała widocznego znaku, że obliczoną jest na obieg w domach nierządnych. Chodziło jedynie o to, ażeby dzieło miało na tytule nazwisko zanego nakładcy, albo ażeby jakiś zany księgarz przysyłał je swoim klientom. Szczególniej tak się rzecz miała z poezją. Teraz już tak nie jest, i biada temu, od którego pochodzi zgorszenie! Im większym jest talent gorszyciela, tem większą jest jego zbrodnia i tem dłużej trwać będzie jego hańba. Chociaż tedy prawo nie byłoby w stanie zapobiedz tego rodzaju zle-

mu, albo było stosowne tak ospale i nieprawidłowo, że sławie gorszyciela zapewniało bezkarność, jednakże każdy pamiętać powinien, że takich zgubnych dzieł ani by ogłaszano, ani pisano, gdyby w uczuciu powszechnem spotkały taki opór, jaki spotkać powinny. Każdy, kto kupuje takie książki, albo wpuszcza je w swoje progi, pomnaża zle i tym sposobem staje się współwinnym zbrodni. Ogłoszenie książki niemoralnej jest jedną z najcięższych krzywd, jaką wyrządzić można dobru społeczeństwa. Jest to grzech, którego skutków granicy oznaczyć niepodobna, i których żaden późniejszy żal naprawić nie może. Bo chociażby autor cierpiał niewiem jakie zgryzoty sumienia, kiedy przyjdzie jego godzina, a przyjść musi, będzie to bezskutecznem. Najrozpaczliwsza skrucha na łożu śmiertelnem nie zdoła zniszczyć bodajby jednego egzemplarza książki. Ludzie ze słabem sercem i zepsutą wyobraźnią, którzy wytworzyli sobie systemat poglądów, licujących z godnem pożałowania ich usposobieniem, ludzie podnoszący rokosz przeciw najświętszym prawom społeczeństwa i nienawidzący religii objawionej, względem której, pomimo wszelkich wysiłków i przechwalek, nie są w stanie zachować się całkiem niewierząco, pracują nad tem, ażeby innych uczynić równie nędznymi, jak samych siebie, zarażając ich umysły jadem swej duchowej posoki. Szkołę, którą wytworzyli, najstosowniej nazwaćby można szkołą *szatańską*, albowiem chociaż ich plody w gorszących ustępach swoich tchną duchem Beliala i duchem Molocha we wstrętnych obrazach okrucieństw i okropności, które przedstawiają ze szczególniejszem upodobaniem, wszelako najwydatniej charakteryzują się oni duchem pychy *szatańskiej* i zuchwałej bezbożności, zdradzającym pomimo to nieodłączne od niego smutne uczucia braku nadziei.

Przytoczyłem taki rozległy okaz tego biblijnego krasomówstwa dla tego, że jest tak typowym w rasie autora.

Ten moralistyczny rosół zawiera dosyć posilnego ekstraktu na cały tuzin artykułów wstępnych w organach antilibealnych i każde wynurzenie się potężnego ducha stronniczego ma swoją wartość w dziejach kultury. Ale czyliż nie była to Nemezys dla Southeya, że pewien księgarz w r. 1821, w tym samym roku, kiedy wypuścił tę salwę, wpadł na myśl zapewnienia sobie pewnego zysku przez tajemne oddrukowanie rewolucyjnego „Wat Tylera“ tak, że poeta musiał zwrócić się do sądów, aby wyjednać wstrzymanie nakładu i ukaranie sprawcy i że lord Eldon odrzucił skargę, ponieważ nie uważał za słuszne popierać prawo autora, gdzie szło o utwór wprost szkodliwy i podkopujący moralność.

W tym samym też roku Southey napisał przy zgonie chorego na umyśle króla, Jerzego III, długi poemat heksametrem *Widzenie Sądu*, poemat, który nietylko z podobieństwa przedmiotu, lecz oraz z jednogłównego sposobu użytkowania sprężyny nadprzyrodzonej, stanowi ciekawą paralełę do legitymistycznego poematu Wiktora Hugo — *Widzenie*. Dosyć charakterystyczną jest tu apoteoza biednego, starego Jerzego III za jedyne cnoty, które posiadał i które sam Southey umiał uszanować, za cnoty domowe i obywatelskie, że był wiernym żonie, dobrym dla dzieci i t. p., przymioty, niestanowiące jeszcze ani dobrego króla, ani dobrego poety. Dla Byrona było to już przepełnieniem miarki. Obrażony Apollo powstał w gniewie swoim, z niepodobnym do opisanja humorem porwał Marsyasza za uszy i odarł go żywcem ze skóry w swoim *Widzeniu Sądu*.

X.

Od Southeya zwróćmy się do lepszego człowieka, do poety, który brytańską romantykę ukształtował na gruncie natury ludowej i historyi, który nie był zmuszony, jak mężowie szkoły Jezior, zostać renegatem, ażeby być konserwatywnym pod względem religijnym i politycznym, lecz który nie tchnął ani nienawiścią, ani gniewem ku odwrotnemu kierunkowi, czysty i spokojny w swem przyrodzonym usposobieniu, szlachetny i stały w charakterze, uposażony tak bujnym talentem poetycznym, że w ciągu przeszło dwudziestu lat wszystkie kraje Europy zaopatrywał zdrową i zajmującą lekturą, a tak głęboko oryginalny w swoich poglądach na rasy ludzkie i dzieje świata, że wpływ jego na dziejopisarstwo europejskie był nie mniejszy, aniżeli wpływ na powieściopisarstwo we wszystkich krajach ucywilizowanych.

Walter-Scott urodził się, jako dziewiąty syn starszylacheckiej rodziny, 15 sierpnia r. 1771 w Edynburgu. Ojciec jego był prawnikiem i swoim surowym zmysłem porządku zdawał się przedstawiać pewne podobieństwo z ojcem Goethe'go. Syn, jak mówią, odmalował go, jako starego kupca w *Rob Roy'u*. W rodzinie jego panowała ściśle monarchiczna tradycja, naprzód jako przywiązanie do Stuartów, następnie do domu hanowerskiego i najściślej uległość kościołowi. Młody Walter był dzieckiem zdrowem i mocnem, aż oto w drugim roku nagle prawa jego noga uległa okaleczeniu. Spokojność umysłu, z jaką tę chromość znosił przez całe życie, przedstawia godny uwagi kontrast wobec namiętności, z jaką odczuwał podobną przeciwność wielki jego współzawodnik angielski. Wzrastał wśród zapалу do sprawy wygnanego domu królewskiego i do pieśni ludowych, z ich podaniami o góra-

lach i szkotach; jeszcze w wieku młodocianym potrafił wygłosić z pamięci długie ustępy z owej ballady Hardknut, którą w r. 1815 miał wycisnąć lzy z oczu Byrona. Wszystkiego tego, co było anegdotowem, a szczególnie w formie rymu, albo ballady wyuczał się z łatwością i odwrotnie, mamy wyraźną wzmiankę, co już zapowiada charakter późniejszych jego utworów, że trudno mu było przyswajać sobie daty chronologiczne i *zasady ogólne*. Mały kulawy chłopiec, który ciągle przejeżdżał się na kucyku (pony) wielkości zwykłego lichego psa, znał doskonale zbiór starszokockich pieśni i fragmentów biskupa Percy; nadto co jeszcze godniejsze uwagi, *zbierał* dawne poezye, jak inne dzieci monety i pieczęcie, i w dziesiątym roku życia zgromadził już kilka ich tomów. Przez całe też życie polował na ballady. Również wczesnie wzbudził się zmysł do otaczającej natury, jak i do poezyi. Zatrzymywał się przy każdym dawnym zwalisku, przy każdym pomniku, a nawet przy każdym starym kamieniu; ale nie rozważał natury z właściwą Wordsworthowi czułością, dla niej tylko samej, jako natury, miała ona dla niego przeważnie poetyczny i dziejowy interes. Grupa starych drzew w gąszcz zrośniętych nie mogła sama przez się w sercu jego wzbudzić wrażenia bogobojności, jak w sercu Wordswortha, ale jeżeli tam wypisano kiedyś: „Pod tem drzewem odpoczywał Karol II“—albo: „To drzewo uświęcone jego wspomnieniem o Maryi Stuart“,—wówczas odcinał z drzewa gałązki na pamiątkę odwiedzenia tego miejsca i nie zapomniał o niem nigdy. W piętnastym roku życia zapoznał się z malowniczymi wyżynami szkockimi, które tak wielkie pozyskać miały znaczenie w jego poezyi, nadając postaciom jego poematów tło nowej, nieznanej Europie sceneryi. Od chwili, kiedy przeświadczył się o swoim przymiocie, jako poety, studiował przyrodę zupełnie tak, jak studia swoje podejmuje malarz. Jeżeli chciał opisywać jakąś okolicę,

wtedy udawał się tam umyślnie, nakreślał jaknajściślej widok gór, położenie i formę lasów, a nawet charakter obłoków w odnośnej chwili, ba niekiedy nawet każdy z osobna kwiatek i krzewinę, rosnącą na drodze lub u wejścia do jaskini. Poetyczny pogląd na przyrodę, wspólny mu z romantykami Niemiec i Danii, nie wyłącza najsilniejszego realizmu i najściślej wyrazistości w malowaniu; kiedy Oehlenschläger przez długi czas mógł się obchodzić „niezapominajką“ i różami, tymczasem Scott znał każdy pagórek, każdy parów, każdy strumyk, każdą skałę, każdy kamień, każdą ścieżkę ¹⁾ i całą florę szkocką.

Jednak swego powołania, jako poety, Scott nie był świadom jeszcze dość jasno, wyrabiał się on na pilnego i żarliwego jurystę, piszącego swoje akta zdobną ręką prawniczą i prawniczymi zakrętami, którymi później przebiegał na papier tyle dzieł poetycznych. Pomimo kalectwa miał ciało zdrowe, smagłe i silne a tak był wprawnym w ćwiczeniach ciała, że raz na samotnym gościńcu przez całą godzinę bronił się kijem przeciw trzem łotrom, którzy go napadli. Ale, co wysoce charakteryzuje duchową jego budowę, z tem zdrowiem nie była połączoną odpowiednią subtelność organów. Zmysłu powonienia brakło mu zupełnie, a homeryczny jego apetyt wcale nie był łakotliwy; przez całe życie nie był w stanie odróżnić dobrego wina od złego, ani poczuć w smaku różnicy pomiędzy lichą a wybornie przygotowaną potrawą, i na tym punkcie przedstawiał najwybitniejsze przeciwieństwo z młodszym współczesnikiem Keatsem. W stosunku swoim do drugiej płci był tak oziębłym, że z powodu tej oziębłości musiał znosić nieraz żarty przyjaciół; pomimo to jednak w latach młodzieńczych żywił on romantyczne

¹⁾ Zob. *Marmion*, pieśń IV, nr. 23, gdzie sam użył tego wyrażenia.

uczucia ku pewnej młodej damie, która oddała swą rękę innemu, ale tak doskonale panował nad sobą, że zgoła nie domyślano się tego. Wkrótce pozbył się tej boleści i po nieskazanej i beznamietnej młodości ożenił się w 26 roku życia z protestanką francuską, mis Carpenter, której ojciec umarł był podczas rewolucyi. Zimę z r. 1796 na 1797 spędził wśród powszechnej obawy wyładowania francuzów, na wystawianiu pulków ochotniczych, a że był całą duszą oddany sprawie, przeto mianowano go kwatermistrzem i sekretarzem pulkowym. Wspomnieliśmy już o jego tłumaczeniach z niemieckiego. Scott, który przez tak długi czas był żyjącym magazynem pieśni, ballad i opowiadań, wydał teraz, w r. 1803 zbiór szkockich pieśni ludowych (*Minstrelsy of the Scottish Bard*), które poświęcił ziemi rodzinnej „lepszej połowie Albionu“. Część trzecia *Nowsze nadsładowania* zawiera poezye samego wydawcy ¹⁾. Krytyka tego dzieła zrobiła proroczą uwagę, że zawiera ono materiały na sto romansów.

Przy całej swej wierności dla domu królewsko-angielskiego, czuł się on zawsze szkotem; co więcej, nie ulegał wątpliwości, że piętno rasy szkockiej stanowi wałą podstawę jego oryginalności. Już sam poetycko - dziejowy interes, który u niego przerywa wszelkie tany, jest szkocki. Po wszystkie czasy żadne znamię ogólne u szkotów nie było tak wybitne, jak gorące i namiętne uczucie narodowości. Owe godło „perfidum ingenium Scotorum“, które od czasu wieków średnich przez całe stulecia było ustalonym wyrażeniem o mieszkańcach Szkocyi, pierwotkowo nie miało innego znaczenia. Jeżeli pominiemy na chwilę ten wewnętrzny odłam stronnictw w Szkocyi, który nie obala uczucia wspólności państwowej, tedy trudno bę-

¹⁾ Tegoż właśnie roku w literaturze duńskiej Oehlenschläger debiutował również zbiorem dawnych pieśni ludowych.

dzie znaleźć w jakimkolwiek innym kraju taką solidarność, jak w tym małym ludzie, którego był polityczny zespolony jest z bytem innego, znacznie większego, mówiącego tym samym językiem i rozciągającego nad nim panowanie. I anglik posiada żywe uczucie narodowości, ale uwydatnia się ono nie tak silnie; jest natury czysto pozytywnej i ma za treść swoją—bogata pełnię tego wszystkiego, czem podług wyobrażenia anglika odznacza się jego naród. Przeciwnie, uczucie narodowe szkota jest nieustannie czujnem, wciąż stojącym na posterunku, ponieważ co do istoty swojej jest natury ujemnej. Jeżeli anglik mówi: jestem anglikiem, tedy rozumie to, co mówi; ale jeżeli szkot powie albo pomyśli: jestem szkotem, tedy wyrazy te w ustach jego znaczą: nie jestem anglikiem ¹⁾. Ażeby dobrze zrozumieć to uczucie, potrzeba wziąć na uwagę małą liczbę szkotów w porównaniu z liczbą potężnych ich sąsiadów. Jeżeli wiemy, że jeszcze w r. 1707 cała ludność Szkocyi nie przerosła miliona, to łatwo pojąć, że potrzeba było głębokiego uczucia spójności, uporu i energii odpornej, ażeby rasa mniej liczna odrębności swojej nie ujrzała zalaną albo wypartą ze strony południa. A tak przyszło do tego, że dziką i niegościnną Szkocyę w przeciwieństwie do zielonej i żywej Anglii umiłowano w sposób odznaczający i uczczono polemiczną prawie miłością ojczyzny jej góry, błonia, mgły i bagniska. Zadziwiać nas tedy nie powinno, że Szkocya, kiedy w tym kraju urodził się wielki poeta epiczny, zwłaszcza w czasie, kiedy w całej Europie poezję przenika uczucie narodowe, wydaje najpierwsze i najpotężniejsze plody historycznej i ludowo psychologicznej romantyki. Cóż było naturalniejszego dla poety tego kraju, jak zagłębić się w typowe obyczaje górali i odmalować je z ich efektownym kostiumem? Cóż było naturalniejszego dla

(¹ Masson, *Scottish Influence in British Literature*.

człowieka, na którym samo już nazwisko jego zdawało się wyciskać piętno wcielenia ciśniejszej ojczyzny, jak uciec się do przeszłości do jej pomników i wspomnień, ażeby niejako mniejszą liczbę i znaczenie jej synów w teraźniejszości wynagrodzić, przedstawiając ich życie w przeszłości i czyny dziejowe?

Odznaczającą więc cechą szkockiego uczucia narodowości był naprzd jego charakter jako uczucie ogółu: lud prowincjonalny więcej ciążył do substancji plemiennej, nie pojmował tak wybitnych przeciwieństw, jak naród główny. To energiczne uczucie pokrewieństwa swoich ziomków Scott odmalował w wielu miejscach, nigdzie piękniej, jak w trzeciej części powieści *Wieżenie w Edinburgu*, gdzie to zdrowe i piękne uczucie biedną dziewczynę wiejską natchnęło naiwną odwagą zwrócenia się o pomoc do księcia Argyle, jakby do pokrewnego. Ale szkockie uczucie narodowe miało inny jeszcze rys główny, mianowicie taki, że w istocie swojej było partykularyzmem, a jako partykularyzm, było nienowożytnem, tradycyjnem, a więc spokrewnionem ze wszelkimi starymi tradycjami. Stąd u Scotta ten przesadzony hołd dla władzy królewskiej i jej atrybutów. Kiedy był członkiem komisji badawczej w przedmiocie dawnych regaliów szkockich, odnalezienie ich wprowało go w tak żywe i pobożne wzruszenie, że gdy jeden z urzędników na próbę chciał włożyć koronę na głowę pewnej młodej damie, nie mógł się on powstrzymać od wykrzyknienia: „Nie, na miłość Boga, nie!“ Pierwszy wielki partykularyzm pociągnął za sobą cały szereg dalszych. W tym samym czasie, kiedy niewielu mieszkańców kraju posiadało uczucie wszechwspólności Szkotów, dzielili się oni na stronnictwa i obozy. Pojęcie jednostki o obowiązku zlania się w substancją ogólną zaczęło się nie w państwie, lecz w plemieniu, w klasie, ba nawet w rodzinie.

Dla tego też spotykamy u Scotta, jako zbieracza ballad, szczególniejsze upodobanie do tych utworów, które opowiadają czyny, dokonane przez pokrewnych plemieniem albo przez przodków poety. Dla tego też w swoim charakterze szkota posiada on najwybitniejsze uczucie rodziny. Był wzorowym synem, wzorowym mężem, był, jak dowodzą jego listy do najstarszego syna, najczulszym ojcem, był dobrym ciałem i duszą wychowawcą dzieci, wkładającym na nich jedynie to zadanie, staroperskie, ażeby do brze siedzieli na koniu i mówili prawdę, ale i w tych nawet uczuciach nie jest on człowiekiem ducha nowożytnego. W jego życiu prywatnem, jak i w poezyi, ród stał u niego wyżej nad jednostkę. Miał brata, Daniela Scotta, który zginął, nie dopuściwszy się niczego sromotnego, ale dotknął czci swej rodziny. Temu zaginionemu bratu drogą korespondencji wyjednał małą posadę w Indyach Zachodnich, lecz w listach do jego przełożonego nazywał go zawsze tylko krewnym; również żądał od niego, aby nigdy nie mówił nikomu, jakiego rodzaju jest to pokrewieństwo i wręcz nie chciał go widzieć, kiedy tenże wrócił do Szkocyi, ani wymienić jego nazwiska, ani po jego śmierci znajdować się na jego pogrzebie, ani też wdziąć po nim żałoby. Jakie to błędy towarzyszą surowo-konserwatywnym enotom. Ale nikt dziwić się nie będzie, że człowiek, który skądinąd będąc tak łagodnego uczucia, tyle składał ofiar na ołtarzu pokrewieństwa, nie mógł stać się poetą indywidualności, lecz od jednego zamachu cofniętym został w przeszłość, kiedy wystąpił Byron.

W roku 1802 powstał *Edinburgh-Review* i Scott od początku dostarczał dodatków do tego organu, redagowanego przez jego współziomka Jeffreya, który jako krytyk tak wielką odgrywa rolę w życiu ówczesnych poetów, chociaż szorstki rozum bez giętkości i bez szkoły był jedynym talentem jego krytyki. Tymczasem współpraco-

wnictwo to trwało tylko lat siedem, kiedy w r. 1809 Scott, niezadowolony zbyt liberalną postawą dziennika w kwestyi katolickiej i zadraśnięty poniżającym ogłoszeniem Jeffreya o jego *Marmionie*, założył *Quarterly Review*. W r. 1805 ukazał się pierwszy poemat powieściowy Scotta: *Pieśń ostatniego minstrela*. Utwór ten zyskał nadzwyczajne powodzenie, zachwycono się tym powrotem do poezyi ludowej i do natury. Szczególnie wysoce podziwiano tu malowanie natury; Pitt powiedział, że zdaniem jego Scott w wielu miejscach dosięgnął efektu malarstwa, a jego przeciwnik Foks na tym punkcie wyjątkowo zgadzał się z nim. Jeżeli Scott już przez samą osobistą sympatyczność, jako urzędnik, był tak popularnym, że Wordsworth w r. 1803 dowiedział się, iż wchodzącemu dosyć było wymienić jego nazwisko, ażeby przed nim, jakby za uderzeniem laski czarodziejskiej, otworzyły się wszystkie drzwi w całym okręgu jego urzędowania, tedy teraz był ulubionym, jako poeta. W krótkim czasie rozeszło się 30,000 egzemplarzy. Czytelnik spotkał się tu z położeniami wieku szesnastego, kreślonemi z niemal historyczną dokładnością. Przedstawienie zwyczajów górskich tak wysoce zainteresowało czytelników, że uznanie, z jakim je przyjęto, naprowadziło poetę na myśl spróbować czegoś podobnego w prozie, myśl, która później znalazła swoje wcielenie w *Waverley'u*. Uprzednio zainteresowanie skierowało się na wieki średnie, na rycerstwo, majestat królewski, wierność lenniczą i na typową narodowość szkocką. Turyści angielscy zaczęli odbywać pielgrzymki do zwalisk dawnych zamków i na pola bitwy pod Killiecrankie, gdzie ziomkowie ich w wieku siedemnastym pobici zostali przez potwory o nagich nogach, na lotnych statkach.

Dotąd Scott pisywał wieczorem i aż do późnej nocy; teraz, kiedy zaczyna się właściwy okres jego działalności,

czas pracy odkładał do wczesnego rana. Wstawał przed godziną piątą, szedł naprzód do stajni, witał się z końmi i ulubionymi psami, zaglądał do wszystkich zwierząt domowych, następnie zasiadał przy stole literackim i pracował z taką łatwością i pośpiechem, że kiedy pomiędzy 9 a 10 przyszedł na śniadanie, prawie zawsze połowa dziennej pracy była już odrobioną. O 12 opuszczał swoją pracownię, a resztę dnia przepędzał wśród rodziny i gości. W świeżych godzinach porannych stworzył wszystkie te dzieła, które teraz następowały z kolei, kiedy tymczasem Byron, rzecz dziwna, wszystkie swoje dzieła pisał w nocy. Tam nawet, gdzie obaj poeci najbardziej zbliżają się do siebie, czuć niejako zawisły nad utworem odmienny nastrój jasnej albo ciemnej godziny poczęcia.

I najbardziej Scott zbliża się do Byrona właśnie w poemacie, rozpoczętym teraz w listopadzie r. 1809 *Marmion, albo bitwa pod Flodden-Field*. Pod względem treści poemat ten zbliża się najzupełniej do pozostałych utworów Scotta; mamy tu znów odmalowanie życia na zamku i przy dworze. Ale bohater poematu jest tego rodzaju, że stanowi wprost przejście do bohaterów byronowskich, przytem również cały poemat napisany jest lekkimi, płynnymi, chociaż nieco monotonnymi jambami, których Byron używał najczęściej w swoich powieściach poetycznych. *Marmion* jest to rycerz dumny i nieustraszony, ale charakteru zbrodniczego. Uwiózł on młodą, piękną zakonnicę, Konstancyą Beverley, która towarzyszy mu wszędzie w ubraniu męskim, jako paź; ale wkrótce, sprzykrzywszy ją sobie, chce przemocą zdobyć rękę innej młodej damy z rodu szlacheckiego, chociaż wie, że ta kocha innego. Miotana rozpaczą zazdrości, Konstancya czyni zamach na życie *Marmiona*; a ten z dzikim okrucieństwem wydaje ją, jako zbiegłą zakonnicę w ręce klasztoru na ukaranie. Ksieni skazuje ją na śmierć, i w scenie tęnącej okropno-

ścią romantyczną, jaką lubi malować Byron, ale z mniejszem oszczędzaniem nerwów czytelnika, zostaje zamurowana żywcem w podziemnem sklepieniu. U Scotta nie wiele mówi się tu o motywach psychologicznych; wspaniałość przyrządów, ciemność klasztoru i dokładnie oddana architektura starodawnych zamków ważą u niego więcej anizeli subtelne wzruszenia duszy; pomimo to jednak w *Marmionie* uderował nas dziełem, które dziś zdaje się nam być prototypem *Giaura*, a szczególnie *Lary*. I kochanka *Giaura* ponosi straszną śmierć i *Larze* towarzyszy wszędzie w ubraniu pažia sercem oddane mu dziewczę, i w *Marmionie* mamy scenę, gdzie bohater poematu ponosi publiczną sromotę, mającą podobieństwo do tej, gdzie *Larze* nagle z pogardą wyrzucają jego przeszłość. Czy nie wygląda to prawie zupełnie na ustęp z Byrona (*Marmion*, pieśń III, Nr. 14).

Marmion, którego duch wśród niebezpieczeństw
Zawsze zachować zdołał moe i spokój;
Marmion, co hardo samemu królowi
Dumy spojrzaniem odpowiedzieć umiał.
On, co w pośrodku towarzyszków boju
Najwaleczniejszym nakazywał czyny.
Straciwszy władzę nad myślą i mową,
Teraz do ziemi spuścić musi oczy.
I gorejący rumieniec wystąpił
Na twarz Marmiona, i brzmiało tam w duszy
Wciąż takie mściwe, tak karzące słowo,
Że tknięty, umilkł.

Wyrazy, jakimi poeta maluje męki jego sumienia
(tamże, nr. 14).

O! ty, sumienia głosie, męki twoje
Do dna samego serc dumnych sięgają.
Podłego tchórza bicz przestrasza tylko,
Dla dusz walecznych ty jesteś torturą!

te wyrazy, niejako już z góry, przypominają owo sławne miejsce w *Giaurze*, gdzie ducha dręczonego winą poeta porównywa z otoczonym płomieniami skorpionem, który rozpaczliwie jadowite żądło zapuszcza w mózg własny.

A jak zachodzi pewne podobieństwo między sytuacją i charakterem Marmion i Lary, tak również i umierają oni w ten sam sposób, ginąc w otwartym boju, nieugięci przy zgonie, bezbożni aż do ostatniej chwili życia.

Ale na tem też kończy się podobieństwo, jednakże dość wielkie na wyświecenie właściwości Byrona. Dla Scotta osobistość Marmiona nie jest rzeczą główną; on grupuje tylko około niej postacie i sytuacje z przeszłości swojej ojczyzny; potrzebuje zbrodni bohatera, aby posunąć prostą akcję, ale nie obchodzi go one same przez się i przedstawia je zupełnie *nieosobiście*. Przeciwnie kiedy Byron szkicuje swoich najdawniejszych zbrodniczych bohaterów, przede wszystkim pragnie on wzbudzić ku nim interes czytelnika. Już samo ich oblicze budzi uwagę i współudział w każdym, który ich spostrzega, wytwarzając wyobrażenie dumy, winy, nienawiści i zuchwalstwa; w żadnej chwili życia swego nie spuszcza ją oni oczów przed oskarżycielem, jak Marmion; żyją jak ów skorpion w mycie.

Rospacz nad nimi, pod nimi noc gruba
W koło płomienie a w pośrodku zguba ¹⁾.

Nie znajdując pociechy w niebie, ani na ziemi, ich serce kurczy się w dumie i męczarni, aż bić przestanie. Chociaż Marmion był rycerzem samolubnym i twardego serca, jednak ostatnią jego myślą i ostatniem słowem— „Anglia“; przyczepionym jest on do jakiejś całości większej,

¹⁾ Tłómaczenie Mickiewicza. Przyp. tłum.

niż samolubne jego życie. Inaczej najdawniejsi bohaterowie Byrona: żyją oni całkiem we własnym wnętrzu. Stają się niejako zupełnie odcięty świat, sam w sobie, i poeta tego chciał; ażeby publiczność tu i owdzie domyślała się podobnego ciemnego i odciętego świata i w jego duszy. Podzmyślonemi postaciami przez poetę, dostrzegamy jego indywidualność, po za dziełem czujemy serce, które cierpiało i które w połowicznych wyznaniach i ciemnych wybuchach szuka ulgi dla siebie; słowem przedstawienie jest w całym znaczeniu wyrazu osobiste, a z niem nastąpiła rewolucja w poezji angielskiej.

W czysto epicznie zbudowanym poemacie Scotta nie główna osoba, lecz wypadki sprowadzały powodzenie, przede wszystkim opisy bitew w pieśni ostatniej, które przez natchnioną krytykę uznane zostały za najlepsze od czasów Homera. A jeżeli poemat ten był w stanie wywołać podziwienie naiwnych ziomeków Scotta, tedy był on nie mniej zdolnym podobać się u dworu. Byron miał słuszość kiedy powiedział do księcia regenta, że Scott zdaje mu się być prawdziwie poetą książąt, że nigdzie nie zostali przedstawieni świetniej, jak w *Marmionie* i w *Dziewicy jeziora*. Przypuszczałbym nawet, że w *Marmionie* spotykamy bezpośrednio aluzję do księcia regenta i jego małżonki. Pierwszy zapewne nie mógł bez wzruszenia czytać opisu wystąpienia króla Jakóba we wspaniałym ubiorze dworskim ¹⁾, a usunięta od dworu księżna Walii, którą Scott poznał był osobiście, kiedy w r. 1806 po raz pierwszy

¹⁾ For royal were his garb and mien,
His cloak, of crimson velvet piled,
Trimm'd with the fur of martin wild;
His vest of changeful satten sheen,
The dazzled eye beguiled, etc.

ucieczony był w Londynie, jako lew, do której stronnictwa przyłączył się jako torys, mogła zastosować do siebie obraz z poematu, opisujący samotne życie opuszczonej królowej Małgorzaty, wówczas kiedy rycerski i lekkomyślny monarcha spędzał czas ze swojemi kochankami.

Rozpoczęty w r. 1806 *Marmion* wyszedł w 1808, i kiedy Scott w następnym roku po raz drugi przybył do Londynu, spotkało go takie przyjęcie, które komu innemu byłoby zawróciło głowę. Swoją rolę lwa odgrywał z taką dobroduszością i humorem, jakie rzadko znaleźć można u człowieka, będącego bohaterem chwili w stolicy świata. Mówią, że raz, kiedy ubawiwszy całe towarzystwo swojemi opowiadaniem i pomysłami, o późnej nocy po odejściu gości, pozostał tylko z kilkoma zaufanymi przyjaciółmi z weselszym nastrojem, wpadł na cytate szekspirowską:

„Wiem doskonale, że ja jestem stolarz, Jan, a nie złośliwy lew.“

A tak był skromny i pozostał nim, że kiedy zaczęto mówić o Burnsie, zawołał głośno, że nie zasługuje, ażeby wymieniano jego nazwisko tego samego dnia, co Burnsa.

Otóż, o ile Scott był łaskawy i łagodny jako lew, o tyle gniewliwszym był, jako torys. Podróż jego do Londynu miała szczególnie na celu pozyskanie współpracowników do *Quarterly Review*; pismo to miało być redagowanym w duchu ściśle konserwatywnym, nadewszystko zaś wprawiała go w oburzenie kwestya emancypacyi katolików. Jego rozumowanie było następujące: jeżeli pewna sekta religijna z istoty swej ściśle związana jest z politycznemi dążnościami obcego mocarstwa i uległa umysłowemu wpływowi takiego duchowieństwa, które pod względem przebiegłości i działalności nie ma sobie równego, tedy nie można mieć za złe państwu, że jej zwolenników nie chce powoływać na swoje urzędy. „Jeżeli ktoś przechadza się u mnie z kilku funtami prochu w kieszeni“ —

mówił Scott — a ja jestem tyle dobrodusznym, że z tego powodu nie wypędzam go z domu, to przecież nie potrzebuję dawać mu miejsca na mojem ognisku.“ Te poglądy zatrzymał przez cały ciąg życia; gdyż na kilka lat jeszcze przed śmiercią powiedział pewnego dnia do swojego zięcia: „Papizm uważam za taki niegodny i straszny zabobon, że żadną miarą nie dałbym przyzwolenia na zniesienie męczeńskich kar, które miały moc swoją aż do r. 1780. Ale teraz, kiedy damie babilońskiej zdjęto plaster z ust nie wiem, dlaczego tak się wahają z przyznaniem jej miejsca w parlamencie.“ Łatwo więc pojmiemy, że ogółowi angielskiemu potrzeba było poetów, jak Moore, Byron Shelley, kiedy słyszymy człowieka z takim duchowem szlachectwem i wykształceniem jak Scott, przemawiającego z taką sromotną i okrutną ograniczonością.

W r. 1810 ukazała się *Dziewica jeziora*. Było to największe powodzenie, jakiego dotąd doznał poeta. Wspaniała świeżość gór i lasów, wiejaca po tym wdzięcznym utworze, łagodne ciepło, prawdziwe uczucie, niewzbierające nigdzie w burzliwą namietność, cały obraz natury niezakłócony nigdzie, jak u Wordswortha, domowemi sympatjami i moralizującemi kazaniami, oddziaływały czarująco na świat czytelników. Popularność poematu była tak wielka, że dochody urzędów pocztowych na stacyach najbliższej graniczących ze sceneryą podwoiły się. Potrzeba uciec się do szczegółów z życia Scotta, aby znaleźć przyczynek do tego rodzaju faktu. Kiedy ukazała się jego powieść *Antykwaryusz*, której w ciągu dwóch dni rozeszło się 6,000 egzemplarzy, obiegała wieść, że Scott dwa psy Dandie Dinmonta: „Pieprz“ i „Gorzycyca“, nazwał od paru psów, którym te dziwne imiona nadał dzierżawca w Liddleesdale. Człowiek ten, który nazywał się Dawidsohn i którego zresztą autor w powieści nigdzie nie sportretował, z tego powodu tak stał się głośnym, że odbywa-

no podróże dla zobaczenia go; co więcej, pewna znakomita dama, która życzyła sobie dostać parę szczeniąt od tych sławnych psów, a nie wiedziała jego nazwiska, zaadresowała list do Dandie Dinmonta—i list doszedł do jego rąk. *Dziewicę jeziora* przyjęto z niemniejszym zapalem. Tak np. kapitan szkocki, Adam Fergusson w liście doniósł autorowi, że w Portugalii, na forpoczcie, wystawiony na ogień nieprzyjacielski, czytał jego poemat klęcząco, a oddział leżał plackiem na ziemi, i że kiedy czytał opis bitwy w pieśni szóstej, panowała niema cisza, przerywana jedynie grzmiącym hurra, gdy obok nich padła kula francuska.

Co znajduje dziś w tym poemacie nowoczesny i cu-dzoziemski czytelnik? Oto naprzód piętno narodowe, uwielbienie narodowych i feudalnych wspomnień i zwyczajów, władzy królewskiej i wierności klanowej, w jasnych, żywych, niewinnych pieśniach, następnie malowidła natury, tchnące świeżością rosy, jak u Christiana Wintera, ale nie znajdzie psychologii. Jest tam stary bard, imieniem Allan, romantyczny starzec, napół druida, napół prorok, imieniem Brian, sny romantyczne, które się ziszczają i przepowiednie, które się spełniają. Ale wszystko to jest wsnute jako ludowe, nie zaś jako mistyczne. Nie znajdujemy tu ani śladu romantyki potworności, w którą wierzyć Scott byłby najmniej skłonny. Jakkolwiek mógł wielce rokoszować się historyami o duchach i strachach, sam jednakże w prostym przeciwieństwie do romantyków niemieckich, dalekim był od tego, ażeby ulegać wrażeniom okropności i tajemniczości. Opowiada on w jakimś miejscu, że raz wieczorem, przyszedłszy do pewnej gospody wiejskiej, dostał odprawę z powodu, że nie było próżnego łóżka. „Czyż nie ma miejsca, gdziebym mógł przespać się?“ — „Nie, jedyne łóżko wolne stoi w pokoju, gdzie leży umarły.“ — „Czy ta osoba umarła na chorobę zaraźliwą?“

„Nie.“ — „Dobrze, dajcież mi tedy drugie łóżko.“ — „Położyłem się więc na niem—mówi Scott—i nigdy w życiu nie miałem nocy spokojniejszej.“ Wyobraźmy sobie Novalisa lub Hoffmana w podobnej sytuacji!

Romantyczny duch *Dziewicy jeziora* dalekim jest od tego, aby miał tchnąć jakąkolwiek nieświeżością. Jeżeli więc co dziś czyni poemat ten mniej zajmującym, to zapewne nie ta okoliczność, lecz teatralny układ w odmalowaniu zwyczajów i obyczajów. Przytem Scott nie mógł wyminąć całkiem najgorszej skały eposu romantycznego: baletu, na którym Southey osiadł jak na mieliznie. Tak np. następuje wezwanie do boju, i poeta opowiada szczegółowo, jak to się odbywało, kiedy młodzieniec obnosi po kraju krzyż ognisty. Tu wszystko wyciągnięte jest do skrajności dla efektu teatralnego; tu nasz młodzieniec trafia na obrzęd pogrzebu i zdolnego do noszenia broni syna odrywa od zwłok ojca, następnie spotyka orszak weselny i narzeczonej zabiera narzeczonego. Widzimy również przechodzącą po scenie procesję i jaskrawy efekt, kiedy z za kulisów wpada poseł. Dzieje się tu jak w teatrze: na gwizdnięcie puste doliny i wzgórza napelniają się krociami zbrojnych; jedno skinienie ręki i znów znikają, są to działania mas, i czujemy, że masy, nie indywiduum są główną rzeczą dla poety. Chce on naprzód i przedewszystkiem w jaskrawych i wybitnych rysach przedstawić piękne zwyczaje kraju. Obcego przyjmują gościnnie w chacie, nie wypytując się go, nieprzyjaciół z grzeczności odstępować swój pled nieprzyjacielowi, jeżeli się zmęczy; następnie poeta czytelnikowi chce sprawić niespodziankę niewinnymi środkami efektu, zmianami scen i t. p., górski przewodnik, towarzyszący Fitz-Jamesowi, odkrywa się nagle, jako straszliwy przewodca klanu, Roderick Dhu, a nakoniec Fitz-James jest to nikt inny, tylko sam król. Ale jak zdrowo, jak lekko, jak wesoło, jak szerokim

strumieniem płynie ta pieśń pochwalna na cześć Szkocy i szkotów! Król tak honorowo, jak król u Calderona, panuje nad swoją namiętnością, a górale i mieszkańcy równin, mężczyźni i kobiety, wszyscy rozumieją rzecz doskonale. Przed czytelnikiem otwiera się tu widok na świat harmonijny i nie braknie karzącej i moralizującej psychologii. Jakoż jeżeli chcemy widzieć pouczający pobocznik do *Dziewicy jeziora*, to przeczytajmy oparte na balladzie w zbiorze Percy'ego epos Wordswortha *Biała sarna z Rylstonu*, które również rozpoczęte zostało w r. 1809, gdzie poeta z Rydal Mount, który mógł się poczuć podnieconym do konkurencji, najbliżej wkracza w dziedzinę Scotta. Nikt nie zaprzeczy, że uczucie u Wordswortha jest nie równie głębsze. Przy swoim wstąpieniu do wszelkich olśniewających cnót i błyskotnych zbrodni, wybrał on sobie bohatera, który chociaż posłuszny syn i śmiały rycerz, z uczucia obowiązku nie chce pójść za ojcem i braćmi, kiedy ci podnoszą chorągiew powstania przeciwko królowej angielskiej Elżbiecie i który odepchnięty i nieuznany, nie mogąc podzielać niebezpieczeństwa swoich krewnych, musi patrzeć na ich porażkę i hańbiącą karę. Bohatera swojego uposażył on rezygnacją, stałością charakteru dobrocią serca i nazarejską religijnością, ale ileż tu roztoczono sztucznej głębokości, ileż wymuszonej nadnaturalności, sentymentalności i tklivości! Scott zapatruje się na naturę i stare zwyczaje okiem myśliwego, Wordsworth okiem moralisty. Przewozowy okręt Wordswortha z ciężkim ładunkiem porusza się zwolna, ociąga się i zatrzymuje w drodze; poetyckie czołno Scotta płynie pełnymi żaglami i pozostawia tylko lekkie perły piany w fantazyi czytelnika, ale, jak czytamy o czołwie w trzeciej pieśni:

Tak szybki wioślarz morze pruł,
Że tam, gdzie okręt biegł po fali

Bąble pieniste jeszcze płały
Po kędzierzawem zwierciadle,
Gdy okręt przybił już do nadbrzeża.

Łatwo pojąć, że poezye Scotta zamiłowaniem do cnót rycerskich, do śmiałości i odwagi nawet u buntowniczych przywódców klanów, zbójców morskich, cyganów, przemytników i t. d., słowem wszelkimi sympatjami, stanowiącemi przejście do właściwego Byronowi upodobania w typach zuchwalstwa i dzikości, miały w sobie taką stronę z której dla moralnych i chrześcijańskich poetów szkoły Jezior były do najwyższego stopnia wstrętnymi. Pod tym względem znajduję nadzwyczaj charakterystyczne miejsce u Coleridge'a (*Letters Conversations and Recollections*. Tom I, str. 193), gdzie obwinia Scotta, że „uwodzi się chorobliwym pragnieniem środków drażniących, przedstawiając ze współczuciem zbrodnie i bezbożność, jeżeli tylko djabł jest zuchwałym“, i dogryzkowymi wyrazami tak kończy: „Ani dwadzieścia wierszy Scotta nie przejdzie do potomności, nie mają one żadnej wagi.“ Przepowiednia chybiła.

Rok 1811 przyniósł pierwsze pieśni *Childe Harolda*, a wkrótce potem serdeczny list Byrona do Scotta ze szczerem przeproszeniem z powodu bezmyślnego napadu w „Bardach angielskich i krytykach szkockich.“ Młody gorączkowy poeta starszego towarzysza swojego obrzucił był szyderczymi docinkami nie tylko za to, że ulubiony jego bohater „jest mieszaniną złodzieja leśnego, zbójcy i pospolitego szubrawca“, lecz za to, że Scott za swoje pisma otrzymuje honorarium, pisze za zapłatę „i pracuje dla swoich chlebobawców“, od czego Byron w pierwszej młodości swojej, jakkolwiek bardzo tego potrzebował, uchylał się stanowczo, dopóki, po drugim swoim wyjeździe z Anglii, nie nauczył się ciągnąć znacznych zysków za swoje prace.

Pośpiesznego wyskoku przeciw Scottowi żałował tak głęboko, jak wszystkich swoich wyskoków tego rodzaju. I po krótkim nieporozumieniu pomiędzy dwoma wielkimi i godnymi miłości mężami nastąpiła teraz najserdeczniejsza harmonia. Ale na produkcję Scotta *Childe Harold* wywarł głęboki i trwały wpływ. Jasno uznawał on, że w powieści poetycznej nie zdoła współzawodniczyć z Byronem i postanowił przerzucić się w inną dziedzinę sztuki, w której wkrótce w Europie stać miał bez współzawodnika. Wynurzenia się jego co do pobudek tego kroku, jak w ogóle wszelkie wynurzenia się o Byronie, które znajdujemy rozproszone w historii jego życia, tchną najmielszą otwartością i świadczą o najszlachetniejszej humanitarności. W roku 1821 powiedział do jednego z przyjaciół: „Oddawna przestałem pisać wiersze. Bywałem niegdyś zwycięzcą w tym zawodzie i nie chciałem doczekać czasów, kiedy musiałbym pozostać po za kimś innym. Rozum poradził mi zwinąć żagle przed potężniejszym geniuszem Byrona. Gdybym był pozostał żądnym sławy poetyckiej i zazdrosnym o nią, wtedy może z taką odwagą, jaką rozwinął Byron przy pierwszym wystąpieniu swoim, byłbym stawiał się do pojedynku, albo też wprawił publiczność w zdumienie i trwogę, odgrywając we własnej osobie rolę umierającego szermierza; lecz wolę wyznać z otwartością, jaką widziałeś we mnie w ciągu dwudziestu lat, że nie poczuwałem się do tego dość silnym.“ A kiedy pytano go na rok przed jego śmiercią, dlaczego nie pisał już wierszy, odpowiedział wprost: „Ponieważ Byron pobił mnie,“ a na zarzut pytającego, że on sam tyleż miejasc z poematów Scotta umie na pamięć, jak i z Byrona, odpowiedział: „Być może, ale on wyparł mię z pola malowaniem uczuć namiętnych i swoją głęboką znajomością serca ludzkiego.“ Jeżeli w pierwszej chwili musiało to być gorzkie uczucie dla Scotta, tedy słusznie szukać mógł ulgi

w myśli, którą wypowiedział innym razem: „Jeżeli miałem powód brać do serca, że rozwój jego geniuszu zdawał się zaćmiewać mię, tedy mogłem pocieszać się tem, że natura w zamian uposażyła mię daleko większą zdolnością do prawdziwego szczęścia.“

Z *Waverleyem*, który ukazał się w lutym r. 1814 bezimiennie, rozpoczyna się teraz długi szereg powieści bezimiennych, które w całym świecie rozslawiły Scotta i jego ojczyznę. Ukazanie się ich zbiega się z wyblyskiem dumy narodowej, przy zawarciu pokoju z Francją i z pełnymi nadziei widokami przyszłości. Dzieła te nie są, tak jak dzieła najznakomitszych poetów, Goetego i Byrona, płodami rozmaitych stopni rozwoju i stadyj postępów geniusza, ani też głęboko wrażliwych się w duszę osobistych wypadków, lecz są to donoszone płody niewyczerpanego daru opowiadania i niezwyklego talentu charakteryzowania. Pokazują one nadzwyczajny postęp w dwóch kierunkach: w pojmowaniu żywiołu historycznego i w przedstawieniu życia obywatelskiego.

Kiedy dziejopisarze wieku XVIII, których ideał leżał w ich czasie, powołanie swoje pojmowali raczej po krasomówsku, aniżeli poetycznie, i z punktu abstrakcyjnie rozumowego zajmowali się kwestyami politycznymi i cywilizacyjnymi, bez uwagi na wpływ klimatów i położen geograficznych i bez uwzględnienia przyczyn etnograficznych, ponieważ lud, jako plemię wogóle w przeświadczeniu ich żadnej nie odgrywał roli, tymczasem Walter Scott jako, powieściopisarz historyczny, zakładał sobie z góry przedstawić barwny obraz danego wieku i danego kraju, a tem mniej czuł się podobnym do wprowadzenia bohaterów w kostiumie swojego czasu, że w głębi duszy barwiste i różnowzorowe życie przeszłości o wiele przekładał nad zimno-trzeźwą postawę i gładkie rozumowania własnego wieku. Chateaubriand na kilka lat pierwszej w *Mę-*

czennikach zrobił pierwszą próbę mierzenia wszelkiej epoki miarą własną i odtworzenia fizyognomii starożytności w żywych obrazach. Jednakże pomimo to Walter Scott jest pierwszym odkrywcą i wykonawcą owej barwy miejscowości w poezji, która następnie stała się podwaliną dla całej poezji romantyzmu francuskiego i zaraz od początku natchnęła Wiktora Hugo, Mérimée i Gautiera. I nie dość na tem, że swoim zmysłem historycznym stał się wskazownikiem drogi dla całej szkoły poetów, swojemi niepretensjonalnemi powieściami wywierał także największy wpływ na dziejopisarstwo nowego stulecia. Nie zapominajmy, że *Ivanhoe* Walter Scotta naprowadził Augusta Thierry na myśl upatrywania po za czynami Kłodwiga, Karola W-go i Hugona Kapeta walki rasowej pomiędzy normanami i sasami i śladów zdobycia francuskiego, jako prawdziwych przyczyn wypadków. Ten poeta, którego pogląd na życie wewnętrzne oddzielnej jednostki nowożytnej nie był głęboki i który wobec nowożytnego czasu, przesiąkniętego indywidualizmem, zdawał się być pod wielu względami uwikłanym w przesady narodowe, monarchiczne i religijne, mocą swego potężnego naturalizmu, ilekroć widział przed sobą ludzi, jako klan, jako lud, jako plemię lub rasę, posiadał najsilniejszy zmysł odkrywczy na dopatrzenie w nich tego, co stanowiło samą substancję ich natury. On, co przywykł zawsze mieć na myśli przeciwieństwo, zachodzące pomiędzy szkotami a anglikami, łatwo i jakoby przez nagle natchnienie odkrył znaczenie przeciwieństwa rasowego pomiędzy anglosaksonami a normanami, a jego obrazy pozyskały tym sposobem również wielkie znaczenie w psychologii ludów, jak obrazy Byrona w psychologii jednostki.

Ale do tego przyłącza się jeszcze wielka wartość tych utworów, jako obrazów wszystkich obywatelskich warstw społeczeństwa w silnie uwybitnionych i typowych przedstawicielach. Kiedy w romansach wieku przeszłego (np.

Fieldinga) widzimy taczanie się pijanych od gospody do gospody, tymczasem u Scotta życie mieszczańskie objawia się w całym rozmiarze swej dobroduszości. Wartość tych dzieł podnosi jeszcze bardziej realistyczna energia, z jaką przedstawionem tu jest indywidualum. Już to zawsze Anglicy cenili w poecie wysoko szczególnie zdolność odmalowania za pomocą dotykanych i naocznych szczegółów tak, ażeby postać wyraźnie stawała przed oczami czytelnika. Twardy, zdrowy ich rozum lubuje się w silnem, naocznem wyrażeniu. Najmilszy sprawia im widok obraz poetyczny tak sutemi wykonany farbami, że widzi się go przed sobą, jak herb odmalowany na tarczy. Przeciw takiemu zamilowaniu wystąpił Scott, jako pisarz powieści. Chętnie przebaczone mu nadzwyczajną obszerność jego opisów i rozmów, ponieważ tym sposobem otrzymywano najwyraźniejszy pogląd, albo przez podsumowanie oddzielnych rysów, albo przez nieskończone powtarzanie jednych i tych samych rysów charakteru. Jeżeli jego procedura jest nużąca, mimo to wszakże jest on jednym z największych rysowników charakteru, jacy kiedykolwiek żyli. Taka postać, jak Diana Vernon w *Rob Royu*, albo Jeanie Deans w *Wieżeniu Edynburskiem*, osobistość historyczna, jak Ludwik XI w *Quentin Durwardzie*, stoją na szczycie tego wszystkiego, co wydała literatura powieściowa.

Jednakże od samego początku z metodą tworzenia tych powieści łączyła się niefortunna okoliczność, która następnie rozciągnęła się do całej klasy utalentowanych powieściopisarzy: pośpieszne pisarstwo bez artyzmu, które w widokach ogromnych honoraryów prowadziło produkcję poetycką fabrycznie, jako przemysł. Jeszcze w r. 1809 Scott wszedł był w stosunki z firmą księgarską Ballantyne, która drukowała dla niego *Quarterly Review*; jako pisarz powieści przystąpił on do formalnej spółki kupieckiej ze

swoim drukarzem i nakładcą, z firmą, która niestety była więcej pohopną do przedsięwzięć, niż przezorną. Tworzył teraz z bajecznym pośpiechem. *Guy Mannering* napisany został w ciągu dni 25 i jednocześnie wydrukowany, a wkrótce doszło do tego, że rocznie w przecięciu wytwarzał po dwanaście tomów. Przygotować czterdzieści kart druku przed południem było dla niego tylko zwykłą robotą przedobiednią. Odbyt odpowiadał olbrzymiej produkcji: *Rob Roy*a w ciągu sześciu tygodni sprzedano 10,000 egzemplarzy, rozkup późniejszych powieści był jeszcze szybszy. Ażeby unaocznić cyfrą, do jakiego stopnia rozpowszechnienia dochodziły te książki, zaznaczę tylko, że nakładca Scotta w samym tylko roku 1822 wydał dawnych i nowych jego powieści nie mniej, jak 145,000 tomów. Honorarya wzrastały z odbytem: za pierwsze dwa wydania biografii Napoleona Scott otrzymał 18,000 funtów, a roczny jego dochód z honoraryów nie wynosił do r. 1826 nigdy mniej, nad 75,000 talarów. Dochody te obrócił na rozszerzenie swojej posiadłości Abbotsford i na wzniesienie formalnego zamku, gdzie z książką gościnnością przyjmował całą armię odwiedzających, która napelniała jego dom i nieraz na długo zajmowała tam kwaterę. Jego sława i popularność wciąż wzrastały. Podczas swego tryumfalnego pobytu w Londynie r. 1815, gdzie nie tylko uczczono go uroczystością jako poetę, lecz oraz jako patryotę, honorowego obywatela Edynburga, który dał się poznać, jako gorący wróg Napoleona, przedstawiono go księciu regentowi, który obsypywał go oznakami łaski. O tych odwiedzinach opowiadają anegdotę, która zarazem daje wyobrażenie o rodzaju dowcipu, którym następca tronu mógł krótki czas ujmować sobie i pozyskiwać. U księcia regenta zebrało się towarzystwo wieczorne i Scott jako gość honorowy musiał wciąż opowiadać, a tymczasem książę regent starał się podejść go żartami dla zniewolenia, aby przyznał

się do autorstwa powieści *Waverleya*. Scott wywijał się zrećznie, i aby uniknąć zapytań, zaczął opowiadać prawdziwą historię o dawnym swym znajomym, najwyższym sędzi Braxfield, co podczas swoich urzędowych podróży nocował zwykle u pewnego bogatego dziedzica dóbr, który, podobnie jak sędzia, był namiętnym szachistą i często z roku na rok odkładał partję nierozegraną. Dziedzic dopuścił się ciężkiej zbrodni, i na Braxfielda wypadł bolesny obowiązek wydania wyroku śmierci na współnika gry i przyjaciela. Wdział czarną czapkę i odczytał wyrok śmierci, który kończył się tymi wyrazami: „Masz być powieszony za szyję dotąd, aż umrzesz.“ Te smutne wyrazy wymówił z niesłychanym patosem, następnie zdjął wyroczną czapkę i skinawszy z filuternym uśmiechem na swego towarzysza gry, dodał: „A teraz, mój luby Donaldzie dałem ci mata na zawsze!“ W tej samej chwili i książę regent zawołał: „Niech żyje! jeszcze raz niech żyje i po raz trzeci niech żyje autor *Waverleya*! I jeszcze toast na cześć autora *Marmiona*!“ A spojrzawszy na zatroskaną twarz i na obraniające się gesta Scotta dodał: „A teraz luby mój Walterze, jak się spodziewam, dałem ci mata na zawsze!“

Więzienie w Edynburgu, jedna z pereł z pośród dzieł Waltera Scotta, wyszło w r. 1818, i postawiło poetę na szczycie sławy. Następnie w grudniu r. 1819 wyszedł *Ivanhoe* i przyjęty został z niezmiernym zapalem. Z jak małej liczby i nieznaczących żywiołów rzeczywistości Scott był w stanie kształtować swój świat poetyczny, widzimy to najlepiej z tej mistrzowskiej powieści. Niejaki pan Skene, który powrócił był z podróży po Niemczech, opowiedział Scottowi mnóstwo szczegółów o tamiecznym położeniu żydów, o ich osobliwych ubiorach i zwyczajach i o surowości, z jaką ich traktowano. To wystarczyło Scottowi dla wykonania na tej podwalinie wspaniałego obrazu

Izaaka i Rebeki. Jeżeli w życiu prywatnem był nadzwyczaj powściągliwym w kwestyi politycznych praw wyznań odstępujących od kościoła, tedy jako poecie, tem większy przynosi mu zaszczyt, że tak bezprzesądnie mógł wybrać sobie za bohaterkę swojej powieści żydówkę i uposażyć ją pięknoscą tak niedosięgniętą, idealną, a jednak tak naturalnie prawdziwą. Rok 1823 przyniósł *Quentina Durward*, w którym Scott po raz pierwszy wstąpił na grunt obcy i który do jego sławy angielskiej i amerykańskiej dodał również wielki rozgłos we Francyi, w Niemczech i we Włoszech. Notatki pana Skene o jego podróży po Francyi wystarczyły mu do nadania prawdziwej barwy swoim poematom. Teraz imię jego było na ustach wszystkich, znane nawet nieukształconym jego współziomkom. Wśród ogromnego ścisku, który miał miejsce w Londynie podczas uroczystości koronacyjnej, życiu poety, szczególnie z powodu jego chirotności, zagrażało poważne niebezpieczeństwo. W pośrodku placu rozciągnięto szpaler gwardyi dragonów szkockich i Scott przemówił do jednego z podoficerów, prosząc go o pozwolenie przejścia na próżne miejsce po za pikietą. Ten odpowiedział mu krótko, że ma najsurowsze polecenie i w żaden sposób nie może na to pozwolić. W tej chwili, kiedy napływał nowy tłum ludzi, jeden z towarzyszących poecie zawołał: „Sir Walter Scott, strzeż się!” Zsledwie usłyszał te wyrazy dragon, zawołał: „Jako! Sir Walter Scott? Ten ma wolne przejście wszędzie!” I zwracając się do swoich kolegów, powiedział: „Wiara, zrobić miejsce Sir Walter Scottowi, wielkiemu ziomkowi naszemu!” Żołnierze odpowiedzieli: „Sir Walter Scott! niech go Bóg błogosławi!” Tak samo armia francuska w Afryce przyjęła Horacego Verneta biciem bębnow, fanfarami i z takimi samymi honorami wojskowymi, jakie oddawać się zwykły głównodowodzącemu generałowi. Nie mogą wyobrazić

sobie większego tryumfu dla artysty, jak ten hold ze strony człowieka pospolitego,

W r. 1826 nastąpiło przesilenie w życiu poety. Firma księgarska Ballantyne, której był uczestnikiem, zbankrutowała i ku zdumieniu oszczędnego i w prywatnych sprawach swoich nadzwyczaj sumiennego Walter Scotta okazało się, że dług wynosił olbrzymią sumę 117,000 f. sterl. Jako człowiek, został zrujnowany. Bank królewski wysłał do niego deputację z oznajmieniem, że ofiaruje mu się z pomocą pod każdym względem. Nie przyjął Scott jego ofiary. Bezimiennie przysłano mu w darze 30,000 funt. Wszystko odrzucił. Powziął po bohatersku rozpaczliwą myśl: dochodami z pióra spłacić olbrzymi dług i nie pozwolić sobie ani spokoju, ani wytchnienia, dopóki nie spełni zobowiązań, któremi jego barki obciążyła lekkomyślność i bezład innych. Ale też nikogo dziwić nie może, że od tam wartość jego utworów zniża się coraz bardziej. Biedny autor zawarł kontrakty, którymi zobowiązywał się dostarczać tyle a tyle powieści rocznie, których treści, ba nawet tytułu nie znalazł jeszcze. W tym właśnie nieszczęśliwym czasie, w kilka miesięcy po upadku firmy, utracił żonę, ukochaną małżonkę. Jego interesy nie pozwoliły mu siedzieć u jej łóża śmiertelnego. Pisał a pisał, odrabiając w ciągu czterech dni po pół tomu powieści *Woodstock*, podczas kiedy wierzyciele szturmowali do niego. Człowiek, który przedtem widział dom swój napelniony tłumami gości, teraz prowadził życie pustelnika. Kapitan Bazyli Hall opisuje pogłębiające wrażenie, jakiego doznał, przyszedłszy do Scotta, i widząc, że człowiek, który kiedyś siadywał przy stole naprzeiwko żony i otoczony krewnymi i przyjaciółmi, teraz siedzi przy stoliku, a służący stawia jedno tylko nakrycie. Przedsiębrał jeszcze kilka podróży, a pomiędzy innemi do Paryża, dla studyowania archiwów gdzie deputacja od „dames de la halle” podała mu olbrzy-

mi bukiet; wydał zbiorowe wydanie dzieł swoich, odbył pierwszych dziewięciu tomów wyniósł 35,000 egzemplarzy w ciągu miesiąca, spłacił część długu. Z boleścią widział wstąpienie Anglii na drogę reform; w roku 1830 zawołał: „Anglia nie jest już miejscem pobytu dla zacnych ludzi od chwili, jak nowe te reformy grunt sobie zdobywają“. Chory, osłabiony i dotknięty częściowem sparaliżowaniem twarzy, przedsięwziął ostatnią podróż za granicę, podczas której jeszcze w Neapolu zbierał wszelkie starowłoskie balady i pieśni, jakie tylko do rąk dostać mu się mogły; jeszcze bardziej chory puścił się w drogę z powrotem, ażeby umrzeć w ojczyźnie, i zgasł we wrześniu r. 1831, w pół roku po śmierci Goethego. Przez całe życie swoje był wyznawcą wiary łagodnie realistycznej i pozostał zgola niedotknięty badawczą i zuchwałą teorią swojego wieku. W r. 1825 powiedział raz: „Spodziewam się, że mało jest ludzi, zaprzeczających bytność Boga; wierzę, że nigdy nikt nie chował w duszy takiego ohydneho poglądu.“ Przytem przyznawał, że ogień piekielny i muzyka sfer mogą to być wyrażenia figuryczne; wszak i przypisanie sobie *Kaina* przez Byrona przyjął z radością i bez niechęci. Pod względem religijnym, politycznym i petycznym nie wznosił się on jeszcze do wyzwolenia osobistości z przypadkowych tradycyj, jakimi krępowano ją od chwili urodzenia. I w tym nawet względzie pozostawił młodszemu pokoleniu poetów zadanie nierozwiązane, ale przez bieg dziejów wyraźnie nakreślone.

Jeżeli z wysokości naszych czasów obejrzymy się na drugi okres jego twórczości, na okres prozaiczny i na cały długi szereg powieści, tedy niepodobna będzie widzieć ich w takim samem świetle, w jakim przedstawiały się jego współczesnym. Łatwo pojmiemy, że musiały ich zadawać, ponieważ nigdy nie budziły obrazy, i nietylko jako poetyczne, lecz i jako moralne zawsze witanemi być mogły

radośnie. Ale w tem właśnie tkwi przyczyna, dla której w naszych oczach mniej przedstawiają interesu. W literaturach nowoczesnych bez przesady postawić można zasadę, że pisarz musi uchodzić za niemoralnego i przynajmniej w jednym pokoleniu współczesnych budzić wrażenie obrazy, jeżeli następniemu już pokoleniu nie ma się wydać trywialnym i ograniczonym. Wady i braki w powieściach Scotta dziś wpadają nam w oczy. Bawią one czytelnika dzielnością malowania charakterów i żywością rozmów, ale nie zadawają rozumu, nie wprawiają uczucia w ruch wysokiego stopnia, nie naprężają ciekawości. Są one pełne życia, ale bez idei. Czujemy, że kiedy Macpherson i Burns skierowali uwagę publiczną na Szkocję, zadaniem Scotta, jako patryoty, było uwagą i interes utrzymać w czujności. Dlatego pisze tak, że czytelnika, nawet najbardziej ograniczonego, nigdy przerazić nie może. Scott, któremu natura odmówiła zmysłu artysty, stosunku płci do tyka w sposób tak oględny, że obrazy erotyczne prawie są tu wyłączone. I autor, dla którego moralność była ważniejszą, aniżeli miłość, starodawną przeszłość sztuki przedstawiał z tak znacznem osłabieniem brutalnych jej żywiołów, że prawda historyczna cierpi na tem w wysokim stopniu. Rodzaj sztuki, który wprowadził Scott i który dowodził tak znacznego postępu po dawniejszej powieści, z kolei w naszych czasach jest również przestarzałym; zauważono ogólnie w Europie, że powieść historyczna, pomimo wszelkich swoich przymiotów, była gatunkiem nieprawym, już to obładowanym tak dalece materialem historycznym, że rozwój poetyczny ustawał, już to tak swobodnym w przetwarzaniu historii, że żywioły realne i zmyślane w połączeniu swoim tworzą koncert niesłychanie niestrojny. Jakże np. rażącym jest sposób, w jaki w dziesiątym rozdziale trzeciej części *Wieżenia w Edynburgu* sklejone są z sobą historyczne i zmyślane od-

powieści księcia Argyle! Dodajmy przytem, że przeświadcamy się coraz to widoczniej, jak dalece podany tu obraz całości odstępuje od rzeczywistego charakteru odległych wieków, które nieraz byłyby zgoła niezrozumiałymi, albo przynajmniej wcale nie budziłyby współczucia, gdyby chciano przedstawić je w nagiej, nieubarwionej prawdzie. *Talizman* i *Krzyżowcy* Scotta są to powieści z biblioteki abonamentowej, zaczerpane z krajów awanturnych i z awanturniczych zdarzeń wojen krzyżowych, oniemal również nierzeczywiste, jak *Jerozolima wyzwolona* Tassa, ale napisane z daleko niższym talentem poetyckim i bez cechującej Tassa artystycznej sumiennosci w wykonaniu i stylu.

Jakże mogło być inaczej u poety, który pisał tak jak Scott, nie odczytując nigdy, ani prostując tego, co napisał, bez popędu do ściskania rozmiarów, i nie postawiwszy sobie nigdy jakiegoś wymagania co do krótkości i podstawy. Jeszcze mniejsze stawia warunki dla czytelnika pod względem uwagi i subtelności pojmovania. Powtarza się sam i każe się powtarzać bohaterom swoim, mówi od siebie wśród opowiadania, dla objaśnienia wskazuje palcem to lub owo i nie poprzestaje na nadaniu występującej osobistości oznaczonego piętna, lecz każe jej koniecznie zdać sobie sprawę o swojej istocie, przez takie np. wykrzyki: „Teraz przemawiam spokojnie, chociaż to sprzeciwia się memu charakterowi“, albo za pomocą odpowiedzi, w których osoba mówiąca sama wyciąga morał ze swoich złych postępów, z obawy, ażeby czytelnik nie przeoczył go i nie został uwiedziony. (Przeczytajmy np. całą spowiedź Jerrzego Stautona przed Jeanie Deans, wzór całego stylu i fałszywej psychologii). Tak wielkie wady w szczegółach nie wiele wynagradza to, że główne rysy kompozycji w najlepszych romansach są wyborne i po największej części zamykają się w jedną lub więcej wielkich katastrof

dramatycznych. Dzieło, które sławę swoją utrzymać ma przez stulecie, powinno być nietylko ułożonem poetycznie lecz i przeprowadzonem artystycznie w każdym oddzielnym punkcie, na co Scott, od chwili, jak zaczął pisać prozą, nigdy nie zostawił sobie czasu. Nawet najdramatyczniejsza scena, jaką kiedykolwiek napisał, majestatyczna i przenikająca scena sądowa w *Wieżeniu w Edynburgu*, gdzie Jeanie z sercem zakrwawionem, ale ze szlachetną miłością prawdy świadczy przeciw własnej siostrze, traci połowę efektu przez długość i opieszałość opowiadania. Z pamiętników Tomasza Moore'a przekonujemy się, że główna treść książki: młoda dziewczyna, która wzbrania się świadczyć przed sądem przeciw własnej siostrze, a następnie przedsięwzięcie długą podróż, aby wyblagać jej ułaskawienie—jest faktycznem zdarzeniem, o którem wiadomość udzieloną została Scottowi w liście bezimiennym. Miał on jaknajbystrzejszy rzut oka na moralną piękność tego zdarzenia, ale nader słaby na jej charakter dramatyczny. Gdyby Scott posiadał tylko pół tyle talentu, ale dwa razy tyle wykształcenia i krytyki siebie, nie wzbudzałby wprawdzie tak szumnego rozgłosu, ale byłby stworzył dzieła wyższej i trwalszej wartości ¹⁾. Czuł on sam, że luki w jego wykształceniu przeszkodziły mu osiągnąć szczytu w dziedzinie poezji. W jednym miejscu jego dziennika znajdujemy małe, ale znaczące streszczenie jego życia: „Jak dziwnie rozwinęło się moje życie! *Wykształcenie moje jest połowiczne, moje wychowanie naukowe było zaniedbane*, albo pozostawione mnie samemu. Tak tedy zapychałem głowę

¹⁾ O sztuce plastycznej, zdaje się, że nie miał wcale wyobrażenia. Ażeby przedstawić obraz starego purytanina w *Wieżeniu w Edynburgu*, wypowiada on następującą niedorzeczność: „Było to malowidło, w którem zdawało się, że kolorowe strony wykonał Rembrandt, zaś ostre kontury potężny pędzel Michała Anioła.“

masą głupstw i przez długi czas byłem nieuznanym ze strony moich rówieśników. Jednak posunąłem się na-przód i uchodziłem za rozumnego i dzielnego chłopca, ku zawstydzeniu tych, którzy mnie dotąd uważali za marzy-ciela... A teraz muszę z przestrzelonemi skrzydłami spadać z wysokiej mej dumy, ponieważ giełdzie londyńskiej przy-chodzi do głowy oszaleć, i ja biedny ucziwy lew jestem teraz srodze uciskany przez niedźwiedzie i woły.“ Taka to w tym wieku pada zemsta na poetę za to, że pozostał nie-poruszony postępowym biegiem całej wiedzy nowoczesnej. Ponieważ nie może, jak Byron, przeczuć intuicyjnie wszystkiego, czego poszukuje i co orzeka nauka, przeto dzieła jego wymykają się z rąk ludzi wykształconych, aby być pochwyconemi przez tych, którzy życzą sobie lektury bawiącej, albo też bywają przechowywane przez wykształ-conych, i oprawiane, ażeby od nich doznały zaszczytu słu-żenia za podarunki na pamiątkę urodzin albo konfirmacyi dla ich synów i córek, siostrzeńców i siostrzenic. Taki to los stał się udziałem Scotta. Poeta, który niegdyś w dru-giem i trzeciem dziesięcioleciu naszego wieku panował na jarmarku literackim, którego wpływ rozciągał się na wszystkie kraje Europy, a który miał takich naśladowców, jak nimi byli: we Francyi Mérimée, Hugo i Dumas starszy (Les Mousquetaires), we Włoszech zwolennika: Manzoni-go, w Niemczech krewnych duchem, jak: Fouqué'go i Ale-xisa, w Danii wielbicieli i uczniów: Pawła Möllera, Inge-manna i Haucha... dziś w skutek niemej, ale pouczającej krytyki został ulubionym poetą chłopców i dziewcząt czternastoletnich, poetą, którego każdy dorosły czytał, ale nikt z dorosłych już nie czyta.

XI.

W przedziwnym fragmencie Keatsa, *Hyperion*, mamy scenę, gdzie ród bogów zwyciężony leży w głębokiej pie-czarze skalnej pod ziemią. Odbywa się narada, i bóg tyta-nów, stary Saturn, kończy swoją mowę:

Oto tu jesteście
Zwalczeni, wyszydzeni, pobici Tytani!
Kiedy mówię: „Powstańcie!“—wy jęczycie. Kiedy
Mówię: „Ukorze się!“—jęczycie. Jak to?
O niebo! nigdy nie widziany ojez! Cóż ja
Zdołam? Wy wszyscy, bracia bogowie, rzekniecie.
Jakże możemy waleczyć, jak gniew nas nasycić?

Wtedy podnosi się naprzód Oceanus, zaciekaający się głęboko, myślący bóg morza i potrzasa swoimi teraz su-chymi kędziorami i zaczyna dziecięcem szemraniem, któ-rem jego język naśladuje szczebiotanie chłostanego falami piasku, i miotanym namiętnością towarzyszym radzi szu-kać pociechy w tej myśli, że upadają z prawa natury, nie z potęgi pioruna Jowisza:

O wielki Saturnie,
Wprawdzie wszechświat atomów ty nawskroś przejrzaleś
Ale przeto, że jesteś ty królem i ślepym
Z samego wszechwierzchnictwa, więc przed twojem okiem
W kraje nocy wiodąca droga jest ukryta,
Którą po wiekuiestej prawdzie ja kroczyłem.
A jak najpierwszą z potęg nie byłeś, tak również
Nie jesteś ty ostatnią z nich i być nie możesz.
Ty nie jesteś początkiem i końcem nie jesteś.
Z chaosu i ciemności łona wytrysnęło
Światło, walki wewnętrznej ten owoc najpierwszy,
Owoc mrocznego wrzenia, co do wielkich celów
Dojrzewało. Nadeszła chwila dojrzałości,
Z nią światło, które znowu płodząc na własnego

Wpłynęło stworzyciela i wraz powołało
 Do życia całą olbrzymią materję
 W owym to wieku wieków zjawiła się światu
 Para rodziców naszych, niebios a i ziemia;
 Wtedy zapanowałeś ty sam pierworodny
 I my, olbrzymów plemię, nad wszechświatem. Teraz
 Nadchodzi boleść prawdy, komu jest boleścią;
 O szaleństwo! wszak szczytem wielkości jest nagą
 Prawdę i losy wyroczne z spokojną
 Znieść przytomnością. Bowiem uważcie, o ileż,
 O ileż to piękniejszą jest ziemia i niebo,
 Niż ciemności i chaos, co niegdyś władały,
 I jak my po za niemi na ziemię i niebo,
 Silni, majestatyczni postacią, patrzymy
 Z wolą w czynach swobodną, pospólnie z tysiącem
 Znaków czystszej życia, tak za naszym śladem
 Wstępuje teraz nowa, lepsza i piękniejsza
 Z nas poczęta potęga, co ma nas pokonać
 Jak myśmy kiedyś starą ciemność pokonali;
 Przecież nie ulegamy srożej, niż przed naszą
 Potęgą uległ niegdyś Chaos bezkształtowy.
 Jaktóż czyż ciężka ziemia gniewa się na dumny
 Ten las, który żywiła i żywi go jeszcze
 Od niej samej piękniejszy; czyliż panowania
 Ziolonemu gajowi nie odstąpi chętnie?
 Czyliż drzewo zazdrościć będzie gołębiowi,
 Kiedy grucha i skrzydły powiewa śnieżnemi,
 Na których po powietrzu koczuje wesoło?
 Myśmy te drzewa lasów, cudna gałąź nasza
 Wykarmiła nie blade samotne gołębie,
 Lecz orłów złotopiórych, co w piętra eteru
 Pną się nad nami w chwale piękności, a przeto
 Muszą panować; jest to bowiem wieczne prawo,
 Że pierwszym mocą winien być pierwszy z piękności.
 Na tem prawie inna może rasa znów wypędzi
 Naszych zwycięzców, aby jak dziś my biadali.
 Widzieliście młodego boga mór, co z tronu
 Wyzwał mnie? czyście jego widzieli oblicze?
 Złotoskrzydłe rumaki, przez niego stworzone?
 Ja go widziałem, kiedy po uśpionej toni

Szybował z takim ogniem piękności w swych oczach
 Że musiałem na zawsze pożegnać się z moją
 Wszechwładzą: smutne było pożegnanie.

Tak mówił Oceanus. A kiedy strąceni bogowie mil-
 czą, czy to z pogłębiającego przekonania, czy też ze złości,
 bogini Klimene, na którą nikt nie zwracał uwagi przery-
 wa milczenie i bojaźliwie zeschłemi usty z łagodnym ócz
 spojrzeniem zabiera głos w pośród tłumu gniewem miota-
 nego:

O ojeze! ja w pośrodku was jestem najmniejszą
 I wiem to tylko, że już skończyła się radość
 I w serca nasze smutne wciska się uczucie,
 Które lękam się ojeze, utkwii tam na zawsze:
 Nie chciałam ja wróżyć nieszczęścia... lecz pozwól,
 Aby przed tobą smutek mój wypowiedziała,
 Pozwól mi opowiedzieć to, com ja słyszała,
 Co wywołało ciężki płacz mój i przecucie,
 Że już wszelka nadzieja dla nas jest stracona.
 Oto stałam na brzegu na roskoszny brzegu
 Na który wiatr pieściwy zawiewał od ładu
 Tehnieniem ciszy, wonności od krzewin kwiatów.
 Tam— była pełnia szczęścia; we mnie— pełnia gniewu.
 Nazbyt tam było wdzięku, pońg i radości
 Tak, że aż w mem sercu wzbudziła się żądza,
 Ziorzeczenia, skarżenia się na tę samotność
 Pieśniami nędzy naszej, muzyką cierpienia:
 Więc usiadłam, chwyciłam muszlę krzywoustą,
 Szepnęłam w nią i z muszli wybiegła melodia—
 O, to już nie melodya! Bo kiedyś śpiewała
 I ubogą mą piersią, puszczałam na wietrzyk
 Ciężkie echo tej muszli, wtem z drugiego brzegu,
 Z głębi zarośli—była to morska wysepka—
 Z pędem wiatru zaleciał mnie dźwięk czarodziejski,
 Który słuch mój odurzył i otrzeźwił razem
 I odrzuciłam muszlę na piasek pobraża
 A muszlę napełniła fala, jak me zmysły
 Napełniła ta złota, przedziwna melodia.
 Żywa śmierć była w każdej kropelce tych dźwięków.

Cała rodzina tonów czarujących, które
 Upadały, to jeden po drugim, to razem,
 Jak perły, co się nagle z nitki rozsypały.
 A potem jeszcze piosnka, jeszcze nowa piosnka,
 A każda, jak gołąb spadający z gałązki oliwnej,
 Oskrzydlony muzyką, zamiast piór milezących,
 Krąży mi po nad głową, tak, że omdlewałam
 Z radości i z boleści. Lecz boleść przemogła,
 I zatykałam moje odurzone uszy
 Kiedy, przy całym drżących rąk moich oporze,
 Zabrzmiął głos słodszy, słodszy niżli wszystkie głosy
 I wołał: Apolinie młody Apolinie!
 Zorzany Apolinie! młody Apolinie!

Keats nigdzie i nigdy nie napisał tak wspaniałego miejsca, jak to. Jest ono zarówno głębokie pod względem myśli, jak piękna. Stawiam je na szczycie tego, co mógłbym o nim powiedzieć, nie tylko jako okaz wielkości i siły jego poezji, lecz oraz jako wstęp do roli jego i całego pokolenia młodych poetów, po zdobyciu berła poetyckiego przez szkołę Jezior i przez Scotta. W imię panujących bogów duch ludzki widzi się zawsze skazanym na nieruchomość i milczenie. Postęp potrzebuje zmiany tronu. Wordsworth i Scott byli to potężni bogowie, tytani, których blask zbladł przed blaskiem młodego pokolenia, a sam Keats był promienistym ptakiem, który ze starego, wielkolistnego dębu Wordswortha wzbił się wysoko w sfery powietrzne. Czyliż Byron nie był to nowy bóg morza, z pięknoscią w oku swoim przepływający po falach namiętności, która największy geniusz poetyczny swojego czasu spowodowała do opuszczenia kraju z przekonaniem, że mocen jest wytrwać w walce ze światem? I czyliż melodye Schelley'a nie rozbrzmiewają po powietrzu tak słodko, upajająco, tak niesłychanie śmiało, że dziś jeszcze przenikają wszędy, chociaż słuchacz, jak Klimena, zatyka sobie uszy, i dopóki tylko może wzdraga się przysłuchiwać nowym tonom? Na-

daremnie, gdyż zewsząd słyszymy wołanie: „Apollo! Jasniejący porankiem, młody bóg Apollo.“

Starzy bogowie przybierali rozmaite postawy, jak w poemacie. Scott najszlachetniejszy ze wszystkich, jak widzieliśmy, przed Byronem spuścił banderę ze szlachetnością i łagodnością, która do wielu innych wieńców dodała jeszcze jeden; Wordsworth cofnął się, rozgniewany do swoich Jezior z obwinieniem o plagiat na ustach; Southey plwał jadem i żółcią, a tymczasem nowi, młodzi bogowie zajęli trony i ciemiona swoje opasali promieniami słońca, jako gloryami. Keats był najmłodszym z nich wszystkich i uposażony właściwymi sobie przymiotami i właściwą sobie dziedzina, do której nikt inny wkroczyć nie próbował. Jest on jednym z przykładów, pokazujących, jak to najdelikatniejsze i najdziwniejsze organizmy mogą wynurzyć się na wierzch w rubasznych stosunkach zewnętrznych i rozwinąć się prawie bez współdziałania okoliczności. Ten młodziwiec, który, chociaż umarł w dwudziestym szóstym roku życia, postawił takie arcydzieła, że nikt, kto tylko je czytał, zapomnieć ich nie może, i którego imię Shelley w *Adonaisie* wpisał do liczby gwiazd swoich, był synem najemnego stangreta w Londynie i wychowywał się, jako uczeń aptekarski. Największej liczbie najstarszego pokolenia był zupełnie nieznany. Wordsworth, jedyny starszy autor, na którego Keats wciąż zwracał oko i z większym poszanowaniem, aniżeli ktokolwiek inny z młodszych mógł je czuć ku niemu, nawet Wordsworth okazywał się względem niego zimnym. Kiedy pewnego wieczoru u malarza Haydona, gdzie był obecny weteran z Rydał Mountu, zażądano od Keatsa, ażeby wygłosił piękny hymn do Pana, z pierwszej pieśni *Endymiona*, siwowłosa poeta wysłuchał go aż do końca, nie przerywając, a następnie odezwał się tylko, że to jest „piękny ustęp z pogaństwa“. Istotnie tak było, i cześć za to niech będzie Keatsowi! Ale Words-

worth nie chciał zapewne powiedzieć przez to coś pochlebnego. Taki był najważniejszy głos starej szkoły poetów. Inne zdanie wyrzekli starsi cechu krytyków. Brzmiało ono chrapliwie i piskliwie. Tak Quarterly jak i Blackwood Review wyszydziły *Endymiona* w sposób grubiański. Powiedziano autorowi, że „lepiejby zrobił, gdyby wrócił do swoich retort aptekarskich“, a przypominano mu, że „głodny aptekarz w każdym razie lepszy jest, niż głodny poeta“. Żądło zraniło i bolało zapewne głęboko, jakkolwiek młody poeta w listach swoich wyrażał się spokojnie o sromotnem obejściu, jakie go spotkało. Wręcz nieprawdopodobną jest rzeczą, żeby tradycja o zabójczym wpływie tego artykułu na stan jego zdrowia, która wkrótce powstała w pośród znajomych Keatsa, jak teraz twierdzą zwykle, miała być pozbawioną wszelkiej podstawy. Artykuł wprawdzie nie zabił Keatsa, jak to czytamy w *Don Juanie* Byrona, i jego wyrażenia w każdym razie pokazują dostatecznie, jak głęboką tchnął pogardą ku wspomnianym szyderstwom, wymierzonym przeciw jego sztuce i osobie, ale jego ambicja była silną, dusza pohopną do wrażeń, a ciało jego nosiło w sobie zarody śmierci; nie dziw przeto że ohydne napady z zewnątrz wstrząsnęły organizmem, na który z wewnątrz nacierała trawiąca namiętność i trawiąca choroba.

Keats urodził się w październiku r. 1795; w dziewiątym roku życia stracił ojca, matka posłała go do dobrej szkoły, lecz ku niewysłowionemu żalowi stracił i ją także będąc chłopcem. Jego zewnętrzność odpowiadała wrażeniu, jakie wywiera dziś jego poezya. Kiedy eteryczny i niewieści Shelley miał postać wysmukłą, delikatną, o wąskich ramionach i głos dzwiczny, prawdziwie ziemski i ciężkonogi Keats, przy wcale małej dolnej części ciała, miał szerokie, silne piersi, z mocno zbudowanemi barkami, głos głęboki, poważny. Małą głowę jego otaczały gęste,

ciemne włosy, oczy miał duże, ogniste ciemnoniebieskie, a przy mocnem wzruszeniu serca świecące błyskawicznie, usta z piękną budową, ale z takim wysunięciem dolnej wargi, że twarzy nadawały wyzywający i sporny charakter. Stąd też głównym jego rysem, jako chłopca, był upór i stanowczość małego angielskiego jamnika, każąca wnioskować, że prędzej odznaczy się w zawodzie wojennym, aniżeli literackim. Przytem okazywał wielką odwagę osobistą i był mistrzem we wszystkich ćwiczeniach ciała; na krótko przedtem, jak dostał suchot, wytrzepał w porządnem boksowaniu rubasznego towarzysza. W piętnastym roku opuścił szkołę, a od piętnastego roku do dwudziestego, przy pośrednictwie krewnych, otrzymał miejsce w aptece w Egmonton, jako pomocnik dzielnego chirurga, który podług ówczesnego zwyczaju, z zawodem lekarskim łączył obowiązki aptekarza. W r. 1816, jako student zaczął uczęszczać do szpitali w Londynie, wkrótce jednak porzucił medycynę dla literatury. Po kilkoletniem obcowaniu z kilku ówczesnymi młodymi ludźmi, których zajęcia grupowały się około sztuki i poezyi i na których opierała się literacka przyszłość kraju, uległ chorobie, która już przedtem wyrwała mu matkę i młodszego brata. Rozwinęła się ona pod wpływem trosk, jakimi musiał zdobywać sobie utrzymanie i coraz dotkliwszego uczucia niedostatku. Przyspieszyła ją głęboka i ponawiająca się, ale z powodu ubóstwa Keatsa pozbawiona nadziei namiętność do młodej wschodnio-indyjskiej angielskiej. Choroba ta wymagała rozstania się z nią, ponieważ musiał odjechać na Południe, i zabiła go w Rzymie.

Kiedy rzucam okiem na nieliteracką część życia Keatsa, znajduję tylko trzy główne fakty biograficzne: bezwzględny brak widoku co do środków utrzymania się, głęboka i pozbawiona nadziei namiętność do tej, bez której życie

nie miało dla niego żadnej wartości, i nakoniec chyłkiem wkradająca się choroba. W r. 1820, po pierwszych napadach cierpienia piersiowego, zdaje się, że mieszkał w tym samym domu, co i rodzina jego ukochanej, ale ze smutnem przeświadczeniem o konieczności przedsięwzięcia wielkiej zmiany życia, aby uniknąć ostatecznego niedostatku. Myślał o Ameryce południowej, myślał o towarzyszeniu pewnemu podróżnikowi wybierającemu się do Indyj Zachodnich, w charakterze lekarza i t. p., kiedy okazały się nowe i stanowcze symptomy postępu choroby. Zalecono mu wyjazd do Włoch. Keats, który przy innych warunkach byłby uważał za największe szczęście dla siebie ujrzenie kraju, do którego natury zawsze tęsknił i którego bóstwa wskrzesił, teraz pisze: „Podróż do Włoch budzi mnie co rano o świecie. Spróbuję przedsięwziąć ją, chociaż doznaję takiego uczucia, jak gdybym miał maszerować przeciwko baterii.“ Na pokładzie okrętu tak pisze o swojej miłości: „Gdyby ciało moje mogło się podźwignąć samo przez się, ta okoliczność przeszkodziłaby; nawet to, dlaczego najbardziej pragnąłbym żyć, stanie się głównym powodem mojej śmierci. Wciąż pragnę śmierci dniem i nocą, ażeby się uwolnić od tych cierpień i znów przeklinam śmierć, ponieważ ona zniszczyłaby te cierpienia, które lepszymi są, aniżeli nic. Ląd i morze, osłabienie i wycieńczenie, są wielkimi rozłączycielami, ale zgon jest to wielki rozłączyciel na wieki. Rzadko myślę o moim bracie i siostrze w Ameryce, ale myśl o konieczności opuszczenia miss *** jest najstraszniejszą ze wszystkich innych; na tę myśl ogarnia mnie ciemność; widzę nieustannie znikającą jej oblicze.“ W innym liście czytamy: „Przekonanie, że już nigdy nie mam jej ujrzeć, zabija mnie. Mój drogi Brownie, powinienem być posiadać ją, kiedy byłem zdrowy, i nie zachorowałbym. Nie mogę przenieść tego, ażebym miał ją opuścić. O Boże, Boże, Boże! wszystko, co mam w moich

kufrach, co mi ją przypomina, przeszywa mi serce, jak włócznią. Jedwabna podszewka, którą podszyla moją czapkę podróżną, pali się na mej głowie, moja wyobraźnia jest straszliwie żywą na myśl o niej; widzę ją, słyszę ją wszędzie. Niema nic na świecie, co by miało dla mnie dość wagi i znaczenia, aby zdołało choćby na chwilę odciągnąć od myśli o niej. Nie jestem w stanie powiedzieć jednego słówka o Neapolu; zgola nie czuję, aby mnie wzruszyła którakolwiek z tysiąca nowych rzeczy, które mnie otaczają. Boję się pisać do niej, ale miło by mi było, gdyby wiedziała, że o niej nie zapomniałem. O Brownie! ja noszę rozżarzone węgle w mojem sercu. Zdumiewam się, że serce ludzkie jest w stanie wytrzymać i znosić tyle cierpień. Na to żem się rodził, aby tak skończyć?“

W ostatnim dniu listopada r. 1820 napisał list ostatni. Posłany lekarz, serdeczny przyjaciel młodości Keatsa, dr. Clark, ratował jeszcze jego życie przez zimę. Jeszcze w Neapolu otrzymał był serdeczny list od Shelleya, który go zapraszał do Pizy, gdzie miano otoczyć go wszelką pieczołowitością. Nie przyjął nalegania. Po kilkutygodniowych bolesnych cierpieniach nastąpił stan pełnego rezygnacji, spokoju i posilającego snu. Życzył sobie, ażeby list ukochanej, którego nie odważył się przeczytać, razem z woreczkiem i listem od siostry, włożono do jego trumny i zalecił, ażeby na jego kamieniu grobowym umieszczono wyrazy: „Tu spoczywa ten, którego imię napisanem zostało na wodzie.“ Dotknięcie czarodziejskiej laski Shelleya sprawiło, że woda ścięła się w lód i imię jego, jakby wszczone w kryształ zatrzymało na wszystkie czasy potomne ¹⁾.

¹⁾ A bezbrzeżny potok czasu
Stał się pręgą kryształu, odpromieniającą
Imię Adonaisa.

Shelley: Fragment XXVII. *Do Keatsa.*

Poezja Keatsa jest to najwonnieszy kwiat naturalizmu angielskiego. W chwili wystąpienia naszego poety doszedł już on do długiego i silnego wzrostu. Jego hasło, jak widzieliśmy, sformułowaniem zostało naprzód przez Wordswortha i tak ułożonem przez niego w systemat, że poematy swoje dzieli na grupy, odpowiadające rozmaitym wiekom życia i rozmaitym władzom duszy. U Coleridge'a uległ on zatrzymaniu się na pólshellingowskiej filozofii natury, u Scotta wystąpił zwycięzko, jako oparte na miłości ojczyzny studium nad człowiekiem i krajobrazem, jako natchnienie historyczne i jako genialny zmysł odkrywcy do wnikania głęboko w znaczenie ras. Nakoniec zarówno u Moore'a, jak u Keatsa, ukazuje się w postaci bujnego i wspaniałego sensualizmu, piastowanego przez takie organizmy, których zmysły posiadają wrażliwość na wdzięki świata zewnętrznego, na które zwykła wrażliwość ludzka zdaje się głuchą i niemą. Ale u Moore'a zmysłowość, która pod względem artyzmu objawia się we lśnącym i ciepłym kolorycie, skierowaną jest jednostronnie do żywiołu erotycznego, oraz należy do rodzaju lekkiego i igraszkowego. U Keatsa jest ona o szerszym zakresie samorodną i poważną, zgoła nie erotyczną przeważnie, lecz wszechstronną i przez tę wszechstronność stanowi zdumiewającą skrajność naturalizmu angielskiego. U Wordswortha doprowadził on do przedstawionej już wyżej przez nas skrajności; u Keatsa doszedł do zupełnie innej, o wiele cenniejszej pod względem poetycznym.

Ze wszystkich poetyckich umysłów Anglii Keats był artystą najwyższego stopnia. Był on najmniej dogmatyczny z nich wszystkich. Jego poezja nie ma bynajmniej punktu oporu w miłości ojczyzny, jak to widzimy u Scotta i Moore'a, nie głosi ona ewangelii swobody, jak u Shelleya i Byrona, jest li czystą sztuką, a jej podstawą—tylko fantazja. Było to ulubione jego zdanie, że prawdziwy

poeta nie może mieć żadnej teorii, poglądu, zasady etycznej co więcej *żadnej jaźni*. A dlaczego? Dlatego, że poeta zarówno raduje się światłem, jak cieniem i również wielką znajduje przyjemność w tworzeniu takiej postaci, jak Jago lub Imogen. O wszystkich poetach, którzy za przedmiotami swej fantazji zapomnieli o sobie, da się powiedzieć, że w chwilach tworzenia jaknajdalej trzymali w uboczu prywatną właściwość swoją i prywatne zamięłowanie; ale do Keatsa stosuje się to w najwyższym stopniu. Jeśli inni oczyszczali częściowo pracownię swoją z osobistych nadziei, marzeń i zasad, to przecież nie robili tego tak ściśle, jak on. Jego pokój literacki, jak powiedział jeden z jego wielbicieli, podobny był „do pracowni malarza, gdzie widzimy bardzo mało innych sprzętów, wyjąwszy pulpit malarzski.“ Ale ów okazywany przez Keatsa indyferentyzm poetycki ku poglądom i zasadom był sam swojego rodzaju poglądem na życie i zasadę, a mianowicie zasadą poetycznego panteizmu. Dla konsekwentnego panteisty poetycznego wszystkie formy, wszystkie kształty, wszystkie objawy życia na ziemi, w które zagłębia się fantazja, są mile i równie mile. Keats nie uznaje dla poety żadnej takiej prawdy, która reformuje i wyłącza; ale żywi prawie religijną wiarę w wyobraźnię, jako źródło prawdy. W jednym z jego listów czytamy: „Nie jestem pewny żadnego faktu, oprócz tego, że uczucia serca są święte i że wyobraźnia jest prawdziwą. To, co ona pojmuje jako piękne, musi być prawdą, czy to istniało pierwaj lub nie, albowiem taki sam mam pogląd na wszystkie nasze namiętności, jak na miłość: wszystkie one na wierchołkowym punkcie swoim są twórcami istnej piękności. Wyobraźnia może być porównaną do snu Adama: ocknął się i widział, że sen jest prawdą.“ Następnie rozwija różnicę pomiędzy prawdą tego rodzaju a tą, do której dochodzimy drogą zaciekania się, a potem woła temi słowy, które zawierają klucz do

całej jego poezji: „Jednak, jakkolwiek rzecz się ma, ach, o ileż miłszem jest życie wśród wrażeń zmysłowych, aniżeli życie wśród myśli! (O for a life of sensations rather than of thoughts!)

Wielką część życia przeszedł w biernych wrażeniach zmysłów, w radości i bólu przez zmysły. „Weźmy—mówi Masson — jakąkolwiek fizyologię i przebiegnijmy kolejno tak zwane klasy wrażeń zmysłowych: wrażenia zmysłowe, które połączone są z samymi stanami mięśni, wrażenia, które zostają w związku z takimi procesami życia, jak krążenie krwi, żywienie się, oddychanie i zetknięcie elektryczne z ciałami otaczającymi, wrażenie smaku, powonienia, dotykania, słuchu, wzroku, a przekonamy się, że Keats każdem z nich był obdarzony w stopniu niezwykłym.“ Tak np. był nadzwyczajnie czułym na wrażenie podniebienia. Jeden z jego przyjaciół opowiada nam, że raz był świadkiem, jak Keats posypywał sobie język pieprzem kajenskim dlatego, ażeby, jak mówił, lepiej mu smakował po nim łyk zimnego wina czerwonego. „Kiedy mówimy o wrażeniach rokoszy—powiada w jednym z listów—oto w tej chwili piszę jedną ręką, a w drugiej trzymam jądro brzoskwiniowe przy ustach.“ Nie można tedy dziwić się, że zaczerpane z tej sfery obrazy częstymi są u niego. W słusznie sławionej jego odzie *Do melancholii* słyszymy o tem bóstwie, że ołtarz swój ma w świątyni radości, „choć widomy dla tego tylko, którego silny język jagodę radości zgnieść może na subtelnej podniebieniu swoim“, a w jednym z ostatnich sonetów zbliżenie się śmierci maluje znaczącymi słowy: że „podniebienie jego duszy traci smak.“ Ma się rozumieć, że zmysł słuchu i wzroku jeszcze nierównie obficiej dostarczały mu rozmaitości wyrażen, aniżeli podrzędne i mniej szlachetne zmysły. Miał zamiłowanie muzyka do muzyki i oko malarza na odcienie światła i kolorów. Pojmujemy tedy, że na wszelkie naj-

rozmaitsze rodzaje wrażeń dźwięku, zapachu, smaku i dotyku rozporządzał takim zapasem słów, jakie trudno znaleźć u największych poetów i łatwo się domysleć, że we wrodzonym ustroju organizmu posiadał systemat zarodków, które potrzebowały tylko być przesiane i uformowane, ażeby się rozwinąć na najwyższe zdolności, ująć w siebie wszelką piękność natury i oddać ją.

Umieć ją oddać, było najpierwszem jego marzeniem, i Keats, który sam świadczył o sobie, że zgola żadnych nie ma „poglądów“, oprócz poglądu na sztukę, namiętnie przyłączył się do rewolucyi, jaką w ocenie poetów poprzedniego stulecia dokonał Wordsworth i Coleridge. Spenser był dla niego bożyszczem bałwochwalskiem, poezja klasyczna przedmiotem odrazy, a w poemacie *Sen i poezja* złożył swoje estetyczne wyznanie wiary, którego nie podobna przedstawić w gwałtowniejszych wyrażeniach. Opisawszy dawne poetyczne tryumfy Anglii, wola:

Czyż zapomniano o tem wszystkim? Tak, upadek,
Barbarzyństwem, tysiącem szaleństw zasilany,
Sprawił, że za swą ziemię wstydzi się Apollo.
Niepojmujących boskiej jego wielmożności
Uważano za mądrych; o! dziecienni, głupcy,
Huśtali się na koniu drewnianym i tego
Nazywali Pegazem. Czeży, teńhórzliwy rodzie,
Wiatr powionął od nieba, fale mórz wezbrały
Wy nie czuliście tego. Wieczny błękit w górze
Rozłonił się w promieniach, spadła letnia rosa,
I blask ranku zasnęła pereł milionami.
Obudziła się piękność. A wy, a wy, czemuż
Spaliście wciąż?
I wciąż na oślepie kroczyliście głusi,
Wejścieście powiewali tym sztandarem,
Na którym się świeciły czeze godła, wśród godeł
Jedno imię: Boileau.

Na tyle czasu pierwiej, nim we Francyi powstała burza przeciw temu złowrózbnemu imieniu, Keats uderza w trąbę bojową przeciw niemu; Teofil Gautier nie wspominał go z większem oburzeniem, niż on. To miejsce, które energicznym stylem przypomina obraz Kaulbacha w Monachium, gdzie artysta czasów warkocza drzemie z marynetką na ręku, to miejsce zapewne musiało dać powód do ustawicznych wycieczek Byrona przeciw Keatsowi, jako wrogowi Popego. Ależ Keats nigdy ani jednego wiersza nie napisał przeciw Popemu, a jeżeli hrabina Guiccioli w nawiązanej książce swojej o Byronie, nadmienia powtórnie o tych wycieczkach, które miały rozgniewać jej ukochanego, jest to tylko miłe kobiecie powtarzanie pacierza za panią matką. Natomiast Keats objął tu z Popem ludzi wskazanych wyżej, których ucho było obojętne na muzykę morza i wiatrów i którzy spali w głuchocie w chwili, kiedy poranek rozśpiewał swą piękność.

Keats nie należał do ich rzędu. Jeżeli poddamy pod analizę jego właściwość, zobaczymy, jak już nadmieniono, że jej podwaliną jest wszechstronna zmysłowość. Przeczytajmy tę strofę w *Odzie do słowika*:

O! gdybym miał ów płynek winny, co oddawna
Spoczywa gdzieś głęboko w zimnych piersiach ziemi,
W smaku tchnący kwiatami, zielonem podgórzem,
Tańcem, powietrzem słońca, pieśnią prowensalską!
O! gdybym miał ów puhar, w którego dno ścieka
Prawdziwa hipokrena południa, wabiąca
Uśmiechami perłowych kropelek, purpurą
Malująca usta...
Spijałbym i spijając, zapomniał o świecie
I wraz z tobą zaginał kędyś w noey lasów..

i porównajmy z nią następujące wiersze z *Endymiona*:

Pokosztuj tych soczystych gruszek,
Które zesłał mi Wertumus
. Oto jest śmietanka,
Co nigdy w oczach nie lśniła ci tak śnieżnie,
Słodszą nad mleko, które Amaltea
Dziecku Zeusowi zesłała—tu znowu
Jeszcze naciskiem ręki niezbrukany
Pęk wonnych wiśni, co się rozplývają
Na podniebieniu dziecka.

Silnemu i usubtelnionemu zmysłowi smaku odpowiada idealna subtelność zmysłu dotykania i powonienia. W *Izabelli*, poemacie, przedstawiającym ten sam przedmiot (podług Boccaccia), co i powiastka H. Andersena: *Elf różany*, w tem miejscu, kiedy młoda dziewczyna przyniosła do domu odciętą głowę swojego oblubieńca, poeta mówi (strofa 52).

Jedwabna szarfa—słodką bijącą wonnością
Świeżo zroszonych kwiatów, zerwanych w Arabii,
A boskie płyny sączyły się wonnie
Odświeżając—ta szarfa jedwabna
Obwija ją.

W *Lamii* z powodu przybycia gości na uroczystość młodej pary, czytamy:

Gdy każdy z gości ochoczo w przysionku
Zimną nalaną gąbkę na ręce i nogi
Wyżął z pomocą służących i wszyscy
Wonnymi olejkami namaścili włosy,
Wszyscy wraz w białych obrzędowych szatach
Kroczą do sali—i zasiedli w koło
Na jedwabnych wezłowiach.

W jednym z *Listów* poetyckich znajdujemy wiersz następujący, niesłychanie zwiezły w swoim zmysłowym bogactwie obrazów, skierowany de labędzia: „Ty, któryś

codzienny twój pokarm wycalaował z perłowych rąk Najad“
(Kissing thy daily food from Najads' pearly hands).

Zbytecznem byłoby zwracać uwagę czytelnika na cząstkowe subtelności tych luźnie powyrywanych miejsc, pomimo że wielka część ich piękności zaginęła w przekładzie. Ale teraz dopiero kiedy zwracam się do dziedziny zmysłu wzrokowego staję na właściwym polu Keatsa, chociaż jego poezya nigdy nie oddziaływa wyłącznie na sam tylko zmysł wzroku. Gdybym jego rodzaj malowania natury miał porównać z rodzajem Wordswortha, powiedziałbym: ten prowadzi nas do rzeczywistej flory, u Keatsa zaś wchodzimy do cieplarni: tu ogarnia nas łagodne, wilgotne ciepło, tu w oko nam wpadają różnowzore kwiaty i tryskające sokiem owoce, a wysmukłe palmy, przez których gałęzie niesforny szum wiatru przedrzeć się nie może, chwijając się z lekka, poruszają długimi, szerokimi ogonami. Utworzył on pieśń do jesieni, która pod względem malowania natury Keatsa jest typową. Opisuje w niej, jak jesień sprzysięga się z dojrzewającym słońcem, ażeby gałązki winorośli, pnące się po rynnach dachu, obciążyć gronami jagód, ażeby mchem porośłe drzewa uginały się pod ciężarem jablek, ażeby wszystkie owoce aż do samej głębi napelnić sokiem, ażeby nadać objętość dyni, a w orzechu laskowym rozwinąć ziarnko, a następnie mistrzowską ręką maluje jesień, jako osobę:

Kto nie widział cię wpośród twoich skarbów?
Nieraz widzi ten, który śledzi cię po świecie
Kiedy na tle klepiska usiadasz bez troski,
Kiedy wiatr wirując przewiewa twe włosy;
Albo na wpół skoszonej bruździe odpoczywasz,
Uśpiona wonnościami maku, kiedy jeszcze
Kosa twoja oszczędza niedoszłe zboża.

Keats nie może wspomnieć nazwy jakiegoś pojęcia, albo myśli, ażeby nie przedstawić jej zaraz w cielesnej albo

plastycznej formie. Liczne jego alegorye posiadają życie i ogień, jak gdyby wykonane były z kamienia rękami najlepszych artystów włoskich wieku szesnastego. O melancholii mówi:

Przebywa u piękności, na śmierć przeznaczonej,
U rozkoszy, co rękę wciąż do ust przykładą,
Jako znak pożegnania.

O poezyi mówi:

Poezya jest to morze światła niezmierzone
Poezya, to najwyższa siła, to potęga
W półuśpieniu oparta na swej prawej ręce,

Widzimy więc, jak poetycka istota Keatsa coraz to bardziej rozszerza swój zakres. Jego punktem wyjścia i punktem wyjścia najpiękniejszych z jego drobnych wierszy (jak oda do słowika), jest odmalowanie stanu czysto cielesnego: omdlenia, roznerwowania, senności opialnej, pragnienia, trawienia chorobą, na tem tle czułości zmysłowej wznoszą się następnie obrazy zmysłowe wyraźne i okrągłe, jak płaskorzeźby tarczy. Nie wiem dlaczego, ale na myśl o obrazach Keatsa nie raz przychodzi mi na usta wyraz „spojone.“ Mają one w sobie coś doskonale skutego i gotowego, jak gdyby wylutowane były na płaszczyźnie. Uważmy pilnie, jak w wierszach, które tu przytoczę, kształty podnoszą się zwolna. Jest to pierwsza i trzecia strofa pięknej *Ody do gnusności* (Ode an Indolence).

Raz, o świecie przed sobą widziałem trzy postacie
W profilu, z pochyloną głową, z dłonią w dłoni;
Jedna za drugą kroczyły spokojnie,
W cichych sandałach, świecąc białym strojem,
I znikły jak figury na urnie z marmuru,

Wykręconej by widać było tył obrazu;
I wróciły, jak kiedy znów odwrócim urnę
A pierw widziane cienie wracają na nowo
I dziwnemi się zdały mnie, jak rzadki obraz
Na wazie, którego badacz nie widział.

Po raz trzeci przedemną przeszły a przechodząc,
Każda na chwilę na mnie zwróciła spojrzenie;
Znikły, a ja pałałem ścigania ich żądzą,
Pragnąłem skrzydeł, bom już znał te trzy postacie:
Pierwszą z nich była piękna dziewczica, jej imię:
Miłość, drugą była Ambicya bladolica,
Nieustannie znużonem okiem czatująca,
Ostatnia, którą kocham tem więcej, im więcej
Miotają nań potwarze, ta dumna dziewczica—
Poezułem, że to była: mój demon—poezya.

Ale dopiero w kilku wygotowanych pieśniach *Hyperiona* udało się Keatsowi zupełnie zapanować nad środkami artystycznymi i urzeczywistnić snujący mu się dotąd przed oczyma ideał plastycznie-zmysłowej wydatności. Tu znikła wypukło-rzeźba, ustępując miejsca posagom, i statuom takiego stylu, jak gdyby w ich wytworzeniu współdziałało dłuto Michała Anioła. Niech sobie ktoś wyczuwa studium Milтона, co do mnie wyznaje, że Milton jest tu prześcignionym. Już sama natura materiału pociągała obrazy do kolosalności. Przeczytajmy wyrazy o bogini Thea:

Nawet wysoka amazonka przy niej
Zdawałaby się wzrostu pigmejczyka:
Ona, chwyciwszy za włos Achillesa,
Zgięłaby jego kark, co mówię ona
Wstrzymałaby mogła koło Iksiona.

Albo przeczytajmy opis pieczary, do której zgromadzili się strąceni Tytanowie:

Była pieczara, kędy bolesny blask światła
Na lzy ich nie upadał; kędy własne jęki
Czuli, lecz nie słyszeli przed mrukiem chrapliwych
Potoków, przed ponurym gwarem wodospadu,
Co się grzmiąco wśród mroku staczał do otchłani.
Głazy na głazach, skały sterczały na skałach,
Jakby właśnie w tej chwili ze snu zbudzone,
I stykając się, czoło w czoło, potężnymi
Szczytami, fantastycznie, olbrzymio tworzyły
Nad tem gniazdem boleści ochronne sklepienie.
Zamiast tronów zasiedli na bryłach krzemienia
Na skale i na twardym kamieniu łupkowym
Przegryzionym od miedzi. Nie wszyscy tam byli:
Jedni byli w kajdanach, drudzy gdzieś daleko.
Coeus i Gygies i Tyfon, Dolor, Briareus
I Porfiryon z orszakiem najśmielszych przy szturmie
Zapędzeni do krain, gdzie trudno dech schwyć,
Zgrzytali w ciemności, zębami
A wszystkie ich członki
Wyglądały jak żyły metalu, skurezone;
Bez poruszenia, tylko olbrzymie ich serca
Konwulsyjnem ruszały się drganiem, gorącym,
Krwawem tętnem.

Byron, który poprzednio tak był surowym względem Keatsa, nie powiedział zawiele, wyrażając się, że poemat *Hyperion* „natchnionym został przez Tytanów i że jest tak wzniosłym jak Eschylosa. Mamy teraz dostateczne próby stopnia fantazyi poety-młodzieńca; przy całym wdzięku jego melodyi ¹⁾, ona to przecież charakteryzuje go jako poetę angielskiego. Czysto artystycznym charakterem

¹⁾ Uważmy np. melodyjność jego *Pieśni elfów*:
Shed no tear! o shed no tear!
The flower will bloom another year.
Weep no more! weep no more!
Young buds sleep in the roots' white core, etc.

swej poezji stanowi on przejście od poetów konserwatywnych do poetów miłujących postęp, ale z wyraźną skłonnością do postępu, skłonnością, której wymownym symptomaticum jest jego zapalona przyjaźń z radykalnym redaktorem *Examiner*a, Leigh Huntem. Czuł on, co pisał, kiedy w oburzeniu na rządy Liverpool-Castlereagh w wierszu swym „do nadziei“ zawołał:

O niech moja ojczyzna zachowa swą duszę,
Dumę, swobodę, a nie cień swobody.

a imiona Wilhelma Tella, Wiliama Wallece'a, a przede wszystkim Kościuszki, w wierszach jego wspomnane są wielokrotnie z najwyższym uwielbieniem. Do jakiego stopnia byłby się rozwinął, gdyby był doszedł do wieku męskiego, nie można powiedzieć; kiedy pisał swoje ostatnie i najpiękniejsze pieśni, był jeszcze nieznanem światu dzieckiem.

Nie zapominajmy o tem, że pisał je wśród największych cierpień i bez wszelkich warunków do pracy. Może dlatego właśnie są one tak piękne. Jakkolwiek poeta własne życie prywatne może odsuwać od utworów swoich, jakkolwiek, tak jak Keats, może nie wspominać w pismach swoich o najgłębszej namietności osobistej: jednak nie ulega wątpieniu, że żadne dzieło na swem czole nie pokazuje tyle życia i barwy, tyle boskiego ognia, jak to, przy którego tworzeniu autor nie tylko pisał, lecz żył i cierpiał. Ani troska o chleb powszedni, ani choroba piersiowa, ani namietność do wschodnio-indyjskiej dziewczyny nie wycisnęły bezpośrednio piętna na pracach Keatsa; ale z całego tego jadu wyssał on dla nich pokarm.

Tak więc wstąpił do przedwczesnego grobu i zaledwie pogrzebiony, wstał z martwych w żałobnej pieśni, którą Shelley zanucił nad jego mogiłą. Przestał istnieć jako

Keats, przeistoczył się w mit, w Adonaisa, pięknego młodzieńca wszystkich muz i żywiołów, a stawszy się mitem, odtąd zaistniał podwójnym bytem w świadomości potomnych.

On żyje, czuwa—śmierć umarła, nie on;
Nie płaczcie Adonaisa!...

Teraz stał się on jednym z naturą. Głos jego
Słychać we wszechmuzyce natury od grzmotu
Gromu do rzewnej pieśni nocnego ptaszcęcia...
On jest teraz częsteczką tej miłości, którą
Jeszcze miłszą uczynił. Spełnia pracę swoją
Tam, gdzie Jednego Ducha plastyczna potęga
Krąży po mrocznym gąszczu światów, popychając
Nowe koleje bytów, by kształt przybierały...

Oto sławy niedoszłej dziedzice powstają
Z tronów swych zbudowanych po za granicami
Śmiertelnej myśli, tam gdzieś w niewidzialnym świecie
Chatterton zbladł, lecz jego blasku nie zaćmiło
Uroczyste konanie; I Sidney, jak walczył,
Jak padał w krwawem polu, jak żył i jak kochał—
Tak powstał: w majestacie duch niepokalany...

I wielu, których imię poblakło na ziemi...
Odziani w aureolę szat nieśmiertelności,
Wołali: „oto jesteś jednym z nas! przez ciebie
Owa sfera bez króla na oślep krążyła.
Cichy samotny na tem niebie pieśni, zajmij
Tron oskrzydłony, nasza ty gwiazdo wieczorna!“

W dziejach poezji nie znajdujemy odpowiednika do tej elegii. Jest to bezpośrednia apoteoza, cudowne przemienienie postaci po śmierci i poetyczne przemienienie w rodzaju czysto naturalistycznym i humanistycznym. Dla Shelley'a prawdziwa apoteoza tkwiła w tych wyrazach: „Teraz stał się jednym z naturą“ (*He is made one with nature*).

XII.

W listopadzie r. 1825 Walter Scott pisze w swoim dzienniku: „Tomasz Moore jest tu... W jego istocie widać męską otwartość, w parze z całą przyzwoitością i dobrem wychowaniem. Ani śladu poety lub pedanta... Jego wyraz twarzy nie jest niezwykajny, ale rysy ma tak żywe, szczególnie gdy mówi lub śpiewa, że są daleko bardziej zajmującymi, nad wrażenie, jakie sprawićby mogła piękność prawidłowa. Przypomniałem sobie, że Byron tak ustnie jak i w dzienniku swoim o Moo'rze i mnie tyle razy odzywał się takim samym tonem i z takim samem poszanowaniem, że byłem ciekawy zobaczyć, co moglibyśmy mieć wspólnego z sobą, kiedy Moore wciąż żył w świecie wykwiutnym, a ja na wsi i z ludźmi zajmującymi się interesami, a często i z mężami stanu, kiedy Moore jest uczony ja zaś nie, on jest wielkim mnzykiem, tymczasem ja nie znam ani jednej nuty, i kiedy on jest demokratą, ja arystokratą, nie mówiąc już o tem, że on jest irlandczykiem a ja szkotem. Jednakże obaj myśleliśmy jednakowo, i to jest ważny punkt podobieństwa, obaj jesteśmy dobrodusznymi ludziska, wolący używać chwili, aniżeli wyteżać się na utrzymanie lwiej godności swojej i obaj dosyć znamy świat na pogardzanie z całego serca takimi zadzierającymi nosa osobami, co to swoją literacką impozycją przypominają człowieka, którego Johnson spotkał w gospodzie, a który przedstawiał się jako wielki Twalmly, wynalazca żelazka do prasowania o kształcie słuzowym... Byłby to miły przyrządek do mojego szczęścia, gdyby Tomasz Moore miał posiadłość ziemską o dwie mile ode mnie. Poszliśmy razem do teatru, a że na szczęście w domu znajdowała się dobra publiczność, przyjęła Tomasza Moore'a z zachwyceciem. Chciałbym był uściskać obecnych, ponieważ wy-

placili mój dług za piękne przyjęcie, którego doznałem w Irlandyi.“

Tymi to serdecznymi i humorystycznymi wyrazami wielki poeta szkocki przeprowadził paralełę pomiędzy sobą i narodowym poetą Irlandyi. Podobieństwo ich położenia jako uznanych i podziwianych organów dwu połączonych z Anglią, zależnych krajów tem mocniej uwydatnia różnicę pomiędzy nimi. Polega ona przedewszystkiem na różnicy pomiędzy położeniem Szkocyi a Irlandyi względem plemienia panującego. Stanowisko Szkocyi było podrzędne, ale było uregulowane prawnie i szkoci mieli miejsce i głos w parlamencie. Przeciwnie irlandczycy, różniący się od angielskich władców swoich z jednej strony daleko głębszą odrębnością plemienną, z drugiej strony, w większości swojej, daleko ważniejszą odrębnością religijną, przez sześćset lat zostawali pod panowaniem rządu, nad którym nie większą rozciągali kontrolę, jak hindusi, albo syngalezowie nad swoim. Protestantki parlament kraju rezydował w katolickiej Irlandyi, jak załoga nieprzyjacielska w kraju zdobytym. Była to banda dyktatorów, którzy w imieniu obcego mocarstwa rządili z pełną swobodą ucimężania, których jednak niebawem ujmowano przekupstwem, albo zgębiano gwałtownymi środkami, w razie najmniejszego z ich strony kroku do opozycji. Protestant irlandzki w rzeczywistości nie w lepszym był położeniu od swego współziomka katolickiego, przychylność swych panów mógł zjednać sobie tylko poświęcaniem interesów kraju i posiadał ten jedyń smutny przywilej, że był zarazem niewolnikiem i tyranem.

Rasa angielska miała to szczęście, że zarówno jej cnoty, jak i wady w walce o niezależność polityczną i władzę zapewniały jej zwycięstwo; jej egoizm i duma prawie tyleż się jej przydały, co trzeźwy rozum i energia. Plemię

irlandzkie, przeciwnie, zdaje się, mniej więcej w taki sposób, jak polskie, równie cnotami swemi, jak występkami, jest skazanem na zależność polityczną. Nie zapominając o tem, że charakter rasy zwyciężonej zawsze bywa oczerziany w opisach zwycięzców, można twierdzić, że lekka krewkość, żywość, słodycz i ogień irlandczyków, ich niepokojny heroizm, niestała rycerskość, miłujący swobodę, a w pewnych razach rokoszniczy ich instynkt, który łączy się u nich z pociągami do przepychu i majestatu władzy królewskiej, są to złe podwaliny spokojnego i niezależnego życia politycznego. Zbыва im na obywatelskich cnotach nowoczesnego wieku, a te, które posiadają, należą do przeszłości: ich religijność trąci najlepszym zabobonem, ich wierność zależy, jak u ich braci w Bretanii, na czysto feodalnej wierności względem starej arystokracji krajowej, a świetna ich odwaga jest natury niekarnej, burzliwej. Nakoniec długoletni ucisk na duszach irlandczyków wyrzł swe piętno. Braknie im wiary w siebie, łatwo wpadają w stan zwichnięcia, a z niemniejszą łatwością w stan niedołęztwa; zbyt są nieoględni przed niebezpieczeństwem, a zbyt skłonni do trwogi w chwili ukazania się niebezpieczeństwa, nie umieją używać swobody, jeżeli na krótką chwilę przypadnie im w udziale, ponieważ tylko długa praktyka uczy używać swobody ze stałością. Bywają zarówno niedoświadczone plemiona, jak niedoświadczone indywidua. Irlandczycy z jednej strony są pokrewni francuzom, do których zawsze mieli żywą sympatyę; z drugiej, przypominają polaków, z trzeciej strony zdawaćby się mogli oryentalnymi. Pomiędzy ostatnimi z *Melodij irlandzkich* Moore'a znajdujemy wiersz *Paralela*, który na pewne pismo przeciwko irlandczykom, usiłujące dowieść, że pierwotnie są żydami, odpowiada w ten sposób, iż kreśli porównanie pomiędzy losem irlandczyków a losem ludu żydowskiego:

Lud nasz legł zwyciężony, jak ty, i złamany,
Blask jego zgasnął, z głowy upadła korona,
Losy wyrzekły nad nim wyrok wszechzniszczenia
A słońce jego zaszło, kiedy dzień był jeszcze!

I sama rasa ma piętno wschodnie. „Irlandczycy — mówi gdzieś Byron odnośnie do Moore'a, — chlubią się ze swego pochodzenia wschodniego i rzeczywiście dzikość, czułość i żywe barwy ich fantazyi, ognisty i egzaltowany temperament ich mężczyzn, piękność i azyatycki wdzięk ich młodych dziewcząt przemawiają na korzyść tego poglądu“. Łatwo pojąć, jaką zdobycz plemię o takich ryśach stanowić musiało dla giętkiej i okrutnej tyranii angielskiej, i nieodzownym jest bystry rzut oka na historję Irlandyi podczas młodości Tomasza Moore'a dla zrozumienia, że ten łagodny i miękki duch poetycki będzie pierwszym, który opierającą się rozważaniu natury poezję angielską poprowadzi do obozu i poda hasło poezyi politycznej.

Urodził się w maju r. 1779 i w pierwszych latach młodości doczekał się okropności, które wkrótce nastąpiły. Od chwili, jak rząd angielski przez mianowanie lorda Camdena wicekrólem Irlandyi (1795) zapowiedział odstąpienie od humanitarnej polityki roku 1782, rozszerzono po całym kraju patryotyczne towarzystwo „zjednoczonych irlandczyków (*United Irishmen*)“, które dotąd zmierzało do prawnej emancypacji Irlandyi środkami prawnymi, przybiera nowy charakter: postanowiono sobie za cel oderwanie się Irlandyi od Anglii i marzono o utworzeniu rzeczypospolitej irlandzkiej. Tymczasem sama ludność irlandzka rozszepioną była na plemiona wrogie sobie nawzajem, a wśród niższych warstw gorąca nienawiść stawiała protestantów przeciwko katolikom. Dla położenia końca zaburzeniom i rozterkom, wywiązującym się z tej wewnętrz-

nej nieprzyjaźni, rząd utworzył protestancki korpus żandarmerii z 37,000 ludzi, któremu pod pozorem szukania ukrytej broni, było dozwolone każdego, kto tylko przez jakiegoś łotra lub nieprzyjaciela został denuncjowany albo posądzony, uwięzić, poddać torturom i zabijać. Krocie niewinnych; których całem przewinieniem było to, że wyznawali wiarę ojców, biczowano aż do utracenia przytomności, zmuszano do stania jedną nogą na ostrzu kołka, „wieszano wpół“ (t. j. zdejmowano wkrótce po powieszeniu), albo skalpowano przez wyskok z czapki smołowej. Do tego przylączyły się rozszerzone po całym kraju dragonady z całą wolnością rabowania, łupieztwa, gwałtu, a w razie oporu—mordowania. Oficerowie chlubili się, że w najdalszych okolicach nie było domu, w którymby nie znieważano kobiet, a na zarzut, że irlandki nie powinnyby być zbyt surowych obyczajów, odpowiadano, że „bagnet usuwa wszelki opór“¹⁾. Nie będzie nas dziwiło, że rozpacz wielu najspokojniejszych i najrozważniejszych irlandczyków popchnęła w objęcia tajnego towarzystwa, kiedy jego poseł, lord Edward Fitzgerald (którego życie Moore opisał z takim gorącym natchnieniem), udał się do Francji w celu rokowania z generałem Hoche'em o wylądowaniu francuzów jednocześnie z wybuchem ogólnego powstania irlandzkiego. Stary, odznaczający się zimną krwią przewodca ludu, Gratta, który nie chciał zgoda ani słyszeć o cudzoziemcach, cofnął się, rozpaczając zarówno nad planami panujących, jak i uciśnionych. Teraz utworzył się w Irlandyi potajemnie formalny dyrektoryat na wzór francuskiego, który z Francją prowadził rokowania o pomoc i pomoc wojenną, kiedy nagle wszys-

¹⁾ Massey: *History of England* tom IV, str. 302. Cały skreślony artykuł jest na opisie angielskich patryotów.

kie plany zachwiały się w skutek zdrady jednego irlandczyka katolickiego. Nazywał się on Reynolds, a jego imię zasługuje na zachowanie go w pamięci; podług mnie jest rzeczą niewątpliwą, że jego to miał na myśli Tomasz Morre w tem miejscu poematu *Lalla Rookh*, gdzie opisuje nikczemną zdradę, która w *Czcicielach ognia* przewodcę rokoszan wydaje w ręce mahometan. Edward Fitzgerald leżał w łóżku, kiedy dla uwięzienia go wojsko wpadło do domu, w którym się ukrywał. Za głowę jego wyznaczono 1000 funtów nagrody. Chociaż w postawie leżącej i uzbrojony tylko sztyletem, bronił się przeciwko trzem silnie uzbrojonym oficerom angielskim, zadał jednemu z nich dwie czy trzy, drugiemu czternaście ran, aż nareszcie trzeci rozbroił go wystrzałem z pistoletu, poczem porwano go do więzienia. Był on znajomy z najzacniejszych mężami rewolucyi francuskiej, był przyjacielem Tomasza Payne'a, i miał za żonę piękną córkę Filipa Egalité. Zostawał w ciągłej korespondencji z Francją i tylko przez śmierć w więzieniu uniknął kary śmierci. Moore, pomimo że żył w takich kołach, w których Fitzgeralda uważano za zbrodniarza stanu, szaleńca, miał dosyć odwagi i samodzielności, ażeby oddać cały hołd jego heroizmowi.

Pod ciosem, zadany przez rząd głowie powstania, upadły stanowczo widoki zamachu, ale rząd ten zyskał sposobność pokazania całego swojego okrucieństwa i wściekłości przeciwko rozproszonym po kraju rokoszanom. Zaprowadzono stan oblężenia z sądem wojennym, a członków tego ostatniego historycy angielscy nazywają „bandą nieokrzesanych i krwi chciwych nikczemników, którzy naprzód torturami i obietnicami ulaskawienia świadków katolickich zmuszali do składania fałszywego świadectwa przeciwko oskarżonym, aby następnie dokonywać na nich wszelkich gwałtów.“ Pierwszym znakomitym mężem,

który padł ofiarą tego postępowania, był spokojny zwolennik prawnego stronnictwa reformy Irlandyi, sir Edward Crosbie, powieszony, a następnie pokaleczony. Nie różnica religijna zapalała okrucieństwo tych katów; gdyż wszyscy najprzedniejsi przewodcy „zjednoczonych irlandczyków“ (Fitzgerald, O'Connor, Harrey, Tomasz Emmet), byli protestantami, którzy ze szlachetną bezinteresownością ujmowali się za słuszną sprawą katolickich współziomków swoich, nie, była to przedwieczna nienawiść rasowa saksenów przeciw szczepowi celtykiemu.

Za narządzie rząd obrał sobie człowieka, który tak dalece był znany, jako nieoświecony i gorący duch stronnictwa, że można było spodziewać się po nim wszelkiego stopnia gwałtów i zamianował go w r. 1799 high sheriffem. Był to mały właściciel ziemski, nazwiskiem Tomasz Judkin Fitzgerald. Od początku planem jego było podobać się przelożonym swoim tym sposobem, że chwytął każdego, kogo tylko miał w podejrzeniu o zamysły rokoszu, ażeby biczowaniem i groźbą natychmiastowego powieszenia wymodz na nim wyznania i oskarżenia przeciwko innym. Tak straszne powstało przerażenie za jego przybyciem do Irlandyi, że biedni chłopci, czując się oddanymi na jego łaskę i niełaskę, na drodze klękali przed nim. Oto parę przykładów jego postępowania, wyjętych z mnóstwa innych wyświeconych w procesie wytoczonym przeciwko niemu za przekroczenie władzy urzędu swego, z którego ma się rozumieć wyszedł świetnie uniewinniony. Przyjął on biednego nauczyciela języka, nazwiskiem Wright, który na wiadomość, że jest „podejrzany“, stawił się przed nim z temi słowy, że powinien „paść na kolana, ażeby usłyszeć na siebie wyrok.“ „Ty jesteś buntownikiem — powiedział do niego — masz dostać pięćset razów bicia, a potem być rozstrzelanym“. Ponieważ nieszczęśliwy ten człowiek był tak nieogłędny, że prosił o odroczenie i wy-

bąknął o „przesłuchaniu“, przeto natychmiast oddano go w ręce katów. Ale jeszcze ci nie zdążyli go porwać, kiedy jego sędzia rzucił się nań, chwycił za włosy, uderzył go i pchnął mieczem. Kiedy już otrzymał pięćdziesiąt razów biczem, nadszedł major angielski i zapytał, jakie było przewinienie Wrighta. W odpowiedzi podano mu bilecik francuski, który znaleziono poprzednio u przestępcy i którego nie rozumiano. Pokazało się, że to było przeproszenie, że nie mógł przyjść we właściwym czasie na godzinę lekcyi. Major zaręczył sędziemu, że to jest karteczka zupełnie niewinna; pomimo to biczowanie trwało dalej, dopóty aż przez rozsiekane ciało wyjrzały wnętrzności ofiary. Wtedy siepacz otrzymał rozkaz skierowania obcęg na tę część ciała, których bicz nie dotknął był jeszcze. Pomieniony wypadek był jednym z tych, które w procesie przeciw naczelnemu sędziemu irlandzkiemu najwięcej budziły zajęcia, w procesie, mówi Massey, który nie byłby kompletnym, gdyby kaznodzieja protestancki, jako świadek za obwinionym, nie był wykonał przysięgi, że ten powszechnie znany krwiozerca, którego w całej Irlandyi nazywano „Biczownikiem-Fitzgeraldem“, jest łagodnym i ludzkim człowiekiem. Gwoli jemu od początku wprowadzono wbrew konstytucyi torturę drogą prawa. Miał przeto nietrudną zabawkę w załatwianiu się z wszelkimi oskarżeniami. Z niesłychaną zdzięcznością chęłpił się, jako obwiniony, że w krociach wypadków używał nierównie gwałtowniejszych kar biczowania, aniżeli w tych, o których teraz tyle robią wrzawy i sam opowiadał o człowieku, który poderzwał sobie gardło, aby uniknąć okropności tortur i połączonej z niemi hańby. Zasługuje na wspomnienie fakt, że w nagrodę za swoje zasługi otrzymał specjalną pensję, i że kiedy Castlereagh przeprowadził unię z Irlandyą, mianowano go baronem „zjednoczonych królestw.“

Przytoczmy jeszcze jeden tylko przykład jego postępowania podczas stłumienia powstania, ażeby przed czytelnikiem przedstawić z całą żywością wrażenia, pod jakimi Tomasz Moore, mający podówczas lat ośnaście, dojrzywał na mężczyznę. Pewnego jesiennej wieczora r. 1798 żandarmi, prowadzeni przez niejakiego Whollaghan, weszli do domu we wsi Delbary, należącego do robotnika Dogherty, na którego padło podejrzenie, i zapytali, czy nie znajdują się tam którykolwiek z krwawych buntowników. W domu nie było nikogo, oprócz żony Dogherty'ego i chorego chłopca, jej syna. Whollaghan zapytał, czy chłopiec ten jest synem Dogherty'ego, a na odpowiedź „tak“ zawołał. „Kiedy tak, to umrzesz ty pies!“ Chłopiec błagał o życie. Wśród potoków słów zelżywych podoficer próbował wystrzelić dwa razy, ale broń odmówiła posługi. Kolega podał mu inną broń, matka padła na kolana, ażeby ciałem swoim zasłonić dziecko, ale kula rozerwała ramię chłopca. Kiedy padł na ziemię, mordercy opuścili chatę. Ale Whollaghan wrócił i widząc matkę nachyloną nad synem, zawołał: „Jakto! jeszcze ten pies nie umarł?! — „Ach Boże, panie—powiedziała biedna kobieta — umarł.“ „Boję się, czy nie żyje jeszcze—odpowiedział Whollaghan; na jeszcze to!“ I wystrzelił po raz czwarty, a chłopiec padł martwy w objęcia matki. Kiedy Whollaghana oskarżono o przekroczenie władzy i sprawa toczyła się, obrona opierała się na tem, że oskarżony i jego towarzysze „wysłani zostali z ogólnym rozkazem strzelania, kiedy zechcą.“ Trybunał nie był tego zdania, że podobny rozkaz zawierał w sobie coś niezwykłego i przeciwnego rozumowi. Uznał on, że oskarżony zastrzelił i zabił Tomasza Dogherty, buntownika, ale uwolnił go od zarzutu „jakoby chciał popełnić ohydne albo rozmyślne zabójstwo.“

Takimi to środkami przywracano spokojność w Irlandyi, a lud przygotowywano do aktu gwałtu, w któ-

rym Castlereagh zimnem dyplomatycznym okiem widział jedyne wyjście z bagna irlandzkiego: do zupełnego zniesienia parlamentu dublińskiego i wcielenia go do parlamentu londyńskiego. Jedyne opór, o którego przełamanie chodziło, był to opór samego parlamentu; ale kiedy ten, pomimo głębokiej przedajności, nie okazywał się dosyć powolnym, Castlereagh, który był chief secretary do spraw Irlandyi i w charakterze swoim, jako irlandczyk i protestant, nie zdawał się mieć wysokiego wyobrażenia o protestantach pomiędzy swoimi współziomkami, wpadł na prosty środek—przekupienia pojedynczo potrzebnej liczby członków opozycji. W każdej depeszy, którą od początku roku 1799 posyłał do rządu, aż do czasu przyjęcia unii 1800, powtarzał niezmienioną swój projekt i w odpowiedzi otrzymał kolejno po półtora miliona funtów sterlingów, którymi obracał jaknajenergiczniej. Przejęci rozpaczą niektórzy patryoci irlandzcy próbowali jedynego środka w parlamencie, który zdawał się rokować jakiś pożytek, mianowicie: nagłego wystąpienia ponownie w parlamencie wciąż jeszcze ubóstwianego przez naród, ale tak dawno już oniemiałego, a teraz niebezpiecznie chorego Grattana, w chwili, kiedy zaczęły się rokowania o projekt unii. Z prawdziwie irlandzkim pociąganiem do efektu dramatycznego sprawę wniesiono na scenę. Kiedy od kilku dni walczyło miejsce w parlamencie, Grattan został wybrany w ścisłej tajemnicy; patron odnośnego okręgu wyborczego, Mr. Ighe, puścił się gwałtownym galopem do Dublina dla doniesienia o rezultacie. Przybył z raną o godzinie piątej; wycieńzonego chorobą Grattana podniesiono z łóżka, otulono w kołdrę i w krzesło poniesiono do parlamentu. Rokowania ciągnęły się bez przerwy już przez piętnaście godzin i całą noc, kiedy o godzinie siódmej zrana, podobne widmo ukazanie się Grattana na progu przebudziło izbę z jej półuspiania. Był to mąż z roku 1782, mąż, który nie-

gdys irlandczyków uczynił narodem, a który teraz, jak umierające sumienie swojego ludu powstał z grobu, ażeby podnieść ostatni protest na rzecz jego niezależności. Mowę swoją zakończył temi słowy, że chociażby nawet leżał na ziemi, konając, jednakże ostatniego technienia użyje na protest przeciw takiemu projektowi, jak obecny; a kiedy kanclerz skarbu Corry na te wyrazy odważył się odpowiedzieć oskarżeniem o zdradę stanu, Grattan odpowiedział mu wyzwaniem; w kilka dni potem nastąpił pojedynek na pistolety, w którym Corry na swoje szczęście otrzymał ranę w ramię; gdyby był zwyciężył, ludność niechybnie byłaby rozszarpała w kawałki. Ale nawet Grattan nie mógł podoląć przeciw broni, użytej przez rząd. Owa wymowa, którą Moore porównywał z blaskiem i mocą drogiego kamienia, a której Byron przyznał nie tylko wszystkie zalety, jakie posiadał Demostenes, lecz i te, których brakło temuż ¹⁾, nie znalazła echa. W dniu, kiedy przyjęto unię, galerya i trybuny napelnione były masą ludu przenikniętego niespokojną obawą. Ale Castlereagh, pewny wypadku głosowania, oczekiwał rezultatu nieporuszony i z uśmiechem na ustach. Kiedy mówca wyrzekł powolnym głosem: „Ci, którzy są za mną, zechcą podnieść ręce!“ i kiedy zobaczył, że zwolna ze wstydem podnosi się ręka za ręką, przez chwilę stał naprzód osłupiały, jak posąg,

¹⁾ An eloquence rich, wheresoever ist wave,
Wander'd free and triumphant, with thoughts, that shone, through,
As clear as the brooks stone of lustre, and gave
With the flash of the gem its solidity too.

Moore: Shall the harp then be silent.
Ever glorious Grattan! the best of the good!
So simple in heart, so sublime in the rest!
With all which Demosthenes wanted endued,
And his rival and victor in all he possess'd!

Byron: The irish avatar.

a potem zawołał: „Unia jest przyjęta,“ i z wyrazem wstrętu i oburzenia opadł na krzesło. Ale podczas tych burzliwych rozpraw, w których najprzedniejsi mężowie Irlandyi zapowiedzieli, że opór i rokosz są teraz obowiązkiem, a tymczasem nikt nie pomyślał o tem, ażeby działać, tak jak mówi, na trybunie siedział młodzieniec o bladej twarzy i oczach promiennych, w którym próżne słowa innych były żywym życiem, i który poprzysiągł w swoim sercu, że będzie oswobodzicielem ojczyzny. Tym młodzieńcem był najszlachetniejszy i najprześwietniejszy syn Irlandyi, Robert Emmet, któremu, mojem zdaniem, świat zawdzięcza wszystko, to, co technie siłą i krwią w porywających *Melodyach irlandzkich* Tomasza Moore'a.

Rzadki poeta irlandzki, który ujrzał światło dzienne w tym samym roku, co i Oeblenschläger, był synem podrzędnego kupca winnego w Dublinie, miał dzielnego ojca, miłą i czynną matkę (żarliwą katoliczkę), i szczęśliwą młodość przepędził na łonie rodziny. Od najwcześniejszych lat dzieciństwa był to chłopiec nadzwyczajnie uzdolniony i utalentowany. Deklamował, grał komedye, pisał wiersze i śpiewał niesłychanie pięknym głosem, który zachował przez całe życie. Czytając własny jego opis lat chłopięcych, czujemy wszędzie, jak wcześnie wykluwa się tam właściwy jemu, wrodzony typ poetycki, typ improwizatora i osobliwszego, zwycięzkiego liryka. Posiadał on ten sam dar, który stanowi wielkość Bellmana, dar zlewania w utworze swoim w jednolitą całość pieśni i muzyki, a zarazem zespolenia w oddaniu roli aktora i śpiewaka. Był małym, znacznie mniej niż średniego wzrostu, z ciemnymi kędziorami i w wieku dziecięcym podobny był do małego Kupidyna. Czoło jego było wielkie i świetne, tak interesujące, że musiało wprawiać w zachwycenie frenologa. Oczy jego były ciemne i piękne takie, mówi Leigh Hunt, jakie z przyjemnością spostrzegamy pod wiankiem

z liścia winorośli usta miał delikatne z uśmiechowymi dolkami, nos nieco zadarty, zmysłny, z jakimś osobliwszem piętnem, jak gdyby wciągał w siebie zawiew woni uctowej albo ogrodu owocowego. Ale cały ten mały człowiek sprawiał zbiorowe wrażenie życia i energii, jak gdyby nadawał się właśnie do tego, ażeby, jak staroświeccy irlandczycy, uczestniczyć w zwinnej utarczce konnej; zawsze był nadzwyczaj czułym na honor, i w młodości swej zapalonym zuchem, który Jeffreya za pierwszą krytykę wymierzoną przeciw niemu, a później Byrona za jego żarcik (w *Bardach angielskich*), wyzwał na niekrwawy pojedynek, do którego dało powód owe pierwsze wyzwanie.

Pomimo tego wojowniczego pierwiastku w jego krwi, jest rzeczą nader prawdopodobną, że Moore przy mniej poważnych i wstrząsających warunkach i gdyby był nie poznał zbliżka i dotykalnie ucisku i tyranii, nie wzniosłby się nigdy do poziomu wyższego, nad poziom milego anakreontyka. Temperament pociągał go ku temu kierunkowi. Ale losy pozwoliły mu zrobić dla swojej ojczyzny więcej, aniżeli zrobił ktokolwiek inny, więcej jeszcze, niż Burns wytworzył dla Szkocyi, pozwoliły mu imię, wspomnienia, cierpienia ojczyzny, krwawe bezprawie, które na niej spełniono i najpiękniejsze przymioty jej synów i córek, połączyć z nieśmiertelną poezją i muzyką.

Mając zaledwie piętnaście lat wstąpił do uniwersytetu dublińskiego, a materyał fermentu politycznego, który wówczas zaczął przenikać całą Irlandję, objawił się zarazem w murach uniwersytetu, kiedy młodzieniec, któremu przeznaczony był wielki i smutny los, wkrótce do najwyższego stopnia zwrócił na siebie uwagę zarówno towarzyszy nauk, jak i profesorów—wspomniany wyżej Robert Emmet, któremu świetne studia na polu matematycznym i fizykalnym, obok wymowy politycznej najwyższego rządu i wyjątkowo rzadkiej czystości, już w szes-

nastym roku jego życia zjednały rozgłos. Wspomnieliśmy o jego mowach w klubie rozpraw „Towarzystwa historycznego“ i o głębokiem wrażeniu, które wywarły na równego mu wiekiem, ale o wiele łagodniejszego i mniej rozwiniętego Moore'a. Chociaż ostrzegano go ażeby przez nieostrożność nie pokazywał się razem z Emmetem publicznie, jednakże wkrótce poczuł się pociągniętym ku niemu głębokiem uwielbieniem i serdeczną przyjaźnią. Nie dziwnego! Spotkał on w nim młodego narodowego bohatera Irlandyi, młodego poetę Irlandyi w pierwszych latach młodzieńczych. Żaden z nich nie przewidywał wówczas przyszłej wielkości drugiego, ale instynkt, co kojarzy duchy harmonizujące z sobą, zespolił ich nierównie pierwej jeszcze, nim śpiewak otrzymał namaszczenie od bohatera. „Gdyby mnie zapytano—mówi Moore (w swoich *Memoirs of Lord Edward Fitzgerald*)—kto zpośród wszystkich ludzi, których znałem, zdawał mi się jednoczyć w sobie największe zdolności z największą szczytnością moralną, bez namyslenia się, wymienilibym Roberta Emmeta“.

Robert Emmet urodził się w r. 1780; starszy brat jego Tomasz był jednym z głównych przewódców podczas rewolucyi r. 1798; po jej upadku, naprzód wtrącony został do więzienia, a następnie wywołany z kraju. Najpierwszemi uczuciami Roberta były: nienawiść ku tyranii angielskiej i miłość ku męczennikom Irlandyi. Już w chłopięcym wieku okazywał moc charakteru, przepowiadając wielkość duszy, którą rozwinąć miał, jako młodzieniec. W dwudziestym już roku namiętnie studyował matematykę i chemię ¹⁾. Pewnego dnia po pewnem doświadczeniu chemicznem, zabrał się do rozwiązania nadzwyczaj trudnego zagadnienia matematycznego i w roztertargnieniu

¹⁾ Madden: *United Irishmen, their lives and times*.

przytknąwszy rękę do ust, otrul się sublimatem merkuryszu, którego używał na kilka chwil przedtem. Gwałtowne boleści, które poczuł natychmiast, wskazały mu grożące niebezpieczeństwo. Z obawy jednak, żeby mu nie zakazano nadal takich niebezpiecznych doświadczeń, nie wszczynął najmniejszego hałasu, lecz zeszedł na dół do biblioteki ojca, odszukał w encyklopedyi artykuł „Trucizna“ i znalazł tam, zaleconą w wypadkach podobnych temu, rozpuszczoną kredę, jako odczynnik, przypomniał sobie, że widział kawałek kredy w wozowni, wyłamał zamknięte drzwi, przyniósł kredę, wypił jej roztwór i wrócił spokojnie do zagadnienia matematycznego. Kiedy nazajutrz rano nauczyciel przy śniadaniu zobaczył go z twarzą tak zmienioną, że zaledwie można było go poznać, Emmet przyznał się, że noc spędził w okropnych cierpieniach, ale dodał, że jego bezsenność przynajmniej o tyle mu posłużyła, że szczęśliwie rozwiązał zagadnienie. Chłopca, posiadającego tyle odwagi i przytomności, przeznaczaniem jest w wieku męża służyć za wzór dla wielu.

Był on wzorem naprzód i przedewszystkiem dla Tomasza Moore'a. Prostota i spokojne umiarkowanie, rozlane po całej jego istocie i połączone z najdelikatniuszem uczuciem względności, jeżeli potrąconą została ta struna, która poruszała jego uczucia, ustępowały natychmiast przed piętnem przewagi umysłowej, która rozwijającego poetę musiała zachwycać. „Dwaj ludzie — mówi Moore — nie mogą być bardziej różni od siebie, jak był ten młody człowiek przed chwilą, a po chwili, kiedy zaczął mówić. Spojrzenie, które przed kilku okamgnieniami zdawało się znużonem i prawie bez życia, nagle rozpromieniało się całą siłą jego talentu. Jego oblicze, gesty i cała postawa przybierały charakter natchnienia. O potędze jego wymowy mogę sądzić jedynie ze wspomnień mojej młodości, ale nigdy później nie słyszałem nic takiego, coby mi się zdało

mieć piętno wznioślejsze lub czystsze“ Moore nadmienia przytem, że Emmet nad otoczeniem swoim panował zarówno nienaganną czystością życia, łagodnością i słodyczą charakteru, jak i wiadomościami swemi i wymową. Kiedy w r. 1797 przewodcy irlandzcy O'Connor, bracia Emmet i inni założyli dziennik *The Press*, Moore chciwie pragnął, ażeby ten i ów plód jego muzy był pomieszczonym w parytyecznych i powszechnie czytanych łamach tego pisma. Ale nieustanna, a w owych czasach niebez zasadna obawa matki o niego, z drugiej strony powstrzymywała go od zrobienia takich kroków, które ona mogłaby wziąć do serca; postanowił przeto debiutować bezimiennie. Posłał naśladowanie z Ossiana, które przemknęło się bez przeszkody, nie zwróciwszy uwagi. Następnie wsunął drżącą ręką do skrzynki pocztowej list *Do studentów Trinity College*, suto opieprzony, jak sam powiada, „zdradą stanu“, dowcipną satyrę na Castlereagha, który do końca życia nigdy nie przestał być dla dowcipu Moore'a tarczą do strzelania, „Anim się spodziewał — powiada Moore — że list ten zostanie wydrukowany; lecz oto następnego wieczora, kiedy, jak zwykle, siedziałem sobie w rogu pieca i roztwierałem gazetę dla przeczytania jej rodzicom, był tam na czele własny mój list, bił mię w oczy i naturalnie był najpięwszą rzeczą, której zażądali moi słuchacze.“ Zapamięawszy nad wzruszeniem serca, przeczytał list i miał to zadosyćuczynienie, że rodzice chwalili go wysoce, chociaż oboje znajdowali „bardzo zuchwałym“. Kiedy na drugi dzień Edward Hudson, jedyny z przyjaciół Moore'a, który był przypuszczony do tajemnicy, w czasie porannych odwiedzin z nader znaczącem spojrzeniem rzucił Moore'owi zapytanie: „No, czyś już widział...?“ — „To twój list, Tomaszu“, zawołała matka, i łatwo się domysleć, że po przyznaniu się nastąpiły nowe przestrogi ostrożności. „W parę dni później — opowiada Moore — podczas jednej z długich

przechadzek w pole, które ja i Emmet zwykliśmy byli odbywać razem, rozmowa zwróciła się na ten list i ja odkryłem siebie, jako autora. Wówczas Emmet prawie z kobiecą łagodnością charakteru, jaką spotykamy nieraz w tego rodzaju stanowczych umysłach, wyznał, że czytając list, jakkolwiek uznawał jego treść, nie może nie żałować, że tym sposobem uwaga publiczna zwróconą zostaje na politykę uniwersytetu, okoliczność, która przecież, w razie czujności władz, rozszerzeniu tego, co my oba nazywaliśmy „dobrym duchem,” który teraz toruje sobie drogę w cichości, tylko przeszkodzićby mogła. Jakkolwiek byłem wówczas jeszcze chłopięciem, dotknął mnie jednak mimowolnie męski pogląd, jaki on, jakem zauważył, miał na to, co ludzie wśród takich okoliczności i w takich czasach czynićby powinni, a mianowicie, nie mówić, ani pisać o swoich zamiarach, lecz działać. Poprzednio, o ile sobie przypominam, w rozmowach ze mną nigdy nie napomknął o istnieniu tajnego towarzystwa *United Irishmen*, również ani teraz, ani kiedykolwiek później nie podawał mi myśli przystąpienia do niego — wzgląd, który ja przypisuję w wielkiej części przeświadczeniu o troskliwej obawie, z jaką czuwano nademną w domu. Była to nawskroś szlachetna istota i zarówno zasobna wyobraźnią i czułością serca, jak męską śmiałością“.

Niezaprzeczenie Robert Emmet, przy całej swojej życzliwości dla Moore'a, czuł, że nie jest on z tego kruszczu, z którego powinien być wykutym człowiek, który swoją przyszłość i życie wystawić ma na grę rewolucyi. Ale liczył wiele na młodego poetę i odwiedzał go często; uważał on niezawodnie, jak niezwykle grunt oddźwięku znalazły jego idee i marzenia w harfie, którą Tomasz Moore nosił w swej duszy. Siedział zwykle przy fortepianie Moore'a, kiedy poeta grał melodye z irlandzkiego zbioru Butinga, i Moore jeszcze w starości swej zachował wspo-

mnienie o tem, jak pewnego dnia Robert Emmet, kiedy mu zagrał melodyę „Let Erin remember the day“, zawołał z uniesieniem: „O gdybym ja stał na czele dwudziestu tysięcy ludzi, maszerujących przy tej melodyi!“

Było to w r. 1797 na krótko przed odkryciem wielkiego sprzysiężenia irlandzkiego. Nastąpiła potem zemsta z wszelkimi okropnościami. Jednym z pierwszych jej skutków była formalna inkwizycja wśród murów uniwersytetu. Studentów wywoływano pojedynczo z nazwiska i przesłuchiowano. Największa liczba mało, albo i nie nie wiedziała o zamiarach przewódców; dopiero nagle zniknięcie kilku, a pomiędzy nimi Roberta Emmeta, wskazało ich towarzyszą, jak głęboko wtajemniczonymi byli w zdradzone plany. Grobowa cisza, następująca codziennie po wymienieniu ich nazwisk, sprawiała wstrząsające wrażenie na Moore'a. On sam, podczas przesłuchiwania go, pokazał się prawdziwym studentem: oświadczył w oczy straszliwemu lordowi Fitzgibbonowi, że nakazaną sobie przysięgę gotów wykonać jedynie pod tem zastrzeżeniem, że na żadne zapytanie odpowiadać nie będzie, jeżeliby przez to kolegę miał wtrącić w nieszczęście i z męską przytomnością zniósł wybuchy gniewu, które nastąpiły po tem oświadczeniu. Ponieważ nie był członkiem towarzystwa „United Irishmen“ i rzeczywiście nie wiedział o jego planach, wkrótce więc go wypuszczono.

Na następujące bezpośrednio lata przypada pierwsze wystąpienie Moore'a, jako poety. Okropności, towarzyszące uśmierzeniu powstania, nie podały mu materiału dla twórczości poetyckiej, zanadto były one bliskimi. Emmet odjechał, wpływ jego na Moore'a ustał na długo, wogóle w Irlandyi poezja polityczna stała się niemożliwą. Przeto młody poeta, który posiadał z natury popęd do tworzenia poezyj wesółych i lekkich, poszedł tą drogą, która stała

otworem dla jego wieku i talentu: obrabiał naprzód pieśni anakreontyczne, ogłosił je, nie mając jeszcze lat dwudziestu z przypisaniem ich księciu regentowi, który wówczas był nadzieją liberalnych i wystąpił w r. 1801 z tomem *Poems of Thomas Little*. Były to po większej części poematy erotyczne, młodzieńczo zmysłowe i nieco tehnące płochością. Płochosć irlandzka przypomina bardzo tenże typ spotykany tak często w erotycznych poematach szwedów i ma podobny charakter a mianowicie, że jest właściwością narodową.

Kiedy Moore przez parę lat pobujał sobie po najlepszych kołach świata londyńskiego, lubiany i poszukiwany dla swoich talentów towarzyskich i całej sympatyczności irlandzkiej, jego niezamożność zmusiła go w r. 1803 do wyjazdu do Bermudów w celu objęcia tam posady registratora admiralicyi. Jak łatwo się domysleć, Moore nie nadawał się bynajmniej do tego urzędu; wkrótce też spełnianie go zdał na zastępcę, a kiedy ten wdał się w krętartstwa i przeniewierzył się państwu na znaczną sumę, popadłszy niewinnie w takie same nieszczęście jak Scott, otrzymał podobnie z wielu stron ofiarowania pomocy, odrzucił je z takim samem uczuciem honoru, jak Scott, i długi swe umarzał wieloletnią oszczędnością i sumienną pracą. Jego podróż amerykańska trwała od października r. 1803 do listopada 1804. Stamtąd przywiózł zebrane w drugim tomie dzieł jego listy amerykańskie i poezye, których obrazy natury odznaczają się zarówno żywością barw, jak i portretowem podobieństwem. Jako istnie angielski naturalista, Moore ubiega się więcej o sławę pod względem podobieństwa, aniżeli kolorytu, i nie mało jest dumnym zliczonych głosów, przyznających graficzną i geograficzną zgodność w malowidłach z naturą, jakie dochodziły go ze stro-ny rodowitych krajowców i podróżników. Znany podróżnik angielski, kapitan Bazyli Hall (ten sam, który odwie-

dzał Scotta w Abbotsfordzie, a którego, podczas jego choroby w Wenecyi — pielęgnował Byron), twierdzi, że ody i listy Moore'a podają najtrafniejszy i najdokładniejszy (most exact) jak tylko być może opis Bermudów, i wykazuje, że najpiękniejsza *Kanadyjska pieśń żeglarzy*, pod względem tekstu, i melodyi opiera się na pieśniach, które rzeczywiście śpiewają tam na okrętach, tak jednakże, że Moore wyrzucił z tych pieśni wszystko, co nie było piękne i charakterystyczne. I sam Moore opowiada, że opis jego nawet krajobrazów i drzew ściśle trzymał się rzeczywistości. Z powodu tych wierszy:

Twas there, in the shade of the Calabash tree

With a few, who could feel and remember like me—

po upływie mniej więcej dwudziestu pięciu lat otrzymał z Bermudów puchar, wyrobiony ze skorupy owocu wspomnianego tam drzewa kalabasys, na którym znaleziono wyróżnione jego nazwisko. Egzotyczna przyroda owych krain wpłynęła zapładniająco na poetycki umysł, który właśnie miał wrodzoną skłonność przejmowania się silnemi i uroczystemi wrażeniami natury, przeciwnie, demokratyczne i republikańskie urządzenia, których był świadkiem, budziły nierównie słabsze wrażenie i współczucie w subtelnie czułym poecie, na którego rozpoczynająca się powszechna reakcja przeciw wiekowi osiemnastemu zaczęła już oddziaływać. Listy jego o stanie społeczeństwa amerykańskiego pokazują tylko zdolność poglądową na ciemne strony rzecyzpospolitej. Miał posłuchanie u prezydenta ale niedbały strój Jeffersona, niebieskie pończochy i pokojowe pantofle na jego nogach, zbrukały, jak widać, w jego oczach obraz męża, który rzucił pierwszą myśl ogłoszenia niezależności. Przedewszystkiem przeraziło go, że filozofia francuska, która w oczach jego, jako prawego syna swo-

jego wieku była li tylko trucizną i grzechem, tak szeroko upowszechniła się w młodej Rzeczypospolitej¹⁾. „Był to—pisze Moore po wielu latach—jedeny okres mojego życia, w którym poczuwałem się sceptykiem co do zdrowotności wolnomysłnej wiary politycznej, chociaż, że tak powiem, prawie dosłownie zacząłem życie, jako jej wyznawca i obrońca i, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, tak je zakończę.“ Zdawało się chwilowo, jakoby dziecięce i młodzięcze wrażenia znieważanej wyspy ojczystej zostały pogrzebane pod warstwą usposobień anakreontycznych, wspomnień podróży i pod modnem, wesołym życiem w najwyższych, lekkomyślnych kołach Londynu.

Aż oto w r. 1807 ukazał się pierwszy tom *Melodyj irlandzkich*, przepowiednia prawa do nieśmiertelności. Wszystko, co nieszczęśliwa jego ojczyzna w ciągu wielu lat zniewagi cierpiała, jej boleści i westchnienia, jej wzlot natchniony, wojownicza jej śmiałość i jej uśmiech wśród łez wszystko to tu, to owdzie wyblyskało wśród pieśni, napisanych z tryskającą napół melancholijną lekkomyślnością i erotycznym marzycielstwem. Był to wianek uwity z tęsknoty, zapалу i czułości, wianek żaloby, który, jakoby na cześć umarłego, otoczył skronie jego ojczyzny. Nie słyszymy tu częstego i z zapalem wspominanego imienia Irlandyi; wogóle w poemacie tym nadzwyczaj rzadko wchodzi nazwiska—trudno było wymienić imiona własne

¹⁾ Already has the child of Gallia's school,
The foul Philosophy, who sins by rule,
With all her train of reasoning, damning arts,
Begot by brilliant heads on worthless hearts...
Already has she pour'd her poison here
O'er every charm that makes existence dear.
Epistle to Lord Viscount Forbes.

irlandzkie. Ale wkrótce śpiewak swoją oblubienicę uwielbił w takich wyrażeniach, że pod jej rysami domyślano się rysów Erinu. Wkrótce kochająca kobieta przemówiła z takim majestatem, że czuć było, iż tu poeta nie mógł mieć na myśli kobiety irlandzkiej i mistyka wyrażenia, podobnie jak w danych chrześcijańsko-alegorycznych pieśniach pochwalnych, podniosła efekt poetyczny. Cóż działo się w okresie pośrednim pomiędzy ukazaniem się ulotnych poezyj Moore'a a poczęciem tych przedziwnych utworów? Długa to i smutna historia. Już czwarty poemat zbioru zaczyna się

Nie szepez jego imienia, niech drzemie w zaciszu,
Niech śpiący, bez uczczenia spoczywa w mogile,
Niech łza płynąca po nim będzie ciemną, niemą,
Jak ta mgła, co się nocą zlewa na pagórek.

Szło więc tam o człowieka, którego imienia nie można było wymieniać, którego kości, pozbawione czci, leżały w grobie, i którego ciężkie, ciche łzy w mroku nocy oplakiwane być mogły.

W następującym bezpośrednio wierszu czytamy znów bez wymienienia nazwiska:

Gdy temu, co cię kocha, tylko winy
I cierpień imię pozostało, powiedz,
Czybyś płakała, gdyby one życiu,
Poświęconemu tobie, hańbą zagrażały?
Tak płacz! Gdy ciężko żyć zacząną wrogowie,
Wtedy oczyszczać mnie będą łzy twoje;
Bo jeśli muszę uznać się winnym przed nimi,
To tylko tego, żem był zbyt wiernym dla ciebie

Że postacią uwielbianą przez bohatera jest Irlandya, tego domyślamy się na pierwszy rzut oka; ale znów rozciągą się krepą żalobna nad tym, którego sławę zaćmili

jego nieprzyjaciele, a który, chociaż uznawali go za winnego, pozostał wiernym swojej oblubienicy,

Przewróćmy jeszcze nieco dalej karty tego zbioru a spotkamy wiersz, zostający w ścisłym związku z dwoma wyżej wspomnianymi i przedstawiający łagodnymi barwami opuszczoną oblubienicę bezimiennego:

Ona dziś tak daleko od grobu młodzieńca,
I tłum ją zalotników otacza gorących,
Ona milczy i płacze, ona się odwraca
Bo w grobie leży jej serce i życie.

I śpiewa dzikie pieśni z dalekiej ojczyzny,
Każdą nutę, co słodko w uszach jego brzmiała;
Ach! ten, co słucha pieśni, nie pomyśli,
Że serce śpiewającej już pękło z boleści.

On żył dla ukochanej, umarł za ojczyznę
One były dla niego gwiazdami żywota;
I nie było tam oka, coby nie płakało;
I nie próżno on czeka na oblubienicę.

Tam, gdzie słońce ostatnim blaskiem żegna wzgórek,
Tam się przyłóżcie do ziemi i módlcie,
By sny ich mógł osłodzić uśmiech od zachodu,
Jak pozdrowienie od ognisk ojczystych.

Czytelnik domyślił się już, że młodym bohaterem, o którym rozlega się tyle rzewnych dźwięków żalu, nie był nikt inny, tylko dawny przyjaciel uniwersytecki Moore'a Robert Emmet. Uważam za rzecz niewątpliwą, że jego to los podał Moore'owi natchnienie, które wywołało najwspanialsze z *Melodji irlandzkich*—poezje swobody. Kiedy w skutek rewolucyi r. 1798 starszy Emmet został uwięziony w Fort St. Georges, a następnie wywołany z kraju, Robertowi udało się uniknąć aresztowania, ale wolności swej użył natychmiast i wyłącznie na słuzenie tej sprawie, która brata jego popchnęła w nieszczęście i której sam po-

święcił był życie. W r. 1802 udał się do Paryża i miał rozmowę z pierwszym konsulem, który zresztą wywarł na niego takie wrażenie, „że nie więcej troszczy się o Irlandyę, niż o Rzeczpospolitą i swobodę,” oraz kilkakrotną schadzkę z Talleyrandem, którego osobistość nie lepiej mu się podobała, ażeby przez rokowania z nimi przygotować utworzenie niezależnej rzeczypospolitej irlandzkiej, opartej na przymierzu z francuską. Działo się to w chwili, kiedy przywrócone na krótko pokojem w Amiens, dobre stosunki pomiędzy Francją a Anglią bliskimi były zerwania. Bonaparte, jak się zdaje, przez pewien krótki czas, myślał naprawdę o wyładowaniu w Irlandyi — jeszcze na wyspie Ś-tiej Heleny załował, że zamiast do Egiptu, nie poszedł do Irlandyi — i Robert Emmet w listopadzie r. 1802 powrócił do wyspy ojczystej ze stanowczemi obietnicami, że wyładowanie armii francuskiej nastąpi w sierpniu roku 1803. Z nieustanną śmiałością doprowadził jeszcze raz do skutku przysiężenie w Irlandyi. Zdaniem jego, rewolucya z r. 1798 spełzła na niczem dla tego, ponieważ zbywało jej na podstawie operacyj w stolicy. Chodziło mu przede wszystkim o opanowanie Dublina, a szczególnie zamku, którego bramy aż do wieczora stały otworem. Dniem i nocą czuwał nad przygotowaniami do powstania, najęto mnóstwo domów po rozmaitych cyrkułach Dublina, gdzie bez przerwy wyrabiano broń, kule i proch: on sam zawsze miał około siebie mały sztab złożony z piętnastu osób prawie wszystkich z łona ludu, którzy pracowali pod jego nadzorem, a krótkiego spoczynku, którego sobie pozwalał, używał w jednym z magazynów prochu, kładąc się na materacu. Chociaż do spisku wtajemniczonych było przeszło 1000 osób, przecież nie znalazł się pomiędzy nimi zdrajca i łaknąca krwi władza zgola ani się domyślała tego, co się przygotowywało. Mienie Emmeta przez zakupy wyczerpało się zupełnie, ale robotnicy, którzy mu

służyli, za robotę nie przyjmowali wynagrodzenia; „pracowali—powiedział jeden z nich, którego autor książki *United Irishmen* spotkał jako starca--nie dla pieniędzy, lecz dla sprawy Roberta Emmeta, za niego byliby oddali życie.“ Aż oto w lipcu zdarzył się jeden z tych obliczyć się niedających wypadków, których żadna przezorność ludzka odwrócić nie może: jeden z magazynów prochu wyleciał w powietrze i zabił dwóch ludzi, z których jeden skonał na rękę Emmeta. Następnego dnia jedno z pism protestanckich zawiadomiło rząd, że śpi na miuie. Więc, chociaż niegotowym, nie czekając na przybycie francuzów, potrzeba im było wybuchnąć, jeśli nie chcieli narazić się na zniszczenie bez walki. W 23 lipca po rogach ulic Dublinu rozlepiono szlachetną i mężką proklamacyę do ludności Irlandyi, ułożoną przez samego Roberta Emmeta; ale skoro nadszedł wieczór i on na czele nielicznego tłumu usiłował wykonać napad na zamek, czekało go gorzkie przeświadczenie, jak zawodnymi byli jego ziomkowie w chwili niebezpiecznej i rozstrzygającej. Już kiedy zbliżano się do zamku, coraz bardziej zmniejszał się towarzyszący mu tłum; kiedy stanęli przed bramą, została zaledwie tylko garstka wiernych i wszelka nadzieja pomyslnego skutku wobec czujnego teraz i w pełni uzbrojonego nieprzyjaciela zgasła. Wśród pierwszego zamieszania przewódcom udało się cofnąć w parowy gór Wicklow i tu już w dniu następnym zgromadzili się w samotnie położonej dolinie dla naradzenia się. Największa liczba była tego przekonania, że niema jeszcze nic straconego: jedno hasło, i Irlandya powstanie jak jeden mąż i t. p.; sam tylko Robert Emmet wyrzekł się wszelkiego złudzenia, dowiódł swoim przyjaciółom najwyraźniej, że dalsza walka w tej chwili i z takimi bojownikami, jakimi pokazali się niekarni powstańcy, sprowadzi jedynie nowy rozlew krwi na ludność i tak już srodze dotkniętą. Przy rozejściu się, ze

wszech stron nalegano na Roberta Emmeta, ażeby uciekł jedyną ku temu sposobność nastęrczało kilka łodzi rybackich, należących do rokoszan. Wtenczas oświadczył on z pewnem zakłopotaniem, że musi koniecznie jeszcze raz dostać się do Dublinu, dla pożegnania się z osobą, która jest dla niego tak drogą, że nie może opuszczać na długo Irlandyi, nie zobaczywszy się z nią raz jeszcze. „Musi ją zobaczyć, gdyby nawet przyszło mu za to tysiąc razy umrzeć.“

Żołnierze szukali go wszędzie, jego wierną gospodynią, młodą odważną dziewczynę nadaremnie skłuto bagnietami po całym cieie i nawpół powieszono, nie chciała wydać zdradziecko miejsca jego pobytu. Znaleziono go na koniec, wszelkie usiłowania ucieczki złamano wystrzałem pistoletu w ramię i ujęto go. Kiedy major, który go odprowadzał, chciał usprawiedliwić wystrzał, odpowiedział mu krótko, że w czasie wojny wszystko jest dozwolonem (*all is fair in war*).

W parę dni po swoim uwięzieniu Robert Emmet napisał list do młodej dziewczyny, dla której wystawił życie na grę. Była to mis Sarah Curran, córka sławnego adwokata, którego imię tak często spotykamy w poematach Byrona, niezmordowanego i wymownego obrońcy irlandzkich podświadnych z r. 1798, jednego z najznakomitszych i najbardziej poważanych mężów kraju. W jego domu Robert Emmet w czasach pierwszej młodości często przebywał; ale skoro Curran odkrył żywą skłonność wzajemną pomiędzy nim a córką, przeczuwając z obawą, że polityczny kierunek Emmeta zniweczy jego przyszłość rozłączył dwoje młodych ludzi, lecz oni bez jego wiedzy prowadzili z sobą ciągłą korespondencyę. Dozorca więzienny, który kazał płacić sobie wielką sumę za postaranie się o doręczenie listu Emmeta adresantce, oddawał go natychmiast w ręce prokuratora. Lękając się, ażeby nie skom-

promitować swojej ukochanej, Emmet napisał w tej chwili do swoich sędziów, a ponieważ wiedział, jak wielce obawiano się jego wymowy, obowiązał przyznać się winnym przed sądem i nie wypowiedzieć ani jednego słowa na swoją obronę, jeżeli w zamian zgodzą się nie mieszać do procesu jego listów do brata mis Curran. Napróżno! Już następującego dnia rewizya domu przekonała rozgniewanego Currana o serdecznym stosunku, zachodzącym pomiędzy jego córką a Emmetem. O rezultacie samego procesu nie było wątpliwości; obwiniony wiedział o swoim losie. Kiedy dozorca więzienny zastał go niespodzianie na splataniu pęczka włosów, podarowanego mu kiedyś przez mis Curran, spojrzął na nie i rzekł: „Splatam, abym mógł je mieć przy sobie na szafocie!“ Na jego stole znaleziono nadzwyczaj starannie wykonany rysunek piórem: portret własny, bardzo podobny, była to głowa odcięta od kądłuba, obok niej rozciągnięte ciało.

Proces rozpoczął się o godzinie 10 z rana. Kiedy prokurator w mowie swojej zapewnił, że to sprzysiężenie nie miało innego celu, nad ten, ażeby dać tem wydatniejszy wyraz miłości Irlandyi do króla, Robert Emmet w odpowiedzi prosi tylko o pozwolenie odczytania następującego paragrafu ze zredagowanego przez siebie manifestu rządu tymczasowego: „Odtąd wszelkie używanie kary biczem i tortur na ziemi irlandzkiej zostaje zabronionem i pod żadnym pozorem przywróconem być nie może.“ Potem nastąpiła mowa obrzydłego renegata irlandzkiego, byłego członka stronnictwa powstańczego, lorda Plunketa, który jako publiczny oskarżyciel, obrzucił Emmeta obelgami. Na to powstał Emmet i z niechybną i bliską śmiercią przed oczami wypowiedział mowę obrończą, którą każdy irlandczyk umie dziś jeszcze. Powiedział, że gdyby, będąc uznany za winnego, tylko śmierć miał ponieść, nie byłby nużył uwagi obecnych; ale wyrok, wydający jego ciało pod

topór kata, wyda zarazem jego imię na potępienie opinii publicznej i dla tego chce przemówić. Na hałaśliwe przerywanie sędziego, z całym spokojem odpowiedział: „Słyszałem milordzie, że sędziowie niekiedy uważają za obowiązek słuchać cierpliwie i mówić z poczuciem ludzkości“. I mówił dalej tak głośno, że mowę jego słyszeć było wyraźnie w zewnętrznych drzwiach sali sądowej, a przecież w wygłoszeniu jej nie było najmniejszego śladu przesady lub deklamatorstwa; przeciwnie, jak nadmienia Madden, który go słuchał, głos jego przechodził najdelikatniejsze modulacje; w pewnych poruszeniach, właściwych sobie, i mających jakiś wdzięk osobliwszy, zbliżał się do baryery i odsuwał. Jeszcze w trzydzieści lat później świadkowie tej porywającej wymowy nie mogli wspomnieć bez głębokiego wzruszenia o gracy i majestacie postawy, jakie zachowywał względem swoich sędziów. Korespondent dziennika *Times*, potępiający bezwarunkowo powstanie, w sprawozdaniu swem mówi o Robercie Emmet: „Ale to przyznać muszę, że przy swoich błędach był on wielkim; kiedy w dniu procesu, w chwili, gdy otwierał się grób mający go objąć, same mury sądu trzęsły się od energii i blasku jego wymowy, widziałem, jak ów wąż, którego ojciec jego hodował na swem łonie (lord Plunket), zadrżał na jego widok, a ów wyrzutek rodu ludzkiego, który go potępiał (lord Norbury) pobladł i drżał na krześle.“

Emmet zakończył temi słowy: „Milordowie! oczekujecie z niecierpliwością ofiary waszej. Wszelkie okropności, jakimi otaczaliście mnie, nie ścięły w żyłach moich krwi, której jesteście tak cheiwi, i za kilka godzin zawoła ona o pomstę do nieba; ale jeszcze chwilka cierpliwości! Mam kilka słów tylko do powiedzenia; schodzę do mojego zimnego i niemego grobu; pochodnia mego życia już prawie dopaliła się. Dla ziemi ojczystej rozstałem się ze wszystkim, co w tem życiu było mi drogim; z ideałem mojej duszy,

przedmiotem moich uczuć. Mój zawód jest zamknięty, otwiera się grób, aby mnie ogarnąć, i padam w jego objęcia. Przy pożegnaniu tego świata jedno mam tylko żądanie: ażeby udzielił mi czulej łaski miłczenia. Niechaj nikt nieukłada dla mnie napisu grobowego; albowiem, ponieważ żaden z tych, którzy znają moje pobudki, nie śmie bronić ich teraz, niechże ich nie oczernia przesąd i nieświadomość. Niech spoczywają w ciemności i pokoju. Niech pamięć moja zapadnie w zapomnienie a grób pozostanie bez napisu, aż do chwili, kiedy inne czasy i inni ludzie będą mogli wymierzyć sprawiedliwość mojemu charakterowi. Kiedy mój lud zajmie swoje miejsce pomiędzy narodami ziemi, wtedy, i nie pierwej, niech stanie mój napis grobowy. Skończyłem.“

Wyrok zapadł i brzmiał tak: „Robert Emmet jeszcze tej nocy o godzinie 1-ej ma być naprzód powieszony, a następnie ścięty“ Była blisko godzina 11 wieczorem, kiedy odprowadzono go napowrót do więzienia. Podczas drogi stał przez chwilę przed kratą celi, za którą siedział jeden z jego przyjaciół i powiedział do niego: „Jutro mam być powieszony.“ Podczas ostatnich godzin nie dawano mu spokoju. Wywieziono go w pole o dziesięć mil angielskich, obawiając się, ażeby przemocą nie odbito go z więzienia. Teraz dopiero jakiś litościwy dozorca więzienny uwolnił go z więzów, w które okuto go z takim zwierzęcem okrucieństwem, że z pokaleczonych członków tryskała krew, i tenże człowiek dał mu nieco pożywienia, albowiem od godziny 10-ej z rana, kiedy rozpoczął się proces, wcale nie otrzymał posiłku. Następnie wpadł w krótki, głęboki sen; obudził się, a kilka chwil pozostałych użył na pisanie listów: jeden do brata w Ameryce, drugi do brata miss Curran, a trzeci do niej samej—kiedy przerwał mu przyjaciel, który pragnął go zobaczyć po raz ostatni. Pierwszym wyrazem Roberta było tu zapytanie, co się dzieje z matką,

a przyjaciel z głęboko spuszczoneym wzrokiem zmuszony był odpowiedzieć, że przed dwoma dniami umarła ze smutku. Spokojnie patrzyła ona, jak przedtem jeszcze jeden z jej synów został wygnany za sprawę Irlandyi, z dzielną stałością zawsze dodawała otuchy Robertowi na jego drodze; ale skoro usłyszała, że syna, który był dumą jej życia, niemającego jeszcze dwudziestu trzech lat, skazano na śmierć tak okropną, pękło jej serce. Robert przyjął tę wiadomość spokojnie i rzekł: „Lepiej się stało.“ W liście do miss Curran, napisał: „Nigdy dla siebie samego nie pragnąłem urzędów ani zaszczytów; nigdy nie zależało by mi na niczyjej pochwie, ale chciałbym być wyczytać w promiennem obliczu Sary, że mąż jej jest poważany.“ Pismo jego w tym liście jest tak foremne i tak pewne, jak zwykle. O godzinie 1-ej wprowadzono go na szafot. Tak wielkiem było panowanie, jakie łagodność i słodycz jego charakteru wywierała na wszelkie natury surowe, że jeden z dozorców więziennych, kiedy skazany kroczył z więzienia prowadzony przez szeryfów, z katem po za sobą, żegnał go rześnistemi łzami; Emmet, którego ręce były związane, nachylił się ku niemu i pocałował go w policzek, a ten człowiek, który przez dwadzieścia lat stępiał i oswoił się ze scenami więziennemi, upadł przed nim bezwiednie. U podnóża szafotu Robert Emmet jednemu z przyjaciół swoich podał list, który napisał był do miss Curran; ale przyjaciela przyaresztowano, i list nie doszedł nigdy podług adresu. Sam odwiązał sobie chustkę z szyi i pomagał do założenia na nią stryczka. Kat odciętą głowę okazał ludowi i zawołał głośno: „To jest głowa Roberta Emmeta, zdrajcy stanu.“ Nie odezwał się ani jeden głos odpowiedzi.

Następnego dnia w gazecie rządowej *London Chronicle* powiedziano: „Do ostatniej chwili pozostał tym samym, jakim okazywał się wczoraj podczas prowadzenia sprawy

dał dowód takiej samej mieszaniny lekceważenia i zuchwałości i zdawał się szydzić ze straszliwych warunków, wśród których się znajdował. Nie nie mogło być niepodobniejszego do prawdziwie chrześcijańskiej spokojności. Boże uchowaj nas od ludzi z takimi zasadami! Pomimo to jednak nie widzieliśmy nigdy człowieka umierającego tak, jak on umierał... Był on stanowczym niedowiarkiem i do księdza, który mu towarzyszył, powiedział: „Dziękuję wam za trud, który sobie zadajecie, ale jest on bezskuteczny; moje poglądy co do tego punktu oddawna już były bardzo ustalone i nie jest to chwila, w której mógłbym je zmienić.“ Tak mówiła prasa urzędowa; uciśniona Irlandya milczała przy szafocie swego dwudziestotrzechletniego oblubieńca i wierna jego zleceniu, nie położyła napisu na grobie.

Ale skoro ukazały się *Melodye irlandzkie* Moore'a, dosłyszano nagle, jak w tych pieśniach boleść i oburzenie całego narodu wzbierają, opadają, szemrzą i jatrzą się, skarżą się i mruczą, jak fale morza i uderzają nieodpartą siłą żywiołu natury. Nie było wkrótce potem i dziś jeszcze niema chłopca irlandzkiego, któryby nie znał pieśni: *When he who adores thee*. W Ameryce ostatnią mowę Roberta dziś jeszcze czytają we wszystkich szkołach. Jest ona ewangelią rokoszu przeciwko Anglii. Ale, rzecz dziwna: nie bohaterstwo czyn Roberta Emmeta wslawiło go tak dalece pomiędzy współziomkami, jak rozrzewniająca historia jego miłości. Jego oblubienica uważana była przez naród irlandzki, jako wdowa po bohaterze i stała się przedmiotem cichego holdu. Jej nieszczęście podwyższała jeszcze ta okoliczność, że żyła w kole, tęnącem duchem angielskim, które żałowało wprawdzie Roberta Emmeta, ale było tego przekonania, że na los swój zasłużył. „Wyrzuci jej twarz—powiada admirał Napier, który ją widział we Włoszech—był to wyraz chodzącego posągu“. Umarła w kilka lat

później w Sycylii, daleko od grobu bohatera-młodzieńca. Washington Irving odmalował ją w pięknym swoim szkicu *Rozbite serce* w „Księdze szkiców.“ Najpiękniejszym dla niej pomnikiem jest pieśń: *She is far from the land where her young hero sleeps* ¹⁾. Ale nieszczęście jednostki w melodyach irlandzkich jest tylko symbolem nieszczęścia całego ludu i nosobieniem ogólnej boleści. Spotykamy tu pieśni, w których wszyscy synowie i córki Irlandyi zdają się rozwodzić żalosem nad smutnym końcem wielkiej rewolucyi francuskiej i nadziei, którą na ustaleniu się i zwycięztwie rzeczypospolitej zakładały sobie wszystkie ludy, ale ten lud więcej, niż wszystkie inne. Taką jest wzruszająca pieśń *Tis gone and tor ever the light we saw breaking* z dzikiem narzekaniem na to, że ów pierwszy promień swobody, jaki ludzkość błogosławiła, znów zniknął i swym zniknięciem niejako noc niewoli i żaloby uczynił jeszcze głębszą i ciemniejszą niż przedtem, ale najgłębszą i najciemniejszą dla Irlandyi. Moore wznosi się do najwyższego i najszlachetniejszego lotu w takich strofach, jak następująca:

Wysoką nadzieja twa była, gdy wkoło
Z wszech świata obłoków bił potok błyskawic,
Gdy prawda, zrywając kajdany swe z gniewem,
Naraz, jak dnia brzask ²⁾, rozwinęła chorągiew
O! nigdy tak świetnych świat chwil nie zobaczył!
I gdyby wszech ludów języki był wtedy
Swobody hymn złączył, to pierwszy by jego,
Najśłodszy dźwięk wyszedł z twej piersi, Erynie!

I poemat kończy się złorzeczeniami przeciw ciemności, którzy na dymiącym się ołtarzu śmierci, jak furie,

¹⁾ Madden: *United Irishmen*. Robert Emmet (anonim, ale napisany przez panią d'Haussonville).

²⁾ Sun Burst, była to fantazyjna nazwa, którą nadawali starożytni Irlandczycy chorągwi królewskiej.

młoda nadzieję swobody pieścili i we krwi ją chrzcili. Inne pieśni są groźniejsze, chociaż groźba wszędzie jest poetyczną i ukrytą. Przeczytajmy np. pieśń *Lay his sword his side*:

Położcie mu teraz u boku miecz dzielny
Na wieczny spoczynek u jego wezglowia!
Do chwili ostatniej zwrócony na wroga,
On wiernym pozostał, nim wypadł mu z ręki.
Jak żyli tu w grobie, tak z chwały wawrzynem
Niech śpią zespoleni i w grobie współbracia:
Ten miecz, jeszcze w pochwie i sieczny i cały,
I ten, jeszcze w grobie swobodny bohater!

Lecz—oto—słuchajcie. Coś dźwięczy z pod ziemi,
Jak gdyby chciał z grobu ulecieć,
Czy głosu to echo, co z ust niewolników
Do uszu mu wpadło, brząc hałasem: „swoboda?”
On z głuchej głębin odzywa się do nas:
Choć wódz dziś już wstąpił do grobu,
Niech w łożu nie drzemie beczynnie miecz jego,
Wszak jeszcze nam wróży on życie, zwycięstwo!

„A jeśli się kiedy dłoń podła poważy
Tknąć ciebie, waleczny oręzu,
To zamknij się w pochwie, jak święty
Talizman i wyjdź jako władca swobody!
Lecz jeśli cię umie prawica, co niegdyś
Widziała twój połysk w bojowym pogromie,
O! wtedy, jak pręg błyskawicy na hasło
Swobody, wypadnij waleczny oręzu!”

Wiersz, wymierzony wprost przeciwko księciu regentowi, jest najsilniejszy ze wszystkich i najdzielniejszy pod względem sposobu myślenia. Wprawdzie nie wymienia go w nim autor, ale rozumiemy poemat dopiero wtenczas, kiedy wiemy, że jego ma na myśli. Jest to pieśń: *When first I met thee, warm and young*. Eryn przemawia tu jako kobieta, opisuje ona swoją dobrą wiarę w młodego królewicza

ufność obietnicom, które dał jej, jako młodzieniec z gorącymi uczuciami, trwanie w wierze, kiedy się on zmienił; nawet wówczas, kiedy usłyszała o jego zdróżnościach i błędach, chciała widzieć w nich blask przyszłej sławy. — Ale teraz, kiedy zniknął czas młodości, a na jej miejsce nie przyszły zalety wieku dojrzałego; teraz, kiedy ci, co go niegdyś kochali, unikają go i nawet pochlebcy pogardzają nim, — teraz Eryn nie oddałaby nawet jednej z niepokalanych łez swoich za obciążony winami jego przepych. I przyjdzie czas, kiedy opuszczą go nawet ostatni przyjaciele i kiedy napróżno ramiona swoje wyciągać będzie ku tej, którą stracił na zawsze. Wtenczas ona mu rzeknie:

Precz! precz! przekleństwa mego tyś nie godzien,
Skargi wyrazy byłyby słabością
Tobie nienawiść ma życzyć nie może
Gorszego piętna nad to, którem ciebie
Okryła twoja wina i sromota ¹⁾).

Wordsworth napisał oświadczenia miłosne do Anglii, kiedy ta była zwycięską i wielką, Scott opiewał Szkocję wówczas, kiedy ten kraj w szczęśliwym rozkwicie zaczął już zajmować miejsce obok bratniego państwa, ale Moore gorące pieśni swoje przysyłał krajowi, który leżał u nóg swych katów upokorzony i krwią zbaczony. W wierszu *Remember thee* mówi:

Pamiętać?—O! póki w tem sercu jest życie
Nie, nie zapomnę ja ciebie, straconej;
W twym smutku, mgłach i burzach tyś droższą jest dla mnie
Nad arcysłoneczne dni całego świata.

¹⁾ Go—go—'tis vain to curse,
Tis weakness to upbraid thee;
Hate cannot wish thee worse
Than guilt and shame have made thee.

Bo gdybyś ty była swobodną i wielką
I pierwszym ziem kwiatem i pierwszą mórz perłą.
To dumniej, weselej uwielbiał bym ciebie,
Lecz nie mógłbym kochać serdeczniej, niż teraz.

Twe więzy brzęczące, bijąca ta krew
Boleśniej podnosi twój wdzięk w oczach synów,
Ich serca, jak z gniazodka pustyni piskłota,
Z krwi pierś twą broczącą miłości czar piją.

We wszystkich tedy utworach swoich Moore nosi w sercu swem Irlandyę. Wielki jego poemat wschodni *Lalla Rookh*, który wyszedł w r. 1817, wykonany jest na podstawie najsumienniejszych studyów; nie znajdziemy tam takiego obrazu, takiego malowidła, nazwy, takiego rysu z dziejów, albo aluzji do pieśni, któreby nie leżały w horyzoncie Europy i któreby nie dowodziły wnikięcia poety w życie i naturę Wschodu. Pomimo to jednak przedmiot zaczął nabierać interesu w oczach Moore'a dopiero wtenczas, kiedy dostrzegł, że możebnem jest użyć walki pomiędzy czcicielami ognia a mahometanami, jako pozor, dla głoszenia tolerancji zgodnie z nauką, jaką dał ziomkom w wierszu „Come, send round the wine“ w *Melodyach irlandzkich*. Również i dla czytelnika interes budzi się dopiero od chwili, kiedy pod tymi Gwebrami z ich cudzoziemskimi kostiumami domysła on się Irlandyi i irlandczyków. Przeto *Czciciele ognia* stanowią jedyną udatną część poematu. Sam Moore powiada, że duch, który poprzednio wypowiedział się w *Melodyach irlandzkich*, dopiero wtenczas poczuł się u siebie na Wschodzie, kiedy doszedł do *Czcicieli ognia*; i rzeczywiście zdaje się, że prześliczny poemat ten, którego bohaterem jest szlachetny i nieszczęśliwy rokoszanin, a którego bohaterka żyje w takim kole, gdzie wciąż słyszy, jak o nim mówią ze wstrętem — napisany został wyraźnie pod natchnieniem wspomnień o Robercie

Emmet i Sarze Curran. Podobieństwo sięga aż do wielu drobnych szczegółów: Hafed, na krótko przedtem, nim wezwał Gwebrów do powstania, błakał się, jako zbieg po obczyźnie; Hinda wśród serdecznej obawy o Hafeda codzień słyszeć musi o krwawej kąpieli urządzonej pomiędzy rokoszanami. A kiedy Hinda, z żalości nad śmiercią oblubienca, na stosie sama zadaje sobie śmierć, poeta nad jej zwłokami nuci pieśń żalobną, której całe strofy — jeśli tylko imię Iranu zmienimy na Eryn — możnaby wsunąć w pieśń „She is far from the land“, nie dopatrując żywiołu cudzoziemskiego. Tak np.

Nor shall Iran, belov'd of her Hero forget thee —
Though tyrants watch over her tears as they start,
Close, close by the side of that Hero she'll set thee,
Embalm'd in the innermost shrine of her heart.

Tak, do tego stopnia dochodzi podobieństwo pomiędzy nastrojem *Melodyj irlandzkich* a nastrojem panującym w tej epopei azyatyckiej, że niektóre wiersze tego utworu ¹⁾ bez zmiany mogły być użyte, jako godło, do zbioru wszystkich odnoszących się do powstania irlandzkiego dokumentów, który to zbiór wyszedł mniej więcej przed dwudziestu laty, pod tytułem: *Rebellion book and black history*.

¹⁾ Brzmiały one tak:
Rebellion! foul dishonouring word,
Whose wrongful blight so oft has stain'd
The holiest cause that tongue or sword
Of mortal ever lost or gain'd.
How many a spirit, born to bless,
Hath sunk beneath that with'ring name
Whom but a day's, an hour's success
Had wafted to eternal fame!

Polemiczne stanowisko Moore'a jako irlandczyka, nie dozwalało mu zaopatrywać się na wielką politykę w takim samym świetle, w jakim przedstawiała się szkole Jezior i Walter Scottowi. Rzucił on gradem strzał szyderczych na przymierze święte. W przepisanych lordowi Byronowi bajkach, które poświęcił pobożnemu związkowi książąt, z zachwycającą śmiałością naśmiewa się z całej reakcyi europejskiej. Marzy mu się np., że jeden z panujących wydaje wspaniały bal w pałacu z lodu, który, (jak niegdyś jedna z jego poprzedniczek) kazał wystawić na rzece, że wszystkie „święte głowy panujące“, które na wielkich kongresach pokazały tak wielką pieczołowitość o dobro Europy, zostały tam zaproszone, dla zbadania, jakim sposobem prąd świadomości ludzkiej, tak samo jak rzekę, można zatamować i znieruchomić, aż byłby w stanie „udźwignąć najcięższych królów, o jakich kiedykolwiek opiewano w odach i sonetach“. Pani Krüdener dała na to swoje prorockie słowo, że niema tu zgola niebezpieczeństwa i że mróz wiecznie trwać będzie. Wtem nagle zaczyna się złowieszcze kropienie ze wszystkich dachów i ścian. Wprawdzie gospodarz tańczy jeszcze poloneza, ale ledwie może się utrzymać na nogach; Borussia, chociaż przyzwyczajona do śliskich dróg, już, już ma się potknąć; ale zaledwie rozpoczął się hiszpański fandango, kiedy czerwony blask wschodu rozrzuca płomienne promienie wskroś pałacu. Uciekają pod powszechnem godłem „sauve qui peut!“ Ale wszystkie dekoracye lodowe, orły, herby królewskie, berła i korony, niemieckie ptaki drapieżne i lilie francuskie, wszystko to topnieje i rozpuszcza się w wodę. „Dlaczego—pyta Moore—dlaczego i królowie chcą krotofile swoje wykonywać w pałacach bez fundamentów?“ Poeta, jak widzimy, pokładał sangwiniczne nadzieje w wybuchłej właśnie wówczas rewolucyi hiszpańskiej.

W drugiej bajce opowiada o pewnym kraju, w którym istniał śmieszny zakaz wprowadzenia zwierciadła. Z jakiego powodu? Dlatego, że królewska rodzina rządziła tam mocą swojej nadzwyczajnej piękności, a lud był uległym, dlatego że było dogmatem, iż jest arcybrzydkim. Nie uważać za piękny nosa jego królewskiej mości było zbrodnią stanu; uważać swojego sąsiada za piękniejszego od ludzi, stojących na wysokich stanowiskach, było ciężkim występkiem, a ponieważ nie miano zwierciadeł, więc nikt nie znał siebie samego. Wtem jacyś złośliwi radykałowie sprawili (some wicked Radikals), że oto okręt z ładunkiem zwierciadeł przybija do brzegu, i łatwo domyśleć się następstw. — W trzeciej bajce powraca do starego swego symbolu, do „czcieli ognia“; ale mniej tolerancyjny, aniżeli w *Lalla Rookh*, bo kiedy postawiono korpus gascieli ognia, aby przeszkodzić im w spokojnem spełnianiu kultu, dla odmiany każe pierwszym załatwić się krótko z gascielami i pospychać ich głową nadół do ognia, któremu nie dają się palić spokojnie.

Satyryczny i humorystyczny poemat Moore'a, *The Fudge family in Paris*, tryskający dowcipem na nowo zaprowadzony krzywobiodry rząd burboński, zwraca się zarazem z zuchwałem patos przeciw Anglii. Czytamy tam: „Kiedy waleczne serca i szlachetne umysły wszędzie padają ofiarą złej mniejszości, Anglia wszędzie jest ogólnym nieprzyjacielem prawdy i swobody, gdzie tylko one zaświecą, i wszędzie jest przed wszystkimi gotową dopomódz tyranom, kiedy wymierzają cios“. Przypomina więc Anglii, że ze wszech stron rozlegają się głosy przekleństwa na jej żądzę panowania i samolubną pychę, która szuka tylko własnego interesu, a wszelkiem cudzem prawem pogardza. Przeczytajmy przedewszystkiem czwarty i siódmy list, z ich szyderstwami przeciwko rubasznemu gnuśności księcia regenta i straszliwymi wycieczkami przeciwko Castlere-

agh'owi którego nazywa „owem wcieleniem wszelkiej zgnilizny i zarazy, która Irlandyę podarowała Anglii, jak pozabijane trupy mordercy swemu posyłają zarazę“. Spotykamy tu również najgwałtowniejsze wycieczki przeciw sprzymierzonym królom, „tej bandzie upiorów, które uspio-nej Europie krew wysysają.“

To brzmi złośliwie i niebezpiecznie, odstęp od starego pokolenia poetów jest wyraźny, a przeskok od tego punktu do Byrona i Shelleya zdaje się małym. W rzeczywistości jednak jest on bardzo wielkim, i wszystkich tych wycieczek nie należy brać w tak poważnem znaczeniu, jak napozór zdawać by się mogło. Nie irlandzki-homeruler jest tu przedstawicielem sprawy Irlandyi, gdyż Moore nie chciał bynajmniej widzieć ojczystej wyspy oderwaną od Anglii, chciał tylko widzieć ją rządzoną lepiej i sprawiedliwiej. Nie jako republikanin wyrażał się tak szorstko przeciwko królom, lecz jako szczerzy monarchista życzył sobie zastąpienia złych królów dobrymi. Nakoniec nie wolnomyslnie robił te gwałtowne wycieczki przeciw hipokryzyi przymierza świętego, lecz jako oświecony, zawsze jednak szczerze wierzący katolik, który jednocześnie dzieci swoje kazał wychowywać na protestantów, i sam napisał grubą książkę *Travels of an Irish Gentleman in search of a Religion* w obronie głównych dogmatów wiary katolickiej. Przy całej pozornej niepowściągliwości swojej, Moore trzymał się w granicach i zachowywał względy, jakie wskazywała mu sfera, w której żył. Przewódca whigów, skoro przybył do Londynu, przyjęli go natychmiast z otwartemi rękami i Moore był i pozostał oświeconym poetą whigów, który w długim szeregu listów satyrycznych i humorystycznych — można by je nazwać rymowanymi feljetonami — kwestyeienne i zdarzenia parlamentarne traktował ze świetnym dowcipem i z prze-

dziwnym humorem salonowym w duchu swego stronnictwa.

XIII.

Natura usposobiła go do wesołości i szczęścia, nie do samotnej walki. Był on stworzony do tego, ażeby, jak staro-irlandzcy lordowie, wśród głębokiego poważania zasiadać u stołu wysokich panów i skracać im czas pieśnią. Do takiego stopnia Moore nosi piętno ulubieńca szczęścia, że częstokroć, kiedy jest najpoważniejszym, jednak zdaje się nawpół żartować, w zupełnem przeciwieństwie do Byrona, który kiedy żartuje, jest poważnym, ba nawet posępnym. Moore igra swoim tematem i pieści się z nim; Byron rozczłonkowsywał go i odwraca się odeń z obrzydzeniem. Obaj przyjaciele żyją w obserwacyi i przedstawieniu natury zewnętrznej; ale kiedy Byron wpatruje się w nią, to samo słońce zdaje się zaćmiewać, tymczasem Moore zamiłowaniem swoim do różanej czerwieni i do jasności w jasności i lśniącego blasku, niejako wytwarza „słońce poranne, wschodzące w południe“.

Stąd też jednostronny obraz Moore'a możemy sobie utworzyć, jeżeli, jak to wynika z planu naszego pisma, studyować go będziemy jako poetę politycznego. Jest on zarazem erotykiem, i to jednym z największych i niezawodnie najmuzykalniejszym, jaki istniał kiedykolwiek. Tylko niesłychanie subtelnym jego słuchem muzycznym wytłómaczyć sobie można w przybliżeniu czar, tkwiący w jego posługiwaniu się mową. Jakaś powabna, migocąca zmysłowość oraz płomienna czułość w erotycznych jego poezjach znalazła dla siebie tajemniczy wyraz, którego pieściwa dźwięczność ogarnia nas, jak tony z pagórka elfów dochodzące. Niech sobie angielscy wielbicieli Shelleya, przyzwyczajeni do delikatniejszych i mniej zrozumia-

łych dla profana harmonij, — jak to raz słyszałem — nazywają te pieśni zbyt słodkimi (oversweet); liryka erotyczna nie może być zbyt słodką: — „dans l'amour trop n'est pas assez“. Czyż nie słyszymy tu melodyi Mozartowskiej, jakoby arii bohatera albo Zerliny w *Don Juanie*, kiedy Moore śpiewa:

O! patrz, jak płonie księżyc majowy
Jak się świecący robaczek lśni,
Jak słodko w gaju
Buja on w parze
Gdy świat przemarzy troski swe.

Zdaje mi się, że pieśni Mozarta albo Moore'a zachowują swą cenność, chociaż świat miał po nich Schuberta i Shelleya. Nigdzie indywidualna właściwość wielkich poetów angielskich w tym okresie nie odzwierciadla się mocniej, jak w ich erotyce, kiedy tymczasem, równocześnie w niemieckim i francuskim okresie reakcji, występuje naturalizm całego okresu na tem polu w najwybitniejszym przeciwieństwie do przesadnych obrazów miłości. Co Byron mówi o najpiękniejszej postaci kobiecej (*Don Juan*, pieśń II, strofa 202):

„Była narzeczoną natury i dzieckiem namiętności“ — i co mówi o miłości Don Juana i Haidie (tamże, pieśń IV, strofa 19):

W innych to tylko jest sztucznym nastrojem
I snem po opium młodości i książek;
W nich przeznaczeniem tylko lub naturą.

to można powiedzieć o opisach miłości w całym tym okresie. Ale tylko w *Don Juanie* Byron odmalował miłość szczęśliwą. Jego erotyczne poezje są samem tylko narzekaniem i skargą. Najprzedziwniejsza z nich: „When we two parted“ szlocha już w samym rytmie, a całą boleść

rozstania się wypowiada już w samym sposobie modyfikowania rytmu w ostatniej strofie. W pierwszym wierszu czuć jeszcze pewien spokój namiętności:

When we two parted	Przy naszym rozstaniu
In silence and tears,	W milczeniu i łzach
Half broken hearted,	I serca pękaniu
To sever for years,	Na długi ciąg lat
Pale grew thy cheek and cold,	Pobladła, ochłodziła twarzyczka
Colder thy kiss;	I pocałunek twój;
Truly that hour foretold	Doprawdy, złowróżbna
Sorrow to this.	Godzina to była.

Ale cała boleść miłości przemawia w krótkim i urwanym spadku wierszy końcowych:

In silence we met—	W milczeniu—śmy stali,
In silence I grieve,	W milczeniu zboleiałem,
That thy heart could forget,	Że serce twe zwodzić,
Thy spirit deceive.	Że myśl kłamać umie.
If I should meet thee	A gdybym cię kiedyś
After long years	Raz jeszcze zobaczył —
How should I greet thee? —	Jak witałbym ciebie?
With silence and tears.	W milczeniu ze łzami.

Najwyłączniejszem polem erotyki Byrona jest męka miłości. U Keatsa erotyka, jak można się było spodziewać, gorąca, z ciężkim oddechem, zmysłowa, bujająca w wonnościach i tonach. Przeczytajmy te przepyszne i przetłumaczyć się niedające strofy:

Lift the latch! ah gently! ah tenderly—sweet!
We are dead if thad latchet give one little clink!
Well done—now those lips, and a flowery seat—
The old man may sleep, and the planets may wink;
The shut rose shall dream of our loves and awake
Full-blown, and such warmth for the morning take,
The stock-dove shall hatch his soft twin-eggs and coo,
While I kiss to the melody, aching all through.

Erotyka Schelleya jest nadduchową i nadzmysłową zarazem. Przypomina ona erotykę Corregia. U Schelleya, jak u Corregia, wyraz najwyższego poświęcenia zlewa się z wyrazem najburzliwszego odurzenia zmysłowego; co on przedstawia, jest to walka śmierci. Przeczytajmy np. Serenadę indyjską:

Unieś, o! unieś mnie
Ja kocham, usycham tu!
Na usta, na oczy me
Spuść pocałunków deszcz.
Poblady, oziębły policzki,
Tak dziko, burzliwie wre pierś,
O! serce przyciśnij do serca,
Niech pęknie w ucisku rozkoszy.

i porównajmy z nią ekstazyjne zakończenie „Epipsychidinoś“:

Spłyną się nasze technienia, złączą nasze łona,
Społem bić będzie w żyłach krew, a nasze usta
Inną wymowę, niżli wymowę ust, zaćmią
Duszę, co między nami goreje, a źródła
Wrzące tam, w najtajniejszych komórkach dwu jestestw
Krynice głębin żywota naszego
Zmieszają się tam w złotej przezystości uczuć
Jak dwa górskie strumyki pod słońcem poranku.
Staniemy się współjedną i będziemy jednym,
Jednym technieniem w dwóch ciałach, o! jakto w dwóch ciałach?
Jedną nadzieją z dwiema wolami, a na dnie
Dwiema duszami, które okrywać tam będą
Jedno życie i jedną śmierć, niebo i piekło,
I jedną nieśmiertelność i unicestwienie!
O! biada mi! Te słowa skrzydlate, na których
Chciałbym wzbić się w miłości wszechświat eteryczny,
To kajdany z ołowiu ciskające na okół
Lot ich ognisty—mdleję, drzę, padam, umieram!

Jeżeli terytoryum Byrona jest męka kochającego nie-szczęśliwie, albo samotnie, tedy terytoryum Schelleya jest, jak widzimy, unicestwienie się w ekstazie szczęścia miłości. Ale właśnie dla tego, że erotyczna dziedzina dwu tych wielkich poetów tak ciasno jest ograniczona, żaden z nich nie napisał tak wiele poematów miłosnych, ani też nie miał środkowego punktu twórczości na tem polu.

Przeciwnie Moore jest rodowitym erotykiem, jak Chrystyan Winther. Posiada on erotyczną *fantazję*, jak inni poeci, erotyczną *namiętność*, a w poezyi siłą twórczą jest wyobraźnia, nie *namiętność*. Kocha on wszystko, co jest piękne, delikatne, wybrane, łagodne i jasne, samo dla siebie, nie potrzebując szału albo przeciwnieństwa. Nie podaje on nigdy przepelnionego wypadkami opowiadania, nigdy nie przedstawia silnego kontrastu, i nie zagrzebuje nigdy uczucia głębokiem rozmyśleniem. Lubi on kwiecie drzewa, a nie jego korzenie. Przedmioty, które go czarują, czarują go pierwszym wrażeniem; są one piękne i olśniewające, błyszczą przed zmysłami, zachwycają oko i ucho więcej, aniżeli serce, dalej zastępują je inni z takimiz przymiotami; jest to wieczne błyskotanie i świergotanie. Ale wszyscy centralnie erotyczni poeci mają taką naturę motyla. Pod tym względem niema jaskrawszego kontrastu, jak przeciwnieństwo pomiędzy Wordsworthem a Moore'em. Pierwszy wybiera umyślnie takie materye, które są drobne i wstrętne, a nawet brzydkie same przez się, aby je odziać moralną i duchową pięknoscia, drugi brzydzi się brudnymi szczegółami życia ludzkiego, nie chce wiedzieć o twardych jego klęskach, a moralność omija z Wielandowskim uśmiechem i ukłonem. A jeżeli musi już koniecznie podnieść coś niepięknego, w takim razie chętnie rzuca na nie lekką i świetną zasłonę. Stylowi jego zarzuca no przeładowanie pełnymi przepychu epitetami, żądę kształtowania wszelkiego uczucia w zacierający je obraz,

ciągle błyszczenie i migotanie — nazwano go sztucznym w porównaniu z Wordsworthem. „Sztucznym!“ woła jeden z irlandzkich jego wielbicieli, „sztucznym, kiedy każdy a każdy może czuć poezję Moore'a, a tymczasem, aby czuć poezję Wordswortha, potrzeba wytworzyć sobie nowy gust!“ Czyż, pytamy, potrzeba na to studyów i smaku postępowego, ażeby odczuć to, co naturalne, a z drugiej strony, tylko pospolitego uczucia, ażeby rozkoszować się pięknoscią sztuczną? Wordsworth i Coleridge byli poetami dla poetów, Moore był poetą dla ludu. To, co zarzucić mu można, wynika jedynie z naturalnego ograniczenia, że był muzykiem i kolorystą a nie rysownikiem; nie jest on w stanie odrysować, albo opisać *całego* przedmiotu, maluje tylko oderwane przymioty pięknych przedmiotów. Całe strofy poświęca na uwielbienie uśmiechu, zarumienienia się, melodyi czyjegoś głosu, woli dać katalog piękności, aniżeli piękny kontur, a jeżeli przyjmujemy dawne określenie miłości przez Voltaire'a: „Materya natury, którą wyobrażenia ozdobiła haftami“, tedy haft w erotycznych poezjach Moore'a znajdziemy nieraz tak pysznym i rozrzu-tnym, że pod nim trudno dojrzeć tło samej materyi. Ale pomimo to jest ona i pozostanie materyą natury.

I nie potrzebujemy dodawać, że w najlepszych i najcenniejszych poezjach Moore'a ten zbytek obrazowy zniknął zupełnie. Gdzie duszę jego ogarniała prawdziwa tęsknota irlandzka, tam odrzuciła ona wszelkie błyskotki i dosięgła niespożytej potęgi wyrażenia: *Take back the virgin page*, a nadewszystko *Ostatnia róża lata* są zarówno prostymi pod względem stylu, jak wykończonemi pod względem miary wiersza. W tych wierszach niema wcale obrazów. Również ani jednego obrazu nie zawiera mała wdzięczna pieśń, która pomimo krótkości swojej, dla Irlandyi nabrała znaczenia epopei narodowej. Mam tu na myśli prosty romans (*Rich and rare were the gems she wo-*

re) o młodej dziewczynie, która, przystrojona w rzadkie klejnoty, a jeszcze promienniejszą pięknoscią swoją, bezpiecznie przebiegała po całej Irlandyi, mocno przekonana, że synowie Erynu bardziej miłują cnotę i cześć, aniżeli złoto i piękne kobiety. O człowieku, który utworzył taki wiersz, Byron z całą słusznoscią mógł wyrzec te zaszczytne słowa: „Melodye irlandzkie Moore'a wraz ze swą muzyką przejdą do potomności, i oboje tak długo żyć będą, jak Irlandya, albo muzyka i poezya“.

Życie Moore'a było szczęśliwe. Ożenił się mając lat 31 z piękną i miłą dziewczyną, Miss Dyke, i żył w harmonijnem pod każdym względem małżeństwie z wierną swoją „Bessy“. Jego okoliczności majątkowe wprawdzie nie zawsze były pomyślne, lecz od chwili, jak jego sława zyskała powszechnie uznanie, ciągnął sówite zyski z pism swoich. Poeta, który w swojej humoresce *Grand dinner of Type et Co*, bogatym księgarzom — na podobieństwo bojowników przeszłości, którzy pili miód z czaszek nieprzyjaciół — każe pić wino z mózgowych czaszek biednych autorów, osobiście nie miał powodu skarżenia się na swego nakładcę. Ten naprzykład za *Lalla Rookh*, ofiarował mu 3,000 funtów, nie widząc jeszcze ani wiersza tego poematu i zapłacił mu 4,200 funtów za wyborną jego biografię Byrona. Moore był w wielkiej czci zarówno u irlandczyków, jak i u anglików. W r. 1818 wyprawiono mu uroczystą ucztę w Dublinie, gdzie składały mu hołdy wszystkie te osobistości, które odznaczały się w literaturze i polityce, a kiedy w r. 1822 przybył do Paryża, tameczna szlachta brytańska wydała na jego cześć bankiet. Dopiero wiek sprowadził nań wszelkiego rodzaju przeciwności, nadwątlenie zdrowia i troski z powodu dzieci. Umarł w r. 1852.

XIV.

W czasie, kiedy Anglia na zewnątrz prowadziła sprawy Przymierza świętego, wewnątrz u siebie uciskała katolików, a niższe warstwy strącała do nędzy przez popieranie szlachty ziemiańskiej, Anglicy coraz to liczniej opuszczali ojczyznę, ażeby, jako błędni rycerze swobody, przypominali niejako Europie, że Anglia po wszystkie czasy uchodziła za naturalną ochronicielkę wolności ludu. Takimi Anglikami byli generał Wilson, który pod Bolivarem dopomógł do wyzwolenia Ameryki południowej, i admirał Cochrane, który swe imię wstawił naprzód w brazylijskiej, a później w greckiej wojnie o niezależność. Do rzędu takich ludzi należy Walter Savage Landor, najniezwykleszy i najdumniejszy duch w poetycznej literaturze swojego wieku.

Landor urodził się w Warwicku 30 września r. 1775 jako dziecie wysokiej rodziny szlacheckiej i jako dziedzic bogactw książęcych. Nauki pobierał w Oxfordzie, w r. 1802 przebywał w Paryżu, wrócił do kraju i sprzedał największą część posiadłości familijnych, celem nabycia dóbr w innem hrabstwie, gdzie wedle swego uznania zaprowadził wszelkie możliwe ulepszenia i upiększenia i usiłował licznym swoim dzierżawcom zapewnić byt daleko lepszy nad ten, jaki kiedykolwiek był udziałem niższych klas w Anglii. Wydał 70,000 funtów na te plany reform, które zamierzył z mniejszą znajomością ludzi, ile raczej z zamiłowania ku ich dobru. Filantropijnej jego żarliwości nadużyli w haniebny sposób podwładni; wyzyskiwano jego wspaniałomyślność i bezinteresowność, ażeby oszukiwać go w najgrzeczniejszym stylu. Oburzony niewdzięcznością i złem postępowaniem swoich dzierżawców, postanowił sprzedać całą posiadłość ziemską, a nawet te dobra, które przez 700 lat były w posiadaniu jego rodu, ażeby żyć jako

wolny obywatel świata. Postanowienie to wykonał w roku 1806.

Powstanie hiszpańskie przeciw tyranii Napoleona wybuchło. Landor udał do się Hiszpanii, własnymi środkami wystawił mały korpus wojska, i walczył w szeregach powstańców. Z tego powodu otrzymał publiczny list dziękczynny od najwyższej junty i tytuł pułkownika armii hiszpańskiej. Podczas restauracyi króla Ferdynanda odesłał królowi swój dyplom z pismem, w którem oświadczył, że, jakkolwiek na zawsze oddany sprawie hiszpańskiej, z „krzywoprzysięcą i zdrajcą“ — jako królem — nie może mieć do czynienia. W tym jednym rysie mamy charakter człowieka — zwadliwy i odpychający względy, ale dumny i wielki. W piersi tego poety biło serce żołnierza.

W r. 1815 Landor puścił się do Włoch i pozostawał tam przeszło lat 30. Dopiero w r. 1857 osiadł na dłuższy pobyt w Anglii, w mieście Bath. Przez całe życie swoje był śmiertelnym wrogiem tyranii we wszystkich jej formach i postaciach a namiętnym bojownikiem i rzecznikiem swobody na wszelkiem jej polu. Do samej śmierci był wiernym opiekunem zbiegów politycznych i prześladowanych. Umarł starcem dziewięćdziesięcioletnim r. 1864.

Całe jego czcigodne życie obejmuje obszerną działalność literacką; napisał dwa razy tyle co Byron, i niejedno takie dzieło, do którego zbliżamy się nie bez czci. Ale jego poezya przez cały okres, który tu przebiegamy, pozostała niezrozumianą i nieocenioną; Landor pisał bez wszelkiego stosunku do publiczności, nie odbierając ze strony krytyki innego zachęcenia nad to, że go nazywała sztywnym i zimnym i przypominała mu, że jego angielszczyzna podobną jest do przekładów z języka obcego; nigdy nie doczekał się ani cienia popularności i nie odniósł ani jednego tryumfu literackiego. Na dziesięć lat przed śmiercią zaczęto go podziwiać, i teraz zwolna zaczyna oddziaływać.

Kiedy od Moore'a przechodzimy do Landora, to zdaje się, jak gdybyśmy od kołyszących się fal przeszli do brzegu na ląd stały. Głównym przymiotem Landora jest stałość męska; góruje on wysoce nad współczesnymi sobie jako poeta, ale jeszcze jest większym jako mąż. Tak jest mało czytany, że niestety, nie można tu przypuszczać żadnego szczegółu, jako znanego, ani też w przypomnieniu i fantazyi czytelnika znaleźć stałego punktu dla wyrzeczenia o nim sądu, i nie łatwo jest odmalować go. Męskość Landora wyraziła się najwybitniej w odstraszałym dla wielu uczuciu godności własnej. Spotykamy u niego *) tego rodzaju zdania: „To, co ja piszę, nie jest pisane na tabliczce marmurowej, i żaden palec, nawet palec czasów, który one zanurzają w obłokach lat, wymazać tego nie może“. Albo takie odpowiedzi na recenzje jego *Imaginary Conversations*:

„Napisałem teraz więcej niż sto takich rozmów: niech najdzielniejszy z bandy moich recenzentów weźmie z nich dziesięć najgorszych i jeżeli w ciągu dziesięciu lat będzie w stanie wytworzyć coś równie dobrego, to dam mu ciepłą bułkę i pół dzbanka portera na śniadanie“. Człowieka pospolitszego podobna zarozumiałość zrobiła by śmiesznym, Landorowi nie przynosi ona ujmy; tu i owdzie przystoi mu nawet. Przypomina ona niekiedy, nie bezzasadne samo przez się, ale niepohamowane i imponujące uczucie swej wartości, jakiem technie Schopenhauer; tylko że Landor w istocie swej był to wykwinny, wysoko wykształcony gentleman, gdy tymczasem Schopenhauer przy zupełnem lekceważeniu przykazania grzeczności był i pozostał plebejuszem. Częściej atoli dziwny jego temperament swoją gwałtownością w wielkim, a swoją produkcją

*) *Imaginary Conversations*.—English Victor and Florentine Visitor.

w jeszcze większym stylu, przypomina człowieka, którego imię zbyt jest wielkiem, ażeby można wymienić je lekko-myślnie, który jednak, chociaż nieskończenie poważniejszy duchem od Landora, niewątpliwie uznalby w nim pokrewnego sobie duchem. Mam tu na myśli samotnego i surowego Michała Anioła.

Było coś cierpkiego w naturze Landora, cierpka ścisłość, jaką niezachwiany hart duszy i bezwzględna prawdomówność o sobie i innych zwykły za sobą pociągać. Jeżeli będziemy go czytali po Moorze, tedy pocujemy tę cierpkosć po miękkości, jako pewien rodzaj hartu, mile sprawiałego wrażenie. Poemat *Hyperbions* w *Hellenics* jest tu trafny, prawdziwie Landorowskim przykładem.

Hyperbion był jednym z małej liczby wybranych Apolina i ludzie czcili go długo a w nim i boga. Ale inni śpiewali również tak głośno, a dzieci krzyczały im również głośne hura. *Hyperbion*, który stawał się gniewliwszym, aniżeli być powinien śpiewak, zwrócił się do Apolina i rzekł: O Febie, czy słyszysz dziki krzyk czerni, która przysięga, że znała ciebie od czasu, kiedy pilnowałeś wół Admeta?—Słyszę, powiedział bóg, pochwyc pierwszego z nich i przeciągnij go po nad głowami ludzi, a usłyszysz, jak z radości będą wydawali okrzyki na twoją cześć. Uporczywym i dumnym był *Hyperbion*, wieniec wawrzynowy na jego skroniach nie ostudził ich. Kiedy więc usłyszał śpiewanie podedrzwiemi i kiedy zobaczył jak niektórzy na ścianie wyrzynali nazwiska jego współzawodników, wybiegł z domu i porwał niegodziwego śpiewaka, który był przewodzcą bandy, ten szarpał się i opierał, ale na próżno; *Hyperbion* opasał go silnemi ramionami i lewą ręką rozwinął powróż konopny, w którym już się znajdowała pętlica; służył on do trzymania na uwiązaniu cielecia rano i wieczór, w czasie dojenia jego matki,

a teraz krowa i ciele były w polu. Z całej siły powlókł łotra i wciągnął go na sosnę, gdzie umarł niecnota. Ale niedługo potem, podczas nocy, niegodziwego śpiewaka ujrzał we śnie; wtedy prosił Apolina, aby mu wskazał, czyli to, co uczynił, nie było nieprawem. Postąpiłeś sprawiedliwie, Hyperbionie, powiedział bóg, zupełnie tak samo, jak ja obszedłem się z Marsyasem, na kilka lat przed twojem urodzeniem; wprawdzie byłoby lepiej, gdybyś był zrozumiał prawdziwie moje wyrazy; gdyż teraz porwą się na ciebie inni pod pozorem, iż rzekomo przekroczyłeś prawo. Moją myślą było, ażebyś podniósł go na wysokie miejsce w twojej duszy i pokazał się tem większym, że zniosłeś go. Upadł na duchu śpiewak; lecz Febus rzekł mu: „Bądź dobrej myśli, Hyperbionie! Jeżeli powrót nie jest tak rozkrecony, ażeby nie mógł już utrzymać cięlecia, to największa szkoda, że pociągając łotra w górę, tak mocno tarłeś nim sosnę, — a kora na sosnach nie goi się nigdy“.

Rzadko kiedy jakiś Apollo wyraził się mniej grzecznie o mierności w sztuce. Pogarda mierności miała u Landora źródło swoje w jego poważnych wymaganiach artystycznych, jakie stawiał samemu sobie. Jest to najdzielniejszy stylista w prozie angielskiej; nie stylista w takim znaczeniu, jakoby posiadał niezwyklej artyzm języka — żaden z poetów angielskich nie jest mniej giętki od niego, — lecz w takim, że wszystkie swoje postacie, tak najpowszedniejsze jak i najdosłowniejsze, tak z przeszłości jak i z teraźniejszości, wykonywał w tym samym prostym stylu attyckim. Z przeważającym zamiłowaniem żywiołu heroicznego i wzniosłości rozmowom — formie artystycznej, którą szczególnie pielęgnował — nadawał ciągle wyraz szczytności i spokoju a na zasadniczej ich dykeyi wycisnął takie piętno, które jest greckiem trzeźwą pięknnością swoją a rzymsko-angielskiem dumą swoją i wyrazistością. Styl jego jest czysty, poprawny, zwiezły i attyckiem znamie-

niem swoim nadaje się szczególnie do przedstawienia postaci starożytnej Hellady i starożytnej Romy. Agora Aten, Senat i Forum Romy żyją w jego rozmowach życiem swojego czasu. Przeciwnie konwersacya nowożytna o wiele mniej przypadła do jego pióra; rozmowy z historyi nowożytnej udają mu się tylko tam, gdzie sytuacya jest tego rodzaju, że tajemne oburzenie Landora nadaje mowie ogień i życie. Kto chce widzieć Landora w świeżości i blasku, niech czyta jego romans w formie listów *Perykles i Aspazya*, dzieło w tym samym rodzaju co *Aristipp Wielanda*, ale napisane w zupełnie innym duchu i stylu. Tam gdzie Wieland błyszczy bujnością i kokieterią, Landor roztaacza wdzięk męski, tam, gdzie Wieland jest miękim i pieściwym, Landor jest szlachetnym i dumnym. Te listy są raczej wyrzeźbione niż napisane; wysławia Peryklesa, jako republikański typ szlachetnego humanizmu i mądrości politycznej, w Aspazyi przedstawia nie heterę, lecz wcielenie helenkiej piękności i subtelności uczuć, pogańskiej kobiecości i starożytnego ducha, swobodą tchnącego sposobu myślenia i wykształcenia. Nie potrzebujemy zapewniać czytelnika, że tu niema ani śladu bawideł kokieterii; wszystko, co małostkowe i niegodne, zdaje się leżeć po za widnokresem tego romansu poetycznego i jego autora. Ale dzieło samo nuży staroświecką i rozkraczoną formą listową; — otóż niecierpliwego czytelnika od tej książki prowadzę do arcydzieła Landora, do rozmowy pomiędzy Epikurem, Leontioną i Ternissą (*Works*, t. I, str. 497 i n.). Jeżeli bowiem stoi ono niżej od dialogu Platona, to jedynie ze względu na mniejszą ważność treści pomysłu, ale nigdy co do słodyczy, charakterystyki albo naturalności rozmowy. Miły filozof w średnim wieku życia przechadza się po swym ulubionym ogrodzie, rozmawiając z dwiema młodemi dziewczynami greckimi o powszednich zdarzeniach współczesnych oraz o poważnych przygodach

życia, a nad całą sceną czuć jakąś wonność attycyzmu, szlachetną i wykwiennie opanowaną zmysłowość dziewczęzą i zachwycającą gracyę, — nadewszystko w mnóstwie drobnych rysów malujących młode dziewczyny, zwłaszcza szesnastoletnią, z połączoną w nich wstydlivością i pełną wdzięku szczerotą. Nie wahamy się twierdzić, że Landor wytworzył tu kobiecą poboczną do Platonowego młodzieńca, że odkrył ową młodą dziewczynę grecką, na którą Plato nie zwrócił uwagi, którą tragedia przedstawiła tylko w patetycznych i bohatersko-tragicznych sytuacjach, a której oddzielne, najpiękniejsze wypukłościzby zachowały nam tylko zewnętrzne kontury. Warto zaiste biedzić w ślady za zwrotami tej rozmowy. Zaczyna się ona wykwiennem odmalowaniem natury i uwielbieniem samotności, niezbędnej dla człowieka, który również był zamilowany w życiu zamkniętem i zabezpieczonem od wszelkiego zgiełku i wszelkiej wrzawy świata zewnętrznego (Por. Wstęp do rozmowy pomiędzy Southeyem a Landorem. *Works*, t. I, str. 57). Potem następuje prowadzona z najsubtelniejszym humorem przez Epikura dyskusja z Ternisą, młodszą dziewczyną w kwestyi, czy myt o Boreaszu Cetesie i Kalaisie ma być rozumiany dosłownie, czy też nie; a tymczasem nieco starsza Leontion figlarnie drażni Ternisę za jej łatwowierność. Następnie rozmowa, skierowana do liścia winorośli i sprowadzonych przed chwilą drzew oliwnych, przechodzi z wolna we wzruszającą pogadankę o obawie śmierci, i tu męska godność i spokój Epikura z serc dziewcząt wywołuje najgwałtowniejsze wybuchy przeciwko tym, którzy prześladują go i poniżają, jako atensza. Pokazuje się nawet, że Leontion ku jego obronie i dla odparcia napadów Teofrasta napisała cały zeszyt. Epikur dowodzi jej złagodną wzniosłością, jak bezużytecznymi są odpierania podobnych napadów i tłómaczy jej, dla czego nigdy z nikim nie chce ani walczyć, ani współ-

zawodniczyć: „Nie chciałbym iść w zawody nawet z tymi, którzy mogliby współzawodniczyć ze mną... Bo i z kimże miałbym iść w zawody? Czy z mniejszymi? Byłoby to niezaszczytem. Z większymi? To by było nadaremne“. Tu znów wyziera oblicze własne Landora. Taki bowiem dosłownie był wątek myśli człowieka, który na kilka lat przed śmiercią w ostatniej książce swej umieścił, jako godło, następujące wyrazy:

Z nikim nie wiodłem boju, nikt nie wart był tego;
Naturę ja kochałem; po naturze — sztukę;
Obiem ręce ogrzewałem przy ogniu miłości;
Ona upadła, i jam gotów do odjazdu ¹⁾.

„Pierwszy wiersz zawiera zarazem wyznanie i usprawiedliwienie owej zewnętrznej zarozumiałości, którą nie tak łatwo znoszą z pobłażaniem. Drugi wiersz wypowiada co było pierwszym przedmiotem głębokich jego studyów, a co było drugim, uzupełniającym pierwszy. Trzeci wiersz wyraża szlachetną filozofię, która wśród tylu niepowodzeń i nieuznania wspierała i żywiła jego ducha; ostatni na koniec przedstawia go ze spokojną godnością, tak głęboko harmonizującą z charakterem męża, gotowego, kiedy przyjdzie godzina, osłonić się w swoją szatę i oddalić się ze świata“ ²⁾. Podobieństwo pomiędzy tymi wierszami a zdaniami Epikura jest widoczne. Leontion mówi dalej. „Starożytni są wszyscy przeciwko tobie; gdyż sama nawet nazwa: filozofia szczęścia, jest względem nich wy-

¹⁾ I strove with none, for none was worth my strife
Nature I loved, and after Nature, Art;
I warmed both hands before the fire of life;
It sinks, and I am ready to depart.

²⁾ Tak się wyraża utalentowany młody poeta i krytyk, Edmund W. Gosse w piśmie *The centenary of Landor's birth* w *Examiner* z dnia 30 stycznia 1875 r.

zwaniem. Nie znają oni innego rodzaju rokoszy nad tę, która wydawała i kwiat i nasienie, a której zwiędła łodyga smutnie wygląda. To, co my nazywamy suchem, u nich nazywa się zdrowem; nie nie powinno zawierać w sobie soku, ich rokosz zależy na tem, ażeby żuć twarde, nie zaś kosztować to, co soczyste i smaczne". Lander, któremu sam Byron naganiał płochosć cechującą jego poematy (zob. przedmowę do *Widzenia sądu*), dosyć wyraźnie swoją filozofię szczęścia, jak nieco później uczynił to Stuart Mill, wprowadza z filozofii Epikura. Tymczasem rozmowa chyli się to na prawo, to na lewo, to staje na zarumienieniu się Ternisy przy wspomnieniu o posągach satyrów i faunów w pokoju kąpielowym, to na kobiecych zarzutach Leontiony przeciw Arystotelesowi i Teofrastowi, aż wreszcie, w iście grecki sposób erotycznie i po epikurejsku, kończy się przedstawieniem przez Epikura i Ternisę sceny pomiędzy Peleusem i Tetydą i wzajemnym ich pocałunkiem. — W rozmowie tej Lander stoi na szczycie swojej sztuki i spokojnego humanizmu. Ale jeśli z kolei zwrócimy się do jego dyalogów nowożytnych, to poznamy żołnierza wciąż uzbrojonego, wciąż gotowego do boju pisarza, który ukrywając się pod tysiącem rozmaitych szat wszelką formę kłamstwa i ucisku — która drażni go i wyzywa, jako poganina, republikańczyka i filantropa — obnaża i waleczy z nią. Jego 125 *Wymyślonych rozmów* rozciągają się, ze zdumiewającą erudycją, na całą kulę ziemską, od Londynu aż do Chin, od Paryża aż do wysp morza południowego i przez cały przestwór dziejów, od Cicerona do Bossueta, od Cromwella do Petrarki, od Tassa do Talleyranda, ażeby w każdym kraju i w każdym wieku podnieść energiczny protest przeciwko tyranii i wypowiedzieć ostre jak miecz słowo za swobodą. Podśmujemy tu władczynię z jej najzaufańszą damą dworu w chwili, kiedy się spełnia morderstwo na jej mężu — rozmowa ta nie ustępuje co do chara-

akterystyczności dyalogowi Viteta w jego nieporównanych scenach historycznych, ideałowi tego rodzaju malowideł. Słyszymy tu Ludwika XVIII, gwarzącego o polityce z subtelnym, rozważnym Talleyrandem i spostrzegamy, jak niepowściągnięta chciwość na bażanty i bażantowe jaja snuje się, niby czerwona nić, wskroś politycznych projektów jego burbońskiej mości. Widzimy generała Klebera w otoczeniu sztabu z oficerami w Egipcie, słyszymy odzywającą się przez ich rozmowę, niby przytłumione szemranie, nieawisz Bonapartego do swobody. Jesteśmy obecni zamordowaniu Kotzebuego, a z ust Sanda słyszymy głos usprawiedliwienia się, w chwili kiedy stara się nakłonić Kotzebuego do porzucenia obranej przez niego drogi ¹⁾. Było to dogmatem w politycznym katechizmie Landora, że ciemniejąca ginąć powinien od miecza. Przez całe życie głosił on zasadę mordu tyranów i nie wahał się nawet wprost i publicznie wynurzać z całą gwałtownością chęci zamordowania Napoleona III. Był przyjacielem i duchowo pokrewnym wielkich europejskich mężów rewolucji, którzy, na czele z Mazzinim poprzysięgli byli nieubłaganą nienawiść ku ciemnościom ludów. Ale nie tylko jako polityk przesiega on po za cel; większa część historycznych jego dyalogów niedomaga estetycznie pod ciśnieniem zbyt wydatnie wypowiedzanych tendencji, co chwila widzimy tu wychylającą się głowę samego poety. Opisuując np. pewną władczynię w okropnej chwili, nie może pominąć sposobności wykazania czytelnikowi przez usta jej dworzanki bezbożności charakteru Voltaire'a i niemoralności jego *Pucelle*, ażeby tym sposobem uwydatnić szkodliwy wpływ ducha francuskiego na odnośne państwo. Albowiem obok całej swojej wolnomysłności jest on aż

¹⁾ *Lander: Works.* Tom I, str. 515. Tom II, str. 189. Tom I, str. 43. Tom II, str. 4.

nadto anglikiem ówczesnego wieku, ażeby źródeł wszelkiego złego pomiędzy niebem i ziemią nie widzieć we Francyi, a francuza nie przedstawić kiedykolwiek inaczej, jedno w śmiesznym i pogardliwym świetle. Przelewając na papier rozmowę pomiędzy Ludwikiem XVIII a Talleyrandem, nie może się powstrzymać od przycięcia satyry tak ostro, od wystawienia głupoty Ludwika tak niezdarnie, a postawy Talleyranda wobec władcy z taką ironią, że nikt nie pomyśli tu o prawdzie historycznej. Landor musi wysławiać anglików i Wellingtona, musi wyswiecić wydatnie nędzotę Ludwika, a pióro jego jest tak niepowściągniętem, że w usta subtelного dworaka francuskiego kładzie zarówno pochwałę Anglii jak i wyszydzenie Ludwika.

Pod względem używania miecza satyry wiele mógł by był się nauczyć od znienawidzonych przez siebie francuzów. Ale w równie wysokim stopniu gardził ich poezją, jak i ich polityką, a w Voltaire'ze lekcewazył zarówno pisarza jak i charakter człowieka. Własna rozmowa jego z abbé Delillem (*Works*. Tom I, str. 90), pokazuje go nam, jako krytyka tragedyi francuskiej, przemawiającego bardziej jeszcze cierpkim językiem, aniżeli Lessing, i podobnie jak Lessing, bez wzmianki o wielkim stylistycznym talencie ducha francuskiego. Dziwne to robi wrażenie, kiedy słyszymy człowieka z całym grubiaństwem zarzucającego drugiemu, że jest zbyt ogładny. Łatwo zrozumieć, że wydając taki sąd o klasycznej poezyi francuskiej, tchnął głęboką pogardą dla Popego, a był namiętnym wielbicielem Milтона i jawnym zwolennikiem Wordsworthowskiej reformy na polu poezyi angielskiej. Wszystkie prawie a liczne rozmowy w przedmowie historyi, literatury i krytyki, które słyszymy w dyalogach, zmierzają do tego, ażeby uwielbić Wordswortha i Southeya, jako poetów, a czytającemu ogółowi zarzucić brak zrozumienia

wobec tak rzadkiej i niezwyklej poezyi ¹⁾. Również w gorących wyrażeniach wychwala Keatsa i Shelleya i żałuje, że żadnego z nich nie znał osobiście, a szczególnie, że fałszywa wieść o stosunku Shelleya do pierwszej żony wstrzymała go od odwiedzenia poety w Pizie. O Shelleyu mówi, że połączył ogień poety z cierpliwością i tolerancją filozofa, i sądzi, że on szlachetnością i dobroczynnością przewyższał wszystkich ludzi żyjących (Tom. I. str. 341). Ale skoro przychodzi kolej mówienia o Byronie, wówczas odzywa się zupełnie, jako poeta szkoły Jezior. Człowiek który sądził, że „z piórem w ręku, w dwóch palcach swoich więcej ma władzy, aniżeli obie Izby parlamentu“ ²⁾ nie mógł nigdy przebaczyć Byronowi szyderczych jego uwag o *Gebirze*. Człowiek, który pomimo wszelkich religijnych i politycznych różnic, tak szczególną miał przyjaźń dla Southeya, również nie mógł ścierpieć ciosów, jakie Byron zadał jego uwielbionemu wielbicielowi. Wprawdzie wstrętną dla niego była egoistyczna i niespokojna strona charakteru Byrona, ale przedewszystkiem wpływał na to jego stosunek do Southeya i on to właśnie zasłonił przed jego wzrokiem niejeden z najlepszych przymiotów Byrona. W ogólności skrzywia Southey, oszpeca życie Landora, a długa, niepoczytna jego biografia przez Forstera ³⁾ jest podwójnie niepoczytną, ponieważ listy od i do osobistości tak nieinteresującej, jak Southey, zajmują tam stosunkowo nadmiernie obszerne miejsce. Wszelako Southey w oczach Landora miał tę wielką i w każdym razie rzadką

¹⁾ Przeczytajmy np. Rozmowę pomiędzy Southeyem a Porsonem, *Works* I, str. 16 i 68, i porównajmy Tom I, str. 340, i pogląd na poetów angielskich w *Miscellaneus*.

²⁾ Zob. koniec Rozmowy pomiędzy Landorem a markizą Pallavicini.

³⁾ John Forster: *Life of W. S. Landor*.

enotę, że był jedną z dwóch osób, które poemat Landora *Gebir* po jego ukazaniu się kupiły i czytały. De Quincey, który był drugą osobą, opowiada, że w jego młodości na ulicach Oxfordu wskazywano na niego palcami, jako na jedynego w Oxfordzie czytelnika tego poematu. Łatwo więc pojąć, że Southey, który nie tylko kupił go, lecz i chwalił, a później w *Quarterly Review* o wcale nie zabawnym *Hrabi Julianie* odzywał się z holdem, pocie nie grzeszącemu skromnością wydawać się musiał człowiekiem niepospolitych zdolności.

Pomimo to jednak *Gebir* przy całym swoim namiętnym republikanizmie był to sztywny i zły poemat, pokazujący jeszcze wyraźne ślady, że pod nastrojem arcycharakterystycznego kaprysu dziwaczego autora napisany był pierwotnie wierszami łacińskimi. Wiersze Landora przez całe jego życie zachowały nieco łacińskie zacięcie. Nawet Gosse, uwielbiający je, przyznaje że charakter wierszy Landora, jak smak oliwy, dosyć jest niezwykłym, ażeby miało to być oznaką afektacyi, jeżeli się komu nie podobają. Tylko w prozie szukać należy jego siły.

Ale poeta, którego wierszom braknie wdzięku wyrażenia i wlotu lirycznego, którego dramatów ani grano, ani czytano, a który prawdziwie swoje pole znalazł dopiero w szerokim, ale niezwiązanym w komedję, ani oprawionym w ramy komedyi dyalogu prozą, sięgającym wszech krajów świata i dziejów — przy całej szlachetności poglądów swoich i całej sile radykalizmu, nie był przecież mężem, któryby mógł sprowadzić wolnomysłny przewrót w publicznej opinii Europy. Odpychał dziwactwami i chimarami, jakimi są np. usprawiedliwienie podpalenia Rzymu przez Nerona jako środka higienicznego (*Works*, Tom I str. 41), albo nazywanie Pitta miernością a Foxa szarlatanem, albo — co najdziwaczniejsze — doradzanie grekom, ażeby w boju z turkami zrzekli się używania broni palnej,

a powrócili do swojej broni starożytnej — do łuku; był on nazbyt dziwakiem i pustelnikiem, ażeby mógł znaleźć wielbicieli i naśladowców; zanadto był niepopularnym z usposobienia, ażeby przeniknąć do serca większości, zanadto niepopularnym tak enotami swemi jak i wadami, tak dziwą męskością swoją jak i nieposkromioną zarozumiałością. A jeśli nie mógł, jak Moore, wejść w jakiegokolwiek układy, zostać kiedykolwiek poetą whigiem, tak z drugiej strony radykalizmu swojego nie potrafił ukształtować poetycznie w ten sposób, ażeby ten mógł porwać za sobą jakikolwiek świat czytelników. Głębokiem zrozumieniem wielkiego religijnego, politycznego i społecznego ruchu chwili nowożytnej, Landor stanowi grupę z dwoma młodszymi i większymi mężami: Shelleyem i Byronem. Służył idei, jako waleczny i dumny żołnierz republikański, ale nie był przeznaczony na dowódcę i nigdy nie potrafił podbić pod swą wolę i zelektryzować zastępu umysłów ¹⁾.

Landor, najstarszy z trzech nawskroś wolnomysłnych poetów, przeżył obu i żył tak długo, że był współczesnym najmłodszemu pokoleniu pisarzy angielskich: Browning był jego przyjacielem, gorące uwielbienie ze strony Swinburne'a osłodziło starcowi ostatnie lata życia, i Swinburne z serdecznemi słowy poświęcił mu swoją *Atalantę*. Tak więc jego wielki cień, którego jedna ręka spoczywała w dłoni Wordswortha, a druga w dłoni Swinburne'a, zdaje się ogarniać cały poetycki rozwój Anglii w ciągu ostatnich lat osiemdziesięciu.

¹⁾ Satyryczna broszura *Letters of a Conservative*, in which are shown the only means of saving what is left of the English church, którą wydał w r. 1836, nie zrobiła wrażenia.

XV.

Gdyby w r. 1820 zapytał ktoś rzetelnego, czytane-go anglika: „Kto to jest Shelley?“, tedy — jeśli by mógł dać jaką odpowiedź — odpowiadałby bez wątpienia: „Ma-to być jakiś lichy poeta z ohydnyimi poglądami i charakteru więcej niż wątpliwego. *Quarterly Review*, która nie bawi się w plotki, mówi o nim, że jego życie składa się z nikczemnej pychy, zimnego egoizmu i nieludzkiego okrucieństwa“, i że przeważającym znamieniem jego poezyi jest zupełny brak sensu. Niedawno ogłosił on dramat *Prometeusz*, którego wiersze *Review* nazywa: melancholicznie przekreśloną prozą, dotkniętą zawrotem głowy, a prasa jest jednoznaczna w zdaniu, ponieważ w *Literary Gazette* czytamy o tym utworze: „Gdybyśmy nie mieli skądinąd wiadomości o fackie odwrotnym, w takim razie uważalibyśmy za rzecz dowiedzioną, że autor jest również szalonym, jak jego zasady są śmiesznie złemi, albowiem jego poezya jest to mieszanina niedorzeczności, trzpiotarstwa, nędzoty i pedanterii“. Tu znów pisze: „To głupia gadanina marzącego w delirium“ a w dodatku może ten człowiek szepnął: „Krażyły o nim arcyniedobre wieści; *Literary Gazette*, która z nieprzyjaciółmi religii zawsze szła na ostre, napomynka o czemś w rodzaju kazirodstwa: „Dla takiego człowieka nie było wcale osobiwszem ufne go ojca pozbawiać córki i ze wszystkimi członkami rodziny, której moralność zburzyły niecne sofizmaty uwodziciela, żyć w kazirodstwie“. Chociażby nawet wyrażenia te były może nadto silnemi, niepodobna jednak przypuszczać, ażeby były niezasłużonemi, albowiem *Blackwood Magazine*, jedyne czasopismo, które traktowało tego poetę poniekąd łaskawie, o jego *Prometeuszu* mówi że: „niepodobna wyobrazić sobie, ażeby istaieć mogła na świecie zaraźliwsza mieszanina bluźnierstwa

przeciw Bogu, ducha buntowniczego i zmysłowości“—i zapewne znacie przepyszną dowcip Campella wymierzony do tego utworu: „*Prometheus unbound*“. Spodziewam się, bo któż by mógł go związać?“

Gdyby następnie w dwa lata po śmierci tego, tak nieprzychylnie ocenionego poety przyszło komu na myśl zwrócić się do jednego nakładcy z zapytaniem, czy jego poezye, tak wrogo ściągane przez krytykę, mają przynajmniej kupujących, nakładca niezawodnie uskarżałby się na zły interes i oświadczył by pytającemu, że w ciągu całego życia Shelleya nie rozeszło się nawet sto egzemplarzy żadnego poematu (wyjawszy *Królowę Mab Cenci*) a *Adanoisa* i *Epi-psychidion* nie sprzedano ani dziesięciu egzemplarzy.

Jakże odmiennie wypadła by odpowiedź teraz, gdyby dziś zapytano, kto to jest Shelley — ale dziś niema już nikogo w Anglii, któryby o to zapytał.

W d. 4 sierpnia 1792 urodził się największy liryk angielski. W tym samym dniu, kiedy w Paryżu przewód-cy rewolucyi, Santerre, Desmoulin w celu rokowań, które w kilka dni później obalić miały monarchię we Francyi w Field Place w hr. Sussex w Anglii urodził się śliczny chłopczyk z ciemno-niebieskimi oczami, którego życie miało pozyskać większe i trwalsze znaczenie w sprawie wyzwolenia ducha ludzkiego, aniżeli wszystko to, co zaszło we Francyi w sierpniu r. 1792. Imię jego—po trzydziestu niespełna latach — wyrzeźbione zostało na grobowym kamieniu ementarza protestanckiego w Rzymie, pod którym spoczywają prochy: *Percy Byssche Shelley*, a niżej dodano wyrazy: „*Cor cordium*“.

Cor cordium, serce serc, oto proste i głębokie słowa, w których młoda małżonka Shelleya wypowiedziała treść jego istoty, — najprawdziwsze i najgłębsze, jakie można było by wyrzec o nim.

Pochodził on ze starszylacheckiej znakomitej rodziny. Ojciec jego był baronetem i posiadaczem znacznego majątku, człowiekiem ograniczonym, zwolennikiem wszystkiego, co jest danem, jedynie dla tego, że jest danem. Pomimo to bezład w rodzie Shelleya był również tradycyjnym, jak dzikość i duch gwałtów w rodzie Byrona. Dziadek, człowiek burzliwy i ekscentryczny uwiózł trzy kobiety, a dwie jego córki również zostały wykradzione — rysy, które szeregi przygód w życiu wnuka przypomni nam zupełnie tak samo, jak niejedyną postępek Byrona naprowadza na myśl że kapitał nieokiełznanej namiętności był bez zaprzeczenia spuścizną odziedziczoną po ojcu i matce. Bezładność jednak była zewnętrzna tylko i mało znaczącą stroną natury i życia Shelleya. Był to tylko symptomat głębokiej wrażliwości i czułości, która w życiu jego wcześniej objawiać się zaczyna. W szkole sam doświadczając krzywdy, oburza się na pokrzywdzenia, na jakie słabsi i młodsi wychowawcy, podług angielskich zwyczajów, narażani byli ze strony starszych i nauczycieli. Zdaje się, że żaden z nich nie był bardziej niż on wybranym na ofiarę takiej dzikości, jak i wszelkiego innego rodzaju dzikości, które spotykały go później; wszystko bowiem, co było brudnym, głupim i gminnym, tchnęło naturalnym wstrętem ku niemu i nigdy z czemś podobnym lub kimś podobnym nie mógł harmonizować.

Wrażenie, jakiego doznał nasz poeta przy pierwszym wstąpieniu na pole życia, wyczytujemy wyraźnie w urywku, który po śmierci jego znaleziono na kartce:

Nie tem, ach! nie tem, zdało mi się życie:
Wierzyłem, że jest zbrodnia, złość, nienawiść,
I tom przeczuwał, że nie ujdę cierpień,
Lecz serca innych ludzi ja widziałem
W zwierciadle serca własnego...

Opasał serce swoje, jak powiada, potrójnym pancerzem spokojnej wytrwałości. Ale nad bierną siłą oporu górowało w nim namiętne oburzenie. To serce, które uzbrajał wytrwałością, było zbyt marzycielskie i gorące, ażeby nie knuć planów wycieczki poza otaczające je mury. W przypisowej zwrotce do *Rokoszu Islamu* poeta przypomina sobie ową chwilę, kiedy jego duch poraz pierwszy przebudził się z drzemania:

Pamiętam. Był to świeży poranek majowy,
Kiedym kroczył samotnie po lśniącej się trawie
I płakałem, nie wiedząc, dla czego; aż nagle
W pobliskiej szkole wszczęły się krzyki, niestety
Twarda, chrapliwa walka ciemieńczy i wrogów.

Składam ręce, oglądam się w około, nie było
Nikogo, coby sztychł z rzeszystych łez, ciepłą
Roszącą strugą ziemię słońcem wyłożoną,
Śmiało, bez zawstyżenia — i mówiłem sobie:
„Będę mądrym, łagodnym, wolnym, sprawiedliwym.

Jeśli mi starczy mocy, bo smutny to widok,
Że samolubstwo z siłą wciąż gnębią a gnębią
Bez wyrzutów i wstydu“. I lzy się wstrzymały,
Serce ucichło — byłem spokojny, odważny!

Pokolenie, zrodzone równocześnie z pierwszą rzecząpospolitą francuską i pod temi samemi gwiazdami, dojrzało wcześniej do krytyki nad całą istniejącą tradycją. Shelley, który już w szkole widział żądzę ucisku i obłudną religijność idące z sobą w parze, i któremu bardzo wcześniej wpadły w ręce pisma encyklopedystów francuskich i Hume'a, Godwina, oraz innych wolnomysłców angielskich, w wieku młodzieniażka już rozumował o historii, o zadaniach i zboczeniach rodzaju ludzkiego, po młodzieńczemu, ale swobodnie, w duchu wieku osiemnastego.

Rysem, który koledzy Shelleya zachowali później we wspomnieniach swoich o nim, była obraza należnej pobożności i lojalności, a mianowicie, że „odzywał się źle o swoim ojcu i o królu“. Chłopcy nazywali go „Shelleyem obłąkanym“ albo „Shelleyem-ateuszem“; a tak poraz pierwszy nienawistny ten wyraz, przyłożony do jego imienia, miał pozostać przykutym doń na całe życie, ażeby zawrzeć w sobie całe godło szyderstwa i wstrętu.

Nie będziemy rozszerzali się nad faktami jego życia, jako znanymi, przynajmniej powierzchownie, każdemu, kto tylko zasłyszał jego nazwisko; a mianowicie, że jeszcze jako student osiemnastoletni miał dziwaczny zwyczaj wypowiedziania swoich wątpliwości politycznych i społecznych w formie listów i posyłania tych listów do rozmaitych, mniej lub więcej znanych, ale jemu nieznanym osób, które upraszał o zbijanie wątpliwości i argumentów, przeciw którym sam ze swojej strony nie mógł znaleźć dowodów, i że z tych listów, które po większej części były wyciągami z dzieł Hume'a i materialistów francuskich, wywiązała się mała, dziś zatracona, bezimienna broszura *Konieczność ateizmu*, która kończyła się cyfrą Q. E. D., a którą Shelley, w naiwnej nadziei wpłynięcia reformatorsko na świadomość swojego wieku, przesłał do wysokiej Rady biskupów. Co stąd wynikło, jest również rzeczą wiadomą. Denuncyowanym został jako autor, wydalonym z uniwersytetu i wypędzonym z domu ojca. Nie wierzymy już dzisiaj, ażeby poważne przekonanie naukowe — jakiekolwiek byłoby jego brzmienie — mogło ściągnąć hańbiącą karę na swojego wyznawcę; ale kara, która spotkała Shelleya — wygląda jeszcze tem niedorzeczniej, że rzeczywiście w broszurze, której treść główną stanowią teraz jego objaśnienia do *Królowej Mab*, nie jest ateuszem bardziej, aniżeli np. Oerstedt w sławnym dziele swoim *Duch w naturze*. Naówczas nie miał on jeszcze konsekwentnego i jednolitego po-

glądu na życie, tylko w tym jednym punkcie przedstawia się jasno, że ani nie jest zwolennikiem jakiegokolwiek pozytywnej religii, ani nie może być nim kiedykolwiek.

Co do reszty, w jego studyach wrażenia materialistyczne łączą się z marzycielskim panteizmem, z którym nie rozstał się nigdy. Kiedy więc Trelawney w roku śmierci Shelleya zapytał go: „Dlaczego pan nazwał się sam ateuszem?“ odpowiedział: „Użyłem tego słowa, ażeby wyrazić wstręt, jaki mam do zabobonu; i wziąłem je, jak za dawnych czasów rycerz brał rękawiczkę, ażeby odpiąć niesprawiedliwość“.

Shelley był wysmukły i słabowicie wyrosły, wązki w ramionach, z rysami nieforemnymi, ale usta miał niezwykle piękne, pociągające i rozumne, oko kobiece i prawie seraficzne w spojrzeniu, wyraz niewysłowienie ruchomy i przemienny, to pokazujący dziewiętnastoletniego młodzieńca, to czterdziestoletniego męża. W ostatnich dziesięciu latach życia wygląd jego stał się męskim, wszelako robił czasem wrażenie napół chłopięce, napół kobiece. Może przypomnimy sobie zdziwienie, jakiego doznał Trelawney przy pierwszym, często wspomnianem spotkaniu się z Shelleyem. Czy podobna przypuścić? Czy ten młodzieniec z łagodnym spojrzeniem, bez zarostu — mógł być owym potworem, który zerwał ze światem i którego współzawodnicy denuncyowali, jako założyciela szkoły szatańskiej? W owym czasie wyraz jego oblicza, którego przeważnym charakterem była bystrość i stanowczość, zmieniał się i wazył pomiędzy wesołością, powagą, rzewnym smutkiem i obojętnym znużeniem. Wyraz ten harmonizował ze słowami jego wiersza do Edwarda Williamsa:

Z szyderstwa — ja się chlubię; z nienawiści cieszę —
A nawet ta, co niegdyś raniła mię srodze:
Obojętność, jest teraz dla mnie obojętną.

Zresztą miał on wyraz, że użyję słów jednego z przyjaciół jego młodości, nadprzyrodzenie inteligentny, a Mulready, sławny podówczas portrecista, uznał za niemożliwe odmalować Shelleya, gdyż jest, „zbyt piękny“.

Takiej więc natury młodzieńcem, egzaltowanym jak poeta, odważnym jak bohater, łagodnym jak kobieta, skromnym i rumieniącym się jak młode dziewczę, lekkim i rączym jak Ariel u Shakespeare'a, powinniśmy wyobrażać sobie Shelleya wpośród jego przyjaciół, to wchodzącego, to wychodzącego: „Przychodzi i odchodzi, a nikt nie wie kiedy i dokąd“.

Zdrowie jego przez całe życie było nadzwyczaj wątłe i prawdopodobnie nie byłoby potrwało, gdyby nie najprostszy sposób jego życia; od dwudziestego roku, z wątpliwym skutkiem, hołdował wegetarianizmowi. Miał skłonność do suchot, miewał ciągle tak silne ataki nerwowe i spazmatyczne, że z bólu tarzał się po ziemi, i często brał opium dla złagodzenia bólei; w okresach, kiedy cierpiał więcej niż zwykle, flaszka z opium nie wychodziła z rąk jego. Kiedy w r. 1816 odwiedzał szpitala i uczył się medycyny, aby móc pielęgnować biednych, zachorował ciężko i pewien znakomity lekarz przepowiedział mu śmierć na wycieńczenie. Pomimo to po kilku latach wzmocniły się jego piersi. W skutek odwiedzania biednych po wioskach zaraźliwymi napelnionych wyziewami, nabawił się niebezpiecznego zapalenia oczów, które wróciło w r. 1817 i znów w 1821 tak, że podczas niego nie mógł czytać.

Tak drogo okupił swoje egzaltowane uczucie ludzkości, ową filantropię, która dla niego była religią. Ta filantropia towarzyszyła mu wszędzie. Kiedy mieszkał w Merlow w Anglii, szczupłymi dochodami, wszystkich biednych w okolicy zamienił na swoich pensjonarzy; przychodzili do niego co tydzień i odbierali płacę; siadał na ich łóżkach, jeżeli dla słabości stawić się nie mogli. Raz przyszedł bo-

so do jednego ze swoich sąsiadów na wsi, ponieważ trzewiki swoje podarował biednej kobiecie. Z własnej pobudki prawie całego spadku rzekł się na korzyść siostr i to zaraz po wypędzeniu go z Oxfordu; a kiedy dochód jego wynosił około 1000 funtów rocznie, daleko większa część szła zawsze wprost do kieszeni innych, szczególnie biednych autorów, których długi płacił i którym utrzymanie zapewnił z uczuciem dobroczynności i szlachetności, przewyższającej w wysokim stopniu jego siły.

Znaną jest historia jego pierwszego małżeństwa. Z fałszywie zrozumianej i wygórowanej rycerskości wykradł w dziewiętnastym roku życia szesnastoletnią uczennicę, która zakochała się w nim namiętnie i która uskarżała się na złe obchodzenie się z nią ojca. Ten chciał ją zmusić do uczęszczania do szkoły (!) i sprzeciwiał się jej miłości dla Shelleya. Po kilku schadzках, Shelley umknął z Harrietą Westhrook do Szkocji i ożenił się z nią w Edynburgu. Wobec wielu i twardych napaści, których doznał poeta za ten postępek, stosowną byłaby następująca uwaga: że nie tak wielu młodych bogatych baronów *chrześcijańskich* ożeniłoby się z córką dawnego gospodarza, która sama oświadcza gotowość towarzyszenia im, jako kochanka. Małżeństwo wynikło ze zbyt niedojrzałych побudek, aby mogło być wypaść szczęśliwie. Zostało ono, jak wiadomo, zerwane, kiedy Shelley w r. 1814 poznał siedemnastoletnią Maryę Wollstonecraft Godwin i zapłonął nagłą i najgwałtowniejszą ku niej namiętnością, Marya, będąca córką pierwszej sławnej bojowniczki w sprawie emancypacji kobiety i radykalnego autora pism, które w pierwszej młodości Shelleya tak głęboki wywarły na niego wpływ, z całą swobodą i zapalem ofiarowała mu swoją miłość, a dając mu słowo, była w pewnej zgodzie z własną zasadą moralną. Pogląd obojga na małżeństwo

był zbyt idealny, ażeby w oczach czerni mógł nie uchodzić za lekkomyślny i gminny ¹⁾. Ale w codziennej rzeczywistości był on niewykonalny i niepraktyczny. Chociaż miłość wzajemna, a nie żadna religijna i społeczna formalność, stanowiła dla nich obojga prawdziwie święty i mocny związek małżeński, w rok jednak później z pobudek praktycznych i dla swych dzieci, postanowili poślubić się z sobą. Wyjechali razem z Anglii i naprzód puscili się w krótką podróż po Francji, którą z powrotem prawie całą odbyli pieszo, a potem nastąpiły owe wielkie podróże, w których imię Shelleya połączyło się z imieniem Byrona, a tymczasem wściekłość prasy angielskiej z równą siłą skierowała się przeciw obudwom i posunęła się tak daleko, że wieść ich pięknemu, męskiemu stosunkowi przyjaźni nadawała kłamliwie nieczne znaczenie.

Powód do prawdziwego wybuchu poecie dworu Southeyowi dała drobna i niewinna okoliczność, że Shelley w małym domku górskim w Montanvert w dolinie Chamouni, odwiedzanym przez wielu podróżujących, pod długim szeregiem słodko pietystycznych wynurzeń o naturze i bóstwie natury, położył krótki, arcy-nieortograficzny wiersz heksametrem:

Εἰμι φιλόανθρωπος δημοκράτης τ' ἄθεός τε
Percy B. Shelley.

Co znaczy: „Jestem filantropem, demokratą i ateuszem“. Wyżej wspomniany manifest Southeya przeciwko Byronowi stąd wziął dla siebie punkt wyjścia. Oto w skróceniu uwertura do życia Shelleya i do jego poezji.

Sprawiedliwie nazwano go Cor cordium. To znaczy: że co on rozumiał i czuł, był to punkt środkowy i jądro

¹⁾ Zob. tom II, str. 91 i n.

rzeczy, ich duch i dusza, a uczuciami, które wcielał w wyrażenia, były uczucia najgłębsze, dla których słowo zdaje się zbyt surowem, a które uzewnętrzniają się w muzyce, albo, jak u niego, w wierszach, tak muzykalnych, jak pełne harmonii melodye. Ukryta melancholia w liryce Shelleya przypomina lirykę Shakespeare'a; tak np. piosenka prządków w tragedji *Cenci* — pieśni błazna w komedji *Jak się wam podoba*, albo Desdemony i Ofelii.

Atoli jaskrawą sprzeczność z tym rysem zdaje się przedstawiać pewna właściwość Shelleya, którą prawdopodobnie zaznaczy każdy, kto go zna tylko z antologii, a mianowicie, że sławne jego poezye liryczne mają temat, leżący poza sferą uczucia, a nawet poza sferą życia ludzkiego, że mówią o wietrze i obłokach, o ruchliwym życiu żywiołów zewnętrznych, o niezmierzonej swobodzie i burzącej potędze wód i wiatrów. Są to poezye meteorologiczne i kosmiczne. Ale niema zgola sprzeczności w tem, że najwewnętrzniejszy liryk jest z pozoru zarazem najzewewnętrzniejszym. Przyczynę znajdujemy wypowiedzianą w małym traktacie Shelleya *O miłości*. Maluje on uczucie miłości jako nieprzeparty popęd do sympatyj: „Jeżeli myślimy, to chcemy, aby nas zrozumiano; jeżeli nasza fantazja buduje kształty, to chcemy, aby wesole dzieci naszego mózgu odrodziły się w mózgu innych; jeżeli czujemy, to nie chcemy, ażeby usta z nieruchomego lodu odpowiadały tym ustom, które drgają i płoną najlepszą krwią serca. To jest miłość. Odkryć takiego ducha, który by potrafił ocenić naszego ducha, odkryć taką fantazyę, która przenikać będzie we wszystkie subtelne i wybitne właściwości, których hodowanie w cichości i rozślanianie ich sprawiało nam rokosz — oto ów niewidzialny i niedosięgly punkt, ku któremu zmierza wszelka miłość. Stąd pochodzi, że w stanie samotności, w jakim znajdujemy się wśród otoczenia ludźmi, a ci przytem nie sympatyzują

z nami, lubimy kwiaty, świeżą trawę, wodę, niebo, wymowę wiatru i melodyę fal, z zachwytem podobnym temu, z jakim podsluchujemy głos ukochanej, której śpiew brzmi dla nas tylko“.

W przypisku do *Czarodziejki Atlasu* mrs. Shelley mówi podobnie: że przekonanie, iż u ziomek swoich nie znajdzie ani sympatii, ani uznania, a zarazem obawa, ażeby przez zagłębienie się w namietności nie rozdzierać napowrót ran swojego serca, skłoniło go do szukania zapomnienia w rokosznych polotach fantazyi.

Ale też to głębokie parcie ku sympatii, której odmówił mu otaczający świat ludzki — ono to właśnie jego poglądy na naturę przetworzyło w niesłychaną dotąd ognistą tęsknotę do natury i nadało im głęboką oryginalność. Było to coś niesłychanego w poezyi angielskiej. Sztywną sztuczną szkołę Popego niedawno była zastąpiła szkoła Jezior. Pope wykadził niegdyś powietrze afektami, szkoła Jezior otworzyła całe okna na świeżą atmosferę gór i jezior. Ale miłość do natury u Wordswortha była beznamietną, jakkolwiek inaczej powiedział on w *Tintern Abbey*. Natura była dla niego odświeżeniem i materją do rozmyślań protestanckich. Ów niepozorny kwiateczek, co poddawał mu myśli, które często leżały zbyt głęboko dla lez ¹⁾, wtykał sobie w dziurkę od guzika i stroił się nim, oglądał z tej i owej strony z cichą powagą, przemyслиwając o porównaniu. Shelley rzuca się w objęcia natury, kiedy świat ludzki zamyka się przed nim. I dla tego nie odczuwa jej, jak inni jakoby była zewnątrz niego zimną, albo obojętną albo nieczułą, albo okrutną. Kamienna jej spokojność w obec doli i niedoli człowieka, jej boska niewzruszoność wobec naszego życia i naszej śmierci, wobec

¹⁾ To me the meanest flower that blows can give
Thoughts that do often lie to deep for tears.

naszych krótkich tryumfów i długich mąk, podług niego, jest łagodnością w porównaniu z głupotą i dzikością świata ludzkiego. W swoim *Piotrze Bell III* wyszydza Wordswortha za to, że miłuje naturę niby pewnego rodzaju moralny eunuch, który nigdy nie ośmielił się rozwiązać jej opaski; sam zaś miłuje ją, jak się miłuje kochankę, kroczy jak jej cień za najskrytszymi jej krokami, jego puls bije w tajemniczej sympatii z tętnem natury, podobnym jest, jak jego Alastor, duchowi wiatru i powietrza z okiem promieniejącem, ze świeżym oddechem i lekkimi podeszwami.

Zwierzęta i rośliny nazywał swoimi braćmi i siostrami, a z głęboką wrażliwością swoją i łatwą do wstrząśnięć czułością, pomiędzy zwierzętami porównywał siebie z kameleonem, pomiędzy kwiatami z mimozą. W jednym ze swoich poematów mówi o kameleonach, które żyją światłem i powietrzem, jak poeta miłością i spokojem, i które po dwadzieścia razy codziennie za każdym promieniem słońca zmieniają barwę, a życie poety na zimnej tej ziemi porównywa z życiem, jakie prowadziłyby kameleony, gdyby od urodzenia siedziały zamknięte w jaskini pod morzem. W drugim sławnym na cały świat poemacie opowiada, jak mimoza rośnie w ogrodzie, a wiatr karci ją srebrną rosą i jak zamyka się pod pocałunkami nocy.

Bo tam każdy, a każdy kwiat pochłonał do syta
I wonności i światła z technienia kwiatu — sąsiada,
Jak spojona miłością para młodych kochanków
Jednem, wspólnem powietrzem widnokręgu oddycha.

Leez mimoza — miłości tylko cząstkę dać może;
Choć nawskroś nią przejęta od korzonka do liścia;
Więcej wzięła niż wszystkie, o! i więcej kochała,
Niż w odpłacie za dary zadłużyła się dawcom.

Bo mimoza, niestety, nie ma kwiatów prześwieatnych,
Promiennosci, zapachu nie dostala w posagu;
Mioś jej — to wszechmiaoś sama; czego jej braknie,
Tego pragnie gębiami serca: pragnie piękności.

Jeszcze charakterystyczniej i osobiśniej gębia istoty
Shelleya, serce jego serca, tej postaci, jak je urobiły i na-
cechowały najcięższe losy, występuje w pięknej elegii na
śmierć Keatsa, którą utworzył w gorącym oburzeniu na
dziką i ohydą wycieczkę *Quarterly Review*. Opowiada,
jak wszyscy poeci współcześni przybywają tu dla pienia
żaobnego po zmarłym.

W gronie ich staje postać miła, nieznaną,
Widmo wśród ludzi—sam jeden, jak owa
Ostatnia chmura konającej burzy,
Której grzmot jest jej dzwonem pogrzebowym.
On, rzekłbym, dojrzał, jak Akteon, nagą
Pięknoś natury i drzącymi stopy
Ucieka teraz po pustyniach świata,
A jego myśli ścigają po drodze
Jak wściekle psy, i ojca swego i swą zdobycz.

Duch, jak pantera i piękny i rączy —
To mioś w masce boleści — potęga
Szatą słabości odziana — on ledwie
Udźwignąć zdoła ciężkie brzemię godzin.
To konająca lampa, resztki deszczu,
Wał pękający — czy, kiedy to mówię,
Już się nie złamał? Nad wędącym kwiatem
Zabójcze słońce uśmiewa się — w twarzy
Życie grać może krwią, gdy serce pęka.

Skroń jego bratki wieńczyły rozwiane,
Zwiędłe fijołki, białe i niebieskie;
Włócznia, cyprysu szyszką zakończona,
Z drzewcem owitym bluszczu pasemkami,
Z których ocieka jeszcze leśna rosa,
Chwiała się, drgała, jak pod ciężkiem tętnem

Serca, ta słaba dłoń, co ją trzymała.
Przyszedł ostatni, sam i opuszczony
Jak zbłąkana od stada łan—z przesyta strzałą.

Wszyscy podnieśli się, ławym uśmiewem
Uczcili boleś, bo poznali tego,
Co w cudzej doli oplakiwał własną,
A kiedy nucił w dźwiękach obcej ziemi
O nowym bólu, to smutna Urania
Bada wzrok jego, szepeząc „kto ty jesteś?“
Nie odpowiedział, lecz melancholijnie
Odkrył nabiegłe krwią czoło, podobne
Czołu Kaina, albo Chrystusa... niestety.

Shelley porównywa tu siebie z Akteonem, którego
widok nagiej piękności natury rozszarpał; niezaprzeczenie
potrzeba było całej siły woli, ażeby z tak delikatnem i wą-
tłem ciałem nie uleż pod widzeniami i halucynacyami,
które go nawiedzały. Niekiedy zdawało mu się, jakoby
twarze, wciskające się w jego fantazyę, groziły rozsądze-
niem jego mózgu, a kiedy następnie, wśród krajów obcych,
na wygnaniu, szukał pociechy w samotności, doznał wra-
żeń natury, które zachował w zachwycających *Zwrotkach*
napisanych w chmurnej godzinie w Neapolu—zwrotkach, któ-
re nazwać by można mikrokosmosem całej poezyi Shelleya.
Nie maluje on krajobrazu — w ogóle Shelley nie maluje
nigdy. Nie opisuje zewnętrznych kształtów i barw rze-
czy, lecz z najwyższą wrażeńnością odczuwa to, co nazwa-
liśmy duchem i duszą rzeczy.

Kilku pociągami rysuje obraz zatoki:

Słońce dogrzewa, niebokrąg lśni jasno,
Rąco, świetliście pływają balwany;
Na modrych wyspach, na śnieżnych gór skroniach
Cięży południa brzemię purpurowe —

Widzę nietknięte stopą dno otchłani
 Dziane w ziół morskich szkarłat i zieloność
 Widzę na brzegu, niby roztopione
 Światło, w deszcz gwiazdek rozprysłe wód fale.

Ach, woła — poeta:

Gdyby choć jedno serce zachwyt mój dzieliło!

Niestety! nie mam szczęścia ni nadziei,
 Pokoju w sobie, ciszy poza sobą,
 Ani tej błogiej, niezwyklej otuchy,
 Jaką znaleźli mędrcy w rozmyślaniu,
 Wewnętrzna glorię ukoronowani.
 Ni sławy, mocy, miłości, otuchy,
 Gdy innym wszystko to padło w udziale.—
 Śmiejąc się, żyją, zowiąc to rozkoszą —
 Mnie kielich życia inną miarką namierzono

Lecz teraz, nawet rozpacz jest łagodną,
 Tak jest łagodną, jak wiatry i wody;
 Chciałbym położyć się, jak to znudzone
 Dziecko, wypłakać to życie bolesne,
 Które dźwigałem i dźwigać je muszę —
 Półki śmierci, jak sen, nie przypelźnie do mnie
 I nie poczuje w tem ciepłem powietrzu
 Stygnięcia twarzy, słuchając jak morze
 Nad konającym mózgiem wytchnie szmer ostatni.

Te słowa miały stać się proroctwem. Ale jeszcze bardziej proroctwami są następujące:

Niejeden żali się, że byłem zmienny
 Jak oto dziś, gdy minął ten dzień słodki,
 Który nie serce, zgrzybiałe przedwcześnie
 Stracone serce, lży skargą spóźnioną.
 Ha! niech się żali — jam jeden z tych, których
 Świat kochać nie chce — jednak mnie żałuje,
 Nie, jak owego dnia, który gdy słońce
 W niepokalanej glorii już ustąpi
 I po uroku żyje uroczu w pamięci.

Nawet w przekładzie, zdaje mi się, że czuć zachowaną nieskończoną prostotę i serdeczność wyrażenia ¹⁾. Poeta, nad którego konającym mózgiem wkrótce stoczyć się miały straszliwe balwany, czuje z najłagodniejszą melancholią, jak istność jego rozwiązuje się w dobroczynne żywioły natury, i odejście swoje porównywa z gaśnięciem pięknego dnia słonecznego latem w kraju południowym. Miłował on naturę, nie tylko w jej stanie wzburzonym, jak Byron, lecz w prostocie serca swojego miłował szlachetną jej niewymuszoność, świętą jej prostotę.

Ale nie jest to jeszcze rys najwybitniejszy. Z nim łączy się inny: sam usposobiony tytanicznie i olbrzymio, miłuje też tytaniczną i olbrzymią piękność natury, i znów zupełnie inaczej, aniżeli Byron. Nie przystępną, dotykającą poezję kwiatów albo lasów opiewa Shelley, nie, majestatyczna jego dusza odurza się mianowicie wielkością i oddalą, wysokimi i wzniosłymi przedmiotami natury, szero-
 kimi ruchami przestrzennymi i płasmi mas wszechświata po przestworach niebieskich. W tem spoufaleniu się z wielkimi kształtami i wielkimi ruchami natury, Shelley podobny jest do Byrona, ale podobnym tak, jak geniusz jasno-cery do odpowiedniego mu geniusza o ciemnej cerze, jak podobnym jest Ariel do niosącego płomienie anioła gwiazdy porannej. Dla Byrona poezya morza streszczała się w poezyi rozbicia okrętu, w walce i wściekłości nawałnicy i wiechrów wirowych, w ryczeniu fal morza łakącego łupów po łupach. Dla Byrona poezya nieba streszczała się w wyobrażeniu wyjącej burzy, huku piorunu i syczeniu błyskawicy. On żyje wspólnie z niszczącą naturą i w niej. Sławny ustęp w czwartej pieśni *Childe Harolda*: „Wzdymaj się, ciemnomodry oceanie, wzdymaj się!“ jest okrzy-

¹⁾ Autor ma tu na myśli przekład duński. (*Przyp, tłum.*).

kiem tryumfu, kiedy morze z powierzchni swej zmiata floty i w głębie swą pochłania królestwa, wypuszczając kropelkę piany, jako jedyne świadectwo w miejscu, gdzie zapadł się człowiek. Ten ustęp jest niejako przegrywką do olbrzymiego i wspaniałego widzenia potopu, które nazywa się *Niebem i ziemią* i dytyrambem zniszczenia ¹⁾).

Następnie przeczytajmy sławny wiersz Shelley'a *Obłok*. Wszystkie elementarne siły natury igrają tu i żartują z najswobodniejszą wesołością i tytaniczną rokoszą, z olbrzymią dobroczynnością i szczodrością względem ziemi. Co za burzliwa świeżość w śpiewie obłoku, kiedy na spragnione kwiaty zsyła ożywecy deszcz z mórz i rzek, kiedy zsyła lekkie cienie na liście, śpiące snem południa. Jest on swawolny, kiedy wywija cepem chłoszczącego gradu, albo kiedy pryska śniegiem na góry, aby przez całą noc mógł spać na białym jego wezgłowiu w objęciach burzy, albo kiedy wiatrom wirującym rozwiąże więzy tak, że aż zaćmiał się wulkany, drżą gwiazdy; jest dumnym, kiedy przelatuje z chichotami grzmotów; pyszny, kiedy krwawy wschód słońca z meteorycznym okiem wyskakuje na grzbiecie żeglującej mgławicy; a jest cichy, stulony w gnieździe swoim, kiedy szkarłatowy płaszcz wieczoru opada ze sklepienia niebios, a tam na dole świetliste morze wydycha z siebie gorące stęsknienie do spoczynku i miłości. Czuje on swoją potęgę, kiedy niby olbrzymi most, gęsty jak słońce, a ciemny wisi od przyczółka gór do przyczółka; raduje się zwycięstwem, kiedy łukiem tryumfalnym, po którym przelatuje z huraganem, ogniem i śniegiem, jest utkana z miliona barw tęcza. Ale wciąż igra

¹⁾ Swinburne, wskazując w swoim mistrzowskim *Essay* o Byronie grunt natury, wspólny obu poetom, przemileczał przeciwieństwo, które istnieje pomiędzy nimi, pomimopodobieństwo.

on jak dziecko; jeżeli promienie słońca spłoszą go z nieba rozśmieje się tylko i ze śmiechem powstaje napowrót z nicości swojej i znów wdziera się na błękitną kopułę powietrza. Nie samo tylko przeciwieństwo do ciemnej namiętności Byrona uderza nas w tej majestatycznej dziecinności, szczodrości i wszechmiłości obłoków — widzimy tu przytem rys, który tu tylko zaznaczę, aby wrócić do niego później; jest to przedwieczny i pierwotny charakter tej poezji, przypominający najdawniejsze hymny aryjskie, *Weddy* i Homera. W porównaniu z niemi Byron jest nawskroś nowożytnym. Kiedy obłok mówi o owej w białe płomień odzianej dziewicy, którą śmiertelni nazywają księżycem, która kroczy lśniąco po kosmatym kobiercu i której niewidzialne stopy lekki krok, dosłyszany tylko przez aniołów, przebija tkan dachu nad namiotem, albo kiedy opiewa krwawy wschód słońca o meteorycznych oczach — to poeta, pierwotną świeżością fantazyi, przeniósł czytelnika w owe czasy, kiedy zjawiska przyrodzenia z całą nowością kształtowały się w mitologję.

Ale i dla Shelleya te zjawiska przyrodzenia były wiecznie nowemi. Żył on wpośród nich zupełnie inaczej, aniżeli którykolwiek z poetów przed nim i po nim. Krótkie, 29-cio letnie życie swoje przepędził całe prawie na otwartem powietrzu, morze było jego namiętnością, żeglował bezustannie, i leżąc w łodzi, wytworzył najpiękniejsze swoje poematy, kiedy pełną ducha twarz jego i delikatne ręce opalało słońce. Namiętność do morza była jego życiem i sprawczynią jego śmierci. Wszystko, co dotyczyło się statku i żeglugi, miało dla niego urok. Był tu on zupełnie dzieckiem. Było to dla niego nieustanną rozrywką robić z papieru małe łódki i patrzeć jak odpływają; pewnego razu, kiedy nie miał już u siebie papieru, wziął bilet pięćdziesięcio funtowy i puścił go na kanał ogrodowy. Pływać nie mógł. Kiedy, podczas nieustannych wycieczek

z Byronem po jeziorze Genewskiem, pewnego razu był bliskim utonięcia, odrzucił wszelką pomoc i z całym spokojem oczekiwał śmierci. „Uczucie moje“, pisze „byłoby wówczas mniej bolesnem, gdybym był sam jeden; ale wiedziałem, że mój towarzysz byłby usiłował ratować mię, i głęboko upokarzała mię ta myśl, że jego życiu mogło zagrozić niebezpieczeństwo przy ocaleniu mojego“. Ale w kilka lat później ani myślał z bolesnemi uczuciami o takiej śmierci. Kiedy na parę miesięcy przed zgonem pewnego dnia już prawie tonął, lecz wyratowany został przez Trelawneya, powiedział tylko: „Była to wielka próba; jeżeli prawdą jest, co mówią stare baby, to w tej chwili mógłbym być znaleźć się na innej planecie“. We Włoszech żył ciągle na otwartem powietrzu już to w długich przejażdżkach z Byronem w Rawennie i Pizie, już to na łódce po rzece Arno i Serchio, albo na statku żeglownym na morzu tokańskiem. Zasługuje na uwagę okoliczność, że statek jest u niego ulubionym przedmiotem porównania. A jeżeli nie tworzył na wodach, to w każdym razie na otwartem powietrzu. *Prometeusza* napisał w Rzymie, leżąc na olbrzymich zwaliskach łaźni Karakalli i na tych, aż do zawrotu głowy wysokich, pękami kwiatów porosłych łukach znajdował natchnienie do swojego poematu pod jasnym niebem Rzymu i przy potężnem, prawie odurzającym przebudzeniu się wiosny w tym wspinałym klimacie. *Tryumf życia* utworzył częścią na dachu domu, w którym mieszkał w Lerici, częścią na statku podczas duszącego upału i posuchy. Ale Shelley miał naturę salamandry: zaczynał żyć prawdziwie dopiero pod palącym słońcem.

Leżąc w gaju na Arno pod Florencją, napisał swoje arcydzieło: *Ode do wiatru zachodniego*.

Pierwsze strofy przypominają nam jesienny powiew wiatru, który pędzi przed sobą zwiędłe liście żółte,

czarne, blade, suchotniczo-czerwone, jakby tknięte zarazą, i jego tchnienie wiosenne, napęniające doliny i wzgórza żywotnemi barwami i wonią — szum, którego echo odbija się w głębokiej zwrotce kroju sonetowego: „Słuchaj, o słuchaj mnie!“ A znów czy nie przypomina to starożytnych mitologij, kiedy śpiewa o obrywających się obłokach deszczowych, które z rozgałęzionego konaru nieba i morza leją na potokową powierzchnię wiatru — o kędziarach burzy, bujających po lazurze powietrznym, jak lśniący włos, który najeża się na głowie rozgniewanej mienady! Ale cała dusza wiatru zachodniego i Shelleya technie w zakończeniu:

O! unieś mnie, jak falę, jak listek, jak chmurę
Bo zapadam się w ciernie życia, krwią zalewam;
Bo ciężkie brzemie czasu skowało, złamało
Istotę, jak ty, lotną, dumną, nieugiętą.

Niech zostanę twą lirą, jak las jest twą lirą;
Nie leć — moje liście, tak jak liście lasu?
Wrzawa twoich potężnych harmonij wyzywa
Głęboki ton jesienny i ze mnie i z niego,
Słodki, chociaż żalobny ton. O! dziki Duchu
Bądź moim duchem! Bądź mną, burzliwą istotą.
Umarłe myśli moje rozwiej po wszechświecie,
Jak zwiędłe liście, by się zrodziły nanowo,
I pod zaklęciem pieśni, jak z niedogasłego
Trzonu iskry i popiołu, rosprosz po ludzkości
Słowa te. Przez me usta bądź trąbą proroctwa
Dla ziemi zagrzebanej w uśpieniu. O wietrze,
Gdy przyjdzie zima, może — być daleko wiosna?

Tę ode porównajmy z pięknem miejscem w trzeciej pieśni *Childe Harolda*, gdzie Byron woła:

Gdybym mógł teraz wyłonić i wcielić
To, co jest we mnie najgłębiej — wyznanąć
Myśli me w słowa i wtedy wyrzucić

Duszę, zmysł, uczucie, potężne lub słabe,
Wszystko to, czego szukałem i szukam,
Wiem, dźwigam, znoszę jednak — w jeden wyraz
A jeden wyraz ten był błyskawicą
Mówiłbym; lecz dziś, żyję i umieram
Niedosłyszany.

albo z tem miejscem, gdzie na Jeziorze genewskim podczas szalejącej burzy nocnej, woła:

O! podziel ze mną dziką roskosz twoją,
Daj mi część burzy twej, daj mi część siebie.

a dojrzymy na wybitnym przykładzie przeciwieństwo pomiędzy namiętnością do natury, jaką pała duch poety ogarniającego wszystko. Shelley nie chce, jak Byron, wydrzeć naturze jej strzałki piorunowej. Nie miłuje on jej, jako swoją broń, lecz jako swój instrument, swój plektron; miłuje ją nieograniczoną olbrzymimi jej rozmiarami, oswojony z olbrzymią jej wielkością, odczuwając we wszechświecie ojczyznę swoją. Najbardziej ociera się jego fantazya o ciała niebieskie, wabi go ich piękność i życie, jak innych wabi piękność niezapominajki i róży.

Jakaż to wspaniała, światowładna potęga tkwi np. w wierszu, napisanym na wiadomość o śmierci Napoleona:

Jakto? więc żyjesz, i dumna, o ziemio!
Wciąż jeszcześ tak dumna, jak przedtem?
Jakto? więc jeszcze wciąż igrasz, jak przedtem
Przy blasku wesołym poranku,
Ostatniej gromadce gwiazdnego orszaku?
Ha! jeszcze wciąż igrasz jak przedtem?
Nie zmarły twe członki, gdy duch z nich uleciał?
Poruszasz się jeszcze, gdy skołał Napoleon?

I dzielne twe serce nie ścięło się lodem
I żyje wciąż iskra na trzonie?
Nie jegoż to dzwon pogrzebowy zadzwonił?

I żyjesz o Ziemio-rodzico!
Wszak ręce zgrzybiałe twe tyś ogrzewała
Przy wypalonym już żarze
Najognistszego z wszech duchów, gdy znikał —
Dziś dumna, ty śmiejesz się, matko, gdy skołał?...

„I żyję i dumam.“ — odrzekła z tryumfem,
„I jeszcze dumniejsza, dumniejsza;
Bo śmierć tysiąckrotnie napełnia mię pełnią
Zapędu, wesela i blasku.
Ponurą jam była, pochmurną i zimną,
Jak bryła zmarznięta chaosu,
Dopóki mi serca duch moźny zmarłego
Nie odgrzał — ja karmię się tem, com karmiła.

Okiem ducha Shelley widział, jak sfery wszechświata krążą ożywione po przestworach nieba, gorejąc we wnętrzu, wśród nocy świecąc na zewnątrz; jego spojrzenie zmierzało głębokie przepaści, gdzie zielone światy przemikały się przed sobą nawzajem, błędne gwiazdy o błyszczących kędziarach, zimne i przejrzyste księżycy lodowe. Porównywa je z kłębczkami rosy, które rankiem napełniają kielichy kwiatów, widzi je, jak od świata do świata toczą się od powstania swego aż do zaginięcia, niby bąble piany na rzece, syczące, pękające a jednak nieśmiertelne, snujące wciąż nowe istoty, nowe prawa, nowe bogi, jasne albo ciemne, jak szaty, narzucane przez nie na nagie zebra śmierci. Widział je takimi, jak je malował Rafael w Rzymie w Santa Maria del Popolo, każdą pod władzą i kierownictwem anioła, a poetyczną wszechmocnością fantazyi biednemu zmarłemu Keatsowi przeznaczają jeden z takich niezajętych tronów, słońce bez władzy. Jego czarodziejka Atlasa ma swój przybytek w eterze. Jak Arion na grzbiecie delfina, plynie ona w powietrzu na obłoku, śpiewając, i śmieje się, kiedy usłyszy poza sobą huk szumiących kul ognistych. Tu Shelley igra ciałami nie-

bieskiami, jak kuglarz kulami; w *Prometeuszu* otwiera je, jak botanik otwiera kwiatek. W czwartym akcie przedstawia ziemię przezroczystą, jak kryształ, i wszystkie jej warstwy jedne nad drugą; jej fale ogniste, olbrzymie jej źródła, z których napija się morze, jej skamieniałości, po-grzebane trofea, ruiny i miasta, a geniusz Shelleya krąży naokoło nich, wdycha w siebie silny zapach lasów i widzi szmaragdowo-zielone światło, które ronią liście i słyszy dziką muzykę sfer. Ale dla niego ziemia nie jest bynajmniej agregatem, jest ona duchem żyjącym, w którego nieznanem wnętrzu drzemie wiekiście niedosłyszany głos, którego milczenie zostaje przerwane w chwili, kiedy rozwiązują się okowy Prometeusza.

Kiedy Jupiter zostaje strąconym w otchłań, ziemia i księżyc zaczynają kolejno radosny śpiew, hymn niemający równego sobie. Ziemia raduje się wyzwoleniem z pod tyranii bogów, księżyc wyśpiewuje ziemi gorące i ekstatyczne oświadczenie swojej miłości, opowiada, jak on staje się cichym i niemym, kiedy cień ziemi pada na niego i okrywa go, i jak następnie pełen jest miłości ku pięknej ziemi. Bezpłodność jego ustaje, żywe kwiatki wyrastają na jego powierzchni, słyszy muzykę w morzu i powietrzu, a tymczasem w około niego krążą skrzydlate obłoki, brzemienne deszczem, o którym marzą młode jego pączki, i radując się woła: „To jest miłość, wszystko jest miłość!”

Fantazja Shelleya rozwiązuje całe życie natury, i z naiwnością dziecka lubuje się każdym oddzielnym żywiołem. Tak np. czarodziejka lubuje się ogniem:

Bo człowiek rzadko widzi piękność ognia:
Każdy płomyzek jest jak drogi kamień.—
W wiecznie drgające światło roztopiony
Błyszczy i blaskiem zasila każdego.

I czarodziejka lubi piękności snu:

Jakże jej widok zachwyca śmiertelnych.
Gdy w czarodziejskiem kole snu się zjawil
Tu dwa rodzeństwa, dzieci, w ścisłych węzłach,
Tam znów kochanków para niewinnych
Osnuta w sploty włosów, co ją łączą
Jak z pnia jednego rosnący bluszez ciemny:
Tu srebrno-włosy starzec—

Shelley współczuje z rzekami, które są umiłowane przez morza i giną w ich łożu, śpiewa o śmierci i o pogrzebowym obchodzie natury w jesieni i zimie, wspomina kwiaty rzucone nad Adonaisem, maluje boginię lata i piękności, która jak żeński Balder utrzymuje w porządku kwiaty ogrodów i opisuje dziką jazdę Godzin po niebie (Por. poematy: *Arethusa*, *Apollo*, *Pan*, *Jesień*, *Mimosa* i *Hory* w *Prometeuszu* wyzwolonym).

Każdy żywioł natury nacechował słowem poetycznem: dalekie i samotne okolice, gdzie nas ogarnia miłe omamienie, że to, co widzimy jest obszernem bez granic, czego życzymy sobie i odnośnie do duszy własnej (*Julian i Maddalo*). — czas, niezmierzone morze, którego fale są latami a mają morsko-rzeczny smak od soli łez ludzkich — śnieg i wszystkie kształty promienistego mrozu.

Przeczytajmy poemat, w którym znajdują się ostatnie wyrazy. Streszcza on elegijnie miłość poety do natury, a zwrócony jest do ducha przyjaciela. Poeta wylewa skargi, że go opuścił i tylko tych kocha, którzy go nie potrzebują, że jeden z bratnich mu sercem nie może go odzyskać powrotnie, że odstrasza go troska, że ucieka przed smutkiem, którego westchnienia zdają się wyrzucać mu nieobecność, a wyrzutów słuchać nie może. Pieśń kończy się tak:

To, co ty lubisz, o duchu rokoszy,
I ja zawsze lubilem:
Ziemię w zielonej sukience wiosennej,
A noc wpośród blasku gwiazd,
Wieczór jesienny i złote świtanie
Młodziuchnego poranku.

Lubię ja śniegi i owe postacie,
Co się w lodzie kształtują,
Wiatry i fale i pęd nawałnicy
I wszystko, co wychodzi
Z łona przyrody, a niezakłócone
Nędzy ludzkiej dotknęciem.

Lubię spokojem dyszące pustynie,
Pełne przyjaciół grona,
Gdzie słycać wymowne odgłosy mądrości —
Czy się różnimy obadwa? — Ach proszę,
Nawróć się, nawróć do mnie.

Ale z tych elegijnych nastrojów Shelley swoim wielmożnem natchnieniem swobody wzbija się wysoko, jak skowronek. Jego *Oda do skowronka*, pokazująca przejście do pieśni swobody, napisana została pod upajającym czarem nastroju wyzwolenia i tryumfującej radości. Nie wiem, czy podobną pieśń, w dawniejszej literaturze angielskiej, przewyższa nawet najcelniejsza z pieśni Wordswortha do skowronka, która tak jest typową dla ducha i poezji szkoły Jezior:

Cieniste gaje zostaw słowikowi,
Światło promienne twojem jest królestwem.

i gdzie spotykamy tak znaczące (jak na owego poetę konserwatywnego) wyrazy:

O! ty, obrazie mędrcza, co szybuje w górę,
Lecz w daleką krainę nigdy nie uleci,

Wierny swemu ognisku i niebu, co sobie
Pokrewnie!

Zwróćmy się teraz do skowronka Shelleya, który, śpiewając, ciągle się wzbija i wzbijając się, wciąż śpiewa. Tu zdaje się, jak gdyby odzywały się wszystkie wiatry melodyj, jak gdybyśmy krążyli po morzu wiecznych, dyszących porankiem tonów, porwani ich wirem. Jest to najmłodszy, najprześwietniejszy owoc czystego uczucia swobody, tryumfalna pieśń o radości i szczęściu. Stanowi ona przejście do długiego szeregu pieśni swobody, do wielkiej grupy, w której geniusz Shelleya jest burzliwym heroldem zbliżających się rewolucyj. Jego pieśń swobody — to jeden długi okrzyk wojenny, ubrany w zmienne melodye. Jako ody do swobody i ich obrońców — poematy tak wielkie jak *Marsyljanka* — jako satyry polityczne na osoby i położenia, jako komedia arystofaniczna wymierzona przeciw bezprawiu i śmiesznościom, jako tragedia mityczna albo historyczna, wszędzie jego poezja jest jednym i tym samym gwałtownym krzykiem na niesprawiedliwość i obłądę, jednym i tem samem wezwaniem do tych wszystkich współczesnych, którzy mieli jeszcze w swych pierśiach iskrę oburzenia.

Już zaraz po pierwszym swoim małżeństwie wystąpił jako agitator polityczny. Udał się do Dublina w celu popierania emancypacji katolików, nakreślił młodzieńcze orędzie do ludu irlandzkiego, w którym zaklinał go, ażeby unikał gwałtów, które splamiły rewolucję francuską, i był tak naiwnym, że to pismo z balkonu hotelu rzucił pod nogi tym z przechodzących, którzy zdawali mu się wyglądać tak, jak gdyby byli w usposobieniu ulede wpływowi wezwania. Jak dziecinnie zapatrywał się na rzecz on i jego młoda żona, pokazuje się z tego, że pewnego dnia, kiedy przechadzał się z Harrietą, nie mógł sobie odmówić zaba-

wki wetknięcia tego pisma w kaptur płaszczyka przecho-
dzącej damy, na co mała Harrieta, jak sama opowiada,
prawie pękała ze śmiechu. Bywał obecnym na wielu zgromadzeniach, i pewnego razu przemawiał całą godzinę wobec O'Connella i innych znakomitości. Świadczenia jego współczesnych brzmią tak entuzjastycznie, że, jeżeli można wnioskować z nich, musiał być jeszcze większym jako mówca, aniżeli jako poeta.

Kiedy Shelley wkrótce wpadł w kolizję z panującym stronnictwem, zetknięcie się miało zupełnie inny, tragiczny charakter. Harrieta już umarła, a na żądanie jej ojca ze strony sądu kanclerskiego zarządzono zbadanie, kto posiada najlepsze moralne i intelektualne warunki na wychowanie dzieci Shelleya, czy były gospodarz hotelu Westbrook, czy autor *Królowej Mab* i *Alastora*, na którym, obwinionym o ateizm, ciążyło podejrzenie, że chce wychowywać dzieci na ateuszów.

Głos lorda Eldona orzekał, że całe dotychczasowe postępowanie Shelleya było w najwyższym stopniu niemoralne; że nie tylko nie wstydzi się go, lecz raczej chlubi się najzgubniejszymi zasadami i zaleca je innym; że przeto dzieci powinny mu być odebrane na zawsze, z zastrzeżeniem jednak, że piątą część swego dochodu oddawać ma na ich utrzymanie. Dzieci oddano pod opiekę pewnemu księdzu. Bolesć Shelleya była tak okropna, że najserdeczniejsi nawet przyjaciele nie śmieli odtąd wspominać przy nim o dzieciach.

W wierszu do lorda Eldona woła:

Bądź przeklęty za miłość ojca zakrwawioną,
Za najdroższe nadzieje nagle zniweczone,
Za wszelkie, obce tobie, szlachetne popędy,
Za bolesć, która nigdy nie zadręga w twym łonie,

Za tę obłudę, co, jak trucizna na kwiatku,
Wisieć musi na ustach niewinnych działaczek,
Za ciemną wiarę, która teraz co godzina
Zaciemnia je, i będzie aż do końca życia...

Zatę rozpacz, co zmusza mię zawołać w skardze,
Ach, moje dzieci — nie są już moimi dziećmi,
Chociaż krew moja będzie tętniła w ich pulsach,
Lecz serce ich, skażone, twojem jest, tyranie!

A w strofach do Williama Shelleya, małego syna z małżeństwa z Maryą, mówi:

Wydarli ci brata i siostrzyczkę,
Ich serce zamknęli przed tobą,
Uśmiechu ich wdzięki i łez ich łśnienie,
Łez świętych zagasili przedemną.
A wiara mordercza i nieczne prawo
Dziecięcy ich mózg osidlili
I będą przeklinać ojca i syna
Za to, że wolni, beztrwożni.

Lecz wiecznie nie włada tyrana słowo
I klechów ohydne nakazy.
Bo stoją nad brzegiem wścieklej rzeki,
I śmiercią plugawią jej wodę.
Z tysiąca parowów toczy się dopływ
I wzbiera i szumi i huczy.
A berło i miecz ich podruzgotane
Rospłyną się w falach wieczności.

Dręczony obawą, ażeby mu nie wydarto i tego ostatniego dziecka, Shelley opuścił ojczyznę, aby już nigdy nie powrócić do niej. Ale w tym samym czasie, kiedy wyrok lorda kanclerza piętnował go, jako człowieka, mniej niż którykolwiek mąż w Anglii, zdolnego do zrozumienia najelementarniejszych obowiązków i praw społecznych, poeta zabrał się do złożenia dowodów, że jest jednym z małej li-

czyby żyjących naówczas ludzi, wybranych do nieśmiertelności.

Pod piętnem zbrodniarza w opinii publicznej, opuścił Anglię, i wszędzie, gdzie tylko za granicą spotkał się z anglikami, lękano się go i nienawidzono, jako osobistość zdolną do wszelkich zbrodni. Kiedy w kilka lat później w biurze pocztowym w Pizie dopytywał się o list poste-restante i powiedział swoje nazwisko, oficer angielski, zostający w służbie portugalskiej, zawołał: „Jakto! Czy to ten przeklęty ateusz Shelley?“ i uderzeniem pięści powalił go na ziemię. Poeta poszukiwał później tego oficera, chcąc go wyzwąć na pojedynek, ale nie udało mu się nigdy odszukać go. Shelley jeszcze pierwszej napisał był broszurę o reformie parlamentu, która wyszła w r. 1817, tak wybornej i zdrowej treści, że reforma, przeprowadzona w r. 1867 przez torysów, co do istoty we wszystkich punktach zgadza się z nakreślonym przed pięćdziesięciu laty planem „ateusza i republikanina“. Nie chciał on ani wprowadzenia naraz prawa głosowania powszechnego, ani zniesienia monarchii i arystokracji. Niejednokrotnie oświadcza się przeciw zbyt przyspieszonym zmianom. Jego radykalizm zależał tylko na tem, że o pięćdziesiąt lat wyprzedzał swoje czasy. Wystawiony na wszelkie prześladowania ograniczoności umysłów, swoje poematy swobody wymierzał teraz przeciwko Anglii. Polityczne poezye Shelleya pisane są krwią jego serca. Castlereagha i Sidmoutha — „dwa bezkrewne wilki, wyjące suchemi gardłami“, miał słusne prawo nazywać „parą zwiniętych spółem żmij“. Nie zapominajmy, że Castlereagh, Sidmouth, Eldon byli dla niego nie osobami, lecz zasadą wielką, brzemioną nieszczęściami reakcją, której poświęcono na ofiarę jego życie i szczęście. Oto jego słowa:

Widziałem zbrodnię mężobójstwa,
W postaci Castlereagha..
Na krokodylu szło w postaci
Sidmoutha — obłudnictwo..

W tem biegnie jakaś oblakana,
A zwano ją Nadzieją;
Lecz wyglądała raczej na Rospacz,
I krzeczy w niebogłosy:

„Mój ojciec, Czas, już zgiął się, zestarzał,
Wyglądając lepszych dni;
Staruszek stracił rozum i teraz
Szuka omackiem wkoło.

Rodziło się dziecko po dziecku,
Lecz prochy ich rozwił wiatr.
Ja tylko sama jeszcze zostałam —
Ach, biada mi, ach biada.“

Ale nie w samych tylko poezyach wyzywających z tego okresu Shelley objawia swoje polityczne i społeczne idee i namiętności. W r. 1818 napisał dwa nader charakterystyczne poematy opowiadające, *Julian i Maddalo* oraz *Rozalinda i Helena*. Pierwszy zawiera żywy opis pozycia Shelleya z Byronem w Wenecyi i jest jednym z wielu świadectw szlachetnego i gorącego zapалу do poezyi Byrona. Przedstawia on odwiedzinę obu przyjaciół w domu oblakanych w Wenecyi, i wrażenia, jakie one wywarły na Shelleyu. Ten,

W którego serce cudza ła się weiska,
Jak kropla, która spada na piaskowiec,
Co westchnął, nawet na takie cierpienie,
Którego inni nie dojrzą —

musiał naturalnie doznać głębokiego współczucia ku nieszczęśliwym, których w owe czasy jeszcze okuwano w wię-

zy i karano razami batoga. Jak słabe miano wówczas pojęcie o istocie chorób umysłowych i z jakim barbarzyństwem traktowano pacjentów, przekonywamy się najlepiej, czytając, na jakie postępowanie jeszcze w r. 1783 wystawiony był człowiek chory umysłowo z wysokiej sfery społecznej Jerzego III. Choroba króla objawiała się szczególnie w nieustannem gadaniu, ale nie towarzyszyła jej zgola skłonność do czynów gwałtownych. Pomimo to zaraz z początku i przez cały czas skrepowano go sznurówką, zamknięto, pozbawiono używania noża i widelca i pozostawiono na kaprys jego paziów, którzy obchodzili się z nim jak z rzeczą martwą, szturchali go kulakami, bili i łajali prostymi wyrazami. Po wyzdrowieniu swym król przypominał sobie wyraźnie wszystko, co go spotykało podczas obłąkania umysłu i tym sposobem stało się wiadomem. Pokazuje to wybitnie łagodny i ludzki charakter Shelleya, że chociaż nie widział, iż we Francyi, podczas rewolucyi, obłąkanych zaczęto traktować po ludzku, jest rzecznikiem uprzejmego obchodzenia się z tymi nieszczęśliwymi:

Zdaje się jednak, że jest ocalenie;
Piecza nad nimi cieba i łagodna,
Skoro tak silnie wzrusza ich muzyka.

Drugi poemat *Rozalinda i Helena*, będący wielkim zbiorowym obrazem wszelkiej nędzy, jaką sprowadziły na rodzaj ludzki: przesąd i nietolerancja, zdaje mi się, że zgola nie został należycie ani zrozumiany, ani oceniony. Stara się on przedstawić prawdziwe mikrokosmos cierpień ludzi dobrych i wolnomysłnych na tej ziemi, które wynikają z przestarzałych instytucyj w połączeniu ze złośliwością ludzką. Tu poeta maluje ojca rodziny, tchórza względem silnych, tyrana względem słabych, twardego, samoluba, fałszywego, kłamliwego i chciwego—kata wła-

snej żony, dręczyciela dzieci; kiedy one słyszą zbliżenie się jego kroków, milknie wszelka rozmowa, i bledną. Umiera, a Rozalinda, matka, ubolewa nad tem, że widzi dzieci bezwiednie cieszące się ze śmierci ojca i że ją czują, jako ulgę. Zmarły był to człowiek arcy-prawowier-ny. Jak się pokazuje, postanowił on, ażeby dzieci, w razie gdyby dłużej mieszkaly z matką, nie odziedziczyły nic, ponieważ ona, potajemnie, naukę chrześcijańską uważa za fałszywą, on zaś dzieci swoje chce wybawić od ognia piekielnego. Otóż teraz matka musi opuścić swe dzieci; „albowiem“ mówi:

Ty wiesz Heleno, co to jest ubóstwo
Dla istot w wieku zbrodniczym zrodzonych;
Że jest to zbrodnia, że trwoga, niesława,
Nędza bez dachu w tulaćwie błądząca
Po zamarzniętych drogach, bez odzieży
Głód i to gorsze nad wszystko, głębokie
Piętno — pogarda siebie, co w szyderstwie
Utopia gwiazdę uśmiechu młodości..
Ty wiesz, że matka nigdy takiej doli,
Nigdyby dzieciom przeznaczać nie mogła.

Los Rozalindy służy przedewszystkiem do tego, ażeby odmalować okropność nieszczęśliwego małżeństwa i załość żony od złego i tyrańskiego męża; czujemy tu załość Shelleya nad stratą dzieci. Los Heleny jest bezpośrednią aluzją do przesładowań, na które wystawionym był poeta, jako filozof. Całe przedstawienie życia i poglądów Lionela jest to czyste odmalowanie siebie samego. Może-ż jakie zdanie lepiej charakteryzować miłość ludzką Shelleya, nad to:

„W Lionelu
 Życie i miłość były to bliźnięta,
 Razem zrodzone; w każdej innej duszy
 Życie zaczyna bieg swój pierw niż miłość,
 Choć są oboje dziećmi jednej matki,
 I tak przez ciemny ten świat, rozłączone
 Płyną, aż znów się spotkają w dzień śmierci;
 On, zawsze kochał wszystko“—

Młody, bogaty i znakomitego rodu, wstępuje on z zapalem w szeregi tych, którzy podczas rewolucyi chcą wyzwolić ludzkość z pod panowania dogmatów. Jego otoczenie napróżno łamie sobie głowę nad zapytaniem, jaki cel on tu mieć może.

Czy szuka sławy? O! sława, obrońcy
 Praw pogwałconych nigdy nie uwieńczy.
 Czy szuka władzy? O władza króluje
 Na starodawnych prawach i bezprawiaach,
 Tych głodnych wilkach, na których karmienie
 Chwałą i łupem mozolić się muszą.
 Ci, którzy pragną stać w pobliżu władzy.

Następuje reakcja:

... Osiwiała władza
 Znowu bezpiecznie zasiada na tronie
 Ojców — i wiara, smok, w mroku nocny
 Morową głowę wysadza... I znowu
 Płakały ludy, nie łzami... lecz żółcią.

Wkrótce jego nieprzyjaciele wloką go do więzienia, ponieważ znieważył ich bogów i długi przeciąg czasu przepędza samotnie w rozłączeniu od swoich ukochanych. Następnie spotyka się ze swoją oblubienicą, i pod gwiazdzistym niebem obchodzą swoje zaślubiny. *Rozalinda i Helena* jestto poemat napisany, jak się zdaje, wśród głębokiej rozpaczy; nigdzie też Shelley w walce swojej przeciw wszel-

kiej tradycyi nie zaszedł tak daleko. Wskazaliśmy już poprzednio (tom I), że u młodej szkoły rewolucyjnej stanowiło to ulubiony temat, że wstąpienie do kazirodztwa opiera się jedynie na przesądzie. Zarówno w *Rozalindzie i Helenie* jak i w *Rokoszu Islamu*, którego bohater i bohaterka tylko na usilne naleganie nakładcy przestali być sobie bratem i siostrą, Shelley użył wiele wymowy na ten niefortunny i Byrona też tak mocno zajmujący paradoks, który miał spowodować nędzny i oburzający zamach na pamięć ostatniego.

W roku 1820 wybuchnął wspomniany już przez nas skandal rozwodowy. W r. 1798 d. 8 kwietnia książę Regent, *pour faire un fin*, zaślubił się z dwudziestoosmioletnią Karoliną brunswicką. Tymczasem sprawie tej nadał ton tak mało uroczysty, że już przy pierwszym spotkaniu się, w pałacu St. James, kiedy księżniczka ukłękła przed nim, odezwał się do posła, Lorda Malmesbury: „Harrisie, przynieś mi szklankę wódki, bo mi niedobrze!“; a kiedy ten zapytał, czy w podobnym wypadku nie byłaby lepszą szklanka wody, klnąc wybiegł z pokoju, nie przemówiwszy wyrazu do żony. Podczas wesela upił się i podczas obrzędu wciąż tacał się, womitując. Od samego początku okazywał księżnie nie tylko obojętność, zaniechanie i niewierność bez granic, lecz ostatniego stopnia dzikość: kazał ją zamknąć otoczyl szpiegami, i na skutek fałszywego oskarżenia, odebrał jej córkę, co dało powód do ustawicznych scen na dworze. Zdaje się też, że postępowanie księżnej nie długo pozostało nienagannem. Z początku była tylko nieostrożną, ale w latach dojrzałych starała się pocieszać, i to nie zawsze w godny sposób. I tak widzimy ją, jako damę pięćdziesięcioletnią, przejeżdżającą się po Europie ze swoim kuryerem i szambelanem, niegdyś kamerdynerem, Bergami, Ruy Blasem włoskim, którego mianowała tem, czem tylko mianować można, ozdabiała orderami i kochała serdecznie. Kiedy w chwili wstąpienia na tron księcia

Regenta wróciła do Anglii, aby bez ceremonii zająć miejsce królowej, nikt z nich i godny pogardy książę, postanowił użyć tego, co wiedział o żonie przez płatnych szpiegów, dla pozbycia się jej. Oskarżono ją przed Izłą wyższą o niewierność. I oto naraz przybywają całe ładunki okrętów z zagranicznymi kelnerami hotelowymi i pokojówkami wśród okrzyków zgromy ludu angielskiego — dla świadczania przeciw królowej. Nie będziemy tu rozszerzali się nad treść tych zeznań, tych tajemnic alkowy, z których one zdzierały zasłonę. Zdaje się nam, że nigdy nie czytaliśmy nic równie bezwstydneho, jak akta tego procesu ¹⁾.

Badania co do położenia sypialni, łóżek i co do stanu, w jakim znajdowały się rano prześcieradła, co do królowej i jej szambelanów, których zastano w najgłębszym negliżu, zapelniały dzień w dzień kolumny wszystkich gazet angielskich — aż w tem nagle cofnięto oskarżenie, już tu z powodu rzekomej niedostateczności dowodów, już z powodu niesłychanej pogardy, w którą popadł król, jako sprawca skandalu. Zokoliczności tego procesu Shelley napisał swoją przewyborną satyrę „Oedipus tyrannus“, czyli „Grubonogi tyran“ komedia arystofaniczna z takim samem szczęśliwem zacięciem jak „polityczna Izba połogowa Putza“. Rzecz dzieje się w Beocyi, angielskie byki występują tu w postaci świń. Duch, istota i władza rządowa w Anglii mają tu miano „świństwa“ a ton główny wypowiadają jasno następujące zdanie:

Podatki,
Prawdziwe źródło to wszelkiego świństwa—
(Bo czyż jest jaka stosowniejsza nazwa,

¹⁾ The trial at large of her Majesty Caroline Amelia Elizabeth, Queen of Great Britain, in the house of lords on charges of adulterous intercourse. Londyn 1821. 2 tomy.

Ażeby jednym wyrazem oznaczyć:
Wiarę i pokój, moralność, dobrobyt,
Zgoła to wszystko, co czyni beocyan
Ludem, służącym za wzór i za modłę
Wszem ludom świata?) rosną w równej mierze
Ze świński.

Obłudnictwo ukoronowanych małżonków, zuchwale chępczenie się królowej swoją czystością, zakłopotana postawa Castlereagha i Sidmoutha — wszystko to pochwycionem zostało z całą siłą satyry. Ale geniusz Shelleya nie był stworzony do tego, ażeby zabawiać się długo wyszydzeniem karykatur swojego czasu. Swobodny, niebiański duch jego, bardziej niż czyjkolwiek inny z natury był uzdolnionym do przedstawienia w całej glori olbrzymiego ideału swobody czasów nowożytnych pod ich samowiedzę.

Od lat chłopięcych wszelka jego dążność w gruncie zmierzała ku temu. Naprzód napisał wielkie, nadzwyczaj muzykalne i nadzwyczaj nieforemne poematy, będące długimi protestami przeciwko władcom i księżom, przeciw religii, „która ziemię zaludnia dyablami, piekło ludźmi a niebo niewolnikami“, przeciwko niesprawiedliwości i służalstwu rządów i sądów, przeciwko oburzającej istocie przymuszonych małżeństw i usunięciu kobiety od prawa wolnego zarobku, przeciwko okrucieństwu zabijania zwierząt — protestami przeciwko wszelkim formom ucisku i nietolerancji, których celem było zreformowanie ludzkości i nauczanie jej środków, za pomocą których mogłaby usunąć przyczyny swej niedoli a osiągnąć takiego stanu, który w porównaniu z teraźniejszym byłby godnym nazwać się prawdziwie złotym wiekiem.

Posiadał on, jak wyraża się sam z dziecięcą naiwnością, „namiętność zreformowania świata“. Pomimo wstępu tu Shelleya do poezji dydaktycznej, zamiarem jego, jak

nadmienia w przedmowie do *Rokoszu Islamu*, było danie czytelnikowi szlachetnego bodźca, obudzenie w nim palącego pragnienia doskonałości. „Strach paniczny — mówi Shelley — który, jak morowa zaraza, ogarnął wszystkie klasy społeczeństwa podczas nadużytej rewolucji francuskiej, powoli ustępuje miejsca stanowi zdrowszemu. Przestano już mniemać, jakoby całe pokolenia rodzaju ludzkiego musiały ograniczyć się na pozbawionym wszelkiej nadziei udziale ciemnoty i nędzy, dlatego że lud, oszukiwany i ujażdżany przez długie wieki, nie umiał zachować się z godnością i spokojem ludzi swobodnych w chwili, kiedy jego więzy częściowo stargane zostały...

Gdyby rewolucya osiągnęła była skutek pod każdym względem, wówczas zabobon i tyrania miałyby prawo zapytać, dlaczego tak bardzo brzydziliśmy się niemi, jeśli jency najlżejszem poruszeniem ręki zdołali rzucić z siebie więzy, zamiast żeby jadowita ich rdza wgryzała się nam teraz w duszę“.

Postanowił więc Shelley zamiary rewolucji prowadzić dalej w postaci opromienionej. Poemat jego był kazaniem; jego fantazyja objawiała niespostrzeżenia poety, lecz życzenia.

Fantazyja, podług jego systematu, była zdolnością rzeczywiście reformatorską. Shelley, którego ciemnota przeżywała materyalistą, nie napróżno ocierał się o szkołę Hume'a i Berkeleya i napił się tam najsłabszym immateryalizmem. Dla niego wszystko było myślą tylko, rzeczy warstwami myśli, wszechświat olbrzymią zsiadłością dawnych spłyniętych i zgęstniałych myśli, obrazów i pojęć. Stąd wynika, że poeta, którego powołaniem i zadaniem jest wytwarzać takie nowe obrazy, które wywierają najsilniejsze wrażenie na innych, wciąż reformuje świat. Fantazyja, mówi Shelley, jestto zdolność, od której zależy każdy, nawet najmniejszy, postęp. Poeta występu-

je jako prawdziwy reformator albo w tym celu, ażeby rzewną łagodnością zgęstniałe myśli przywrócić nanow do płynności, albo też, ażeby konwulsyjną siłą rozłupać zwyczajową korą poglądów tradycyjnych.

Uspokojony z natury filozoficznie i niehistorycznie — bo takim okazuje się Shelley w latach młodości — w jednym okresie życia swego, który przeżył aż do końca — a mianowicie w okresie przed napisaniem *Cenci* — nie szuka zgola żadnej podwaliny w czasie i przestrzeni dla swoich idei reformatorskich; albowiem, jako życzenia, nie mają one rzeczywistości historycznej. Ponieważ zaś jego figury nie posiadają tej rzeczywistości, to też braknie im pewnych przymiotów istotowych, które nadać może tylko zbieg miejscowych i historycznych stosunków, a przymioty, które one posiadają, są to przeważnie pierwiastkowe i pierwotne rysy natury ludzkiej. I w samej budowie charakteru Shelley cofa się do pierwodziejów ludzkości. Osoby są tu postaciami napół mitologicznymi, olbrzymiami i nieoznaczonymi w swoich konturach, duchowymi w swoich kształtach, i żaden ogólnie ludzki interes nie da się przyczepić do nich, ponieważ *historja* — ten, w pospolitem znaczeniu wyrazu, interesujący pierwiastek poezyi, stanowczo wzgardzonym został i pominiętym przez Shelleya. Stąd to pochodzi jego zupełna niepopularność. Kiedy Walter-Scott po wszystkie czasy, wśród wszystkich tych, co mogą czytać, potrafi zyskać dla siebie czytelników, tymczasem Shelley pozostanie nazawsze z tym ograniczonym tytułem, że pisał „dla niewielu szczęśliwych (the happy few)“.

Ale zachodziła tu tylko ta okoliczność, że Shelleyowi dostawały się przedmioty, którym właśnie pomienione wyżej jego usposobienia odpowiadały w zupełności, ażeby sprowadzić to, co jest najwyższem w poezyi. Ta strona geniuszu Shelleya była duszą i ciałem grecką, jak wogóle

Shelley rodzajem religijności swojej, całem poetycznem i filozoficznem wykształceniem był nawskroś greckim. „Wszyscy jesteście grekami“, mówi gdzieś. W każdym razie da się to powiedzieć o nim.

Jednakże tak bohaterską, mitologiczną i pierwotną, jak jego poezya, poezya greków była tylko w początku swoim. Shelleya przeto można i godzi się porównywać tylko z najdawniejszą poezją grecką. Jak jego liryka przypomina hymny Homerowskie, a jego komedia polityczna tak nieublagana satyrą swoją jak i lirycznym polem śpiewu chórów podobną jest Arystofanowi i godną Arystofanesa, tak teraz w poważnym dramacie stał się uprawnionym współzawodnikiem Eschylosa. Jego *Prometeusz wyzwolony* jest to nowożytny przeciwobraz dopełniający *Przykutego Prometeusza* Eschylosa; jego *Hellas* jest to proroctwo o wyzwoleniu Grecyi, nowożytna pobocznica do *Persów* Eschylosa. Zatrzymamy się tylko na *Prometeuszu*. Wspaniały ten poemat jest koroną całej Shelleyowskiej poezyi swobody. Tu usiłuje on po raz pierwszy z pełnem powodzeniem wytworzyć panujący typ swojej poezyi i wieku. Wiele typów przeciągało po jego mózgu: Hiob, Tasso, ten sam przedmiot, który jednocześnie porywał Byrona i Goethego. Wybór Shelleya padł na Prometeusza. Ponad morza i równiny współczesnej poezyi angielskiej wznoszą się Alpy Byrona z jego *Manfredem*, a Kaukaz Shelleya z jego *Prometeuszem*. Od chwili jak rozpoczęło się poważne wyzwolenie ducha ludzkiego, ten typ zajmował wszystkich wielkich poetów. Około początku naszego stulecia obchodzi on swoje zmartwychwstanie w mózgach Goethego, Byrona i Shelleya. Piękny poemat Goethego maluje oderwanego od wiary w bogów ducha ludzkiego w jego pracy i twórczości artystycznej, dumnego ze swojej chaty, której Bóg nie zbudował; i tworzącego ludzi podług jego wzoru. Prometeusz Goethego jest to Prometeusz two-

rzący i wolny. Twardy, krótki, nabiegły krwią wiersz Byrona maluje męczennika, który zacisnąwszy zęby, cierpiąc milcząc, z którego żadne tortury nie mogą wycisnąć wyznania i który najwyższy dla siebie zaszczyt pokłada w tem, żeby nie dać poznać mąk swoich; ten tytan nie pozwoliłby nigdy, jak starożytny, ażeby córki Oceanu pocieszały go, albo żeby sam narzekał przed niemi — Prometeusz Byrona jest to tytan stawiający czoło i skrepowany więzami.

Ale Prometeusz Shelleya nie podobny jest do żadnego z nich. Jest to dobroczynny duch ludzki, który walczy przeciw pierwiastkowi złemu, który w nieskończenie długim czasie jest uciśniony przez niego, i nie tylko przez niego, lecz i przez wszystkie inne istoty, nawet przez dobre, które w omamieniu uważają złe za konieczne i zbawienne; jest on owym duchem, który przez pewien tylko czas — jakkolwiek długi — może być trzymany w więzach i krępowany, który jednak kiedyś, ku zachwyceniu wszechświata, zostanie wyzwolonym, jest zwyciężkim, odkupionym, jest Prometeuszem witanym jednozgodnemi pieniami radości wszech ciał niebieskich.

Nawet wśród mąk swoich jest on zupełnie spokojnym, bo wie, że panowanie Jowisza niczem innem nie jest i niczem więcej, jak tylko okresem w życiu świata. I dlatego czarnej otchłani, w której usycha, nie oddałby za wesołą roskosz na dworze Jowisza. Kiedy Furye śmieją mu się w wiecznie bezsenne oczy, odpowiada im:

Nie liczę, ile wy złego czynicie --
Lecz ile, będąc złemi, wycierpiecie.

O jakże odmiennie byłby odpowiedział Prometeusz Byrona! On cały jest miłością — ku swoim nieprzyjaciółom, ku ludziom. I zuchwałość nie zamknęła serca tytana na łagodne uczucie miłości. Wśród mąk pamięta o swojej oblubienicy.

Która, gdy jego był wzbierał nad pełnię,
Była, jak złoty kielich, co pochłania szlachetne wino.

Azja jest to Natura, kochająca Tytana. Jest ona dzieckiem światła, jest żywą postacią zapалу miłości, której wargi, jak śpiewa Panthea, miłością swoją zapalają ducha miłości pomiędzy nimi, a której uśmiech zimne powietrze zamienia w ogień. Skoro więc skończył się czas mąk i niesprawiedliwości, Jupiter tchórzliwy i wzgardzony, błagając żałośnie Prometeusza o litość, zapada się w przepaść. Zaczyna się wiek prometeuszowski, a powietrze przemienia się w ocean wiecznych i wspaniałych melodyj miłości. Ciężka, przytłumiona radość ziemi, i pijana szczęściem pieśń księżycy mieniąją się kolejno, aż wreszcie wszechświat zlewa się w jeden dźwięk, w hymn wesela, którego nie przewyższa nawet hymn Bethovena na końcu dziewiątej symfonii.

W krótkości tylko napomknąć możemy, jak Shelley, po dokonaniem współzawodnictwie z Eschylosem, współubiegał się teraz z Shakespearzem i nagłym skokiem do rzeczywistości historycznej, nawet podług świadectwa Byrona, dał Anglii najlepszą tragedję, jaką przypadła jej w udziale od czasów Shakespear'a. *Cenci* przypominają najwięcej takie dramata Shakespear'a jak *Wet za wet*, chociaż Shakespear nie pałał tą gorącą nienawiścią do tyranii, która dramat Shelleya natchnęła swoim duchem. Nazwisko Beatryksy Cenci dziś jeszcze dla rzymian jest symbolem swobody. Młoda dziewczyna, broniąca czci swojej przeciw straszliwemu ojcu, którego okrucieństwo popierała pośrednio przedajność papieża i wszystkich władz, w oczach rzymian wciąż jeszcze uchodzi za bohaterkę i męczenniczkę. Ileż pod uciskiem władzy papieskiej w ciągu wieków błysło światelko jutrzeńki na widnokręgu, wszędzie w Rzymie wynurzało się z przeszłości

jej imię i obraz. Shelley zatopił się tu cały w historję i zapomniał o wszystkich swoich teoriach.

Jednakże przekonani jesteśmy, że właściwą sprężyną, która go uderzyła w tragicznej kolizyi, było zerwanie z wszelką tradycją, które zbrodnia ojca uczyniła koniecznością i obowiązkiem, oraz nastreżająca się tu pocie sposobność przedstawienia w jaskrawem oświeceniu popolitych pojęć teologicznych o ojcowskiej dobroci rządów świata. Beatryksa mówi:

Ty wielki Boże którego obrazem
Zwykłym na ziemi jest ojciec, czyż miałbyś
Opuścić mnie istotnie?

a kiedy jej pytają:

Czyś nie jest winną śmierci ojca?

odpowiada:

. To oskarż. . .

Raczej Boga, sędziego wszechnieba i ziemi,
Że dopuścił, że widział oczyma własnymi
Czyn straszliwy, piekielny, czyn niewysłowiony;
A zamknął wszystkie furty odwetu, obrony,
Pozwu, krom jednej, którą zabójstwem zowiecie,
Która, czy jest, czy nie jest zbrodnią w waszym świecie,
Czy spełniona przezemnie, czy niespełniona,
Sądź, jak chcesz. Niech się raz już, raz wreszcie dokona
To, czego pożądamie — już przeczyć nie będę.

Na widok katowskiej ławy, kiedy sędzia wzywa ją, ażeby przyznała się do zbrodni, gdyż inaczej wyzna ją pod torturami, Cenci mówi:

Więc zmień na kołowrotek tortury! tę katowską ławę!
Dreń swego psa, niech przyzna się, niech zda ci sprawę,
Kiedy i czemu jego paszczęka zgłodniała
W końcu przelaną pana swego krew lizała —
Ale nie mnie. — Cierpienia moje, to cierpienia

Mojego ducha, serca mojego, myślenia.
 Dusza cierpi — o cierpi najgłębsze jej tony,
 Płacze, nie łzami, ale żołącią rozpaloną,
 Że w tym złym świecie, gdzie nikt prawdą nie oddycha.
 Bratnia dłoń mię zdradziecko od siebie odpycha;
 Gdy pomyślę nad całym oplakanem życiem,
 Co przeszło, a tak smutnem kończy się rozbiegiem,
 I nad sprawiedliwością, jaką w skąpym dziale
 Wymierzają mnie lub moim wiekiście szale
 Nieba i ziemi. Kiedy w mózgu mym powstanie
 Straszliwy obraz: czem to jesteś ty tyranie
 I ci służyły, jaki w bytu wszech przestrzeni
 Tworzą tu świat ciemniejszy i uciemigzeni...
 Takie, ach takie męki szepeją mi odpowiedź
 I czegoż ty chcesz jeszcze ode mnie?

Widocznie pociągało tu wyobraźnię Shelleya szczególnie połączenie energii i czystości serca w postaci Beatryksy. W chwili śmierci, kiedy ogarnęła ją okropna trwoga na myśl, że po śmierci na tamtym świecie, pod ziemią, znów spotka się z ojcem, woła:

. . . . A nużby tam w świecie —
 W owym mrocznym, bezludnym, niezmierzonym świecie
 Boga nie było, ziemi, ani gwiazd ogródka,
 A na byt cały został: duch mojego ojca,
 Głos jego, oko, ramię, coby otaczało
 Dech mój i atmosferę i trupie me ciało?
 Gdyby kiedyś — w tej samej postaci potwora,
 W jakiej na ziemi ścigał mnie — gdyby ta zmora,
 Przyszła, w maskę siwizny, zmarszczek osłonięta,
 I chwyciła mnie w swoje piekielne ramiona;
 Gdyby w mem oku swoje zatopiwszy oko,
 Spojrzeniem parła w otchłań, głęboko... głęboko...
 Bo czem nie był, czem nie był ten upiór beżecny,
 Wszechmogący na ziemi tej i wszechobecny?
 Zły duch, choć stratawały go śmiertelne dreszcze,
 Alboż on tam nie dyszy w światów wszech-oddechu?
 Czy dla mnie i dla moich nie kopie tam jeszcze
 Ruin wiecznej sromoty, katusz i pośmiechu?

O tem dojrzałem i doskonałem dziele Shelleya mówi *Literary Gazette*: „Cenci jest to najohydniejszy utwór naszych czasów — zdaje się być plodem dyabła.“ Recenzent spodziewa się, że nigdy nie zobaczy dzieła, któreby „nosiło na sobie takie piętno skażenia, bezbożności i hańby“.

Ten opór złamał siłę Shelleya. Był pewny, że tym razem stworzył, co mógł, najlepszego. Nie było to wprawdzie przerażenie, ale stracił chęć do dalszego tworzenia. Ostatnie dwa lata jego życia są ubogimi w większe prace. W listopadzie r. 1820 pisze: „Niezawodnie przyjęcie, jakie gotuje mi publiczność, może stłumić zapal każdego człowieka“. Ostatnie jego listy wrą rozjątrzeniem przeciw krytyce. — Kwiecień r. 1819. „Co do recenzyj, uznaję, że to nie innego, jak tylko obelgi, a te nie są ani poważne, ani dosyć szczeremi, aby mię bawiły“. — Marzec 1820: „Jeżeli jakikolwiek recenzent zelży mnie, to wytnij artykuł i przyslij mi go. Jeżeli mnie pochwali, to nie potrzebujesz zadawać sobie tej pracy. Wstydzę się wspomnieć, że mogłem zasłużyć na to ostatnie. Pochlebiam sobie tem, że pierwsze jest tylko należnym haraczem“. — W roku 1811 pisze poemat na śmierć Keatsa z okropną żołącią przeciw recenzentowi, który miał być przyczyną jego śmierci.

Czerwiec 1821: „Dowiaduję się, że obelgi przeciwko mnie przechodzą wszelką miarę. Proszę cię, ażebyś, jeżeli spotkasz ten lub ów szczególnie obrażający artykuł, przysłał mi go. Dotąd śmiałem się z tego wszystkiego. Ale biada tym łotrom, gdyby kiedykolwiek wybili mnie z równowagi! Zrobiłem odkrycie, że moim oszczercą w *Quarterly Review* jest arcyszanowny mr. Milman. Klechy mają swój przywilej“. — Sierpień 1821: „Nie piszę nic i prawdopodobnie już pisać nie będę“.

Kiedy Byron w ten sposób zadrasniętym został przez prasę, zatrzymał się na chwilę w robocie, a przeciwnikom

swoim pokazał lwie pazury. Z Shelleyem było zupełnie co innego. Odprawa, którą daje wycieczkom recenzentów przeciw swojemu *Peter Bell III*, jest łagodnym zartem w porównaniu z krwawem szyderstwem Byrona przeciw Southeyowi i innym. Ile razy wystąpił z odwetem, pod jego stopami roilo się literackie robactwo i gady. Kasały go one w pięty. Nie mógł zdruzgotać ich głowy. Albowiem takie stworzenia, jak powiada Swinburne, mają zbyt małe głowy, ażeby można je było dostrzedz i rozdeptać. Przytem Byron dziełami swojemi zyskał sobie był tysiące przyjaciół w Europie; dzielił Parnas z Goethem, zaczął wyćiskać swoje piętno na stałym lądzie. Shelley zanadto wyprzedzał swoje czasy. Przewodnik, który idzie o dwadzieścia kroków naprzód, pociąga jeszcze za sobą rzeszę; ale jeżeli jest o tysiąc kroków na przedzie przed innymi, już go nie widzą i nie idą już za nim, i pierwszy lepszy literacki wystrzał z poza krzaku może go bezkarnie prześzyć z zasadzki.

Moore był to talent i wpływał jako talent. Shelley nie był talentem, ani małym, ani wielkim, lecz geniuszem samej pieśni, z całą siłą geniuszu, ale zarazem z całym brakiem geniuszu pod względem zmysłu do rzeczywistości; przytem przeznaczeniem jego było w pięćdziesiąt lat dopiero po śmierci swojej zapanować nad młodszem pokoleniem poetów angielskich, ale nie osiągnął dwudziestej nawet części wpływu na współczesnych sobie, których podbijał sam tylko człowiek talentu, Moore. Byron był poeta indywidualności, jak nikt przed nim, a jako indywidualny, w najwyższym stopniu egoistycznym; przesąd i próżność nie mogły u niego być wykorzenione całkowicie bez zadania uszczerbku szlachetnym częściom organizmu, Shelley przeciwnie, bez próżności i egoizmu, posuwał się w swoich ideałach bezwzględnie; rozslaniał swoje *ja* coraz szerzej, aż do ogarnięcia wszechświata; ale to, co w nim,

jako w człowieku, było enotą czysto idealną, spowodowało i pociągnęło za sobą fatalny brak w jego poezyi, a przynajmniej w grupie poezyi, które utworzył w pierwszej połowie zbyt krótkiego życia swego. Tak wysoce niesamolubnemu poecie przez długi czas brakło bezwarunkowo zdolności ograniczania siebie. Bardzo długo brakło mu subtelności zmysłu formy do wielkiego utworu w jego całokształcie. Stąd rozpoczynając swój zawód poetycki, potknął się na progu, a na to potrzeba więcej niż geniuszu, ażeby na czytelnikach wymódził zapomnienie takiego debiutu. Jego *Rokosz Islamu*, pomimo wszystkich pięknych szczegółów, był nieokreślonym i chwiejnym, oderwanym i metafizycznym. Przedewszystkiem przy swoich postaciach cieniowych i pozbawionych krwi był on tak obszerne i długi, że trudnem było zadaniem przeczytać poemat do końca — zadaniem, które miała tylko liczba czytelników rozwiązać mogła. Zdaje się, że do chwili napisania tragedyi *Cenci*, Shelleyowi brakło wszelkiego poczucia nieskończonego wdzięku i wartości, jaką posiada *indywidualność*. Nawet Prometeuszowi i Azyi w ich charakterze jako typom, braknie wszelkiej iskry indywidualności; imiona ich, to tylko tytuły najpiękniejszej liryki, na jaką kiedykolwiek zdobyła się Anglia. Jakkolwiek *Cenci* jasno pokazuje, że Shelley był w stanie zdobyć sobie to wszystko, na czem mu zbywało, jednakże zgasł pierwej, niż mu się udało spełnić świetne widoki, jakie zapowiadał poczet dotychczasowych jego utworów, i zanim świat współczesny uznał, co posiada w osobie Shelleya. I chociaż mniejsze jego poezye liryczne, zdaniem mojem i wielu innych, przewyższają wszystko to, co wiek obecny wytworzył w formie lirycznej, jednak i te poezye nie mogły wywrzeć wpływu na dobę współczesną sobie, ponieważ najlepsze z nich nie ukazały się w druku za życia Shelleya.

Więc też podobnie jak Moor, albo Landor, nie mógł on dokonać przewrotu ogólnej świadomości, jakiej potrzebowała i oczekiwała Europa. Na owe czasy potrzeba było poety, któryby był o tyleż indywidualnym, o ile Shelley był kosmicznym, o tyleż namiętnym, o ile Shelley był idealnym, o tyleż przeszywająco satyrycznym, o ile Shelley był harmonicznym i porywającym gracyą — ażeby dokonać mozolnej, herkulesowej pracy: przekarczowania politycznej i religijnej świadomości Europy, budzenia śpiących, a strącenia tryumfujących w przepaść pośmiechu. Potrzeba było ducha, któryby zarówno przez swoje występki, jak i przez swoje cnoty, przez wysokie przymioty, jak i przez błędy mógł wzbudzić zajęcie wieku. Instrumentem Shelleya były szlachetne skrzypce: potrzeba było rogu, ażeby oczyścić powietrze i dać hasło do boju.

Co do pozostałych szczegółów życia Shelleya, streszczają się one w niewielu wyrazach. Jest to ostatnia jego podróż z Liworno do Lerici, w której zaskoczyła go nieprzewidziana burza i z której powrócił już nieżyjący na łód stały — długie dni, które równie przepędziła w trwodze jego żona, szukając go wzdłuż brzegów włoskich — a następnie odnalezienie niepodobnego do poznania jego trupa. Ustawa przepisywała, jako środek ostrożności, ażeby wszystko, co tylko przyplывało z wodą na wybrzeże, ulegało spaleni. Byron skorzystał z tej okoliczności, ażeby Shelleyowi, zgodnie z jego charakterem, urządzić pogrzeb grecko-pogański. Kadzidła, wino, sól i oliwę zlano na stos, jak w starożytnej Helladzie. Był to dzień piękny i widowisko wspaniałe — którego tłem było spokojne morze i Apeniny. Mały ptaszek krążył naokoło stosu i nie dał się spędzić. Wysoko i złoto-barwnie wzbijał się płomień. Zwłoki spłonęły, ale ku zdumieniu wszystkich obecnych serce pozostało niezniszczone, a Trelawney wyrwał te relikwie z gorejącego ogniska, przyczem

sparzył sobie rękę. Popiół złożono obok piramidy Cestiusa w Rzymie, która niegdyś zdawała się Shelleyowi tak pięknem miejscem spoczynku.

Człowiek, który trupa Shelleya wręczył był ogniewi, odziedziczył jego puściznę duchową. Imię tego człowieka spotykaliśmy na każdej karcie dziejów wieku. Widzimy go przygotowanego przez Southeya, Coleridge'a i Scotta, nienawidzonego przez Southeya, niezrozumianego przez Landora, ukochanego przez Moora, uwielbianego, opiewanego przez Shelleya i ulegającego jego wpływowi. Człowiek ten gra rolę w życiu wszystkich. On to rzeczywiście na poetycznej literaturze wieku naszego wycisnął ostateczne i stanowcze piętno.

XVI.

Kiedy wchodzimy do muzeum Thorwaldsenowskiego w Kopenhadze, pierwszym utworem rzeźby, znajdującym się po prawej stronie od wejścia, jest popiersie z marmuru, przedstawiające pięknego młodzieńca o subtelnych, szlachetnych rysach, z włosiem kędzierzawym — popiersie Byrona. Toż samo popiersie z gipsu spotykamy w sali XII, a statuetkę portretową, do której użyto tamtej po śmierci Byrona, w sali XIII. Jeżeli staniami przed popiersiem gipsowem, które nie ma sobie równego pod względem wymowności rysów, to pierwszem wrażeniem będzie wrażenie wykuintnej i znakomitej piękności. W pierwszej chwili uczujemy się niezawodnie porwanymi wyrazem życia, który tam przegląda, a który przedewszystkiem tkwi w jakimś niespokojnem drganiu czoła, jak gdyby na niem osiadać mogły obłoki a z tych obłoków wystrzelać pioruny, oraz w potężde wejrzenia. Czoło to nosi na sobie piętno niezłomności.

Jeżeli pomyślimy o olbrzymiej różnicy w naturze Thorwaldsena a Byrona, jeżeli przypomnimy sobie, że

Thorwaldsen nie czytał ani jednego wiersza poety angielskiego, a jeżeli przytem wiemy, że Byron pokazał się Thorwaldsenowi nie z najkorzystniejszej swojej strony, to musimy wysoce podziwiać rezultat owego spotkania się dwu wielkich mężów. Popiersie robi, chociaż z natury rzeczy słabe i niezupełne, jednakże prawdziwe i piękne wrażenie głównej strony charakteru Byrona, która nie-skończenie daleka była od Thordwaldsena. Pole, na którym on jest największym, są idylle; jeżeli chce przedstawić wejście Aleksandra do Babilonu, pasterze, owce, rybak, dzieci i kobiety, cały pochód uroczysty, udają mu się lepiej, aniżeli sam bohater, albowiem typ bohaterski, nie jest jego rzeczą w równie wysokim stopniu; a więc o ileż mniej jeszcze wojownicza naturalność w owej złożonej i nowożytnej formie tego typu, którą nazwano demoniczną! A jednak przeczuwał on Byrona. Postawił mu pomnik w popiersiu (nie w statui), który, chociaż nie zadawał ani hrabiny Guiccioli, ani Tomasza Moore'a, jednakże zarówno godnym jest poety, jak i artysty. Gdyby znał Byrona osobiście, w takim razie dzieło bez wątpienia byłoby jeszcze znakomitsze; miałoby ono rys otwartości i sympatyczności, który zachwycał każdego, kto tylko znał Byrona. Dziś jednak rys ten nie występuje. Ale artyście duńskiemu udało się, poza ciemnym wyrazem twarzy, który uważał za przybrany samowolnie przez poetę, wrazić w rzeczywiste, głęboko oryginalne piętno boleści, niepokoju, geniuszu, szlachetnej i straszliwej siły.

Rysy te już wystarczają, ażeby uznać, że z owym Byronem, Byronem, którego poznaliśmy w muzeum, wzrosło młodsze pokolenie w Danii. Ale do obrazu przywiązała się zarazem uporeczywa anegdota o odwiedzinach w pracowni Thorwaldsena i o odezwananiu się tegoż że „życzyłby sobie być choć raz tak nieszczęśliwym ¹⁾“, i dziwiono się

¹⁾ Thiele. *Thorwaldsen w Rzymie*. t. I. s. 342.

mimowolnie, że mąż tak wielki mógł być nie zupełnie naturalnym. Tak więc i na samym początku spotykamy krzywy i niepewny stosunek do Byrona. I w pięćdziesięciu latach, które upłynęły od śmierci poety, nowe pokolenie stanęło w podobnym dziwnym do niego stosunku odosobnienia. Za dalekim jest, ażeby być bohaterem, chwili obecnej. Co dla naszych dziadów i babek stanowiło pobudkę do uwielbienia go aż do szału, to właśnie żyjące dziś pokolenie odtrąciło z jego postaci: legendę o nim, całą tradycję, co zrosła się z jego historią i która przeszkadza nam patrzeć na niego okiem bezstronnem, bohatera teatru, którego sposób wiązania krawata był modelem bohatera romansu, który nigdy rozstać się nie mógł ze swoimi pistoletami i którego przygody miłosne stały się również rozgłosniami na cały świat, jak jego wiersze, nakoniec arystokratę, którego wysokie stanowisko dla niego samego miało taką wartość, ale którego tytuł na usposobioną demokratyczniej potomność już nie oddziaływa tak imponująco. Praktyczny i pozytywny wiek mało ceni postać, którą Byron już to uważał sobie za zaszczyt, już to był nią rzeczywiście: postać dyletanta. Było to dla niego sprawą honoru uprawiać sztukę w charakterze miłośnika i dyletanta. W przedmowie do pierwszych swoich poezyj młody poeta nadmienia, że jego stanowisko i dążności uczyniły wysoce nieprawdopodobnem, ażeby kiedykolwiek miał ponownie wziąć pióro do ręki. W kwietniu r. 1815 stanawszy na szczycie sławy, którą zjednały mu pierwsze jego powieści poetyczne, postanawia nie pisać już dzieł i cofnąć wszystko, co wytworzył. Po upływie miesiąca wydaje *Larę*, a kiedy Jeffrey charakter bohatera nazwał wypracowanym zbyt starannie, autor pisze (w liście z roku 1822): „Co rozumieją recenzenci pod wyrazem „starannie wypracowany“? *Larę* napisałem, rozbierając się, kiedy w hulankowym r. 1814 wracałem z balów i maska-

rad". Widzimy, że wyraźnie akcentuje niedbały sposób tworzenia i wynikający zeń brak planu, ponieważ przedewszystkiem chce być człowiekiem światowym i nie poetą z powołania, lecz tem, czem geniusz jego być mu zabraniał: dyletantem w poezyi. Jak zaś całą siłą chciał być dyletantem na takim polu, na którym nigdy stać się nim nie mógł, lecz gdzie dziś obraża nas niekiedy tem, że nie szanował w wyższym stopniu swojego powołania, tak znów odwrotnie był bezwątpienia dyletantem na takim polu, gdzie stanowczo sam być nim nie chciał — mianowicie na polu polityki. Jakkolwiek, ile razy przyszło do działalności politycznej, pokazywał zawsze dosyć zmysłu praktycznego, wszelako jego polityka w samej podstawie swojej była uczuciową i awanturniczą, czy to kiedy brał udział w spisku karbonarów w Rawennie, czy to kiedy stawał na czele suliotów w Missolungi jako dowódca. Kiedy Byron postanowił udać się do Grecyi, pierwszym jego czynem było to, że dla siebie i dla przyjaciół kazał przygotować złocene hełmy ze swoim godłem szlacheckim w napisie. Polityk naszych czasów jest to człowiek, który tworzy sobie plany określone, trzyma się ich, rozwija je rok za rokiem, i na koniec wykonywa je uparcywie i bezwzględnie, bez aparatu bohatera, ale z wytrwałością bohatera.

Nadto jeszcze pomiędzy nas a Byrona wcisnął się rój jego wielbicieli i naśladowców, zasłonił nam obraz wielkiego zmarłego, zamącił wrażenie po nim. Ich przymioty przypisano jemu samemu, ich winę złożono na niego. Kiedy nastąpiła reakcja literacka przeciwko tym, którzy zrozumieli go połowicznie, albo fałszywie, przeciwko roztargnionym, wyniszczonym i interesującym, stopniowo doprowadziła ona do tego, że ze wszystkimi drobniejszemi, których gwiazda pobladła, i wielkie imię z pierwszego planu usuniętem zostało.

Jerzy Gordon Byron urodził się 22 lutego w r. 1788 z namiętnej i nieszczęśliwej matki, która na krótko przedtem opuściła była dzikiego i niepohamowanego męża swojego. Człowiek ten, kapitan, nazwiskiem Byron, który przez pewien czas służył w Ameryce w stopniu oficera gwardyi, już w młodości swojej dzikiem życiem zasłynął powszechnie jako *szalony Jack Byron*. Pozwano go przed sąd, kiedy wykradł żonę markiza Carmathen; proces zakończył się rozwodem. Zasłubił markizę, stracił jej majątek i obchodził się z nią tak po grubijansku, że po kilku latach umarła ze smutku. Następnie z córeczką swoją Augustą udał się do Anglii i ożenił się, jedynie z widoków pieniężnych, z bogatą dziedziczką szkocką, Katarzyną Gordon i ta została matką dziecka, którego sława rozbrzmiewa po całym świecie. Zaraz po weselu kapitan Byron zaczął gospodarować majątkiem drugiej żony tak samo, jak majątkiem pierwszej i w przeciągu roku z 24,000 doprowadził go do 3,000 funtów. Opuściła go we Francyi a w Londynie urodziła jedyne swoje dziecko. Przy urodzeniu noga chłopca uległa wywichnięciu, czy też uszkodzeniu.

Dwa lata później matka z dzieckiem pojechała do Aberdeen w Szkocyi, dokąd kapitan Byron, przerywając na chwilę wybryki, podążył za niemi w nadziei wyłudzenia pieniędzy od żony. Mrs Byron do pewnego czasu przyjmowała go u siebie dobrotnie; później odwiedzał ją często, dopóki, dla wymknięcia się swoim wierzycielom—nie powrócił do Francyi, gdzie wkrótce potem umarł. Kiedy wiadomość o jego śmierci doszła do uszu żony, która nigdy nie przestała kochać go, wybuchła taką namiętną żalnością, że narzekania jej słyhać było na całej ulicy. Tak więc spotykamy, tylko w innej formie i w innym stopniu, w obojgu rodzicach Byrona, jako wspólny rys charakteru, silną namiętność, połączoną z wielkim brakiem panowania nad sobą. Jeżeli posuniemy się jeszcze głębiej w prze-

szłość tedy w obu pokoleniach też same rysy: u przodków matki usiłowania samobójstwa i otrucia, u przodków ojca zobaczymy je już to pod formą bohaterskiej zuchwałości, już to pod formą dzikiej brutalności. Dziadek Byrona z linii ojcowskiej, admirał John Byron, zwany powszechnie *hardy John* (John zuchwały) brał udział w wojnie morskiej przeciw hiszpanom i francuzom, odbywał podróże w celu odkryć po Oceanie Spokojnym, opłynął ziemię i doznał niezliczonych przygód, niebezpieczeństw i rozbić; a ponieważ nigdy nie mógł przedsięwziąć podróży, gdzieby się obeszło bez gwałtownej burzy, więc okoliczność ta u majtków zjednała żartobliwe przezwisko *Foul-weather-Jack* (Jaśko-Zawierucha). Byron los swój porównywał z losem tego przodka. U pradziada poety, Williama, znamię charakteru rodowego występuje najczarniej. Był to ostatniego stopnia awanturник, który po wymianie kilku słów przebił sztyletem sąsiada Chawortha w pojedynku bez sekundantów. Tylko jako par Anglii uniknął kary postanowionej za rozmyślnie zabójstwo i mieszkał, omijany przez wszystkich, jak trędowaty, w swojej majątności Newstead. Otoczenie nienawidziło go; żona rozłączyła się z nim; zabobonni wieśniacy opowiadali o nim najwstrętniejsze historie morderstw.

Tak więc miał w żyłach swoich krew burzliwą. Ale ta burzliwa krew była to zarazem krew wysoko szlachecka. Ze strony macierzystej spokrewnionym był ze Stuartami i ród swój mógł wywodzić aż od króla Jakóba II; ze strony ojcowskiej pochodził — wprawdzie z pewnym nieprawym członkiem w drzewie genealogicznem, (okoliczność o której Byron nie wspomina nigdy) — ze starożytnego szlacheckiego rodu normandzkiego, którego najstarożytniejszy znany przodek, Radulphus de Burun, uczestniczył w normandzkim zdobyciu Anglii. Ponieważ zaś wspomniany pradziad utracił jedyne go syna, a w roku 1794

i jedyne go wnuka, przeto były wszelkie widoki, że jego posiadłość Newstead, a wraz z nią jego tytuł i prawa para przejdą na dziecko, którego nigdy nie widział, a które nazywał zwykle „kulawym chłopcem, mieszkającym w Aberdeen“.

Z tymi więc widokami przed oczyma wzrastał mały kulawy chłopiec. Był z natury dumny i niepowodliwym. Kiedy pewnego dnia poławiano go za to, że splamił sobie nową kurtkę, nie odpowiedział ani słowa, tylko błady jak śmierć, uchwycił się spazmatycznie obiema rękami za piersi i w jednym ze swych (nie rzadkich później) przystępów niemej zajądlności rozdarł kurtkę od góry do dołu. Wychowanie dziecka przez matkę było takie, że obrzucała go to łajaniem, to najgorętszymi pocałunkami, wytykała mu już to niesprawiedliwość, jaką jej wyrządził ojciec jego, już to nawet jego ułomność cielesną. W wielkiej części jej to wina, że ta ułomność cielesna od samego początku rzuciła głęboki cień na duszę małego Jerzego; z ust matki słyszał głos nazywający go kaleką. Maszynami ortopedycznymi i sznurowaniami złe pogorszone jeszcze; noga dolegała boleśnie, a dumny chłopiec zgromadzał całą siłę woli, ażeby przy stapaniu ukryć tę boleść i wytężenie. Bywały chwile, kiedy nie mógł znieść najmniejszego napomknienia o swem kalectwie, niekiedy znowu odzywał się sam z gorzkim humorem o „skrzywionej nodze“.

Nie okazując szczególniejszej pilności w szkole, mały Jerzy, skoro tylko mógł czytać, zabrał się do dzieł historycznych, nadewszystko zaś do opisów podróży; tym sposobem już w najwcześniejszym dzieciństwie zrodziło się źródło jego tęsknoty do Wschodu. Sam mówi, że nie mając jeszcze pełna dziesięciu lat przeczytał więcej niż dziesięć wielkich książek o Turcyi, a oprócz tego wiadomości z podróży i baśnie arabskie. Ulubionym romansem chłopca był *Zeluco* Johna

Moore'a, którego bohater, wskutek złego wychowania przez matkę, po śmierci ojca wszedł na taką drogę, że dogadzał wszelkim swoim kaprysom, i którego temperament w końcu stał się „tak zapalnym jak proch“. W tym bohaterze romansu, przypominającym Williama Lovella, dziecko widziało siebie samego. W rzędzie przymiotów, które miały odegrać stanowczą rolę w życiu poety, namiętna skłonność do drugiej płci pokazywała się już u chłopca. Mając nie więcej nad pięć lat, zakochał się tak mocno w małej dziewczynce, Maryi Duff, że prawie jakby piorunem rażony został, kiedy w jedenaście lat później dowiedział się o jej zamęžciu.

Do dumy, namiętności, melancholii i fantastycznej tęsknoty za podróżami przyłączyła się, jako najważniejszy rys charakteru, gorąca miłość prawdy, naiwna szczerść, co już w dzieciństwie zapanowała u człowieka, któremu losy przeznaczyły, ażeby w wieku męskim podjął walkę ze społeczną hipokryzją Europy. Uporczywość jego była-to tylko jedna z form miłości prawdy. Następująca anegdota z lat jego dzieciństwa dowodzi, że już wcześniej prawda paliła się mu na języku jak ogień. Kiedy służąca pewnego dnia wzięła z sobą chłopca do teatru, ażeby zobaczyć *Uśmierzenie spornej* Shakespeare'a, i kiedy przyszło do tego miejsca, gdzie Katarzyna mówi: „To jest księżyc“, a Petruchio dla poskromienia jej, odpowiada: „A, jak ty kłamiesz!, wszak to jest kochane słońce!“ mały Jerzy zerwał się z oburzeniem na takie kłamstwo, i zawołał do aktora: „A ja powiadam ci, mój panie, że to księżyc!“

Kiedy Jerzy miał lat dziesięć, umarł jego pradziadek. Pierwszym krokiem chłopca było to, że pobiegł do matki i zapytał jej, czy nie widzi w nim jakiej zmiany, ponieważ teraz został lordem. Kiedy następnego dnia czytano listę uczniów w szkole, a do jego nazwiska wśród okrzyków

kolegów dodano tytuł „Dominus“, wrażenie było tak silne, że zalał się łzami, i zwykłej odpowiedzi „Adsum“ z ust wydobyć nie mógł. Najwyższemi jego roskoszami od lat najmłodszych i długo były tryumfy próżności. Ażeby jednak należycie zrozumieć to wzruszenie, potrzeba przypomnieć sobie, co znaczy w Anglii godność lordowska. Szlachetny, w ścisłym znaczeniu wyrazu, w tym kraju jest nie więcej jak około czterystu osób, a zatem mniej więcej tyle, ile w Niemczech jest książąt, a lord, który w swej baronii posiada prawie nieograniczony wpływ polityczny i społeczny, znaczy nie mniej, jak książę panujący. Zazwyczaj jego stopniowi odpowiada i bogactwo; tu jednak nie miało to miejsca, gdyż Byron nie posiadał majątku, a Newstead Abbey było podupadłe i mocno zadłużone.

W jesieni r. 1798 Mis Byron wraz z małym synem udała się w podróż do Newstead. Przybywszy do rogatki w Newstead, matka udała, że nie zna tego miejsca, i zapytała kobietę otwierającą szlaban, do kogo należy park i zamek. Kobieta odpowiedziała, że ostatni właściciel opactwa umarł przed kilku miesiącami. „A kto jest jego spadkobiercą?“, zapytała uszczęśliwiona. „Ma to być młody chłopczyk, mieszkający w Aberdeen“. Wtedy służąca nie mogła już ukryć dłużej swojej radości, ucałowała małego Jerzego, który siedział na jej łonie i zawołała, tryumfując: „On to nim jest i błogosław go Boże“.

W r. 1801 oddano chłopca do szkoły w Harrow, jednej z wielkich narodowych szkół angielskich, szczególnie popieranej przez arystokrację. Nauka (łacina i greccyzna) szła tam sucho i pedantycznie i nie osobiście oddziaływała na Byrona, który zwykle stał na stopie nieporozumienia z nauczycielami, a tymczasem z towarzyszami zawiązywał stosunki serdecznej przyjaźni: „Moje przyjaźnie szkolne“, mówi w jednym z dzienników swoich z roku 1821, „były to formalne namiętności, gdyż zawsze byłem

gwałtowny". Jako przyjaciel, zawsze był szlachetnym, a najmilej było mu występować w charakterze obrońcy. Kiedy Peela, późniejszego ministra, pewnego razu zaczął bić niemilosierdzie starszy kolega, Byron przerwał dręczycielowi prośbą, ażeby połowę plag wyznaczonych koledze wyliczył jemu. Kiedy małego lorda Gorta młodszy nauczyciel sparzył w rękę rospalonem żelazem za to, że mu źle przyrumienił chleb, a chłopiec, kiedy przyszło do badania sprawy, nie chciał wymienić nazwiska sprawcy, wówczas Byron uprosił go, ażeby, zamiast z nauczycielem, zamieszkał z nim w jednym pokoju, przyrzekając, że żadnych krzywd nadal może się nie obawiać. „Zostałem jego najserdeczniejszym — mówi lord Gort (zob. Pamiętnik hrabiny Guiccioli)—i byłem najszczęśliwszym, że dostałem za współmieszkańca tak dobrego i szlachetnego pana, który wciąż dawał mi ciasta i przysmaczki". Do ulubionego kolegi szkolnego, księcia Dorset, zwrócił się z pięknym wierszem na pamiątkę życia szkolnego, w swoich *Godzinach spoczynku*.

Kiedy Byron był w domu podczas feryj, matka jego nie ustawała w swoim gwałtownym, niepowściągliwym bez granic postępowaniu z synem; ale zamiast bać się jej, nie mógł się powstrzymać od wyśmiewania namiętnych uniesień matki, otyłej kobiety. Nie dosyć, że tłukła talerze i filiżanki, niekiedy nawet pogrzbaczem lub nożem wypędzała go z domu ¹⁾.

¹⁾ D'Israeli, zmarły pierwszy minister Anglii, w romansie *Venetia* z takim ciepłem i życiem odmalował ten stosunek pomiędzy matką a synem, że zmieniając tylko fikcyjne nazwiska (Cadurcis, Plantagenet, Morpeth i t. d.) na rzeczywiste—postanowiliśmy przytoczyć tu skoncentrowaną scenę z tej książki. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy w chwili przedpołudniowej, w rezydencji Annesley, w pobliżu Newsteadu, kiedy na dziedziniec zajżdża wóz pocztowy, a z niego wysiada matka, otyła da-

Jeżeli pomyślimy, że po jednej z podobnych scen wchodziło młode złotowłose dziewczę i jednym spojrzeniem łagodziło krnąbrnego chłopca, to będziemy mieli sytuację, jaka nieraz zapewne miała miejsce w Annesley, w ro-

ma, o twarzy czerwonej, w stroju, łączącym w oryginalny sposób w swej barwie wytartość z pstrociną. Towarzyszy jej mały chłopczyk jednasto a może dwunastoletni, którego wyraz twarzy przedstawia jaskrawe przeciwieństwo z wyglądem matki: on jest blady i wysmukły z długim kędzierzawym włosem i wielkimi niebieskimi oczami, których iskrzące się błyski mile ożywiają twarz, zwykle mającej wyraz trwogi i posępności. Są to pierwsze odwiedziny. Goście wchodzią znużeni i uznojeni podróżą.

„Okropna podróż!“ zawołała mrs. Byron, chłodząc się wachlarzem i siadając; „ach, i tak gorąco! Jerzy, mój skarbie, ukoń się tej pani! Czy ci nie powtarzałam ciągle, że powinienś uklonąć się, kiedy wchodzisz do pokoju? Ukoń że się pani Chaworth!“—Chłopiec kiwnął głową z niechęcią, ale mrs. Chaworth powitała go tak serdecznie, że rysy jego wypogodziły się nieco, chociaż zachowywał się całkiem milcząco i jak obraz uporeczywej obojętności, siedział na samym kancie krzesła.—„Zachwycająca okolica, mrs. Chaworth“, powiedziała mrs. Byron; „Annesley jest piękną posiadłością, zupełnie różną od Opactwa, ale znajduję je straszliwie samotnem. Jestto wielka zmiana dla nas, co przybywamy z małego miasta i od wszystkich naszych przyjacielskich sąsiadów. Nadzwyczaj różne od Dulwich, — nieprawdaż Jerzy?“—„Nienawidzę Dulwich“, odpowiedział chłopiec.—„Nienawidzisz Dulwich!“ zawołała mrs. Byron; „no, to już muszę nazwać niewdzięcznością względem wszystkich miłych przyjaciół. A oprócz tego, czy nie mówiłam ci, że nie powinienś nienawidzić nikogo? Ach, nie uwierzysz, mrs. Chaworth, ile to kosztuje pracy wychowywać dziecię. Wprawdzie, jeżeli tylko zechce, może być tak grzeczny, jak nie lada kto. Nieprawdaż Jerzy?“—Lord Byron uśmiechnął się szyderezco, zasiadł się głębiej na krześle i machał nogami, które nie dotykały już ziemi —„Jestem przekonana, że lord Byron jest zawsze grzeczny“, powiedziała mrs. Chaworth.—„No, Jerzy“, mówiła dalej mrs. Byron, „czy słyszysz, co mówi mrs. Chaworth? Staraj-że się, ażebyś tej damie nigdy nie dał powodu, do zmienienia swej dobrej opinii o tobie.“—Jerzy przygryzł wargi i w połowie odwrócił się tyłem do towarzystwa.—„Jerzy, skarbie mój, powiedz przecie cokolwiek! Czy nie mówiłam ci ciągle, że jeżeli będziesz gdziekol-

dzinie Chawortha (potomka człowieka, którego pradziad Byrona zabił kiedyś w pojedynku), kiedy matka i syn byli tam w odwiedzinach, a oczy młodej córki domu, Maryi Anny Chaworth na chwilę zatrzymały się na Jerzym. Mia-

wiek z odwiedzinami, to powinienś od czasu do czasu otwierać usta? Nie chciałabym, ażeby dzieci były gadatliwymi, ale wymagam, ażeby odpowiadały, kiedy się z nimi rozmawia". — „Nikt nie rozmawiał ze mną", odparł lord Byron tonem mrukliwym. — „Jerzy, mój skarbie, wszak przyrzekłeś mi być grzecznym!" — „A cóż ja zrobiłem?" — „Lordzie Byronie", rzekła mrs. Chaworth, zbaczając od przedmiotu, „czy nie chciałbyś pan obejrzyć obrazów?" — „Nie, bardzo dziękuję", odpowiedział mały lord tonem grzeczniejszym — najprzejemniej jest dla mnie, kiedy mnie zostawiają w spokoju". — „Nie możesz, najlepsza mrs. Chaworth, oceniać go z tego, co dostrzegasz w nim teraz. On potrafi być takim wybornym jeżeli chce". — „Wybornym!" — mruknął mały lord przez zęby. — „Gdyby pani zobaczyła go w Dulwich w małym towarzystwie na herbacie, był on tam, co się zowie, perłą towarzystwa". — „Nie, nie byłem tam". — powiedział lord Byron. — „Jerzy", odparła znów matka tonem patetycznym, „czy nie mówiłam ci ciągle, że nie powinienś przeczyć? — Mały lord zaczął mruzczeć głosem przytłumionym. — „Podczas przeszłego Bożego Narodzenia wykonywano małą komedijkę, i on grał prześlicznie. Zapewne pani nie uwierzy mi, sądząc z tego, jak on siedzi teraz na krześle. Jerzy, skarbie mój, chcę ażebyś był grzecznym. Siedź-że przecie, jak mężczyzna!" — „Nie jestem mężczyzną, powiedział lord Byron; „chciałbym być nim". — „Jerzy", dodała matka, „czy nie mówiłam ci ciągle, że nie powinienś mówić sprzecznie ze mną? Nie przystoi dzieciom mówić sprzecznie.. Jerzy, czy słyszysz, co ja mówię?" — krzyknęła mrs. Byron z szkarłatowym rumieńcem na twarzy. — „Niech sobie wszyscy ludzie słuchają, co pani mówi, mrs. Byron", odpowiedział mały lord. — „Nie nazywaj mnie mrs. Byron, nie w taki sposób mówi się do matki, nie chcę, żebyś mnie nazywał mrs. Byron. Bierze mnie prawie chętką, żeby wstać i dać ci tegiego klapsa. O mrs. Chaworth", wyszochała matka i łza stoczyła się jej po policzku, „gdybyś wiedziała, co to znaczy wychować dziecko!" — „Kochana pani" — odpowiedziała mrs. Chaworth, „jestem przekonana, że lord Byron niezgo innego nie życzy sobie, jak tylko robić to, co miłym jest pani. Pani źle zrozumiałaś go zapewne". — „Tak, ona zawsze rozumie mnie źle", odpowiedział mały lord tonem ła-

ła ona lat siedemnaście, kiedy Byron miał piętnaście. Kochał ją namiętnie i zazdrośnie. Na balach, gdzie błyszczała świetnie, chłopiec, któremu chromość jego nie pozwalała tańczyć, wzrokiem męczeństwa musiał ją widzieć opartą na ramieniu innych. Nakoniec pewnego wieczora dosłyszał, jak pokojówce, która w rozmowie z nią napomknęła o Byronie i jego widokach, Marya odpowiedziała od niechcenia: „Czy myślisz, że ja robię sobie cośkolwiek z tego kulawego młodzieniaszka?" zacisnął w sobie boleść i cofnął się. W trzynaste lat później, pod strumieniem łez w Villa Diodati nad jeziorem Genewskim, napisał poemat *Sen*, malujący ten stosunek i dowodzący, jak głęboko ugodził go w serce ten zawód doznany w młodości ¹⁾.

godniejszym i z oczami zroszonymi. — „Masz tobie, zaczynać", rzekła matka i sama okropnie płakać zaczęła, kiedy w tem samym mgnieniu oka wszelka jego niegrzeczność stanęła naraz przed jej świadomością; zerwała się, aby wymierzyć mu porządną dozę plag. Rączy syn, który przyzwyczajony był do takich burz, odbiegł, wysunął przed matką krzesło, o które, tylko co się nie potknęła, i teraz gonili się z sobą po pokoju. W rozpacz porwała książkę i chciała rzucić mu ją na głowę; ale chłopiec nachylił się z szatańskim uśmiechem, tak, że książka przez szybę wyleciała za okno. Wykonała jeszcze jeden rozpaczliwy atak, a mały lord w przestachu zdołał ratować się jedynie tem, że rzucił jej pod nogi stolik, przy którym szyła mrs. Chaworth. Upadła na nogę od stolika i dostała kurezu spazmatycznego, podczas kiedy lord Byron błady i uparty stał w kącie.

¹⁾ Nadzwyczaj wybitnie charakteryzuje matkę sposób, w jaki w dwa lata od czasu, jak Byron musiał rzeczyć się swoich nadziei, zawiadomiła go, że Marya Chaworth poszła za męża. Otrzymała wiadomość właśnie podczas jego odwiedzin. „Byronie!" zawołała, „mam nowinę dla ciebie." — „No, cóż takiego?" — „Dostań sobie pierwnej chustkę z kieszeni będziesz jej potrzebował". — Byron zrobił, jak mu polecono. Kiedy następnie matka oznajmiła mu, że miss Chaworth poszła za męża, szybko schował chustkę do kieszeni i z przymuszoną, obojętnością i zimną krwią powiedział: „Czy już wszystko?", a tymczasem silna bladeść powlekła twarz jego. Napomknienie matki, że zdawało się jej, iż serce jego pę-

Stosunek pomiędzy matką a synem stawał się coraz nienaturalniejszym, w miarę jak Byron szalał matki przyjmował z coraz to spokojniejszą ironią. Doszło do takich scen, że pewnego wieczora kazali poprosić w aptecce, ażeby do lekarstwa dodano część nieszkodliwej mieszaniny, w razie gdyby jedno z nich zażądało trucizny. Czyż by grozili sobie nawzajem samobójstwem? Z posępnym humorem mówi młody Byron w listach swoich o wycieczkach, któremi nieraz ratował się od scen w domu i o których naprzed nie dawał żadnego znaku, obawiając się, jak się wyraża, „zwykłych krzyków wojennych matki“.

W r. 1805 Byron wstąpił do uniwersytetu w Cambridge i spędzał tam czas nietylko na studyowaniu nauk uniwersyteckich, ile na wszelkich możliwych ćwiczeniach ciała, którym już od dzieciństwa poświęcał się gorliwie, ażeby osłonić zapomnieniem swoją ułomność fizyczną. Jeżdżenie konno, pływanie, nurkowanie, strzelanie, boks, krokieta i picie, były to sztuki, w których doskonale posiadaniu szukał dla siebie zaszczytu. Dandy zaczął w nim kielkować, a w młodzieńczej dumie zabawką jego było wycieczki swoje odbywać w towarzystwie ładnej młodej dziewczyny, która w ubraniu męskiem jechała za nim, to jako jego paź, to jako brat młodszy; co więcej, miał tyle odwagi, że w tym ostatnim charakterze przedstawił ją pewnej damie cudzoziemskiej u kąpieli morskiej w Brighton. Newstead Abbey było wydzierżawione. Skoro tylko ustąpił dzierżawca, Byron wprowadził się tam. Było to prawdziwe starożytne opactwo gotyckie z refektarzem i celami, założone jeszcze w r. 1170 z parkiem i jeziorem, z murem okolnym i gotycką studnią w dziedzińcu. Tu z towa-

knie z żałości, zbył mileżeniem i skierował rozmowę do innego przedmiotu. Im mniej znaleźć mógł w matce swojej serce godne zaufania, tem większy czuć musiał popęd do powierzenia uczuć i trosk swoich papierowi

rzyszami swymi wiódł wynikłe z młodzieńczego oporu przeciw wszelkim prawidłom życie hulackie w takim stylu i z takim piętnem żądzy oryginalności, jak to nieraz spostrzegać się daje w genialnych młodzieńcach, którzy nie przyszli jeszcze do świadomości o swoich zadaniach i celach. Wstawano tu o godzinie drugiej po południu, fechtowano się, bawiono się w wolanta, strzelano z pistoletów, a po obiedzie, ku zgrozie bogobojnych mieszkańców okolicy, obchodzono do koła z czaszką napelnioną winem burgundzkim. Byron, kiedy jego ogrodnik przypadkiem wykopał czaszkę mnicha, w przystępie szalonego humoru kazał oprawić ją w srebro, i teraz jemu i przyjacielom sprawiało to dziecinną przyjemność, w ubiorach zakonnich z tonsurami, krzyżami i wieńcami róż, używać jej za puchar¹⁾. Jednakże w tym razie nie należy upatrywać jedynie tylko młodzieńczy cynizm tego rodzaju, jaki np. u młodych studentów medycyny często idzie w parze z wesołą żądzą życia; charakter taki, jak Byrona, czuł niezawodnie pewnego rodzaju gorzki urok w przedstawianiu sobie przed oczyma podobnego *memento mori*. W wierszach, wystosowanych przez Byrona do tego pucharu, czytamy, że dotknięcie warg ludzkich w każdym razie milszem być musi umarlemu, aniżeli ukąszenie robaka. Atoli nie ze zbyt zuchwałej dumy wynikały w nim wysoki dziwactwa. W jego duszy była nie tylko tęsknota, która w górujących nad poziom naturach tak często w pierwszej młodości pochodzi z tego poczucia, że z niewypróbowanemi jeszcze siłami i zdolnościami stoi się oko w oko wobec trudnych i ciężkich zagadnień; była tam i melancholia, jaką za sobą pociągnąć musiało osobliwsze jego usposobienie przyrodzone, wychowanie, burzliwa namiętność. Z tego okresu życia Byrona

¹⁾ Obecny właściciel Newsteadu kazał ją pogrzebać z pobudek religijnych.

opowiadają parę anegdot, któremi zwykli wzruszać się jego biografowie. Pierwsza tyczy się jego psa. W r. 1808 na grobie swego ulubionego psa położył napis w najwyższym stopniu mizantropijny, w którym uwielbia go kosztem całego rodu ludzkiego a jednocześnie zrobił (cofnięty później) testament, w którym żąda, ażeby pochowano go obok tego psa, jako jedyne go przyjaciela. Drugim faktem, świadczącym o uczuciu opuszczenia, jest sposób, w jaki poeta obchodził urodziny swoje w r. 1809. W dniu tym kończył on rok dwudziesty pierwszy i podług praw krajowych został pełnoletnim. Taki dzień podług zwyczajów angielskich uważany jest za świąteczny; w stanie szlacheckim obchodzą go tańcami, illuminacją, sztucznymi ogniami i ugoszczeniem wszystkich mieszkańców majątności. Byron był tak biedny, że jedynie na lichwiarski procent mógł dostać pieniędzy, ażeby kazać upiec całego tradycyjnego wołu i urządzić bal dla swoich ludzi. U podjazdu zamku nie było rzędu powozów z dostojnymi wiozącymi w d. 22 lutego r. 1809: nie przybyła ani matka, ani siostra, ani opiekun, ani krewni. Byron spędził ten dzień w hotelu w Londynie. W jednym z listów z r. 1822 pisze: „Czy opowiadałem ci kiedy, że w dniu, kiedy zostałem pełnoletnim, jadłem na obiad szynkę i jajka, a w dodatku wypilem butelkę elu? Jestto ulubiona moja potrawa i ulubiony napój, a że i jednego i drugiego znosić nie mogę, przeto pozwałam ich sobie raz w cztery lub pięć lat w dni wysokich uroczystości.“ Naturalnie, przyjemniej jest być bogatym, aniżeli biednym i pochlebniej dla miłości własnej odbierać powinszowania od krewnych, aniżeli widzieć się samotnym i wygnańcem; ale w porównaniu z trudnościami, brakiem i upokorzeniami w początkach swego zawodu, przeciwności tego młodego patrycyusza nie liczą się wcale. Nadaje im znaczenie ten взгляд, że człowieka, który jako arystokrata, mógł być tak łatwo wy-

stępować z uczuciami rodu i stanu, bardzo wcześnie sprowadziły do takich tylko środków utrzymania, jakie posiadała oddzielna, wyosobniona osobistość.

Nie współczesny wielki fakt polityczny, nie wrażenie zapału albo gniewu z powodu katastrof dziejowych, w której epoka owa tak była płodną, wyrwały Byrona z bezładnego i bezcelowego życia w Newsteadzie. Zdarzenia tego rodzaju, jak śmierć Foksa, albo haniebne dla Anglii zbombardowanie Kopenhagi, nie zrobiły wrażenia w młodości na człowieku, którego kiedyś, jako męża, wstrząsać miał na wskroś każdy wypadek polityczny, każdy czyn i zbrodnia. Literacka, osobista przeciwność sprowadziła pierwszy zwrot w jego życiu. Mieszkając od lata r. 1806 aż do lata 1807 w małym mieście Soutwell, Byron napisał był pierwsze swoje próby poetyckie, które u młodszych członków miejskiej rodziny sąsiedzkiej, nazwiskiem Pigot, spotkało żywe współczucie. W marcu r. 1807 wyszedł zbiór p. t. „*Hours of idleness*“ (Godziny bezczynności). Pomiedzy tymi utworami nie odznacza się żaden; te z pośród nich, które zapowiadają energiczne uczucie, giną w długim szeregu poezyj szkolnych, jużto przekładów i naśladowań poetów klasycznych, przeczytanych w szkole, i Ossyana, jużto sentymentalnych, niedojrzałych pod względem stylu poezyj o przyjaźni i o miłości. Niektóre z nich dają nam poznać w wyraźnych zarysach przyszłą osobistość Byrona i rodzaj jego stylu; w wierszu *Do lady*, zwróconym do Maryi Chaworth, znajdujemy parę strof czysto Byronowskich:

If thou wert mine, had all been hush'd.
This cheek now pale from early riot
With passions hectic ne'er had flush'd,
But bloom'd in calm domestic quiet...

But now I seek for other joys:
To think would drive my soul to madness;

In thoughtless throngs and empty noise
I conquer half my bosom's sadness.

Ale w gruncie rzeczy utwory te niewiele zasługiwały na uwagę, a ponieważ oprócz tego zaopatrzone zostały dziecinnymi, pozbawionemi gustu objaśnieniami z pretensjonalną przedmową, na karcie zaś tytułowej za nazwiskiem autora miały dodatek *Małoletni*, przeto ten zbiór poezyj zawierał w sobie dosyć materiału, mogącego podnieść do żartu i satyry. W lutym roku 1808 *Edinburgh Review*, najwyższa instancja krytyczna owych czasów, umieściła (napisaną prawdopodobnie przez lorda Broughama) do najwyższego stopnia szyderczą recenzję tych poezyj. „Małoletność“, mówi recenzent, „paraduje na karcie tytułowej, a nawet na oprawie... Gdyby ktoś chciał wystąpić przeciw lordowi Byronowi ze skargą o dostarczenie pewnej sumy wierszy, to arcyprawdopodobną jest rzeczą że sędzia treści niniejszego tomu nie uznał by za poezję. Przeciwno temu mógłby wystąpić z zarzutem małoletności. Ponieważ jednak ofiaruje towar dobrowolnie i t. d.“. I recenzent mówi dalej tak: „Może chciał powiedzieć: patrzcie, jak to może pisać małoletni! Rzeczywiście ten poemat jest utworem młodzieńca osiemnastoletniego! Tamten szesnastoletniego! Ale nie myśląc wcale dziwić się, że liche te wiersze utworzone zostały w antrakcie pomiędzy gimnazjum a uniwersytetem, sądźmy raczej, że z dziesięciu gimnazjalistów, dziewięciom uszło by coś podobnego, dziesiąty pisze lepsze wiersze, aniżeli Byron... Musimy przypomnieć mu, iż ta okoliczność, że zgłoski końcowe rymują się a stopy wiersza policzone są ściśle na palcach — co zresztą nie zawsze ma miejsce u niego — wcale nie stanowi jeszcze istoty tego wszystkiego, czego wymagamy od poety. Potrzeba tu jeszcze nieco fantazyi i t. p.“ Recenzent przeto radzi Byronowi, ażeby pożegnał się z poezją i użył lepiej swoich zdolności i ko-

rzystnych warunków swego stanowiska. Wymierzony przeciw największemu z poetów angielskich przez jakąś tam osobistość, która wzięła sobie za zadanie badać krytycznie i oceniać umysły, artykuł ten, pomimo częściowej słuszności swojej, był bez zaprzeczenia kapitalnem głupstwem. Ale dla Byrona był tem, co spotkać go mogło najlepszego. Podniecił jakby zuchwale wyzwanie, ranił śmiertelnie jego próżność i obudził sprężynę, która przeżyć ją miała — dumę. Przyjaciel, który go odwiedził natychmiast, skoro dziennik edynburski wpadł mu do ręki, zapewnia, że Byron miał w oczach tak przedziwnie piękny wyraz zuchwałości i dumy, że żaden artysta, mający przedstawić bóstwo obrażone, nie mógłby znaleźć modelu straszliwszej piękności. Przed całym otoczeniem nie zdradził się wskazówką głębokiego wstrząśnienia, w liście swoim z owego czasu żałuje, że jego matka tak głęboko wzięła do serca ten artykuł; oświadcza, że nie pozbawił go ani spokojności, ani apetytu, dodaje tylko, że te kule z papieru nauczyły go dotrzymać pola wśród strzałów; jednakże po przeszło dziesięciu latach pisze: „Przypominam sobie jeszcze żywo wrażenie, jakie sprawiła krytyka edynburska: była to jaskrawa zajądlność i postanowienie dania odporu i pomszczenia się, ale bynajmniej nie znękanie albo rozpacz. Nielitościwa krytyka jest trucizną dla pisarza początkującego, i ta powaliła mię na ziemię — ale zerwałem się na nogi... z mocnem postanowieniem, żeby zadać sromotę kruczeniu jej krakaniu i sprawić, aby wkrótce znów o mnie zasłyszano“. Tak więc z zewnątrz przyszedł ów bodziec, który namiętne i rozszczerpione życie duszy młodego męża ześrodkował w jedno uczucie i w jedną dążność. Z mocnem postanowieniem i ciągłą wytrwałością zaczął pracować, sypiał w dzień, wstawał o zachodzie słońca, ażeby mieć więcej spokojności, i przez kilka miesięcy

kolejno po całych nocach aż do brzasku świtania pisał sławną swoją satyrę.

XVII.

Słusznie jest ona sławną i słusznie stała się sławną, atoli nie z powodu swego dowcipu i humoru, gdyż napróżno szukalibyśmy ich w niej, ani też trafnością swoich wycieczek, gdyż padają tam tylko ślepe cięcia na prawo i na lewo, lecz z powodu siły, poczucia siebie, niesłychanej śmiałości, które stanowią tu podstawę i nadają sobie rozpęd. Zaczepki po raz pierwszy poruszyły w Byronie to uczucie, które wkrótce stać się miało stale panującym, wrażenie, w którym poeta po raz pierwszy uczuł się całym sobą, a mianowicie godło: Ja sam jeden przeciw wszystkim wam! Uczucie to było dla niego, jak dla innych wielkich, pohopnych do walki natur w historii, eliksirem życia: „Chciano ze mnie szydzić bezkarnie! Sądzono, że można zgruchotać mnie! Mnie, który sam jeden jestem silniejszy, aniżeli wszyscy razem!“ Oto temat, który brzmiał mu w uszach, kiedy pisał satyrę. Dotąd edynburezycy, jeżeli w takiej recenzji zdeptali jak muchę małego tuzinkowego poetę, albo zastrzelili jakąś biedną śpiewającą ptaszynę, byli przyzwyczajeni do tego, że ich ofiara gryzła się w milczeniu, albo pokornie obwiniała ułomność własnego talentu, tak że po recenzji, w każdym razie następowało głębokie milczenie. Ale teraz trafili na takiego, którego olbrzymią moc i słabość stanowiło właśnie to, że winy niepowodzenia nigdy nie przypisywał sobie, lecz z namietnością zwał na innych. I tym razem po recenzji nastąpiło półroczne milczenie. Ale następnie przyszło do tego, jak w poemacie Wiktora Hugo (*La caravane w Châtiments*):

Tout a coup au milieu de ce silence morne
Qui monte et qui s'accroît de moment en moment
S'élève un formidable et long rugissement,
C'est le lion.

I obraz ten jest sprawiedliwy. Albowiem ta ani piękna, ani techną gracyą lub dowcipem satyra jest raczej rykiem, aniżeli pieśnią. Poeta, który ma gardło słowicze, raduje się, słysząc po raz pierwszy dzwięczność głosu własnego; brzydkie kaczątko poczuwa w sobie łabędzią naturę, kiedy zostanie wpędzonem na swój żywioł; ale ryk młodego lwa zdumiewa jego samego i przekonywa go, że teraz wyrósł na lwa. Tak więc w *Bardach angielskich i krytykach szkockich* nie szukajmy razów miecza, któreby zadawała silna i pewna ręka; ran tych nie zadawała ręka, lecz wykluwał je pazur, — ale ex ungue leonem! Nie szukajmy tu krytyki, umiarkowania i rozumu; czyliż zraniony zwierz drapieżny zna takt i oszczędzanie, jeżeli kula, która miała go zabić, zadrasnęła go tylko przelotnie? Nie, zwierz widzi płynącą z siebie krew, krew własna bije mu przed oczami, i w zemście chce przelać krew. Szuka on nietylko tego, który wystrzelił; jeżeli ktokolwiek z tłumu zranił młodego lwa, wtedy biada całemu tłumowi! Wszelkie poetyckie znakomitości Anglii, najslawniejsi, najrozmądsi, każdy, kto tylko miał dobre zachowanie w *Edinburgh Review*, każdy, co pisał dla niego — wszyscy w tej satyrze są traktowani, jak uczniowie przez młodzieńca dwudziestoletniego, który niedawno jeszcze sam był niczem innym, jak uczniem. Muszą tu oni przechodzić przez różgi jeden po drugim, poeci angielscy i krytycy szkoccy. Słyszemy tu niejedno uszczypliwe słowo, rzucone nie na wiatr. Czcza fantastera w *Thalaba* Southeya i nienaturalna płodność tego pisarza, dowody, których dostarczają poezye Wordswortha, na stwierdzenie tej jego teorii, że wiersze — to tylko proza, niemowlęca dziecinność Coleridge'a,

i poządliwość panująca u Moore'a, ubarwione są tu szyderczymi głosami. O *Mormionie* Scotta poeta odzywa się w tonie napastniczym, przypominającym wycieczki Aristofanesa przeciw bohaterom Euripidesa. Ale największą część tych wycieczek jest tak nierozumna i nierozmyslna, że następnie więcej one spowodowały goryczy autorowi, aniżeli tym, do których się ściągały. Opiekun Byrona, lord Carlisle, któremu niedawno przypisał był *Godziny bezczynności*, który jednakże odmówił swojemu pupilowi wprowadzenia go do parlamentu, ludzie tacy jak Scott, Moore, lord Holland, którzy później należeli do rzędu najlepszych przyjaciół Byrona, bez powodu, z zupełnie nienzasadionych przypuszczeń, zostali tu sfukani ze straszliwym brakiem krytyki, której jedynym równoważnikiem jest zdumiewająca gotowość, z którą Byron później, po dojściu do lepszej rozważki, prosił o przebaczenie i starał się zatrzeć wrażenie dawnych swoich błędów. Napróżno w kilka lat potem raz ogłoszoną satyrę starał się wycofać z obiegu, niszcząc całkowicie piątę jej wydanie. Tymczasem z początku wywołała ona wielki rozgłos i przyniosła autorowi pożądane zadośćuczynienie.

Na początku r. 1809 Byron obrał sobie siedlisko w Londynie dla oddania swojej satyry do druku i dla zajęcia miejsca w Izbie wyższej. Ponieważ nie miał niktogo, do którego mógłby się zwrócić z prośbą o towarzyszenie mu, więc musiał wbrew formie i zwyczajowi, wprowadzić się sam. Jego przyjaciel Dallas opisał tę scenę. Kiedy Byron wszedł do Izby, zdawało się, że był jeszcze bledszym niż zwykle, a rysy jego przybrały wyraz choroby i niechęci. Kanclerz, lord Eldon, wyszedł na spotkanie go, uśmiechając się, i powiedział kilka ujmujących wyrazów. W odpowiedzi Byron, ze sztywnym ukłonem, dotknął końcami palców podanej sobie ręki lorda Eldona. Widząc, że krok jego grzeczności spotkało takie wzdargli-

we lekceważenie, kanclerz powrócił na swoje miejsce; Byron rzucił się niedbale na jedną z niezajętych ławek opóźniecy, pozostał tam kilka minut, następnie wstał i oddalił się. Chciał on tylko zaznaczyć swoje miejsce i dać wskazówkę, do jakiego należy stronnictwa. „Teraz, kiedy, zażądałem moje miejsce“, powiedział do Dallasa, „wyjeżdżam za granicę“. W czerwcu r. 1809 opuścił Anglię.

Oddawna — jak czytamy w liście do matki z roku 1808 — czuł on, „że ten, co widział tylko własną ojczyznę, nigdy nie może sądzić o ludziach ze swobodniejszego i ogólniejszego stanowiska; ponieważ“, mówi, „uczymy się z doświadczenia, nie z książek, nie bardziej nie poucza, nad zmysłowe rozważanie samego przedmiotu“. Udał się na przód do Lizbony, i odmalowanie Cintry w pierwszej pieśni *Childe-Harolda* winniśmy temu pobytowi; następnie popędził ze swoim towarzyszem podróży, mr. Hobhouse, do Sewilli i zwiedził przytem Kadyks i Gibraltarc. Żaden ze wspaniałych i historycznych pomników w Sewilli nie robi na niego wrażenia; ale tu, jak i w Kadyksie, wszystkie jego zmysły porywają w więzy kobiety. Czuje się młodzieńczo głaskanym zabiegami, które mu okazują piękne hiszpanki, i z Sewilli, jako relikwię, zabiera sobie długie na trzy stopy warkocz. Gibraltarc, jako miasto angielskie, jest dla niego, rozumie się samo przez się, „miejscem przeklętym“. Lecz jeżeli nie wzruszają go wspomnienia historyczne, tedy mocno zaczynają go teraz zajmować polityczne stosunki kraju, a przedewszystkiem obchodzi go stosunek Hiszpanii do Anglii. Obie pierwsze pieśni *Childe-Harolda* pokazują, że ku całej zagranicznej polityce Anglii technął gorzkim szyderstwem; uraga się nad tak zwanem zwycięstwem pod Madrytem, gdzie Anglicy stracili przeszło 5000 w poległych, nie zadawszy Francuzom istotnej klęski, i jest tyle zuchwałym, że Napoleona nazywa swoim bohaterem.

Po Hiszpanii nastąpiła podróż do Malty, której wspomnienia przeszłości, mające później zachwycić starego, choć Walter-Scotta, również zostawiły go zupełnie obojętnym. Zmysłu dziejowo-romantycznego brakło mu zarówno, jak romantycznego uczucia narodowości. Poetyczne jego myśli i tęsknoty nie skłaniały się ani do zielonych łąk Anglii, ani do mglistych wyżyn Szkocyi, lecz do Jeziora Genewskiego w jego wiecznym majestacie barw i ku Archipelagowi greckiemu. Obchodziły go nie dziejowe czyny własnego narodu, walki pomiędzy Białą a Czerwoną różą, lecz polityka teraźniejszości, a z pomiędzy wspomnień przeszłości—tylko wspomnienie wielkiej walki o swobodę. Starożytne posągi były dla niego glazem tylko, żyjące kobiety uważał za piękniejsze nad wszystkie boginie świata klasycznego (nazywa je „robotą garncarską“ w *Don Juanie*), ale wpadł w zamyślenie na polu bitwy pod Maratonem, i w obu swoich poematach bohaterskich uwielbił je nieśmiertelnymi wierszami. A kiedy w ostatnim roku życia swego przybył do Itaki, podaną sobie przez przewodnika myśl pokazania pomników tej wyspy odrzucił tymi wyrazami, odzywając się do Trelawneya: „Nienawidzę antykwarskiej gadaniny. Czyż ludzie sądzą, że ja nie miałem chwil świetlanych i że po to przybyłem do Grecyi, ażebym rozmazywał jeszcze więcej głupstw!“ Praktyczne patos swobody pochłonęło w nim w końcu patos poetyczne. Z Byronem przeszła sentymentalność romantyczna, z nim zaczyna się nowożytny duch w poezyi, a przeto był on mężem, który działał nie tylko dla swojej ojczyzny, lecz dla Europy, a przeto jest on pieśniarzem dla tych, co należą do wieku, w którym żyją.

Na Malcie Byron poczuł się silnie oczarowanym przez młodą piękną kobietę, z którą zapoznał się tam, mrs. Spencer Smith, która z przyczyn politycznych prześladowana była przez Napoleona. Pomiędzy nim a nią zawiązała się

zapalona przyjaźń, która zostawiła po sobie pomnik w całym szeregu poezji Byrona (*Childe-Harold*, pieśń II, str. 30. Do Florencyi. W albumie. Podczas burzy. W zatoce Ambracejskiej). Z Malty przez Grecję zachodnią udał się do Albanii „krnąbrnej mamki dzikich ludzi“, jak nazywa w *Childe Haroldzie* tę krainę, o której śpiewa:

Tu wilk koczuje, orzeł ostrzy szpony,
Tu mieszka człowiek wilej i orleń dzikości.

Czyż to nie charakterystyczne, że pierwsza jego podróż miała za przedmiot okolice, które leżą po za wszelką cywilizacją, gdzie indywidualność rozwijać się mogła bez uwzględnienia jakiejskolwiek konwencyonalnej granicy? Powinowactwo wyboru pociągnęło go ku tych scenom natury i ku tym ludziom. Doznał on tego, co młody człowiek w Wordsworthowej „Ruth“:

Co tylko spotkał pod ową strefą
Obcego dźwiękiem albo postacią,
To wszystko w jego sercu budziło
Tętna błogości, i spokrewnione
Zdało się jego sił być obrazem
I dzieła serca usprawiedliwiać.

Duch, pochodzący w linii prostej od Rousseau'a, poczuwa w sobie wszechwładny pociąg do wszystkich ludności, żyjących w stanie natury ¹⁾. Albańczycy do dziś dnia są

¹⁾ Byron odmalował Rousseau'a w strofie (*Childe Harold*, śpiew III, str. 77), którą możnaby zastosować do niego:

Miłość o Rousseau'a, to treść namiętności.
Jak od pioruna drzewo zapalone,
Takim pożarem serce miał strawione;
Choć się w żywej nie kochał piękności,
Ni sen o zmarłej serce mu rozdrażni.
Ideal jego — utwór wyobraźni,

jeszcze prawie tak dzikimi jak pelazgijscy ich przodkowie, a prawo pięściowe i krwawa zemsta stanowi u nich jedyną formę prawa. Pierwszy widok mężczyzn i kobiet na porzeżu w pysznym ich ubiorze, z wysokimi kapeluszami pilśniowymi albo turbanami, z czarnymi niewolnikami, na kosztownie osiodlanych koniach, przy huku bębnow i nawoływaniu muezinów z minaretów, w chwili, kiedy słońce zachodziło rozlewając swe promienie na cały obraz, uwrzeźbiały go, jak scena z *Tysiąca i jednej nocy*. Janina wydawała się jeszcze piękniejszym miastem, niż Ateny. W pobliżu tego miasta, podczas nocy, którą opiewał Byron, podróżnicy stracili przewodników, i samotny w pośród gór, mając przed oczyma głodną śmierć, poeta imponował swoim towarzyszom wędrówki nieustraszonym umysłem, który był męskim znamieniem jego charakteru we wszystkich wielkich niebezpieczeństwach.

W dniu swojego przybycia, Byron przedstawionym został Ali Paszy, Bonapartemu tureckiemu, którego, pomimo jego okrucieństwa i dzikości, zawsze był podziwiał. Ali przyjął go stojąc, był nadzwyczaj przyjacielskim, prosił go o pozdrowienie matki, i powiedział — co szczególniej pochlebiało Byronowi, że z jego małych uszów, białych rąk i włosów kędzierzawych poznaje wysokie jego pochodzenie. Odwiedziny u Alego podały motyw do kilku ważnych scen w czwartej pieśni *Don Juana*; Lambro i wiele innych postaci Byronowskich nakreślone zostały podług tego typu, który zresztą i Wiktor Hugo odmalował później w *Orientales*. Ali traktował Byrona, jak dziecko rozpieszczone,

Ale tak utkwiał w serce jego wrzące,
Że dziwna miłość owa rozgrzewała
Geniusz twórczy i w karty palące
Nieśmiertelnemi słowy się rozlała.

Przekł. Fryderyka Krauze. Przyp. tł. polsk.

i posyłał mu codziennie po kilkanaście razy migdały, owoce, sorbety i cukierki.

Ochraniany przeciw licznym, zbójckim bandom kraju przez zbrojny orszak, dodany mu przez paszę, Byron podróżował następnie po Albanii, a dziwy jego towarzysze tak go pokochali, że kiedy w kilka dni później zachorował na gorączkę, grozili lekarzowi śmiercią, jeśli go nie wyleczył; w skutek tego lekarz uciekł — a Byron przyszedł do siebie. W czasie tej podróży, kiedy nocowano w jaskini nad zatoką Arta, Byron był świadkiem owej sceny nocenej — wykonania tańca w zbroi — która dała powód do obrazu w *Childe Haroldzie* (pieśń II, str. 67 i n.) i do prześlicznej pieśni *Tamburgi, Tamburgi!* W Atenach oburzenie Byrona z powodu angielskiego rabunku, dokonanego na rzeźbach Partenonu, podało mu materyał do poematu *Przekleństwo Minervy*, a przelotna miłość do jednej z córek urzędnika konsulatu angielskiego, Macri, motyw do małej piosenki do *Dziewicy ateńskiej*, o której bohaterkę przez całe późniejsze jej życie, jeszcze wówczas, kiedy była już otyłą matroną, ubiegali się angielscy turyści. Dnia 3 maja Byron przedsięwziął sławną swoją wycieczkę pływacką po cieśninie Dardaneelskiej od Sestos do Abydos, z której tak był dumny przez całe swoje życie i o której mówi w *Don Juanie*. Wszystko to, co widział i czego doznał w tych cudzoziemskich krainach, miało w kilka lat później posłużyć mu za poetyczną ośnowę. W Konstantynopolu zobaczył psy ogryzające ciało trupa, i ta, osobiście odczuta scena podała mu motyw do odmalowania okropności *Obleżenia Koryntu*, jak później w *Don Juanie* do odmalowania straszliwych scen, towarzyszących obleżeniu Izmailu. A podczas powrotu z podróży po Morei do Aten spotkała go, jak się zdaje, przygoda miłosna, która stanowi podstawę *Giaura*. (Przemawia za tem przypuszczeniem list markizy Sligo do Byrona). W każdym razie nie ulega wątpli-

wości, że pewnego dnia, kiedy wracał z kąpieli w porcie Pireus, spotkał oddział żołnierzy tureckich, niosących zaszytą w worek młodą dziewczynę, którą mieli wrzucić do morza, ponieważ wdala się w stosunki miłosne z chrześcianinem. Z pistoletem w ręku Byron zmusił całą tę dziką gromadę do odwrotu, i po części przekupstwem a po części groźbami wymógł uwolnienie dziewczyny.

Jednakże wielobarwne życie podróżnicze nie zdołało w jego duszy sprowadzić tej równowagi, której mu brakło. Ostatnie jego listy z podróży tętną najgłębszą melancholią. Bezcelowość i wynikające z niej znudzenie się życiem, zdają się przygniatać go do ziemi. Bolesne przeświadczenie, że głęboko zawinił i że zdrowiem skolatanem, z osłabionem gorącą ciałem pozostał tu sam jeden bez przyjaciół, przebija się przez każdy jego wyraz. W ojczyźnie spodziewa się pozdrowienia chyba tylko od wierzących. Wkrótce dochodzi go wiadomość o chorobie matki. Pośpieszył do Newstead, aby ujrzeć ją raz jeszcze, i przybył nazajutrz po jej śmierci. Panna pokojowa widziała go wieczorem siedzącego przy trupie i przez drzwi słyszała jego łkanie. Na jej przełożenie, aby panował nad swoją boleścią, odpowiedział ze łzami w oczach: „Ach, jedną tylko miałem przyjaciółkę, i oto umarła“. Jednakże, w swojej przesadzonej obawie, ażeby inni nie spostrzegli jego boleści, nie mógł zdobyć się na ostatnie odprowadzenie swej matki. Stał u przysionku zamku dopóty, aż orszak pogrzebowy zniknął mu z oczu; potem zawołał pazia, kazał sobie przynieść rękawicę szermierską i ze spazmatycznym natężeniem rozpoczął zwykle swoje ćwiczenia. Było to jednak nad jego siły, zrzucił rękawicę i wbiegł do swego pokoju. Wkrótce potem wpadł w paroksyzm melancholii, podczas którego jeszcze raz zalecił w testamencie, ażeby jego zwłoki pochowano obok jego psa.

Zaledwie Byron wysiadł był na ląd, kiedy jego przy-

jaciół, Dallas zapytał go, czy nie przywiózł wierszy z podróży. Niekrytyczny poeta pokazał mu nie bez dumy *Skinienia podług Horacyusza*, nową satyrę w stylu Pope'go, a kiedy przyjaciel, nie bez słuszności, nieosobliwie zbudowany lekturą, zapytał poetę, czy nie ma nic innego, wtedy Byron, jak się wyraża sam, odezwał się „kilku drobniejszymi wierszami i mnóstwem strof Spenserowskich“ — były to pierwsze dwie pieśni *Childe Harolda*. Na usilne domaganie się przyjaciela, te oddano naprzód do druku.

Dla nas, żyjących dziś, wrażenie dwóch tych pieśni zlewa się łatwo ze wspomnieniem o (napisanych w sześć lat później) dwóch ostatnich pieśniach; wszakże dwa te wrażenia należy oddzielać wybitną granicą, jeżeli chcemy uobecnąć sobie jasno tok rozwoju Byrona. Od pierwszej połowy *Childe-Harolda* do drugiej jest dosłownie tak wielki skok, jak od drugiej do *Don Juana*. — Strofy, które Byron pokazywał Dallasowi, są melodyjne, głęboko odczute, a niekiedy pompatyczne; tu po raz pierwszy śpiew i muzyka odzywają się z ust, przez które toczyć się miała strumieniem bogata harmonia, dopóki wydawały oddech. Jednakże tu mamy słabe tylko zarysy fizyognomii poety, która w dziesięć lat później znaną była w całej Europie. Liczne i silne obrazy natury stanowią tu jeszcze rzecz główną, działy liryczne w porównaniu z nimi mają zakres drobniotki i powierzchownemu czytelnikowi strofy te wydawać się mogą wrażeniami z podróży młodego, wysoce urodzonego anglika, znudzonego życiem, tylko że potężna idealność stylu wycisnęła na nich znamię uszlachetniające, *Childe-Harold* bowiem jest poematem również wybitnie idealistycznym, jak *Don Juan* jest realistycznym. Tu w nastroju spostrzegamy pewną mgławą szarość na tle szarości; nie jestto jeszcze ów Byron, który od jednego uczucia przeskakuje do drugiego, a najchętniej do przeciwnego; ostateczności, ażeby wszystkim im zadać gwałt i ro-

zederć je tem gwałtowniej, im mocniej były nateżone. Ale jakkolwiek spostrzegamy fizyognomię poety tylko w połowie profilu, jakkolwiek nie wybyskuje tu kłujący humorsatyryka, albo to cyniczny, to szyderczy jego uśmiech, jednakże w cieplem i uroczystem patos młodzieńca ukazują się tu nam wielkie Ja w poezji naszego wieku. W poemacie tym władnie subiektywność, podbijająca pod moc swą każdy szczegół, jaźń, nierostapiająca się w żadnem uczuciu, nieginąca w żadnym przedmiocie. Podczas kiedy inne osobistości poetyckie mogły przybierać formy powietrzne, rospływne, skryształizowane i albo znikwały po za cudzą osobistością, albo zupełnie tonęły we wrażeniach zmysłowych doznanych z zewnątrz — tu spotykamy potężne Ja, które wszędzie odwołuje się do samego siebie i zawraca do siebie — i to poruszone, namiętne Ja, o którego wstrząśnieniach wewnętrznych świadczy ruch każdej, choćby najmniejszej strofy, podobnie jak szum każdej z osobna muszli przypomina szum morza. Childe-Harold (podług pierwszego planu: Childe Burun) po spędzonej w dzikich burzach młodości, z sercem pełnem spleenu porzuca ojczyznę, nie zostawiając tam ani przyjaciela, ani kochanki. Czuje on młodzieńcze znudzenie się życiem, jakiego sprowadzić zwykł przedwczesny przesyt rokoszy i skłonna do melancholii organizacja fizyczna. Niema w nich ani śladu zuchwałej wesołości lat młodzieńczych, ani żądzy zabaw i sławy; sądzi on, że załatwił się ze wszystkim a wszystkim, doświadczywszy bardzo niewiele i poezya tak spójnie zlewa się ze swym bohaterem, że nigdy ani na chwilę na skrzydłach ironii nie wznosi się ponad niego. Wszystko to, co dla współczesnych było arcymponującym, do krytycznych czytelników współczesnych nie przemawia tak bardzo; *poza* tragiczna występuje zbyt silnie, a czasy, kiedy wydeptość interesowała, przeszły. Ale żaden z czytelników, który tylko ma wprawne oko, nie może nie

dostrzedz z drugiej strony, że maska — bo jest tu maska — jeżeli usuniemy ją krytycznie, odkryje poważne i cierpiące oblicze. Była-to maska pustelnika, zdejmmy ją, a pozostanie samotna natura! Maska była-to tragiczna melancholia; zerwijmy ją, a poza nią leży prawdziwa ponurość! Obwieszony muszlami pielgrzymi ubiór Harolda jest to wprawdzie domino na balu maskowym, ale zakrywa ono młodzieńca z uczuciem ognistym, bystrym rozumem, z mrocznemi wrażeniami życia i rzadką miłością swobody. W lepszem „ja“ Childe Harolda niema nie nieszczerego; za wszystko, co on myśli i czuje, zaręcza sam Byron. A gdyby czytelnik, znający rodzaj życia samego Byrona, znalazł sprzeczność między starczą ponurością wymyślonej osobistości a młodzieńczą, chciwą rokoszy lekkomyślnością rzeczywistej osobistości, to niezgodność ta wynika jedynie stąd, że Byron, który w poezji hołdował jeszcze kierunkowi abstrakcyjnie idealistycznemu, w pierwszych pieśniach *Childe Harolda* nie zdołał jeszcze ujawnić *całej* swej istoty. Wprawdzie wszystko jest odzwierciedleniem jego, ale żyje w nim jeszcze zupełnie inny świat, który dopiero w *Don Juanie* poeta zdołał wciągnąć cały i wcielić go w swoim utworze. Niedoskonałości odmalowania siebie nie należy brać za jedno z wykrzywieniem albo afektacją.

W lutym r. 1812 Byron miał w parlamencie swoją dziewiczą mowę w obronie biednej ludności robotniczej w Nottinghamie, która zburzyła maszyny tkackie, pozabawiające ją chleba, a przeciw której uchwalano teraz najsurowsze środki. Mowa ta jest młodzieńczą i retoryczną, ale żywą i gorącą; było to w charakterze Byrona przemawiać w sprawie zgłodniałych i rozpaczających. Ze zdrowym rozsądkiem dowodzi on ziomkom, że dziesiąta część sumy, za pomocą której tak pohopnie postawili portugalczyków w możności prowadzenia wojny, byłaby wystarczającą do zażegnania bezmiernej nędzy, którą teraz więzieniami i szu-

bienicą chcą zmusić do milczenia. Żywa i uporeczywa nienawiść Byrona ku wojnie jest jednym z owych „granów zdrowego rozsądku“, który zawsze znajdujemy rozpuszczony w jego poezji; ożywia ona także i pierwsze pieśni *Childe Harolda*.—Druga jego mowa w parlamencie tyczyła się emancypacji katolików; podobala się ona mniej, ale była znakomita. Widzimy z niej, że przeciwnicy, pomiędzy innymi, postawili taki argument: gdyby wolność religijną dano katolikom, można by ją zarówno przyznać żydom, — argument, na który Byron odpowiada bardzo logicznie. W jego papierach co do tej mowy znajduje się następujące młodzieńcze i humorystyczne wyrażenie: „Ponieważ oba stronnictwa w kwestyi emancypacji były prawierównoważne, przeto z całym pośpiechem posłano po mnie i odwołano mnie z balu, który przyznają się, dosyć niechętnie opuścić, dla wyzwolenia pięciu milionów ludzi“. Takie żartobliwe wyrażenia się Byrona — w podobnym duchu, jak jego notatka o małżeństwie: „Jakto miło być musi ożenić się i mieszkać na wsi, mieć piękną żonę i całować jej pannę pokojową“—ponieważ tak mało odpowiadają *Childe Haroldowskiej* melancholii, nierozsądnych ludzi zdawały się dostatecznie upoważniać do mniemania, że Byron zgola nie a nie nie brał na seryo. Otóż właśnie był on bardzo młodym, nieco trzpiotowatym, uważał sobie za wstyd wyrażać się sentymentalnie, i brał sobie zawsze za godło stare zdanie świętego Bernarda: „Plus labora celare virtutes quam vitia!“

Dziewicza mowa Byrona zrobiła los nadzwyczajny i zarazem mogła służyć jako reklama dla dwóch pierwszych pieśni *Childe Harolda*, które w dwa dni po jej wygłoszeniu doczekały się wydania. Powodzenie poematu było zdumiewające: w jednej chwili Byron został znakomością, nowym lwem Londynu, prawowitym władcą miasta na rok 1812. Cała stolica świata, to jest wszystko

w niej, co było piękne, rodowe, wysoce wykształcone i świetne, leżało u stóp dwudziestotrzyletniego młodzieńca. Gdyby pierwsze pieśni *Childe Harolda* miały zalety ostatnich, t. j. głęboką oryginalność i prawą siłę, którą tętnią te arcydzieła, niezawodnie nie byłyby zyskały tej hałaśliwej popularności. Wielka prawosć i wielka oryginalność nigdy nie zdobywają jednym zamachem łaski tłumu. Ale właśnie co pociąga z pod zasłony, co niejasno wydęte w tej pierwszej próbie geniuszu — to właśnie zrobiło wrażenie na tłum: nawskroś przenikająca energia tem silniej oddziaływała, że wyrażała się nieco teatralnie. Były to kwitające czasy dandyzmu, kiedy pod auspicjami znanego Brummela właściwe high life londyńskie rozwijało się tak bujnie i z taką lekkością, jakiej nie pamiętano od czasów Karola II. Towarzystwa i bale, uczęszczanie do teatrów, gra i długi, miłostki, uwodzenia i wynikające z nich pojedynki stanowiły treść życia arystokracji. A Byron był bohaterem chwili, a nawet całego roku. Jakimże musiał być przedmiotem podziwu i uwielbienia dla towarzystwa, nudzącego się i chorującego na uczucie własnej próżni! Tak młody, tak piękny, a tak występny! nikt bowiem nie mógł wątpić, że on jest takim samym *mauvais sujet* jak jego bohater. Byron wobec pokus i pochlebstw nie posiadał zimnej krwi i spokojnej równowagi Waltera Scotta. Płynął z unoszącym go prądem. W nim artysta wzdychał do tego, ażeby przejść przez wszystkie nastroje duszy i żadnego z nich nie uchylał od siebie. Z łatwością przychodziło mu utrzymać sławę poety; po krótkich bowiem przerwach następowały jedna po drugiej powieści poetyczne: *Giaur* (w maju r. 1813), *Narzeczona z Abydos* (w grudniu t. r.), *Korsarz* (skończona w Nowy-rok 1824), którego w jednym dniu rozprzedano 13000 egzemplarzy. Gorzka oda do Napoleona z powodu jego abdykacji pokazuje, że Byron dla poezji nie zupełnie spuszczał z oka współcze-

snej polityki; następnie w r. 1815 napisał *Parisinę* i *Obleżenie Koryntu*. Nowość, cudzoziemskość i bezprzykładna namiętność w tych utworach porywały gorączkowo nastroszoną publiczność angielską. Był on zjawiskiem, na którym zatrzymywały się wszystkie oczy. Młode damy w towarzystwie drżały z radości i na myśl, że może poprowadzi którą z nich do stołu, i zarazem nie odważyły się spożyć kaska, ponieważ wiadano, że Byron nie może patrzeć na damy jedzące. Bojaźliwie oddawano się tej nadziei, że w czyimś albumie napisze parę wierszy. Już samo jego pismo własnoręczne było skarbem. Zadawano sobie pytanie, ile kobiet greckich i tureckich przyprowadzi o śmierć miłość ku Byronowi, a ilu mężów on zgubił? Jego czoło i spojrzenie wyglądały tak, jakoby z nich patrzyła sama tylko zbrodnia. Nie używał pudru, włos jego był dziki, jak jego umysł. Pod każdym względem różny od zwykłych śmiertelników, w używaniu posiłku, jak jego korsarz, był niesłychanie umiarkowanym: oto niedawno u lorda NN. przy obiedzie jedenaście razy podziękował, nie dotknawszy potrawy a prosząc tylko o biszkocik i wodę sodową. Co to za trudne położenie dla gospodyni, która była tak dumna ze swoich przygotowań! Jakażto nienormalność w towarzystwie, gdzie dobry apetyt jest enotą narodową!

Widzimy tedy, jakto Childe Harold we własnej osobie przeistacza się w Don Juana. Samotny pielgrzym staje się lwem salonowym. Naturalnie, jak poezya Byrona, oraz wysoki ród jego—jego młodość i niezwykła piękność silnie robiły wrażenie w sferach damskich. W biografii Waltera Scotta znajdujemy następującą myśl, dotyczącą powierchowności Byrona: „Sądzę, że widziałem najlepszych poetów mojego kraju i wieku, ale jakkolwiek Burns miał najpiękniejsze oczy, ale tego wyrazu oblicza, jak wyobrażamy sobie w poecie, nikt nie posiadał w tym stopniu, co Byron. Jego portrety nie dają prawdziwego wyobra-

żenia o nim; światło jest tam wprowadzić, ale nie pali. W twarzy Byrona było coś takiego, o czym można było zamarzyć się“. Fakt to znany, że jedna z najslawniejszych piękności Anglii, zobaczywszy go po raz pierwszy, zawołała: „Ta blada twarz to mój los!“ Kobiety zawsze zaprzętały wielką część życia duszy Byrona, napomknienia w *Childe Haroldzie* dały powód do wieści, jakoby w Newsteadzie miał formalny harem, chociaż zdaje się, że ten harem stanowiła rzeczywiście jedna odaliska; o jego przygodach podróżniczych w obcowaniu z kobietami opowiadano aż do śmieszności przesadzone historye. Przeto od tej chwili kobiety formalnie oblegały go, stoł poety dzień w dzień pokrywały listy od dam znajomych i niezajomych. Jedna przyszła do niego przebrana dla tego za paza, ażeby być podobną do Kaled w poemacie *Lara*, a wiele innych przychodziło bez przebrania. O wirze, w którym żył, możemy wytworzyć sobie wyobrażenie z tego, co opowiada sam Medwinowi, że po weselu w pokoju żony pewnego dnia zastał naraz trzy damy zamężne, „które“, że użyjemy własnych jego wyrazów — „znał wszystkie, jak gołębie z tego samego gatunku“.

Było-to życie wśród ciągłych tryumfów próżności, pełne pustych roszkoszy; dla Byrona były one przynajmniej lepsze, aniżeli spokój, bospokój, jak mówi w *Childe Haroldzie*, jest piekłem dla silnych serc. Czy serce jego przytem wchodziło w grę? Nie sądzę. Stosunki miłosne, które w tych latach zajmowały Byrona i które znaczącą odegrały rolę w przyszłym jego losie, były dla niego, jak wskazują zachowane jego listy, tylko wirem w wirze, a jako takie wabiły, ale serce jego zostawiały zupełnie zimnem. Lady Karolina Lamb, młoda dama z najwyższej arystokracji i zaślubiona ze znanym później jako lord Melbourne mężem stanu, oddawna żywiła gorące życzenie zapoznania się z poetą Childe Harolda. Była-to natura dzika, fantastycz-

na, niespokojna, nieznosząca zgola żadnego przymusu i ulegająca niepowstrzymaniu każdemu ze swych popędów, pod tym względem spokrewniona duchowo z młodszym o trzy lata poetą: była smagła i pięknie zbudowana, z włossem blond i słodkim głosem; istota jej, chociaż wydawała się afektowną i ekscentryczną, wywierała urok pociągający; krótko mówiąc, należała ona do tego rodzaju bachantek i kobiet entuzjastycznych, które w *Adamie Homo Mül-lera* Paludana śpiewają.

Poigrajmy jego sercem
Podzielmy jego boleści;
Szaleń, zgrozą musimy przecie
Wypatrzeć samego ducha.

Wśród dzikich tańców naszych
Uwijemy z jego wianków
Wdzięk dla siebie i ozdoby.
Wszystkich oczów zachwycenie.

Odgrywała ona taką samą rolę w życiu Byrona, jak pani Kalb w życiu Schillera ¹⁾. Stosunek ten obudził ty-

¹⁾ W pamiętnikach lady Morgan znajdujemy kilka pełnych życia wskazówek lady Lamb, w jaki sposób zawiązała się jej znajomość z Byronem: „Lady Westmoreland poznała go za granicą. Postanowiła sobie przedstawić go swojemu towarzystwu. Kobiety formalnie odetchnęły mu nie dali. Nie słyszałam nie o nim, aż pewnego dnia Rogers (bo on i Spencer i Moore byli wszyscy moimi wielbicielami) powiedział do mnie. „Pani musisz poznać młodego poetę“, i wręczył mi rękopis *Childe-Harolda*. Przeczytałam go, i to było dostatecznem. Rogers powiedział: „Kuleje na nogę i gryzie paznokcie“. „Gdyby nawet“, odpowiedziałam, „był tak brzydki jak Ezop, muszę go poznać“. Byłam pewnego wieczora u lady Westmoreland, i wszystkie damy zadurzyły się w nim. Lady W. poprowadziła mnie do niego. Przypatrzyłam mu się z powagą i odwróciłam się. Mój sąd o nim, jak to zapisałam w moim dzienniku, był taki: „Szalony — zły — i niebezpieczny w znajomości“. Upłynął dzień jeden czy dwa, siedziałam u lorda i lady Holland, kiedy zaanon-

le zajęcia, że matka młodej damy nie pierwszej się uspokoiła, aż przerwał go wyjazd do Irlandyi. Wtedy Byron napisał do lady Lamb list pożegnalny, z którego ona później lady Morgan pozwoliła zrobić kopię, list, który pod względem stylu Byrona w niedojrzałym okresie jego geniuszu jest typowym, a w którym trudno będzie psychologowi wyczytać mowę miłości. Przypomina ona po największej części bilecik Hamleta do Ofelii: „Jeżeli lży, które widziałas i które, jak wiesz, nie łatwo wylewam; jeżeli wzruszenie, w którym rozstałem się z tobą, — wzruszenie, które przy tej wstrząsającej nerwy sprawie musiałaś spostrzedz, chociaż uwidoczniło się dopiero wówczas, kiedy nadeszła chwila pożegnania, jeżeli wszystko, co powiedziałem i zrobiłem i co jeszcze gotów jestem powiedzieć i zrobić, nie wskazało jeszcze dostatecznie, jakimi są moje rzeczywiste uczucia względem ciebie, moja ukochana i pozostać muszą na zawsze, tedy nie mam już innego dowodu... Czy jest cośkolwiek na ziemi lub niebie, co by mogło tak mnie uszczęśliwić, jak to, gdybym oddawna już mógł być twoim

sowano go. Lady Holland rzekła: „Muszę przedstawić pani lorda Byrona“. Lord Byron powiedział: „Proponuję tę zrobiono pani już dawno; czy wolno zapytać, dlaczego nie przyjechałaś jej?“. Prosił o pozwolenie odwiedzenia mnie i uczynił to nazajutrz. Rogers i Moore stali przy mnie, ja siedziałam na sofie. Właśnie powróciłam z przejażdżki i byłam zgrzana, zabrudzona. Kiedy zaanonsowano lorda Byrona, zerwałam się i uciekłam, ażeby się umyć. Kiedym wróciła, Rogers rzekł: „Lordzie Byron, pan jesteś szczęśliwym człowiekiem, lady Karolina siedziała z nami z całym swoim zabrudzeniem, ale kiedy zaanonsowano pana, uciekła, aby się upięknąć“... Od tej chwili, przeszło dziewięć miesięcy przebywał prawie wciąż w Melbourne-House. Był on środkowym punktem wszelkiej wesołości, przynajmniej z pozorów... Cały *bon ton* Londynu zgromadzał się tu codziennie. Nie było nic równie fashionable. Byron starał się zmusić wszystkich do odwrotu“. Zdaje mi się, że niniejsze, ze stenograficzną dokładnością zachowane zdania dają trafny obraz high life londyńskiego.

mężem? Ty wiesz, że za to z roskoszą oddałbym wszystko z tej i z tamtej strony grobu, a jeśli powtórzę to jak zwrotkę, czyliż mogę być niewyrozumianym? Nie troszczę się i nie badam, kto się dowie o tem, albo jaki zrobi z tego użytek — do ciebie tylko, do ciebie samej zwrócone są te wyrazy. Byłem i jestem twoim, wolny i cały, gotowy ulegać tobie, cześć ciębie, kochać cię i uciec z tobą, gdzie, dokąd i jak zechcesz sama, albo oznaczysz“.

Nie może zadziwić nikogo, że Byron po kilku miesiącach sprowadził zerwanie: jego miłość nie mogła nigdy być czemś innem, jak owym rodzajem miłości odbiciowej, która, jako w zwierciadle, naśladuje wszelkie ruchy płomienia bez własnego ognia. Na pewnym balu, gdzie lady Lamb wkrótce potem spotkała się z Byronem, z rozpaczyny nad jego obojętnością porwała pierwsze ostre narzędzie, które wpadło jej do ręki, jak mówią niektórzy — duże nożyczki, a podług innych (Galt) rozbitą szklankę i zacięła sobie nią gardło. Po tem nieudatnem usiłowaniu samobójstwa dała (podług zapewnienia hrabiny Guiccioli) na przód jakiemuś młodemu lordowi „najniepodobniejsze do wiary obietnice“, jeżeli by wyzwał i zabił Byrona, a pomimo to wkrótce potem znalazła się sama u Byrona. „weale nie w zamiarze poderżnięcia gardła sobie lub jemu“. Wyrazy, które, nie zastawszy go w domu, zostawiła na stole, spowodowały epigramat: *Remember thee!*, który znajduje my pomiędzy poezjami Byrona. Uniesiona żądzą zemsty, lady Lamb chwyciła teraz pióro i napisała romans *Glenarvon*, który ukazał się w najnieprzyjaźniejszej dla Byrona chwili, a mianowicie wkrótce potem jak opuściła go żona, i stał się jednym z najzłośliwszych żywiołów fermentu we wrogiej względem niego opinii. Książka ta ma na czele godło z *Korsarza*.

Jego imię przekaże jeszcze potomności
Wspomnienie jednej cnoty i tysiąca grzechów.

i przedstawia Byrona jako demona sztuki udawania i złośliwości, uposażonego w najgorsze rysy charakteru wszystkich jego bohaterów. Pomimo to — może dla uniewinnienia samej sobie — nie mogła się powstrzymać od tego, ażeby nie nadać obrazowi i rysów pociągających. W jednym miejscu czytamy: „Gdyby on w swej istocie miał być coś takiego, żeby pozwolić sobie kroku zakrawającego na wolnostki lub poufalość, na które tak często zdobywają się mężczyźni, byłaby się może ulękła albo poczuła ostrzeżenie. Ale czegoż miała tu ona unikać? Zaiste, nie poehlebstw niezgrabnych, albo lekkomyślnych i łatwych przysięg, z którymi wszystkie kobiety oswajają się prędko, lecz jego baczności, co rozciągała się do wszystkich jej życzeń, lecz subtelnego a zarazem poehlebnego uszanowania, słodyczy, delikatności, które są o tyleż odurzające, jak i rzadkie. A wszystko to połączone ze wszystkimi siłami fantazyi, z inteligencyą i dowcipem, jakich w równym stopniu nikt inny nie posiadał“. Wczasie późniejszego pobytu Byrona w Wenecyi *Glenarvona* przetłómaczono na język włoski, i cenzor polecił zapytać się go, czy nie ma co przeciw wydaniu tej książki, ponieważ w takim razie zostałaby zatrzymana; w odpowiedzi Byron wydał ją własnym kosztem. Lady Lamb spotykamy jeszcze raz tylko i to w dziwny sposób, w historyi Byrona. Kiedy zwłoki jego z Grecyi przywieziono do Anglii, i pochód żalobny zwolna posuwał się pieszko z Londynu do Newstead, na przeciw niego tą samą drogą nadjechał jakiś mężczyzna i dama, która zapytała, kogo to chowają. Usłyszawszy odpowiedź, upadła z konia zemdlona. Była to autorka romansu *Glenarvon*.

Lekkomyślne i dzikie życie londyńskie Byrona doszło do swego przedwstępnego kresu w najwyroczniejszym fakcie jego życia — w jego ożenieniu się. Wielkiem poszanowaniem kobiety nie natchnął go bieg jego życia, ale kobie-

ta, jaką by kochał, było stworzenie poddające się, gotowe do ofiary, które z szczególnem zamilowaniem malował we wszystkich swoich poezjach. A oto przeznaczenie chciało, ażeby za żonę otrzymał kobietę z gibkim i silnym charakterem angielskim. Miss Anna Izabela Milbanke, jedyne dziecko bogatego baroneta, pociągnęła Byrona prostotą i skromnością swej natury, zwabiła widokami podźwignięcia Newsteadu posagiem, podnieciła go odmowną odpowiedzią, kiedy starał się o jej rękę, a wkrótce później zainteresowała go tem, że z własnego popędu zawiązała z nim przyjacielską korespondencję, i wówczas przyjęła nakoniecz jego oświadczenie w odpowiedzi na list, który napisany został i posłany z najwyższą, niedającą się usprawiedliwić lekkomyślnością, jedynie dlatego, że przyjaciel, któremu go przeczytał, uznał go za „napisany pięknie“. Jedyne ze względów blahych, częścią z marnych, częścią z filistrowskich pobudek, Byron rzucił się w małżeństwo, które nie pociągnęło za sobą gorszego zakończenia, aniżeli jak było do przewidzenia. Podczas starań o jej rękę był w stosunkowo wesołym usposobieniu. „Jestem bardzo zakochany“, pisze do przyjaciółki, „i tak odurzony, jak wszyscy nieżonaci mężczyźni w tem położeniu“, a w innym miejscu: „Teraz jestem najszczęśliwszym ze wszystkich śmiertelników, ponieważ od ośmiu dni zaręczyłem się. Wczoraj spotkałem młodego F., także najszczęśliwszego ze wszystkich śmiertelników, bo i on także zaręczył się“. Tak dziecinnymi są wszystkie listy z tych czasów, iż jedyną troską Byrona zdaje się być ta, że nie może znieść fraka granatowego, i że jest przyjętym zwyczajem w takim właśnie brać ślub. Tymczasem im bardziej zbliżał się czas wesela, w tym gorszym był humorze: smutny stosunek pomiędzy jego rodzicami, już bardzo wcześniej przejmował go obawą małżeństwa. Uczucia swoje podczas ślubu odmalował w poemacie *Sen*, a w rozmo-

wie z Medwinem, mówi, że drżał i dawał całkiem opacznie odpowiedzi.

„Miesiąc syropowy“, jak go nazywa Byron, upłynął bez chmur. „Czas spędzam (u rodziców żony na wsi)“, pisze do Moore'a, w okropnym stanie jednostojności i stagnacji: zajmuję się wyłącznie jedzeniem kompotu, wałęsaniem się, grą w karty, czytaniem starych kalendarzy i gazet, zbieraniem muszli na pobrzeżu i przypatrywaniem się rośnięciu koszlawych krzaków agrestu w ogrodzie“. W parę zaś dni później: „Żyję tu w wielkim konforcie i co wieczór słyszę przekłety monolog, który starzy panowie nazywają rozmową, a któremu mój teść oddawał się każdego wieczora, wyjąwszy jeden, kiedy grał na skrzypcach. Tymczasem są to ludzie nadzwyczaj mili i gościnni. Bell jest zdrow, niezmiernie miły i w dobrym humorze“.

Pegaz nie czuł się dobrze wśród jarzma. Tymczasem młoda para wyjechała do Londynu, urządziła się świetnie, utrzymywała pojazdy i służbę, dawała przyjęcia i t. p. aż naraz zgłosili się wierzyciele Byrona. 10,000 funtów posagu rozplynęło się jak rosa pod słońcem; 8000 funtów, które właśnie odziedziczył był Byron, poszło tą samą drogą. Zmuszony był sprzedać nawet swoje książki. Murray ofiarował mu 150 funtów honorarium, ażeby mógł je zatrzymać, ale z pobudek fałszywej dumy odesłał, rozdarłszy asygnację. Z kolei nastąpiło ośmiokrotne zajęcie ¹⁾, nawet na łoża małżeńskie położono areszt po poprzednim zabraniu mebli i powozów. Wśród tych okoliczności lady Byron, w grudniu r. 1815, urodziła córkę Adę.

Rozumie się samo przez się, że rozpieszczonej młodej dziedziczce ani przyszło na myśl, że ją czekają takie sto-

¹⁾ W tomie I błędnie wspomniano o trzykrotnem tylko zajęciu.

sunki pieniężne. Pomimo to jednak pożycie ich z początku było dobre. Wyjeżdżali razem, i młoda żona czekała cierpliwie w powozie, kiedy jej mąż oddawał wizyty. Pisywała mu listy, przepisywała jego poematy — tak np. przepisywała *Obłączenie Koryntu*. Tymczasem nie obeszło się bez drobnych niesnasek. Młoda żona, jak się zdaje, miała zwyczaj pytaniami i odzywaniem się wciąż przeszkadzać poecie w pisaniu, co pobudzała go do wybuchów złego humoru, które ona uważała za arcynieprzyzwoite. Przytem nigdy jeszcze w życiu swoim nie widziała takiej porwyłości i brakuładu, jak w postępowaniu męża; raz zobaczyła, jak w szale gniewu zegarek swój rzucił do komina i potłukł go pogrzebaczem, innym razem zartem czy przez nieuwagę wystrzelił z pistoletu w jej pokój. Do tego przylączyła się zazdrość. Wiedziała, jak dalece słynął ze swoich miłostek, a szczególnie wiedziała o jego stosunku do lady Lamb, której była bliską krewną. Nakoniec przyszła Byronowi niefortunna myśl zgody na wybranie go do komitetu dyrekcji teatru Drurylane, a łatwo wyobrazić sobie, jakimi oczami patrzyła jego żona na ciągle obcowanie z aktorkami, śpiewaczkami i baletniczkami. Osoba zostająca w służbie u lady Byron, pokojówką, którą odmalował w wierszu *A sketch*, podjęła się być szpiegiem i otwierała przegródki w szafie Byrona i listy. Nakoniec jest tu jeszcze jeden ciemny punkt, którego dotknę.

W miesiąc po urodzeniu się dziecka, młoda żona, wskutek ogólnej namowy, opuściła niespokojne i niemiłe mieszkanie, ażeby pewien czas spędzić u rodziców, ale za ledwie tam dojechała, kiedy ojciec jej zawiadomił Byrona, że już nie wróci do męża. Jeszcze z drogi napisała do niego list (dziś już wydrukowany), w którym na wstępie czytamy: „Dear Duck („Luby indyczku!“) i gdzie zakończenie jest również czułe. Odpowiedział ojcu, że w tej spr-

wie, z zasady bardzo naturalnej, nie może uznać jego powagi ojcowskiej, lecz musi usłyszeć oświadczenie żony — oświadczenie to brzmiało jednomyślnie z ojcowskiem. W roku 1830 lady Byron oświadczyła publicznie, że napisała do męża z taką czułością jedynie z przypuszczenia, że cierpi umysłowo i że w razie gdyby to przypuszczenie sprawdziło się, gotową była wiernie pozostać przy nim, w przeciwnym zaś razie nie chce żyć z nim pod żadnym warunkiem.

We fragmencie romansu napisanym przez Byrona w r. 1817 spotykamy miejsce zgadzające się z tym faktem: „W kilka dni później pojechała z synem do Aragonii, w celu odwiedzenia rodziców. Nie towarzyszyłem jej, ponieważ pierwaj byłem już w Aragonii... W czasie podróży odebrałem nader czuły list od Donny Józefy, zawiadamiający mnie o dobrym zdrowiu jej i mojego syna. Po przybyciu do zamku napisała do mnie list jeszcze czulszy, proszący mnie w nadzwyczaj uprzejmych a nawet serdecznych wyrażeniach, ażebym natychmiast przybył do niej. Właśnie zabierałem się do opuszczenia Sewilli, kiedy odbieram trzeci list, tym razem od jej ojca, który w najgrzeczniejszych wyrazach uprasza mnie o zerwanie małżeństwa. Odpowiedziałem również grzecznie, że o niczem podobnem nie myślę. Przychodzi czwarty list, w którym Donna Józefa oznajmia, że list jej ojca napisanym został na najwyraźniejsze jej życzenie. Odwrotną pocztą zapytałem o przyczynę. Odpowiedziała mi przez umyślnego: ponieważ przyczyny nie mają tu nic wspólnego z rzeczą samą, więc niema potrzeby przytaczać ich — ale że ona jest udręczoną i wyborną żoną. Zapytałem jej następnie, dlaczego napisała do mnie dwa poprzednie czułe listy, domagając się, abym przybył do Aragonii. Pochodziło to stąd, że — odpowiedziała — uważała mnie za obłąkanego i że dosyć mi było tylko puścić się w drogę, a był-

bym przybył do zamku teścia bez żadnej trudności, a znalazłbym tam najczulszą ze wszystkich małżonek i—kaftan waryatów“.

Skoro tylko żona opuściła Byrona, naraz w opinii świata stał się on innym człowiekiem. Jak kiedyś pewnego poranku po ogłoszeniu *Childe-Harolda* obudził się i znalazł sławnym, tak teraz pewnego poranku obudził się i ujrzał, że uchodzi za niegodziwego i za wywolańca.

Jak się stało? Przyczyny są widoczne jak na dłoni. Przyczyną przedewszystkiem była zazdrość, nie owa zazdrość bogów, którą starożytni uważali za źródło upadku wielkich mężów, lecz brudna i nikezemna zazdrość ludzka. Stanął tak wysoko, był tak wielkim; pomimo wszelkich swoich błędów, ani na chwilę dotąd nie spadł on do poziomu parafiańskiej szanowności; zaufany w swój geniusz i szczęście, zawsze ze wzgardą odpychał myśl zjednywania sobie obronnych przyjaciół i obojętnem było dla niego, ilu tam na swej drodze wytwarza sobie nieprzyjaciół. Oddawna już poczet ich był nie do zliczenia. Naprzód i nade wszystko zazdrościli mu koledzy, a z pomiędzy wszystkich rodzajów zazdrości najjadowitszą jest autorska. Wyszydzał ich i nazwał pisarzami okresu upadkowego, kilku z nich pozbawił imienia, a innych postawił w nie-możebności zyskania sobie imienia — dla czegoż więc on miał być ubóstwiany i wielbiony, a oni wciąż nadaremnie przytrefiać swoje kędziory dla wienca, który jakoś nie przychodził? Jakaż to rokosz stracić go ze złego tronu sławy i obryzgać błotem, w którym brnęli sami!

Religijnie i politycznie prawowierne społeczeństwo oddawna już spoglądało na niego wzrokiem podejrzliwym i z tajemną nienawiścią. Kilka strof *Childe Harolda*, które poważają się wypowiadać w najrozmyślniejszych wyrazach wątpliwość o ponownem spotkaniu po śmierci, wzbudziły krzyk oskarżający o herezyę i napisano prze-

ciwko nim całą książkę *Anti Byron*. Jego czterowiersz do księżny Karoliny, który ogłoszony został jednocześnie z *Korsarzem* p. n. *Do płaczącej księżny*, a który pocieszał księżnę z powodu politycznego zajścia księcia regenta, ogarnął ogniem i płomieniem całe silne stronnictwo torysów. Ale dotąd, jakoby niewidomy pancerz, osłaniał Byrona jego „prestige“; cóż dziwnego, że teraz, kiedy w jego życiu prywatnem otworzył się wyłom, podszezuwano przeciwko niemu opinię publiczną!

Lady Byron i jej rodzina żyli, jak się łatwo domyśleć, zupełnie podług serca społeczeństwa, i człowieka, którego taka żona zmuszoną była opuścić, nie trudno było na-ecchować piętnem potwora. Wieści zaczęły się poruszać, potwarz wylęgała się, przybierała kształty, wyrastały jej nogi, na których chodzi, skrzydła, na których latać mogła, i w locie rosła. Jej głos nabrzmiewał, jak opiewa sławna arya Basilia od szmeru do szumu, od szumu do odurzającej uszy wrzawy, jak piorun w górach. Któż nie zna tego koncertu, na którego udratyzowanie pospolitość pora się z głupotą, a przy którego wykonaniu ciemnota śpiewa w chórze ze świadomą siebie nikezemnością, a tymczasem radość z zadanego ciosu z tryumfem najjaskrawszymi i tremami wrzaskliwie przerzyna harmonię!

Zawiść ku Byronowi weszła do służby hipokryzyi i pracowała na jej zoldzie. Ucywilizowana hipokryza, zapuszczając korzenie w wiek dziewiętnasty, w okresie reakcyi religijnej, była potęgą społeczną, której powaga tylko rodzajem swych środków, ale bynajmniej nie rozciągłością i siłą skutków, ustępuje potędze, jaką w wieku szesnastym posiadał trybunał inkwizycyjny. Tak więc, jak Byron śpiewa w *Childe Haroldzie* (pieśń IV, strofa 93):

Opinia, to moc; mgłą jej świat odziany,
Złe, dobre w życiu przypadkiem się zdarzy;
Człek drży z śmiałości wystąpić zdaniem,

Trzęsie się nawet nad myślami swemi,
By się z swobodnych nie stały zbrodniami,
By zbytku wiedzy nie było na ziemi ¹⁾.

I podobnie — jak wyraża się w *Don Juanie* (pieśń X strofa 34) obluda stała się potęgą, którą ażeby godnie opiewać, potrzeba *sily czterdziestu księży*. Nie mogło być inaczej w czasie przedstawiającym taką analogię z epoką, która pokazuje upadek klasycznego poglądu na życie, — w czasie, kiedy staro teologiczne pojmowanie świata i życia na wszystkich punktach podkopane i wstrząśnione, niezdolne utrzymać się swoją własną prawdą wewnętrzną, zmuszone było przygarnąć się do konwencyjonalnej moralności wyższej warstwy społecznej i wzmacniać ją wszelkimi siłami, aby mieć przeciw jakieś oparcie, i kiedy powaga kościoła i parafiański konserwatyzm podobne są dwom taczającym się, którzy podpierają się nawzajem. Jeżeli rzucimy okiem na psychologię Europy w początku obecnego stulecia, to formalnie zdaje się, jakoby cała owa hipokryzja, która u emigrantów francuskich zaczęła kielkować pod romantyką niemiecką wzrastała coraz bardziej a podczas reakcyi we Francji rozwinęła się do szalonej wysokości, — jakoby teraz zwała się na głowę tego jednego człowieka.

Szlachetny Macaulay mówi z tego powodu: „Nie znam tak śmiesznej komedyi, jak publiczność brytańska podczas jednego ze swoich paroksyzmów moralności. Zwyczajne wykradzenia, rozwody i niesnaski familijne odbywają swój przebieg, nie zwracając na siebie szczególnej uwagi. Czytamy wiadomość o skandalu, rozmawiamy o nim dzień jeden i zapominamy o nim. Ale raz, co sześć lub siedm lat, cnota nasza staje się wojowniczą. Nie możemy ścierpieć, ażeby naruszano przepisy religii i obyczajowości. Mu-

¹⁾ Przekł. Fryderyka Krauzego. Przyp. polsk. tłum.

simy koniecznie utworzyć wał ochronny przeciw występkowi. Musimy pokazać lekkomyslnym, że lud angielski poczuwa ważność węzłów domowych. Skutkiem tego ten lub ów nieszczęśliwy człowiek, który pod żadnym względem nie zepsuty gorzej niż stu innych, na których wybryki patrzono z wielką pobłażliwością, zostaje kozłem ofiarnym. Jeżeli ma dzieci, to mu je wydzierają; jeżeli ma jakie stanowisko życiowe, to go zeń wypędzają; wyższe klasy już się z nim nie witają, niższe sykają i wygwizdują go. Staje się on pewnym rodzajem zaka odbierającego chłostę, którego karą i bólem karzą jednocześnie wszystkich niegodziwców tego samego kalibru. Następnie z zadowoleniem wewnętrznym myślimy o naszej surowej energii i dumnie porównujemy wysoki stopień moralności Anglii z lekkomyślnością paryską. Oburzenie nasze nasycą się na koniec. Nasza ofiara jest zrujnowana, albo zagryzła się na śmierć, i oto nasza cnota znów kładzie się spać na siedm lat następnych“.

Jeżeli przyczyny upadku Byrona były skomplikowanej natury, tedy środek był tem prostszy, — jedynie skuteczny, jaki bywa w podobnych wypadkach: prasa. Już z powodu jego wierszy do księżnej Karoliny dzienniki wystąpiły z najgminniejszymi potwarzami przeciwko niemu, i wiele z nich miały stałą rubrykę na brudne wycieczki przeciw wielkiemu poecie. Teraz napady na jego życie prywatne za pomocą bezimienności, która pomimo wyroczni swojej i zepsucia, jakie pociąga za sobą, w prasie angielskiej jest panującą, mogły mieć najobszerniejsze pole dla siebie. W gruncie rzeczy znaczenie bezimienności jest tylko takie, że najnędzniejszy partacz, który ledwo potrafi utrzymać pióro, który kłamie, może wetknąć w usta moralną trąbkę opinii publicznej i w tysiącach egzemplarzy wydawać głos w imieniu obrażonej cnoty. I nie dosyć, że oddzielny anonim w tej wielkiej liczbie

egzemplarzy staje się powszechnością, może on jeszcze nadto w swojej bezimienności przybierać tysiączne postaci, pisać pod wszelkimi możliwymi cyframi i w najrozmaitszych pismach; a jeżeli jednego gwazdacza już byłoby dosyć na zaopatrzenie całej prasy wędzne wycieczki przeciw pojedynczemu człowiekowi, osławionemu w oczach opinii publicznej, jakże dopiero walić się musiały gradem napady na Byrona, kiedy liczba jego nieprzyjaciół była legionem! Przypominał on sobie później tylko niektóre z przezwisk, jakimi obrzucała go prasa. Nazywano go Neronem, Apiciusem, Kaligulą, Heliogabalem i Henrykiem VIII, t. j. obwiniano go o wszelkiego rodzaju niecne okrucieństwa, szaloną dzikość zwierzęcą, przeciwną naturze rokosznictwo; malowano wszystkimi farbami, jakie tylko mieć może na sobie paleta nikczemności. Ze wszystkich jednak obwinień najstraszniejszym było to, które już wówczas obiegało po prasie i wypaliło piętno na czole najdroższej mu istoty—obwinienie, jakoby żył kazirodczo ze swą siostrą, a tu przytem ani podobna było odpowiedzieć na to wszystko! Bo któż może bić się z błotem ulicznym, walającem kogoś innego?

Wieści przechodziły z ust do ust. Kiedy aktorka mrs. Mardyn bezpośrednio po sprawie rozwodowej wystąpiła w teatrze Drurylane, została wygwizdaną dla tego, że pomiędzy widzami rozeszła się była bezczelnie zmyślona plotka, jakoby ta dama, z którą Byron kiedyś tylko parę razy rozmawiał, zostawała z nim w stosunkach. Sam on nigdy nie mógł wychodzić z domu bez niebezpieczeństwa. Na ulicy i na drodze do parlamentu, gdzie wszyscy zupełnie go ignorowali, znieważany był przez wykształconą tłuszcę.

Ponieważ niemożliwą była obrona, przeto pomimo całej dumy swej musiał pochylić głowę i ustąpić z pola. Czuł, jak powiada, „że on już nie jest stosownym dla An-

glii w razie, gdyby oszczerstwa, które sobie szeptano do ucha i głośno wymawiano, miały swą zasadę; gdyby zaś nie miały podstawy, w takim razie Anglia już nie jest stosowną dla niego“. Dnia 25 kwietnia r. 1816 wsiadł na okręt, aby nie powrócić już nigdy za życia.—Od tej chwili zaczyna się prawdziwa wielkość Byrona. Niegdyś krytyka edynburska po raz pierwszy obudziła go do czynu duchowego. Ten nowy cios był uderzeniem pasującym go na rycerza. Zgola niemożliwem jest porównanie pomiędzy tem, co Byron napisał przed, a co po swoim wielkiem nieszczęściu, jak się na nie zapatrywał. To nieszczęście zesłał na niego geniusz historii, ażeby go wyrwać z odurzającego obóstwienia i zupełnie oddalić od całego usypiającego związku z owem społeczeństwem i duchem społeczeństwa, przeciw którym poprzysiądz miał opozycję z większem powodzeniem i siłą, niż ktokolwiek inny.

XVIII.

Kiedy po raz drugi został bez ojczyzny i samotnym pielgrzymem, wziął się napowrót do poematu swej młodości. Dodał do *Childe Harolda* pieśń trzecią i czwartą. Postawił się ponownie w usposobieniach młodości; ale do jakiejże pełni doszły one podczas tej przerwy! Akord odzywający się od początku w *Childe Haroldzie* był to trójdzwięk samotności, melancholii i porywu swobody. Każdy z oddzielnych jego tonów zrobił się teraz nieskończenie czystszy i dźwięczniejszy.

Przez pierwszą połowę dzieła biegło usposobienie *samotności* jako warunku miłości do natury; już tam słyszymy (pieśń II, str. 25 i 26): Siedzieć na skałach, marzyć na falach, kroczyć zwolna po niedotkniętych stopą ludzką lasach, bez świadka spojierać w parów i potok, nie jestto samotność, lecz żywe obcowanie z przyrodą; przeci-

wnie, krążyć wśród wiru ludzi i słyszeć nieustanny gwar jego, nie kochając nikogo i nie będąc kochanym przez nikogo, to znaczy być prawdziwie samotnym. Ale te wybuchy były wspomnieniami pięknych wrażeń dzieciństwa po górskich krainach Szkocyi, albo marzeniami, wywołanemi widokiem mieszkania pustelnika na górze Atos; były jeszcze, jak nastrój samotniczy u Wordswortha, miłością przyrodzenia, której podstawę stanowiła bojaźń niezmiernego i obcego świata ludzi. Różnica pomiędzy uczuciem Wordswortha a Byrona była tylko ta, że Wordsworth posiadał władzę milcząco-zadumnego zatrzymania się we wrażeniu natury, właściwą chłopięciu wiejskiemu i malarzowi krajobrazowemu, Byron zaś tęskną i nerwową miłość mieszkańca stolicy do wrażeń natury, i że Wordsworth wyszukiwał natury w jej spokoju, kiedy Byronowi, odwrotnie, najmilej było widzieć naturę w jej gniewie (*Childe Harold*, pieśń II, str. 37). W drugiej połowie dzieła uczucie samotności jest całkiem inne. Wielka zachodzi różnica pomiędzy popędem do samotnego obcowania z naturą, który poczuwa w sobie Harold jako niedoświadczony młodzieniec, a popędem, który odzywa się w nim jako mężczyźnie, wówczas kiedy już zakończyła się jego pierwsza podróż naokoło świata ludzi i rzeczy. Nie obawa ludzi lecz wstręt od nich pociąga go teraz do pokochania niemej natury. Całe to wielkie społeczeństwo, panujące społeczeństwo wielkiego miasta, które obcemu oku wydawało się tak humanitarnem, tak subtelne w uczuciach, tak prawomysłnem i tak rycerskiem w pojęciach, postawiło mu się teraz swoją stroną chropowatą, a taka odwrotna, strona jest pouczającą, ale nie piękną. Doświadczył teraz, jaką to przyjaźń ludzie okazują upadłemu, przekonał się, że jedynym czynnikiem, na który człowiek, chcący tworzyć sobie plany przyszłości, liczyć może z całą ufnością, jest egoizm innych ludzi i wynikające z niego następstwa. Tak

więc po raz drugi został sam na sam z sobą, a poeta, którą teraz pisał, nie jest przeznaczoną dla natur społecznych. Ale kto choć raz tylko nauczył się odwracać twarz od ludzi, kto zapragnął żyć w pokoju poza nimi i poczuł żądzę opuszczenia rodziny, albo wydalenia się z ojczyzny, ażeby uniknąć widoku twarzy, a szukać widoku obcego nieba i ziemi, kto na samotnych ścieżkach w ukazaniu się nadchodzącego człowieka poczuł jakoby brudną plamę na swobodnym i czystym horyzoncie — w sercu takiego człowieka podobne liryczne wylewy znajdują echo. *Childe Harold* jest sam jeden. Przeświadczył się on, że najmniej ze wszystkich jest zdolnym do tego, ażeby iść rzędem z innymi ludźmi, że nie jest w stanie oddać swych myśli pod panowanie cudzych myśli, albo umysłem, przeciw którym oburza się jego umysł, ustąpić władzy nad jego duszą. Gdzie wznoszą się góry, tam czuje się wśród przyjaciół, gdzie grzmi morze, tam jest jego ojczyzna; poemat, który natura pisze promieniami słońca na zwierciadle morza, jest dla niego miłszym, niż książka napisana w mowie jego ziemi rodzinnej. Pośród ludzi czuje się on tak, jak dziki sokół, któremu odcięto skrzydła. Ale chociaż uciekł od świata, nie nienawidzi go przecież; nie ze złego humoru ani z uporu dusza jego garnie się w głąb swojego źródła; boi się ona skipieć w ciżbie ludzi, gdzie jedna chwila zburzyć może całe nasze szczęście, tak, że „wszystka krew nasza przemienia się we łzy“. Czyż nie lepiej jest, pyta, być samotnym i stać się częścią otaczającego świata, jeżeli oto widok wysokich gór jest dla człowieka dobroczynnem uczuciem, a zgiełk miasta torturą, i jeżeli pasmo gór, niebo i morze są odłamkiem jego duszy, jak on ich odłamem, a miłować je jest najczystsze jego szczęście? Tu najmniej sama jedna w samotności, dusza jego wśród niej przeczuwa życie nieskończone, — ową prawdę, która oczyszcza duszę od jej jaźni. Harold nie kochał świata, i świat go nie ko-

chał. Jest dumnym z tego, że nigdy nie schlebiał stęchle-
mu jego technieniu, że nigdy przed jego balwanami nie ugi-
nął cierpliwego kolana, nigdy nie sięgnął ust do uśmie-
chu: bo uważał to za niegodne, i nie był echem uwielbie-
nia na krzyki tłuszczy; był w pośród nich, ale żadnym
z nich. Lecz chce, jako jawny nieprzyjaciół, rozłączyć się
ze światem, którego nie kochał i który mu to odpłacił z li-
chwą. Zdaje mu się, powiada, iż doświadczenie nauczyło
go, że są wyrazy tak pełne znaczenia, jak czyny, nadzieje,
które nie zwodzą, prawdziwa litość, że jest dwóch albo
trzech, którzy są tem, czem się zdają ¹⁾.

Tak więc nastrój samotności przerzuca się w nastrój
melancholii. I w tę strunę poeta uderza w dwóch pierw-
szych pieśniach; ale ich melancholia było to czysto mło-
dzieńcze niezadowolenie. Childe Harold miał tu poza so-
bą młodość zmarnowaną, i jak *flegmatycznie*—melancholijny
Hamlet pomiędzy grabarzami, stanął na grobie Achillesa
i, z czaszką umarłego w ręku, rozmyślał, co warto życie
i najwyższa jego sława, podczas kiedy on sam, który wów-
czas nie zakosztował jeszcze słodyczy sławy, rzeczywiście
do niczego nie wzdychał tak namiętnie, jak do sławy, do
owej pozornie i ze sztuczną filozofią pogardzanej sławy.
Teraz zażył już jej i przeświadczył się, jak mało pożywną
jest ona potrawą. Serce jego podobne jest do rozbitego
zwierciadła, które, zamiast jednego obrazu, powtarza go ty-
siąckrotnie i tem jest dla niego niemożliwiej zapomnieć go,
im bardziej jest rozbite. Przeto sam rozbity, wyszukuje
w naturze tego, co przez kontrast złagodzić może jego cier-
pienia: swobodnego, otwartego morza, którego pienistą
grzywę głaskał jeszcze w dzieciństwie, i które zna go, jak
rumak swojego jeźdźca i pana; miłuje morze dlatego, po-

¹⁾ Childe Harold, pieśń III, str. 69, 70, 72, 75, 90, 113 i 114.

nieważ zwierciadłana jego płaszczyzna jest jedyną, która
nie może być rozbita, a nawet zmarszczki i bruzdy zbez-
kształcić jej nie mogą, jedyną, która dziś jeszcze tak wy-
gląda, jak w poranku wieków. Ale wszystko w naturze
przypomina mu cierpienie i walkę. Odległy grzmot jest
dla niego, jak bicie dzwonu na gwałt, budzące wszystko to,
co się w nim ułożyło już do spokoju. Nawet mały luby
Nemi nie robi na nim wrażenia ciszy i łagodności, zdaje
mu się on „cichym, jak powściągniona nienawiść“ (pieśń
IV, str. 173). Jego melancholia jest nawskróś *choleryczną*.
Gdyby mógł całą swoją namiętność wcisnąć w jeden wy-
raz, i gdyby ten wyraz, wymówiony, mógł spaść straszli-
wie i druzgocząco jak piorun, to nie zawahał by się, powia-
da, wymówić go. Raczej wszystko niż spokój! oto jego
hasło. Spokój to piekło dla silnego serca; jest pewien żar
duszy, który, raz spalony, nigdy zagasnąć nie może, lecz
stara się wybuchnąć coraz dzikszyimi płomieniami. Jestto
gorączka fatalna dla każdego, kogo napadnie. Oto, po-
wiada, —

Ten ogień tworzy szaleńców na świecie,
Zdobywców, króli, zuchwałych sektarzy,
Wre w marzycielu, sofiście, poecie!
Gdy wstrząśnie duszę i zbyt się rozżarzy,
Ich samych często robi ofiarami
Tych ludzi, których obłąkali sami.
A im zazdroszą! Ślepi zazdrościecie,
Nie wiedząc, ile w sercu cierpią bólów!
O, nie zechcecie, gdy się przypatrzycie.
Losu wslawionych ludzi, ani królów.

W wiecznym odmęcie, życie ich — to burza,
Przez ich do niebios, stamtąd w błoto rzuca,
Ale do wstrząśnień tak zwykną ich płuca,
Że gdy się życie za walką przedłuża
I dni ich zachód płynie bez wstrząśnienia,
Tęsknią śmiertelnie i mrą z wycieńczenia,

Z niepodsyconych ognisk luna biała,
Oręż nieczynny zaraz rdza przejada.

Ach, woła Harold,

Wiedniem — od młodu życie nam dojadło,
Ust rozpalonych niema czem ostudzić.
Czasem podobne marzeniom widziadło
Pod wieczór życia przychodzi nas ludzić.
Próżno! Nam gorzej! — Miłość, sława, pycha,
Sknerstwo... nas gubi. — To wszystko daremne —
To meteory, rdzeń obłędu licha,
Zgaszą ich płomień mgliśka śmierci ciemne.

Życie, to jakieś natury skrzywienie,
Z wzniosłą harmonią niezgodne wszechświata,
Skąd wyrok srogi, grzeszne przeznaczenie,
Niszczące drzewo dach nad nami splata.
Jak pod Upasem stoim. Cała ziemia
To jego korzeń. Liść, gałąź, niebiosy,
Skąd się trująca sącząc na nas rosa
Kłeską, niewolą, śmiercią wzrok ociemnia,
A niewidzialne ciernie gorzej kołą,
Rany wewnętrzne bez przerwy nas bołą.

W całym tym zadumnym rozstroju, jakim nieuniknie-
nie obarcza duszę myśl o powszechnej nędzy (*Weltschmerz*,
jak ją charakterystycznie nazywają Niemcy), tkwiła
już w pierwszych pieśniach *Childe Harolda* — miłość swobody,
jako trzeci główny ton poematu, jedyna wyzwalająca po-
tęgą, jedyna, która życiu wyznacza zadanie praktyczne.
Już w Portugalii Harold zawołał:

O! niech wał własny wolny lud otoczy — hiszpanom
zaś śpiewał do ucha:

Powstańcie syny Hiszpanii! Rycerską
Budzi cześć wasza bogini!

¹⁾ Przekł. Fryderyka Krauze. Przyp. tł. polsk.

Już wówczas do ujarzmianego ludu greckiego, który
wciąż oglądał się na pomoc zagraniczną, odzywa się z pod-
niętą:

Nie wiecież o tem, wieczni niewolnicy?
Kto chce być wolnym, ten się bez pomocy
Dobije zwycięstw krwią własnej prawicy.
Czekacie wsparcia z Galii, czy z Północy?
Te może zegną kark waszym łupieżcom,
Lecz na ołtarzach swobody — nie dla was
Zapłonie ogień ofiary.

Kiedy spartański hart w sobie wskrzesicie,
Epaminonda zapali do czynów,
W dzieciach ateńskich gorące krwi bicie,
A matki rodzić będą mężnych synów
Wtedy, o greccy, wy zmartwychwstaniecie
Ale nie pierwaj.

Ale jego miłość swobody była wówczas natury czy-
sto politycznej, swobodnie urodzonego anglika na widok,
że obce ludy nie są w stanie zrzucić z siebie jarzma obcego
panowania, którego jego lud nigdy nie dźwigał i nigdy
zniesić by nie mógł. Teraz rozumie on swobodę w naj-
obszerniejszem i pełnem, powszechnie ludzkim zna-
czeniu wyrazu. Teraz czuje, że *myśl* swobodna jest
punktem wyjścia wszelkiego życia duchowego. Tak,
mówi (pieśń IV, str. 127. Por. *Don Juan*, pieśń IX, stro-
na 24).

Jednak na los nasz śmiemy patrzeć śmiało.
Wstyd dla rozumu rzec się prawa myśli —
To nam jedyną ucieczką zostało;
Mą będzie zawsze. Choć z pieluch najściślej
Owy dar boski gniotą — więżą w cieniu,
Z obawy prawdy w zbyt jasnym promieniu,

On zaśni, przejmie człowieczą istotę,
Czas i nauka uleczą ślepotę ¹⁾.

I nie chce już zaciekać się tylko i marzyć: chce działać. Odzywa się do Czasu, wielkiego mściciela, przypomina mu poeta, że spokojnie i z dumą znosił nienawiść świata — doświadczył wszelkiego rodzaju nienawiści ²⁾ i kończy modlitwą:

O bodajbym ja to żelazo w duszy
Nie nadaremnie był dźwigał!

Kiedy więc teraz znów pielgrzymuje od kraju do kraju, osobisty jego smutek znika na widok olbrzymich zwalisk Rzymu, i jak ów Sulpicius, którego uczucia Chateaubriand przypisywał bohaterowi w *Męczennikach*, czuje on nicość swojego losu, w porównaniu z owym losem, który miasta Grecyi zmiotł z oblicza ziemi ³⁾. A kiedy, nie za-

¹⁾ Przekł. Fr. Krauze. Przyp. t. p.

²⁾ Od jawnych dręczeń do podstępów małych,
Znam, co nienawiść ludzka może zrobić;
Tam potwarz głośna krzyczy z gardeł całych.
Tam podła zazdrość szeptem rada dobić,
Tam subtelniejszy jad sączą gadziny...

Childe Harold, IV, 136.

³⁾ Ojczyzno, którąm wybrał, Rzymie drogi!
Państw zgruchotanych matko opuszczona,
Niech człek sierota zajrzy w twoje progi,
Nędzne swe troski zaciśnie do łona,
Czem nasze bóle, czem kolce cierniowe!

Childe Harold, IV, 78.

Pomnę wycieczkę, którąm odbył młody,
— Do Cycerona list o niej wspomina —
Z pomyślnym wiatrem statek krajał wody.

Childe Harold, VI, 44.

Por. tom III, str. 143 naszego dzieła.

dawalając się już samą myślą swobody, zwraca spojrzenie na zewnątrz i zajmuje się wielkimi walkami politycznymi, to nie tylko powtarza dawne apostrofy do poległych, jak np. kiedy (IV, 13) woła do miasta Wenecyi, że wieki sławy utopiła w szlamie niewolnictwa i że lepiej byłoby, ażeby sama zapadła była w morze, zamiast dożyć takiej hańby; nie, powstaje zuchwale przeciw mocarzom, przeciw zwycięzcom pod Waterloo, których szydę nazywa małpami Napoleona, i z politycznej powierzchni walk wpatruje się w ich jądro społeczne. Wprawdzie, mówi (III, 82), Francya waliła całe piętra zwalisk przedwiecznych przesądów, które żyły od początku czasów, a teraz z całego tego gruzu powstają więzienia i trony —

Ale despotyzm nie trwa czasy wieczne,
Ludzie poczuli siłę, czuła ją dala!

I chociaż Francya upajała się we krwi, aż wypłwała
czynny zgrozy (IV, 97, 98 i 136):

Przecież swobodo! choć strzępem świecący
Sztandar twój, jak grzmot *przeciw wiatru* biegnie;
Dźwięk trąb twych, nikły dziś i konający,
Po burzy jeszcze głośniejsz się rozlegnie.
Drzewo twe liście i korę straciło;
Cięte siekierą, zda się, że nadgniło,
Ale sok żyje a nasiona rosną
Aż w puszczach twórczą rozplenione siłą,
A tak mniej gorzki owoc przyjdzie z lepszą wiosną.

Nie żyłem darmo. Z umysłu siłami
Rozstać się mogę, ogień serca zgaśnie,
Mogę dać życie, walecząc z nieszczęściami;
Ale jest we mnie coś takiego właśnie,
Co go ni boleść, ni czas nie zabije,
Gdy mnie nie będzie, ono mnie przeżyje.
Jak na dźwięk liry, uczucie niespodziane
Budząc się w sercach, serc ich żar ostudzi,

A serca dzisiaj z głazu wyciosane,
Później miłości wyrzut ze snu zbudzi.

(Przekł. Fr. Krauze).

Tak to w tym przedziwnym poemacie zlewają się główne nastroje duszy poety: samotność, melancholia i miłość swobody, tak rozszerza się i pogłębia coraz bardziej psychiczne jego życie, w miarę jak posuwa się daleko od pieśni do pieśni. Wordsworth swoje *ja* ukształtował był na organ dla Anglii, Scott i Moore w pieśniach swoich dawali bieg uczuciom Szkocyi i Irlandyi; jażn Byrona, jestto jażn wszechludzka, jego troski i nadzieje, to troski i nadzieje całej ludzkości. Skoro zaś ta jażn z męską siłą cofnęła się w siebie samą i zapadła w samotny smutek, jego boleść rozszerza się i urasta na ubolewanie nad powszechną nędzą życia ludzkiego; pękła twarda kora egoistyczna i głębokie natchnienie swobody toruje sobie drogę, ażeby ogarnąć sobą i podnieść cały współczesny świat poety ¹⁾. Wtedy on odprawia swoje nabożeństwo i pobożne zebranie się duszy. Odrzuca z pogardą wszelkie „domy bałwanów“, zarówno kościoły gotyckie, jak i świątynie greckie, a jak starożytni persowie ołtarz swój stawiali na najwyższych górach z dalekim wyglądem na otaczający świat, tak

¹⁾ W *Etyce chrześcijańskiej* Jana Martensena, str. 228, czytamy o Byronie: „Ale jeżeli rozważymy Byrona w jego całości, musimy wyrzec stanowczo, że jego wiara polityczna w ideał swobody nie o wiele mniej była silną, jak pogarda względem świata, który jest tak złym, że żaden ideał swobody urzeczywistnić się, żaden prawdziwy postęp dokonać się w nim nie może“, — zdanie, ani dające się obronić, ani uzasadnione przez autora w jego dziele. Byron ma tam zachodzić w kategorię „pesymizmu“. W rozprawie Gr. Thomsena *O lordzie Byronie*, pracy napisanej w duchu najspekulatywniejszym, spotykamy zdanie trzeźwiejsze: „Młodzi poeci (we Francyi) dopiero przez studia poezyi Byrona przeszli do jasnej świadomości samej zasady rewolucyi, myśli *swobodnej*“.

on pochyla czoło w wielkim kościele *natury* złożonym z ziemi i powietrza (*Childe Harold*, III, 91).

XIX.

Po zwiedzeniu pola bitwy pod Waterloo, Byron popłynął Renem do Szwajcaryi, gdzie obrał sobie mieszkanie nad jeziorem Genewskim. W jednym z tamiecznych zakładów spotkał się z młodszym o cztery lata Shelleyem. Shelley w swoim czasie przesłał mu był swoją *Królowę Mab*, ale list dołączony do poematu zaginął, a zatem nie wywiązała się stąd żadna korespondencya. Przybył on tam na dwa tygodnie pierw w towarzystwie Maryi Godwin i jej przyrodniej siostry, mis Jane Clairmont, która jeszcze w Londynie namiętnie marzyła o Byronie. Naturalna córka Byrona Allegra jest owocem krótko trwającego związku, który teraz miał miejsce pomiędzy nim a młodą damą.

Podczas obcowania z Shelleyem, umysł Byrona dotknęło kilka najsilniejszych i najgłębszych wrażeń, do których był skłonny. Pierwszem, wielkiem było wrażenie osobistości Shelleya i jego poglądów na życie. Po raz pierwszy w życiu swem Byron ujrzał się wobec ducha prawdziwie nowoczesnego i prawdziwie wyzwolonego. Przy całej genialnej zdolności przyswajania sobie tego, co zgadzało się z jego naturą, dotąd tak pod względem literackim jak filozoficznym posiadał połowiczne tylko wykształcenie i wciąż powodował się dotąd więcej sympatjami, niż przekonaniami. Teraz Shelley, zapalony nawskroś natchnieniem apostoła, oddawna przesiegający poza wszelkie zwątpienie, stanął wobec niego, jako prawdziwy kapłan humanizmu. Ani roztargnione życie w salonach londyńskich, ani druzgoczące ciśnienie ciężkich losów nie dawały mu tego spokoju duszy, aby mógł rozmyślać wiele

o zagadnieniach metafizycznych albo o reformie ludzkości; zanadto zajęty był samym sobą. Teraz właśnie na owym punkcie zawodu poetyckiego, gdzie jaźń zaczęła w nim odmarzać, teraz spotkał się z umysłem, który dał mu chrzest z ognia. Dusza jego otworzyła się cała na nowy wpływ, i w szeregu poezyj, które tworzył teraz, spostrzedz się on daje wyraźnie. Częste wyrażenia panteistyczne w trzeciej pieśni *Childe Harolda* wszystkie bez wątpienia są wynikiem rozmów z Shelleyem, przedewszystkiem piękne miejsce o wszechmocnej miłości, jako ducha natury (III, 100), jest wyrażeniem nauki Shelleya o miłości i piękności jako o mitycznych, ogarniających świat potęgach. W jednej z notatek swego dziennika z owych czasów Byron posuwa się nawet tak daleko w Shelleyowskim panteizmie, że nastrój duszy zawieszony nad Clarensem i Mellierie, sceną *Nowej Heloizy* Rousseau'a, nazywa „nastrojem wyższego i bardziej ogarniającego rodzaju, niż sympatyzowanie z jakąś oddzielną namietnością“; „jestto“ powiada, „poczucie istnienia miłości w najwyższym i najrozleglejszym znaczeniu tego wyrazu i poczucie uczestnictwa naszego w jej błogosławieństwie i sławie; jest to wielka zasada wszechświata, która tu obecną jest w postaci bardziej zgęszczonej, niż gdziekolwiek indziej i w której, chociaż wiemy, że uczestniczymy w niej, gubimy naszą indywidualność, tonąc w pięknie całości“. Widocznie wpływ Shelleya wskazać się daje w scenach duchów w *Manfredzie*, a szczególnie w trzecim akcie tego dramatu, którego przeobrażenie nastąpiło za jego radą. Nakoniec *Kain*, gdyby nawet Shelley, jak sam twierdzi, nie miał bezpośredniego udziału w tej kompozycji — nie byłby otrzymał tego piętna, jakie nosi to dzieło, gdyby można było w myśli usunąć Shelleya z życia Byrona.

Obaj poeci zwiedzili razem Chillon i całą jego okolicę, a tak Byron odebrał drugie wielkie wrażenie, które

miało wywrzeć nań wpływ produkcyjny: wrażenie łańcucha Alp. Dla niego, który niedawno jeszcze oddychał wyziewem towarzyskich salonów Londynu, było to orzeźwieniem zatrzymać oko na wiecznych śniegach, z obłokowej wysokości, ponad wirem ludzi spoglądać na pokryte śniegiem szczyty. Jego poetyczny poprzednik Chateaubriand czuł wstręt do Alp, ich wielkość oddziaływała przynębiająco na jego próżność; Byron wśród nich czuł się jak w domu. *Manfred*, którego najistotniejszą wartość poetyczną upatrywać powinniśmy w tem, że poemat ten jestto krajobraz Alp, a krajobraz Alp niemający równego sobie, powstał bezpośrednio z wrażeń natury. Taine posunął się aż do energicznego wyrażenia, że duchy Alp w *Manfredzie* Byrona są tylko bogami teatralnymi, ale Taine, kiedy pisał to wyrażenie, nie znał sam Szwajcaryi. W żadnem otoczeniu nie nasuwa się bliżej przejście do uosobienia natury, jak tu. Nawet pospolity podróżnik poczuwa w sobie taką pokusę. Przypominam sobie, że pewnego wieczoru stanąłem na Rigi Kulm i przypatrywałem się pięknym jeziorom u podnóża gór i obłoczkom, przeciągającym w oddalach poziomemu nad ich zwierciadłem. Nagle ze skraju widnokregu stoczyła się mała biała kula mgławicy. Kiedy ta w okamgnieniu dobiegła do Pilata, była-to już olbrzymia warstwa mgły. Z szalonym pośpiechem rozciągnęła się po niebie, końcami obłocznego palca swego powiewając na całe mile po obu stronach. Spuściła się na płaszczyznę jezior, osłoniła sobą kleszcze skał, przyplęnęła po grzbietach gór, zanurzyła się w parowy, następnie raz jeszcze rozwarła swe boki, wirowała ku niebu jak dym, spadała jak olów na miasta, zgasiła wszystkie barwy i rozplynęła się szarością w szarości. Białość śniegu, zielen drzew tysiączne światła i barwy oświetlonych słońcem obłoków w jednym okamgnieniu zalane zostały i znikły. Wzrok, przed chwilą jeszcze bujający tak swobodnie po

niezmiernej płaszczyźnie, nieprzepartą pociągany siłą, uwiązał teraz w bezkształtnej masie, co płynąc szybko i gwałtownie jak ciało niebieskie, napływała ku widzowi w pierwotnym stanie swoim. Zdawało się, jakoby zastępy niebieskie, jakoby krocie tysięcy jeźdźców powietrznych w ścieśnionej kolumnie przybyły na skrzydlatych, milczących rumakach, nieodporniejsze, aniżeli jakakolwiek armia ziemska, wytepiając wszystko poza sobą bez śladu, jak hordy azyatyckie albo hunnowie Attyli. Mieszkańcowi północy mimowolnie przyjsć musiał na myśl pochód wojenny wanów. W chwili, kiedy obłok dotarł do krawędzi Kulmu, stojące zewnątrz postacie traciły się wzajemnie z widoku, jedna po drugiej znikwały w nim. Następnie zwinął się gęsty i wilgotny, okręcając się naokoło każdej, jednej zamknął usta i legł ciężko na jej piersi.—Tęgo rodzaju sceniczne widowiska natury podały materiał do wystąpienia duchów, które opadają Manfreda. Zdanie po zdaniu weszło w dzienników Byrona do jego poematu, i nieraz wyrażenia w pierwszym, ulotnym kształcie swoim są niemal dosadniejsze, aniżeli w poemacie. „Przybyłem do Grindewald. Jadłem tam obiad. Puściłem się w górę do wyższego lodowca—podobny byłem do zamarzłego orkanu (Which put on—The aspect of a tumbling tempest's foam—Frozen in a moment“ czytamy w *Manfredzie*). Piękna, gwiazdzisto jasna, ale dyabelska droga.. Nieco błyska się, ale dzień w całości swej tak piękny, jak dzień, w którym stworzonym został raj. Biegłem przez całe lasy uschniętych jodeł, wszystkie spróchniałe, pnie wszystkie odarte ze skóry, bez kory, gałęzie martwe; wszystko to dzieło jednej zimy — ich wygląd przypominał mi mnie samego i moich“. Wszystkie te wyrażenia z lekka przemienione wracają w poemacie.

Ale jakkolwiek bogatemi w zdobycz były wspólne wycieczki Byrona i Shelleya, zatrzymywały je jednak wielo-

rakie gorycze. Podróżujący ziomkowie dręczyli ich wszędzie swoją ciekawością, i nawet z niepodobnem do uwierzenia zuchwalstwem wdzierali się do domu Byrona. Jeżeli ich nie wpuszczono, to zasiadali z długimi lornetami na brzegach i drogach dla robienia obserwacyj, zaglądali przez mur ogrodu i przekupywali kelnerów domów zajazdnych, jak później w Wenecyi gondolierów, chcąc się dowiedzieć o skandalach. Że Byron i Shelley wspólnie żyli z dwiema siostrami, to była pierwsza pogłoska, którą puszczano w obieg a im więcej gadanina ludu obu poetów przemieniała we wcielonych dyablów, tem wstrętniejszy przybierały charakter te pogłoski. Nie można więc dziwić się, że kiedy Byron pewnego dnia w Coppet wszedł do pokoju pani Staël, pewna dama angielska, mrs. Hervey, stara pobożna autorka romansów, na jego widok zemdląła, jak gdyby, mówiąc słowy Byrona, zobaczyła „Jego szatańską mość we własnej osobie“.

Jeżeli przyczynę tego, tak śmiesznego dziś dla nas wstrętu do osoby Byrona chcemy pojąć należycie, to cofnąć się musimy do ostatniego wielkiego wrażenia, którego doznał Byron podczas swego pobytu nad jeziorem Genewskiem, a mianowicie do wrażenia jawnej potwarzy, którą rzucono na niego w Anglii, a której charakter i zakres poznał teraz dopiero. Jestto ta sama potwarz, którą mrs. Beecher Stowe przed kilku laty w najlepsze ogłosiła światu jako poufną wiadomość, otrzymana od lady Byron, „w chwili kiedy blask niebieski oblewał eteryczne oblicze tej damy“—historję o występnyim stosunku pomiędzy Byronem a jego siostrą, mrs. Leigh. Ta historia z biegiem lat do tego stopnia stała się idea fixa u lady Byron, że jak dowodzi wydane w r. 1869 pismo *Medora Leigh*, córce Augusty Leigh, która, w przykrych będąc okolicznościach, zwróciła się do niej, nie zawahała się oświadczyć, że nie jest córką pułkownika Leigh, lecz dzieckiem lorda Byrona i przyrodniej

jego siostry. Zapowiedziała zarazem, że stale będzie się troszczyć o jej utrzymanie; o spełnieniu jednak obietnicy później zapomniała zupełnie. — O tem obwinieniu Byron, w chwili wyjazdu swego z Anglii, widocznie nie wiedział nic, albo prawie nic. Zaledwo był w stanie przeczytać wszystkie artykuły dziennikarskie o sobie. Mówi sam: „Dosyć już późno po moim odjeździe powiadomiono mnie o całym zachowaniu się i mowie moich nieprzyjaciół. Moi przyjaciele powinni byli powiedzieć wiele rzeczy, o których milczeli.“ Dopiero w Szwajcaryi dowiedział się o wszystkim przez jednego z przyjaciół. Tu dopiero zyskujemy klucz do prawdziwego zrozumienia poezyj, z Szwajcaryi, do Augusty. I tak czytamy w *Childe Haroldzie* (III, 55):

Był on złączony z jednym sercem tkliwem
W niepoświęconej lecz czystej miłości,
I tą miłością tak on był szczęśliwym,
Że nią zwyciężał wszystkie ludzkie złości.
Nigdy złą myślą uczuć tych nie skaził.
Pierwszy raz stały, nagle oddalony
Czuł tęsknotą, ku swej ulubionej
Śpiewał i słowa takimi wyraził.

Strofy do Augusty zawierają podobne wyrażenia, a wiersz: „Chociaż oczerniona, tyś się nie zachwiała“ (w drugim wierszu do niej) dowodzi, że i ona wiedziała o tych sromotnych pogłoskach.

Również teraz dopiero daje się wytłomaczyć zaszły w Szwajcaryi nagły przewrót w usposobieniu Byrona względem bylej jego małżonki. Byron, który w pierwszych chwilach po rozwodzie mówi, że „nie wierzy, aby podobna było znaleźć istotę weselszą, lepszą, miłszą, przyjemniejszą, niż ona“, i który całą winę składał na własną gwałtowność i nierozmyślność, teraz widzi tylko ciemne strony jej charakteru, i pod odmalowaniem tu pognębiającem wra-

żeniem zaczyna nieświeży bój przeciw kobiecie, który bez tego powinienby się zdawać niegodnym, i kreśli ostrymi rysami jej portret jako Donny Inez w pierwszej pieśni *Don Juana*. Stanowczy i prawdziwie druzgoczący dowód przeciw lady Byron wystąpił na jaw w październiku r. 1869 w *Quarterly Review*. Mianowicie wydrukowano tam siedem listów i biletów, które lady Byron po katastrofie napisała do mrs. Leigh i które przepelnione są czułością i serdecznymi oświadczeniami. Czytamy tam: że „pociesza ją wielce“ wiadomość, iż mrs. Leigh jest u swojego męża; że wprawdzie powinna teraz zrzec się myśli nazywania „najdroższej swej Augusty“ swoją siostrą, ale spodziewa się, że to bynajmniej nie spowodzi uszczerbku w jej życzliwym usposobieniu, jakie żywiła zawsze względem niej mrs. Leigh. W tym względzie przynajmniej“ (!), pisze, „jestem samą prawdą, kiedy mówię, że jakikolwiek obrót wziąć może moje położenie — niema człowieka, z którym obcowanie byłoby dla mnie droższem, albo więcej przyczynić się mogło do mojego szczęścia. Te uczucia wśród żadnych okoliczności nie będą mogły uleść zmianie. Gdybyś mnie miała potępiać, to i w takim razie nie będę cię mniej kochała“. Tak to lady Byron pisała do tej, którą w kilka lat później przedstawiła jako winowajczynię, która ją wygnała z domu męża. Nie dosyć na tem: przyjacielska korespondencja pomiędzy lady Byron a mrs. Leigh trwa wciąż aż do śmierci Byrona. Jeszcze ostatni, niedokończony list Byrona, zaczyna się wyrazami: „Moja najdroższa Augusto! Przed paru dniami odebrałem wiadomienie twoje i lady Byron o stanie zdrowia Ady“. I możemyż teraz przypuszczać, ażeby lady Byron przez całe życie Augustę, będącą wciąż pojednawczem ogniwem pomiędzy małżonkami, uważała za wyrodną zbrodniarkę, jakoby współwinną w nieszczęściu jej życia. Jakież to chaos kłamstwa i szalu!

Wyraz: szal, jest tu sprawiedliwym; albowiem, mówi *Quarterly Review*, jak lady Byron od samego początku na wytłómaczenie postępowania swojego męża nie mogła znaleźć innego wyrazu, nad obłąkanie, tak my dziś jej postępowania nie możemy wytłómaczyć sobie inaczej, jak tylko chorobą umysłową. „Ale zachodzi godna uwagi różnica pomiędzy chorobą jej a Byrona. Jego monomania zależała na tem, że chciał być, aż do niemożliwości, grzesznikiem, jej zaś monomania, że chciała być, aż do niemożliwości, świętą. On w usposobieniach szalu robił wszystko, co tylko mógł wymyśleć, ażeby oczernić swoją sławę, a ona jego skargi na samego siebie, które nieraz bywały tylko marnymi dowcipami i mistyfikacją, brała za poważny głos prawdy. Przeciwnie, jej halucynacje zmierzały do tego, ażeby podkopać imię i sławę tych, którzy byli jej najbliższymi i którzy powinni byli być dla niej najdroższymi. Któryż z tych dwu rodzajów obłąkania był tu niebezpieczniejszym i wstrętniejszym!“¹⁾

Ostatniem tedy wrażeniem Byrona w Szwajcaryi było przynębiające brzemie potwarzy, pod którem się ugiął. Myśli jego, naturalnie, wciąż wracały do niej, i jako artysta zaczął wsnuwać się coraz głębiej w samego siebie. George Sand raz w liście do Sainte-Beuve'a odmalowała kilku śmiałyymi rysami naturę swoją i w ogóle naturę poetów. Mówi ona o filozofii Jouffroy, który życzył sobie być jej przedstawionym, ale którego, jako zbyt surowego i zbyt ociężałego umysłowo moralisty, obawia się nieco. „Jouffroy“, pisze, „jestto widocznie człowiek, który, gdyby była mowa o jedzeniu mięsa ludzkiego, zawołałby: „Prawdziwemu człowiekowi nigdy nie przyszło na myśl, ażeby jeść mięso ludzkie!“ Pan, przeciwnie, co masz szerszy pogląd

¹⁾ *Quarterly Review* z października 1869. — Por. wyborne pismo Karola Elze o lordzie Byronie, str. 179.

na rzeczy, powiedziałbyś: „Mają znajdować się tacy ludzie, którzy rzeczywiście jedzą mięso ludzkie“. Ja, przeciwnie, pomyślałabym sobie niezawodnie! „Jakże to może smakować mięso ludzkie?“ — głębokie słowa, zawierające w sobie określenie istoty poety w przeciwieństwie do istoty spostrzegacza i moralisty. Silny popęd do pozwalania swej wyobraźni i rozwadze na wszelki eksperyment, na poddawanie pod myśl i fantazję tego, co w ludziach w ogóle budzi trwogę i obrzydzenie, były właściwemi Byronowi w najwyższym stopniu. Znana anegdota, która wywołała taką zgrozę, że raz trzymając mały nóż w ręce, zawołał: „Chciałbym wiedzieć, co się dzieje w sercu człowieka, który dopuścił się morderstwa!“ nie inne ma znaczenie. Nie mniej ponętnem dlań było zapuszczać się w świadomość winy występnej miłości, jak wyobrażać siebie w stanie świadomości mordercy. Najdawniejsi jego bohaterowie, jak Giaur i Lara, spełnili jakieś tajemnicze morderstwo, i wiadomo powszechnie, że tę zbrodnię jego bohatera przypisywano wprost samemu Byronowi, ba, nawet stary Goethe dał się do tego stopnia uwieść gadaniną ludzi, że w ocenie *Manfreda* nazwał „arey podobną do prawdy“ dziecięcą baśń piastunki, podług której Byron we Florencyi (gdzie szczególnie był tylko raz jeden przed południem) rzekomo miał stosunek miłosny z jakąś młodą damą, która następnie miał być zabita przez swego męża, za której śmierć znów pomścił się jakoby Byron, odbierając życie jej mordercy. Jak pierwwej w tragicznych pozach Lary upatrywano dowód popełnionych przez niego samego morderstw, tak za dni naszych dowód jego kazirodstwa chciano widzieć w rozpacz *Manfreda* i w małżeństwie Kaina z siostrą. Nie można się dziwić, że Byronowi i Moore'owi przychodziło na myśl napisać fantastyczną biografię lorda Byrona, w której tylu członków jednej płci miał zgładzić, a tyle członków drugiej uwieść, że można było spodziewać się

przesadzeniem zatkać usta wszystkim pozostałym zbieraczom anekdot. Odstąpili od zamiaru jedynie z obawy, że naiwność publiki gotowa by wziąć żart za poważną prawdę.

Przeto pomiędzy Shelleyem a Byronem z przyczyn łatwych do wytłumaczenia toczyć się mogła jedna i druga rozmowa o miłości pomiędzy bratem a siostrą, tembardziej, że ten sam płonny problemat zajmował także i młodszego poetę. Mianowicie drażniła Byrona ta okoliczność, że świętobliwcy w tym obłędzie tak surowymi byli sędziami, kiedy tymczasem sami uczyli dogmatycznie, że ludzkość, jako pochodząca od jednej pary, rozmnożyła się przez małżeństwo w rodzie bratnim. Dla tego też w *Kainie* zaznacza z naciskiem, że Kain i Adah są bratem i siostrą, i każe Lucyferowi przekonać ostatnią, że miłość ku bratu nie jest grzechem z jej strony, ale będzie nim u jej potomków, na co Adah odpowiada bardzo logicznie: Cóżto za grzech, który nie jest grzechem sam przez się? Czy zewnętrzna okoliczność wytwarza grzech, albo cnotę?

Jako plody wszystkich wskazanych tu pierwiastków psychologicznych powstały dramaty: *Manfred* i *Kain*. Pierwsze z tych dzieł jest mniej znaczące i niezawodnie nie wytrzyma porównania z *Faustem* Goethego, do którego pobudza i które tak często były robione. Sam Goethe czyni uwagę, że o niem możnaby mieć piękny odczyt, otóż właśnie miewało go wielu, ale nikt z większą oryginalnością i talentem, jak Taine. Tylko w jednym punkcie *Manfred* wznosi się ponad *Fausta*. Dla krytyka nic nie podaje lepszej modły na rozmaite części dzieła, nad tę okoliczność, co mianowicie po upływie lat zatrzymał w pamięci z danego poematu, a wiem stanowczo, że jedynym szczegółem, który utkwił mi w pamięci, gdy przez lat dziesięć nie czytałem *Manfreda*, była scena, kiedy on, który był tak surowym sędzią względem samego siebie, w chwili śmier-

ci, odrzuciwszy księdza i jego pocieszenie, ze stałą dumą i głęboką pogardą odprawia złe duchy, z którymi nie ma nic wspólnego i którym nie przyznawał nigdy najmniejszej władzy nad sobą. Przeciwnieństwo do *Fausta*, który zaprzeda się Mefistofelesowi i pada na kolana przed geniuszem Ziemi, jest uderzające. Poezie angielskiemu stał przed oczami ideał samodzielnej męskości, do którego poeta niemiecki nie wznosił się; jego bohater jest również typowo *męczyzną*, jak bohater Goethego jest typowo *człowiekiem*. Sam jeden tak w życiu jak i w śmierci, nie zostaje on w obcowaniu z piekłem, ani w stosunkach z niebem. Jest on sam oskarżycielem siebie, sam sędzią na siebie. Cała męska moralność Byronowska tu się zawiera. Na samotnych wyżynach poza linią śnieżną, gdzie słabość ludzka i miękkość już ustępują — tu dopiero duszy jego lekko oddychać, a krajobraz alpejski z samej natury układa się w ramy dla harmonizującej z jej dzikością osoby głównej.

Ale w *Manfredzie* wykazuje się tylko egoistyczna strona poetyckiej duszy Byrona. Jego głęboka, wszechludzka sympatya wyraziła się całkowicie po raz pierwszy w *Kainie*, dramatycznym poboczniku *Manfreda*. *Kain*, jest to wyznanie wiary Byrona, t. j. wyznanie wszelkich jego zwątpień i wszelkiej jego krytyki. Jeżeli weźmiemy na uwagę tę okoliczność, że Byron ani drogą refleksyi, nie zdobył sobie otwartego, humanitarnego poglądu na świat, jak Shelley i wielcy poeci niemieccy, ani też dla wszystkich swoich marzeń i zaciekań się nad życiowymi poglądami przeszłości i teraźniejszości, nie miał pod sobą oparcia w naukowem poznaniu natury i w naukowej krytyce pism biblijnych, jak poeci naszych czasów, tedy wysoce podziwiać musimy energię i powagę, z jaką pochwycił tu wszystkie najwyższe zagadnienia życia.

Jako osoba prywatna, Byron był niezawodnie również

niewytrawnym w swej wolnomysłności, jak dyletantem był w swej polityce. Jasny jego rozsądek oburzał się przeciw wierze w absurda, ale jak największą część wielkich ludzi na początku stulecia, t. j. przed rozwinięciem się nauki religii i natury, był on zarazem sceptykiem i zabobonnym. Dzieckiem jeszcze będąc, już przejął się niechęcią ku religii; matka zapędzała go regularnie do kościoła, a on mścił się w ten sposób, że klął ją szpilką, kiedy mu się zanadto nudziło. Jako młodzieńca drażniła go ślepa, literalna wiara kościoła angielskiego z jego 39 artykułami, i w swoim *Memorandum* napisał, że również nadaremne jest zakazywać badania rozumu, jak wołać na czuwającego: „Nie czuwaj, ale śpij!” Wiara w wiekuiste piekło była podobnie przedmiotem ustawicznych jego zarzutów. W r. 1822 pisze do Moore’a: „Przypomnij sobie pan odpowiedź Fryderyka Wielkiego na skargę gminy chłopskiej, której pastor miał kazanie przeciw wiekuistości mąk piekielnych. Brzmiała ona tak: „Jeżeli moi ukochani, wierni poddani wolą być potępionymi wiecznie, to i owszem, wolno im“. Zgroza ogarnęła współziomków Byrona. kiedy w *Don Juanie* wymienił „starą sławę i prawdziwą religijność“ jako najpewniejsze środki na uspokojenie zagorzałych umysłów. Wprawdzie brzydził się klechami, i wołał do Trelawneya: „Kiedyż to księża otaczali opieką geniusz? Jeżeli który z ich czarnej bandy ośmieli się myśleć, to ogłasza jego potępienie przy huku bębnow, jak Sterne’a albo Swifta“, a do Moore’a odzywa się tak: „Łotry klechy więcej wyrządziły szkody religii, aniżeli niedowiarki“. Jednakże pomimo wszystkich swoich dowcipów i wycieczek nie czuł się pewnym gruntu pod sobą. Nie miał on tyle odwagi, ażeby zgodzić się na wyniki, do których refleksya doprowadziła Shelleya, i swoją naturalną córeczkę oddał na wychowanie do klasztoru, ażeby jego dziecko nie pozostawało pod wpływem wolnomysłnych

rozmów Shelleya i jego żony. Piękny i charakterystyczny list Shelleya świadczy stanowczo o chwiejności Byrona. „Lord Byron—pisze—przeczytał mi jeden i drugi list Moore’a, gdzie Moore mówi o mnie nader życzliwie, a nie może nie pochlebiać mi uznanie człowieka, którego wyższość nademną z całą dumą uznaje. Ale Moore zdaje się obawiać mego wpływu na Byrona pod względem religijnym i ton, w którym prowadzony jest *Kain*, przypisywać wpływowi pochodzącemu z mojej strony. Proszę pana o zapewnienie Moore’a, że ja pod tym względem nie mam najmniejszego wpływu na lorda Byrona; gdyby tak było, niezawodnie użyłbym tego wpływu na wygładzenie z jego duszy mary chrześcijaństwa, która wbrew jego rozumowi zdaje się wracać nieustannie i stać w odwodzie na godziny choroby i nieszczęścia. Kaina Byron obmyślił i rozpoczął na wiele lat pierwej, niżem go widział w Rawennie. Jakże byłbym się czuł szczęśliwym, gdybym mógł być przypisać sobie choćby pośrednie tylko uczestnictwo w tem nieśmiertelnem dziele!“

Widzimy więc, że Byron, jako człowiek prywatny, wcale nie zdobył sobie umocowanego na zasadach pojmowania życia. Ale z tem większem podziwieniem spostrzegamy, jak w twórczości poetyckiej Byrona geniusz jego porywa go za sobą, czyni go wielkim i zwyciężkim w dowodzeniu i uzdalnia do trafiania z nieporównaną pewnością w punkty rozstrzygające kwestyę. A jakież to nastąpił przewrót w poezyi europejskiej, która w r. 1821 aż po samą szyć brnęła w wierze biblijnej i ciemnocie religijnej! Wrażenie to porównać można tylko z wrażeniem, które w czternaście lat później wywołało w świecie naukowym *Życie Jezusa* Dawida Straussa. Poeci niemieccy w swobodnym helenizmie swoim już przedtem odsunęli Biblię. Aż tu powstał inny poeta, mniej przenikły swobodą, który siedział uwięziony w klatce dogmatów, ale obiegał po niej jak zwierzę drapieżny i wstrząsał pretami klatki.

Kain nie jest napisany z drżącym pośpiechem natęgnięcia; dramat toczy się bez burzy i grzmotów. Byron umiał tu dokonać tego, co dla burzliwych dusz jest najtrudniejszym i co stanowi jądro wszelkiej moralności: umiał skanalizować swą namiętność, t. j. ślepy jej potok uczynić upładniającym. Dramat ten jest pracą szperacza. Jest to dzieło świdrującej zwolna i wydrażającej refleksyi, analitycznej bytowości i rozdzierającej na włókna siły myślenia. Nigdzie nie dają się, tak jak tu, zastosować do Byrona wyrazy, które Goethe w drugiej części *Fausta* kładzie w jego usta, jako Enforiona:

Łatwość podboju
Sprawia mi wstępną;
Tylko plon znoju
Dla mnie ma nęć.¹⁾

Całą druzgoczącą maszyneryę ducha, która tu działać się zdaje na pozór z takim jej opanowaniem i z taką pewnością, popycha do polotu zapalona i potężnie gorejąca fantazyja, a z pod niej, w samej głębi słychać tu łkanie duszy. Wiara Byrona przydała mu się tak dobrze, jak jego niewiara. Z pełną naiwnością poetyczną Byron zwraca się do legendy Starego testamentu w jej obecnej postaci. Postacie mytów traktuje nie jako symbole, lecz jako rzeczywistości, i biorąc się w ten sposób do dzieła, postępuje rzetelnie. Przychodzi mu to z łatwością, albowiem sceptycyzm Byrona nawet w obrębie jego poezyi krąży stale na gruncie tradycyi i ma go w domysle jako podstawę. Oprócz tego był on starotestamentowy w umysłowym kierunku swoim i w życiu psychicznym. Na dnie duszy drgały tam skarzące jęki Hioba, kiedy ten przyjmował słowa pociechy i upomnienia od przyjaciół; w sercu jego dniem i nocą roz-

¹⁾ Przekład Józefa Paszkowskiego.—Przyp. tłum. polsk.

legał się krzyk zemsty, podobny krzykowi Dawida. *Melodye hebrajskie* świadczą, jak dalece szata izraelska odpowiada formom jego uczucia.

Kiedy więc oto Byron z całą szczerotą zapuszcza się w tradycję i tymczasowo rozum swój ugina pod jej jarzmo, widzimy z drugiej strony w jego poemacie, jak rozum ludzki wije się pod tem jarzmem, powstaje przeciwko niemu, czuje męczeński ból od żądła i miota się przeciw żądłu. A co temu dramatowi więcej jeszcze nadaje uroku, to mianowicie ta okoliczność, że ów rozum ludzki jest jeszcze młodym i nowonarodzonym. Na prawdziwego poetyę wschód słońca oddziaływa tak silnie, jak gdyby widział je wschodzącem w pierwszym dniu stworzenia; u Byrona wszelkie zwątpienia i kwestye miały taką świeżość, że można było włożyć je w usta każdego pytającego i wątpiącego. Dla ukształtowania tych zwątpień i skarg potrzeba było nie mniej, jak całego, długiego szeregu pokoleń, które jęczały i usychały pod tyranstwem życia i niedorzecznością oddziedziczonych legend. Ale kiedy nagromadzoną boleść tysięcy, kiedy ciągle powiększaną mękę patrzenia się na przykrępowany do katowskiej łąwy wiary swobodny rozum ludzki włożono tu w usta pierwszemu rokoszninowi, wypowiada on wszystko tak pierwotnie i tak naiwnie, jak gdyby w tym pierwszym myślącym mózgu już się była dokonała robota myślenia milionów. Ta gwałtowna sprzeczność, oto najpierwszy porywający rys w tym poemacie.

Ta część dramatu, w której odkrywają się z jednej strony wszystkie wewnętrzne sprzeczności żydowsko-chrześcijańskiej tradycyi, z drugiej strony jej sprzeczność z rozumem — kryptopolemiczna część w nim dziś przedstawia dla nas dosyć mało znaczący interes; ludzkość od r. 1821 o tyle już kroków posunęła się naprzód, że cała subtelność, poświęcona na sprowadzenie ad absurdum teologii pierw-

szej księgi Mojżesza, wygląda w oczach naszych prawie tak samo, jako polemika przeciw wierze w wilkołaki. Ale w gruncie rzeczy wspomnianą polemikę tylko pozornie brać należy w znaczeniu literalnem; ma się rozumieć samo przez się, że nie mogło być zamiarem Byrona pisać bluźnierczo; byłoby to szaleństwem odważać się na krytykę najwyższej, wszystko ogarniającej istoty. Rzeczywiście, *Kain* uderza jedynie na to wierzenie, jakoby porządek przyrodzenia miał charakter etyczny, jakoby dobro, zamiast być celem życia ludzkiego, miało być zgóry jego zastrzeżeniem. Pamiętać jednak należy, że mowa ludzka pełna jest wyrazów, które wytworzyła przeszłość, a których następne wieki zmuszone są używać, ponieważ innych mowa nie posiada, chociaż tłómaczy je w coraz to nowem znaczeniu. Takimi wyrazami są np. dusza i ciało, wieczność, zbawienie, raj, pierwsze pokuszenie, pierwsze przekleństwo i t. d. a Byron w poemacie swoim zatrzymał wszystkie wyrażenia Genezy. *) Powtórę więc, przez tę drugą pobudzającą do rozważi sprzeczność, dramat jego sprawia to, że zatrzy-

1) Co do tego przedmiotu Renan robi taką uwagę: W przypuszczeniu nawet, że dla nas filozofów byłby stosowniejszym inny wyraz, — pomijając ten wzgląd, że wyrazy oderwane nie dosyć jasno wyrażają istnienie rzeczywiste — byłoby niezmiernem uchybieniem oddzielać się przez naszą mowę od naiwnie prostych ludzi, którzy w swoim rodzaju składają hołd Bogu tak pobożnie. Ponieważ Bóg ma takie poszanowanie u ludzi, ponieważ ma za sobą głęboką starożytność i używano go we wspaniałych poezjach, przeto zarzucać go byłoby to zadać policzek wszelkiemu zwyczajowi mownemu. Powiedźcie naiwnie prostym ludziom, że dążyć powinni do prawdy, piękności, do szlachectwa moralnego — te wyrazy nie będą miały dla nich żadnego znaczenia. Każcie im miłować Boga, nie obrażać Boga, a zrozumieją was wybornie. Bóg, opatrność, nieśmiertelność, są to tylko dobre stare słowa, może nieco zbyt ociężałe, które filozofia wykladać będzie w coraz to bardziej wysubtelnionem znaczeniu, ale których szczęśliwie i korzystnie nigdy nie zastąpi. *Etudes d'histoire religieuse*, pag. 418.

mano tu wszystkie dawne teologiczne i barbarzyńskie wyrazy, tak że zachodzi nieprzerwany kontrast pomiędzy duchem poematu a jego literą. Ta druga sprzeczność wstrząsa czytelników, których pierwsza wystraszyła ze snu.

Ale przedstawieniu płaskości pospolitego teizmu odpowiada w tym poemacie namiętne wypowiedzenie nieskończonej niedoli bytu ludzkiego. Nie pesymizm, jak to nazwano czechem i bez znaczenia wyrazem, lecz głębokie uczucie niezaprzeczalnej nędzy ludzkiej jest tu podstawą. Daleko głębiej, aniżeli rozgoryczenie przeciw światowładczej potędze, która tworzy na to tylko, ażeby niszczyć, w duszy Byrona leży uczucie konieczności współubolewania wszystkich ku wszystkim, głębokie współczucie ku wszelkiemu cierpieniu, któremu nie można zapobiedz, ale na które zobojeć nie podobna. *Kain* jest tragedją owego głównego tragizmu, że człowiek rodzi się, cierpi, staje się winnym i umiera. Byron motywuje legendę biblijną: Adam ugłaskany, Ewa uśmierzona, Abel jest łagodnym i posłusznym chłopięciem; Kain, to młoda ludzkość, która bada i zacieka się, pragnie i żąda. On powinien uczestniczyć w dziękczynnej modlitwie. Za co chwalić i dziękować? Za życie? Ażaliż nie muszę umierać!? Za życie? Czyż ja życzyłem sobie żyć? Za życie? Alboż to ja jestem jeszcze w ogrodzie Eden? Jakim prawem ja cierpię? Za grzech Adama? A cóż mnie do grzechu Adama? Dla czego skuszono go do przewinienia? Dla kogo posadzono drzewo, jeśli nie dla niego? Dla czegoż, jako najpiękniejsze, umieszczono je wśród ogrodu w pobliżu niego? Dla czegoż niewinność wodzić na pokuszenie, drażniąc jej ciekawość? Byłoby to dobrem dla tego, że Bóg tego chciał? Czyż to odpowiedź? Możeż dobry stwarzać złe? A cóż innego On stworzył? A jeśli złe prowadzi do dobrego, czemuż tedy nie uczynić odrazu dobrego? W tysiącznej nędzy uwielokrotnił się Bóg, a przecież jest

szczęśliwym. Jak można być szczęśliwym, kiedy się nim jest samemu tylko? błogosławionym, kiedy się jest jedyną istotą, zażywającą błogosławieństwa? I samotnym jest on nieogarniony, niezagladny tyran. My jesteśmy niczem wobec niego. Dobrze! tedy przynajmniej nie chcę obłudnie udawać zadowolonego moją nicością, a moim mękom wydawać się wesolym. Wojna wszystkim przeciw wszystkim i przeciw wszystkim rzeczom, i śmierć dla wszystkich, i choroba dla największej części i tortura i gorz, oto są owoce drzewa zakazanego. Czyliż więc los człowieka nie jest nędznym? Tylko jedno dobre dało nam jabłko losu: rozum. Ale któż może być dumnym ze swojego rozumu, który przykuty jest do dręczącej się cielesnie masy i do nędznych potrzeb istoty, której najwyższą rozkoszą jest słodkie poniżenie siebie samego, targające nerwy, brudne mamidło? Nie raj, lecz śmierć otrzymaliśmy w dziedzictwie na tej oplakanej, drobnej ziemi, mieszkaniu stworzeń, których najwyższe szczęście miało zależeć na tem, ażeby żyć w Edenie niewiadomości, z którego poznania niewygnaniem było jako trucizna. A terazże pomyśleć jeszcze, że cała ta nędza ma się wciąż odradzać i przechodzić dziedzicznie! Nie byłoby lepiej włożyć dziecko rozbić o skałę i zabić je odrazu, ażeby źródło niedoli powstrzymać w chwili wytrysku? Nie byłoby niewypowiedzianie lepiej, ażeby dziecko nigdy się było nie urodziło? Skąd komukolwiek przyjdzie odwaga wydawania dzieci na taki świat? I za takie-to istnienie ja mam zasylać dziękczynne modły do nieba?

Taki to jest nastrój duszy Kaina, kiedy zmuszają go udać się na spełnienie ofiary, a mowy Lucypera rozwinęły go w niej. Albowiem Lucyper przekłada męczarnie nad płaszczenie się z hymnami i harfami. Ten Lucyper to nie dyabeł. On sam mówi:

A któż to szuka goryczy zlego,
Gwoli jej samej?—Nikt a nikt!
Jestto rozczynny kwas na wszelki
Byt i niebyt.

Nie jest on i Mefistofeilesem: wyjąwszy lekki żart okolicznościowy, zachowuje się on ze ścisłą powagą. Nie, ten Lucyper rzeczywiście przynosi światło, jestto geniusz nauki, dumny i zuchwały duch krytyki, najlepszy przyjaciel ludzi, strącony, ponieważ nie chciał płaszczyć się i klamać, ale nieugięty, ponieważ jest wiecznym jak jego nieprzyjaciel. Jestto duch swobody. Ale—rzecz osobliwsza!—nie jest on jawną i otwartą walką o swobodę, lecz swobodą, która ożywia sprzysiężonych i spiskowców, ciemną i złowieszczą, milczkiem kroczącą po drogach zakazanych, owym porywem swobody, który w r. 1821 ożywił wszystkich rozpaczających młodych bojowników wolności w Europie.

W książce swojej *Sprawiedliwość w rewolucyi i w kościele* Proudhon odzywa się do arcybiskupa w Besançonie: „Swoboda jest waszym antychrystem. Opójdź, szatanie, ty spotwarzony przez kapłanów i królów, niech cię uściskam, pozwól, ażebym przycisnął cię do serca! Twoje dzieła, o ty błogosławiony mojego serca, nie zawsze są piękne lub dobre; ale tylko sam nadajesz wszechświatowi jakieś znaczenie. Czem byłaby sprawiedliwość bez ciebie? Instynktem. Czem rozum? Przyzwyczajeniem. Czem człowiek? Zwierzęciem“. Tak rozumiany szatan niczem innem nie jest, jak tylko swobodną krytyką, i gdyby poezya Byrona została nazwaną od *niego*, to mogłaby mieć nazwę „szatańskiej“, nie wstydząc się tego. Przez Lucypera *Kain* staje się dramatem duchów; Lucyper bowiem oprowadza swego ucznia po przestworze wszechświata, pokazuje mu wszystkie światy z ich mieszkańcami, królestwo śmierci i drzemiące we mgłach przyszłości, jeszcze niezrodzone pokolenia. Od Kaina nie wymaga on ani ślepej wiary, ani ślepe-

go posłuszeństwa. Nie mówi: „Zwątpij o mnie, a spadniesz — uwierz, a będziesz wzniesiony!“ Nie robi on wiary w niego warunkiem ocalenia Kaina i nie domaga się ani ugięcia kolana, ani dziękczynienia. Otwiera oczy Kainowi.

Następnie Kain powraca na ziemię, i pierwszy rokoszanin zostawia pierwszego zabójcę sam na sam z sobą, jako łup trawiącego zwątpienia. Ma nastąpić ofiara, a on ma wybrać ołtarz. Czem są dla niego ołtarze? Tylko kamieniem i darnią. On, który brzydzi się cierpieniem, nie chce zabijać niewinnych zwierząt na cześć łaknącego krwi Boga, składa owoce na ołtarz. ¹⁾ Abel odmawia pobożnie modlitwę podług prawidła. Kain powinien także modlić się. Cóż ma powiedzieć?

Jeśli cię uspokoić potrzeba ofiarą

To przyjmij moją, Boże! Jeśli ty krew lubisz,

To weź ofiarę Abła.

Ten, co zbudował ten ołtarz,

Jest takim, jakim go-ś stworzył. Nie żąda on tego,

Co się zdobywa klęskami.

Wtedy błyskawica zapala ofiarę Abła, i ogień niebieski liże chciwie krew tego ołtarza, a tymczasem kręty wichur z pogardą rozwala ołtarz Kaina. Czy Bóg radował się boleścią beczących macierzy, kiedy porwano ich jagnięta i poprowadzono do jatki? Czy miło mu było patrzeć na mękę biednych zwierząt pod świętobliwym nożem? Wzburzyła się krew w Kainie, chce zwalić tamten ołtarz, ale Abel przeszkadza mu w tem i wstrzymuje go. „Strzeż się, twój Bóg lubi krew!“ I obłąkany gniewem, męczarniami, przeznaczeniem swoim, Kain wpada w sidła, które nań zastawił Jehowa i spełnia pierwsze zabójstwo, nie wiedząc, co to znaczy zabójstwo, i tym sposobem wprowadza śmierć do

¹⁾ W tym punkcie widocznym jest wpływ Shelleya.

świata ludzkiego, której samo imię, kiedy ją przepowiada — no ludzkości, już go wówczas wprawiło w stan okrucieństwa. Czyn jest już odwołanym, nim został spełnionym; bo Kain, który kocha wszystkich ludzi, kocha Abła serdecznie. Potem następuje przekleństwo, kara, wypędzenie i piętno Kaina.

To piętno Kaina jest piętnem ludzkości: piętnem męki i nieśmiertelności. Dramat Byrona maluje walkę pomiędzy cierpiącą i badającą ludzkością z jednej strony, a owym Bogiem błyskawicy, burzy, i zastępów z drugiej, którego osłabione ramiona zmuszone są zaniechać świat, co się wymyka z miedzianych jego objęć. Dla zagłady świata, który go zaprzecza, może on puszczać rzeki krwi i kapłanom swoim kazać krociami zapalać stosy; ale Kain powstaje nietknięty z popiołów stosu i tych kapłanów bieczone nieśmiertelną pogardą. Kain, to ludzkość myśląca, która jednego pięknego poranku przebija stare sklepienie nieba i w swobodzie swej widzi miliony ciał niebieskich, toczące się wysoko po nad hukiem piorunowego rydwanu Jehowy. Kain, to ludzkość pracująca, co w pocie czoła usiłuje stworzyć nowy i lepszy Eden, nie Eden niewiadomości, lecz poznania i harmonii, a który, kiedy Jehowę oddawna już owinie szata śmierci, żyć jeszcze będzie i odnalezionego Abła przycisnie do serca. ¹⁾

Kaina poeta przypisał Walter-Scottowi, który uznał, że muza Byrona dotąd nigdy jeszcze nie przybierała tak wzniosłego polotu i z góry wziął wieszczą pod obronę przeciw napaściom krytyki. Ale ogłoszenie *Kaina* pomimo to uważanem było w Anglii za prawdziwą klęskę narodową i obwołane ze zgрозą. Już po przesłaniu sobie rękopisu, Murray nalegał na podjęcie zmian, a Byron odpowiedział:

¹⁾ Por. Leconte de Lisle: *Poèmes barbares*. Cain.

„Obu miejsc nie mogę zmienić, żebym zarazem nie kazał szatanowi przemawiać tak, jak biskup Lincoln, co z charakterem pierwszego nie licowało by zupełnie.“ Natychmiast po wyjściu *Kaina* przedrukowano go, i Murray zwrócił się do lorda Eldona z prośbą o jaknajrychlejszą obronę jego własności. Odrzucono ją, i to w wyrazach następujących: „Sąd, zgodnie ze wszystkimi innymi sądami tego kraju, uznaje chrześcijaństwo, jako fundament wszystkich praw angielskich. I obrona prawa własności księgarskiej opiera się także na tem prawie. Ale niniejsza książka, która ma zamiar poniżyć odpowiadającą jej część Pisma świętego, nie jest tego rodzaju, ażeby nakładcy mogło być przysądzonem wynagrodzenie straty z powodu przedruku.“ Nie więc dziwnego, że *Kaina*—jak *Wat Tyler* Southeya—uznano za pismo tak zbrodnicze, że wobec niego nawet prawo własności utraciło moc swoją.

Tymczasem Moore napisał do Byrona: „Kain jest cudowny, okropny, nigdy zapomnianym nie będzie. Jeżeli się nie ludzę, zapadnie on głęboko w serce świata.“ Historia potwierdziła to zdanie.

XX.

Kiedy fale podróżujących anglików pod jesień r. 1816 zaczęły zalewać Szwajcaryę, Byron pobytu swego tam nie mógł już znieść dłużej i wybrał się razem z towarzyszem podróży swej za czasów młodości, Hobhousem, w drogę do Włoch. W Medyolanie spotkał się z Byronem jeden z najsubtelniejszych i najbystrzejszych w swoim czasie spostrzegaczy, Henryk Beyle, i mocny to dowód nadzwyczajnego wrażenia, jakie wywierała jego osobistość, że podbiło umysł nawet tego młodego człowieka, który ciągle miał się na baczności, ażeby nie dać się uwieść niewczesnemu zapalowi,

i który szybko odkrył, co w postawie Byrona było wymuszone. Mówi on: „Spotkałem lorda Byrona w teatrze La Scala w loży ministra de Brême. Oczy jego wprawiły mnie w zdumienie w chwili, kiedy słuchał sekstetu z *Eleny* Meyerbeera. Nigdy w życiu mojem nie widziałem nie tak pięknego i pełnego wyrazu. Dziś jeszcze ta wyniosła głowa wynurza się w mojej pamięci, kiedy pomyślę, jaki to wyraz wielki malarz powinien by nadać geniuszowi. Przez chwilę byłem w zachwyceniu... Nigdy nie mogę zapomnieć boskiego wyrazu jego rysów. Była to jasna świadomość potęgi i geniuszu.“

Z Medyolanu Byron przybył do Wenecyi, miasta ulubionego nad wszystkie inne, które wysławiał w czwartej pieśni *Childe Harolda*, w *Marino Faliero*, w *Dwóch Foscari* w *Odzie do Wenecyi* i nakoniec w napisanym na miejscu *Beppo*. Nigdy serce jego nie było tak ściśnione, jak w owej chwili, i nigdy nie potrzebował on tak dalece zapomnienia. Zachwycający klimat i czarująca atmosfera Włoch po raz pierwszy owiały go ciepłem. Miał lat dwadzieścia dziewięć. Pięknością kobiet, lekkością obyczajów, całem swem życiem południowem Wenecya zapraszała do szalonego upojenia zmysłów. Pałaca tęsknota do szczęścia i roskoszy tkwiła w naturze Byrona, a jego upór był zadrażniony do najwyższego stopnia. Uważano go jednak za zdolnego do wszelkich wybryków, mógł przeto swoim podróżującym ziomkom rzeczywiście dać pobudkę napisania do domu, a starym kwokom powód do młodości; jakoż mdlały one i pisały plotki o nim.

Pierwszą rzeczą, pierwszym krokiem, który zrobił Byron w Wenecyi, było wystaranie się gondoli, gondoliera, loży w teatrze i kochanki. Ostatnią znalazł łatwo; zamieszkał u kupca, którego młodą dwudziestoletnią żonę, Maryannę Segati, przedstawia jako antylopę z dużemi ciemnymi oczami. Ona i Byron tak się w sobie zakochali, że Byron

Hobhouse'a wyprawił do Rzymu samego jednego. „Chciałem jechać razem,” pisze, „ale jestem zakochany i muszę czekać, aż to przejdzie.” Młoda dama ciągnęła go za sobą na wszystkie zabawy karnawałowe. Żył zupełnie na sposób wenecki, szalał po całych nocach, zachowywał—z obawy, aby nie dostać tuszy—zwykłą swoją postną dyetę, żył tylko pokarmami roślinnymi i musiał pić w wielkich dozach ulubiony swój trunek arak z wodą, ażeby siły żywotne utrzymywać w napięciu. W tym bowiem czasie wykończył *Manfreda*. Mamy posępną wskazówkę ówczesnej bezładności jego życia, a mianowicie tę, że, jedynie dla jakiegokolwiek przeciwwagi wśród ciągłego roztargnienia i dla nadania swoim zajęciom punktu ciężenia, kilka godzin codziennie spędzał w klasztorze San Lazaro na uczeniu się po armeńsku od mnichów. Sprowadził swoje konie wierzchowe do Wenecyi, i jak godziny przedpołudniowe na naukę języka armeńskiego, tak wieczory poświęcał na ćwiczenia ciała, a mianowicie na przejażdżkę konną. Z Shelleyem i innymi przyjaciółmi przeprowadzał się gondolą do Lido, płynąc tam i napowrót. Wspomnienie o rozmowach Byrona podczas tych wycieczek zachował nam Shelley w swoim *Julian i Maddalo*. Byron i Shelley spostrzegają przy zachodzie słońca na jednej z wysp niekształtną wieżę bez okien, odbijającą się, niby ciemna płaskorzeźba, od nieba stojącego w płomieniach. Słyszą dzwony, odzywające się stamtąd chrapliwie miedzianym językiem: „To, co tam widzimy,” powiedział Byron, „jest to dom obłąkanych—

Kto przejdzie tędy, słyszy dźwięk dzwonu,
Który tam wzywa obłąkanych z celi
Na nieszpór. Oto obraz ludzkiej doli:
Oto jest dla nas godło i znak tego,
Co rzekomo boskiem jest i wiekuistem,
I jak ów czarny, posępny dzwon, dusza

Z górnej swej wieży musi wzywać nasze
Myśli i chęci, żeby się schodziły
Do skrwawionego serca i modliły
Jak obłąkańcy. A o co? O, tego
Wiedzieć nie będziem, aż kiedy noc śmierci,
Jak zachód słońca owe dziwne widmo,
Oderwie od niej pamięć, a nas od wszystkiego
Czegośmy w życiu szukali—daremnie ¹⁾.

Żadne porównanie nie maluje lepiej życia Byrona w tym okresie. Niezawodnie jego żądze i rokosze podobne były do szalonych, których raz tylko na dzień jedno—czył dźwięk dzwonu w domu obłąkanych. Z wielką trudnością, kiedy niezdrowe powietrze Wenecyi przyprawiło go o gorączkę, oderwał się na tyle od Marianny Segati, że w małej wycieczce swej mógł zwiedzić Ferrarę i Rzym; ale po powrocie znikła gwałtowna namiętność do niej, skoro Byron dowiedział się, że podarowane sobie przez niego kosztowności sprzedawała i że wogóle stosunek swój do niego starała się uczynić jak tylko można było najzyskowniej—szym. Podczas pierwszego pobytu swego w Wenecyi poszukiwał przede wszystkim dobrego towarzystwa, które zgromadzało się szczególnie w salonie wykształconej literacko hrabiny Abrizzi; teraz wycofał się zupełnie z arystokratycznych kół dobrego tonu. Dla siebie i dla swojej menażeryi wynajął wspinały pałac nad Canale Grande; pałac ten wkrótce zamienił się w harem, a ulubioną sułtanką w nim została młoda kobieta z ludu, Margarita Cogni, którą, ponieważ zaślubiona była z piekarzem, na jej miedziorycie, odbitym na żądanie nakładcy Byrona, nazwano Fornariną Byrona. Jej twarz była najpiękniejszego kroju weneckiego, postać może nieco zbyt wielka, ale przeto nie mniej piękna i zupełnie przypadająca do kostiumu narodowego. Posiadała ona doskonałą naiwność i kro-

¹⁾ Shelley, *Julian and Maddalo*.

tochfilność weneckiego dziecka z ludu, a że nie umiała ani czytać, ani pisać, nie mogła więc dręczyć Byrona listami. Była zazdrosna, zdzierając maskę ze znakomitych dam, jeśli zobaczyła je w towarzystwie Byrona, i przychodziła do niego, kiedy się jej podobało, nie pytając o czas, miejsce i osoby. W jednym z listów swoich Byron mówi o niej: „Kiedym się zapoznawał z nią, miałem *liaison* z pewną znaczną damą, która tak była nierozsądną, że jej groziła. Margarita, zaczepiona przez tę damę, odwinęła chustkę okrywającą jej głowę i odparła arcy niewyszukanym frazesem weneckim: „Pani nie jesteś jego żoną i ja nie jestem jego żoną. Pani jesteś jego donna i ja jestem jego donna. Pani mąż jest głupiec i mój mąż jest głupiec. Jakież więc masz pani prawo lajać mnie? Czy to moja wina, że on mi daje pierwszeństwo?“ Wyciąwszy w najlepsze takie arcydzieło wymowy, pozostawiła damie wolne pole dalszego zastanowienia się nad jej wyrazami“. Nakoniec zamieszkała formalnie u Byrona jako *donna di governo*, przez surowy porządek ograniczyła jego wydatki do połowy i przechadzała się po pałacu w sukni z ogonem i w kapeluszu z piórami—strojach parady, które były oddawna najwyższym celem jej pragnień — była służące, rozpieczętowywała listy Byrona i usiłowywała koniecznie nauczyć się abecadła, ażeby jakimkolwiek sposobem wysledzić listy dam. Przy całej gwałtowności swej kochała go; radość jej, kiedy zobaczyła go powracającego szczęśliwie z niebezpiecznej żeglugi, była radością „tygrysy, odzyskującej swoje tygrysiątko“, i kiedy Byron wzrastającą wciąż jej niesfornością zmuszonym został oddalić ją, wtedy, zagroziwszy mu nożem, we wściekłości i rozpacz pod czas nocy rzuciła się do kanału. Pochwycono ją jeszcze zawczasu i odesłano do domu, a Byron jej historię opisał obszernie w liście do Murraya; wiedział on, że jego listy do nakładcy, zupełnie tak samo jak rzeczy drukowane-

albo akta urzędowe, przechodzą z rąk do rąk, a przyjemność pochodząca z wybryków była dla niego tylko polowiczną, jeżeli zarazem nie postarał się, ażeby w Anglii żymano się i gorszono.

Widzimy już z przytoczonego listu, że w rozkielznanem życiu weneckiem nie zaginął, lecz wyzyskał zeń komiczną i humorystyczną jego stronę. Również dla duchowego i poetyckiego rozwoju Byrona bynajmniej nie było ono stracone, kiedy w ojczyźnie jego przyjaciele trapił się niepokieszenie, że tak stawia na grę swoją godność i poszanowanie obywatelskie; z dzikiego i wesołego życia karnawałowego wpośród kobiet z ludu i pod uśmiechnętem niebem Włoch wywiązał się nowy, realistyczny styl w jego poezyi. W poezjach młodości melancholijnie i z sercem rozdartem boleścią malował on odpływ życia, w swoim *Beppo* podniósł się nagle gwałtowny przypływ życia. Był to realizm humoru, rzeczywistość życia, rozplywająca się w śmiech i żart. W pierwotnem jego patos było nieco monotonii i maniery. Tu geniusz jego wylenił się, monotonię przerwał zadzierganie ustawicznie zmieniających się tematów i tonów, a wszelką manierę wydmuchał niejako śmiech serdeczny. W jego pierwotnych satyrach dawała się spostrzegać dobra miarka zajadłości i poważny brak gracy i humoru. Teraz, gdzie samo jego życie na krótką chwilę przybrało charakter hulanki zapustnej, gracya stała się sama przez się, tańcząc i kręcąc się po jego strofach, podczas gdy dzwonki humoru wybrzękiwały takt. *Beppo* jestto sam karnawał wenecki, ów stary temat, który Byron, jak drugi Paganini, znalazł na swojej drodze, zatknął na skraju boskiego smyczka swego i pełnią śmiałych i genialnych waryacyj wyposażył ją przepyszmem haftowaniem z pereł i złotych arabesków. Podówczas właśnie już zapoznał się był z angielskim poematem komicznym o królu Arturze i rycerzach Stołu Okrągłego, które-

go autor, dyplomata John Frere, naśladował tu dokonaną przez włocha Berni przeróbkę *Rolanda szalonego*, pierwszego poematu (Bojardo'a), pisanego oktavami. Utwór ten wzbudził w Byronie chęć zdobycia się na coś podobnego, a z naśladowania wywiązał się artystyczny żart, którego doskonała oryginalność zatarła wszelkie ślady przypominające pierwtwór. Tu znalazł on gotową formę, której mógł użyć, znalazł broń, przypadającą do jego ręki: oktawy z potrójnie rymowanym sekstetem, do którego dwa końcowe rymy dodają już to ostateczny finał, już to żarcik, już to jakiś wyskok językowy, już to świszczącą strzałę do wcihu. O czym traktuje sam poemat? O takim samym nie, jak *Namouna* Alfreda de Musset, albo *Tancerka* Paludana Müllera, które ukazały się w szesnastu lat później, jako naśladowania *Beppa*. O akeyi nie wiele jest do powiedzenia. Pewien weneccyanin odjeżdża do żony i niema go tak długo, że oddawna uważa go za nieżyjącego i oddawna już jest tak dobrze jak zaślubioną powtórnie, kiedy, sprzedany poprzednio jako niewolnik turecki, nagle wraca do domu i ubrany w strój turecki, na balu maskowym, spotyka żonę wspartą na ramieniu swojego już długoletniego następcy. Po skończeniu balu stoi pod drzwiami jego domu, kiedy para wysiada z gondoli. Wszystko troje, ochłoniwszy z pierwszego wrażenia niespodzianki, każą sobie podać trzy filiżanki kawy, i oto wywiązuje się następująca rozmowa. Laura mówi:

Gwałtu, jak dziwnie urosła ci broda!
Cóż tak dawno nie było tu ciebie?
Nie widzisz, jaką stąd ponosisz szkodę?

Czyś ty *prawdziwie*, *rzeczywiście* turek?
Masz inną żonę? Czy prawda, że u was
Zamiast widelcem jedzą paznogiemi?
Ha! to prześliczny szal, jak mi Bóg miły!

Darujesz mi go?—czy nie prawda? Mówią,
Że ty nie jadasz wieprzowiny.

Oto całe wyjaśnienie, jakie otrzymuje mąż albo żąda; ponieważ nie może wychodzić w swoim kostiumie, na tymczasem pożycza sobie ubrania od swojego następcy, *cavaliero servente* Laury, i historia kończy się w jaknajlepszej harmonii. Jest ona sama przez się znaczenia podrzędnego; ale była szkołą przygotowawczą Byrona do jego arcydzieła, *Don Juana*, — jedynego z dzieł Byrona które zawiera i ogarnia cały rozległy ocean życia z jego burzami i blaskiem słońca, z jego odpływem i przypływem.

Przyjaciele Byrona robili ciągłe kroki za krokami, ażeby go skłonić do powrotu do Anglii i tym sposobem oderwać od życia, jakie prowadził. Wszelkie namowy były bezskuteczne; zamiast powrócić, sprzedał (za 94,000 funtów) opactwo Newstead, z którym w młodości nigdy nie chciał się rozstawać, i z taką stanowczością odpychał wszelką myśl powrócenia kiedykolwiek do ojczyzny, że nawet przejmowało go trwoga samo przypuszczenie, iż kiedyś jako trup może być sprowadzonym do Anglii. „Spodziewam się,“ pisze, „że nikt nie pomyśli o tem ażeby mnie zakonserwować i zabalsamować dla sprowadzenia mnie do Anglii. Kości moje nie znalazłyby odpoczynku w grobie angielskim i proch mój nie mógłby się mieszać z prochem tego kraju. Myśl że ktoś z mych przyjaciół mógłby być tak złym, ażeby zwłoki moje sprowadzić do waszego kraju, jeszcze na łożu śmierci mogłaby mnie doprowadzić do szaleństwa. Nie chcę ja służyć za pokarm waszym robakom.“ Wtem zaszło zdarzenie, które w sposób nieprzewidziany położyło koniec życiu poligamicznemu, jakie Byron prowadził w Wenecyi, i wpłynęło rozstrzygająco na dalsze jego koleje. W kwietniu r. 1819 w pewnem towarzystwie u hrabiny Benzoni Byron przedstawionym został młodej szesnastoletniej hrabinie Teresie

Guiccioli, z domu hrabinie Gamba, świeżo zaślubionej z przeszło sześćdziesięcioletnim hrabią Guiccioli, który już dwa razy uprzednio był wdowcem. Przedstawienie miało miejsce wbrew życzeniu obojga; młoda hrabina była zmęczona i życzyła sobie tylko wrócić do domu, Byron nie miał wcale ochoty zawierania nowych znajomości, i jedynie przez grzeczność względem gospodyni zgodzili się oboje. Ale od pierwszej chwili, kiedy rozmawiali z sobą, w obie dusze wpadła iskra, która już nigdy nie zgasła. Hrabina mówi: „Przedziwnie piękne i szlachetne jego rysy, dźwięk jego głosu, jego istota i niepodobny do opisania urok, który go otaczał, czyniły go zjawiskiem, przewyższającym wszystko, com przedtem widział. Od tego wieczoru widywaliśmy się codziennie podczas mojego pobytu w Wenecyi“. Po upływie kilku tygodni Teresa musiała powracać z mężem do Rawenny. Pożegnanie to wstrząsnęło ją tak silnie, że pierwszego dnia kilka razy zemdlą, a następnie wpadła w tak gwałtowną chorobę, że dojechała do domu nawpół umarła. W tym samym czasie straciła matkę. Hrabia posiadał kilka dóbr ziemskich i zamków pomiędzy Wenecją a Rawenną, a z każdej z tych stacyi Teresa pisała najnamiętniejsze listy do Byrona, w których wynurzała swą rozpacz z powodu rozłączenia i za-klinała go, ażeby przybył do Rawenny. Wzruszającym jest obraz, w którym po swoim przybyciu maluje zmianę zaszła w całym świecie jej uczuć. Kiedy pierwaj marzyła tylko o uroczystościach i balach, teraz miłość, powiada tak dalece przetworzyła całą jej istotę, że zgodnie z życzeniem Byrona unika wszelkich towarzystw i wśród głębokiej samotności zajmuje się jedynie czytaniem, muzyką, przejażdżką i sprawami domowymi. Z tęsknoty i smutku zachorowała niebezpiecznie: zdawało się, że życie jej trawi tajemna gorączka, i występowały symptomy suchoty. Wtenczas Byron puścił się w drogę. Hrabinę zastał na

łożu choroby, trapioną kaszlem, pluciem krwią i jakoby bliską śmierci. „Lękam się,“ pisze, „czy to nie choroba piersiowa. Tak dzieje się z każdą rzeczą i z każdą osobą, do której mam prawdziwą skłonność. Ale jeżeli ją spotka nieszczęście, to z tem sercem będzie koniec — to jest ostatnia moja miłość. Zboczenia, których pozwalałem sobie pierwaj i których jestem już syty całem sercem, miały przynajmniej tę dobrą stronę, że teraz, w szlachetnem znaczeniu tego wyrazu, mogę czuć miłość“. Postępowanie hrabiego względem młodego cudzoziemca zdumiało wszystkich; był nadzwyczaj grzeczny, codzień odwoził Byrona w sześciokonnym powozie, i przejeżdżał się z nim, że powtórzymy wyrazy Byrona „jak Whittington ze swoim kotem.“ Byron w pobliżu swojej ukochanej czuł się najszczęśliwszym; z tą wyjątkowo pełną i szczęśliwą jego miłością wróciła cała poezya uczuć młodości. Wspaniały wiersz *Do Po*, świadczący o tak głębokiem i rycerskiem uczuciu, a kończący się życzeniem, aby umrzeć młodym, był pierwszym owocem nowej namiętności. Kochaj z pełnią powagi i z całego serca, a kochał jak młodzieniec, nie sięgając pod najmniejszym względem poza granicę swego uczucia, ani usiłując wznieść się nad nie. Kiedy hrabina w sierpniu przez pewien czas musiała towarzyszyć swojemu mężowi w jego podróży do dóbr, codziennie odwiedzał dom swojej ukochanej, kazał sobie otwierać jej pokoje czytał ulubione jej książki i wpisywał pobrażne notatki. W egzemplarzu *Korynny* znaleziono następujące dopiski: „Moja ukochana Tereso — książkę tę czytałem w twoim ogrodzie — moja ukochana, nie było ciebie, inaczej — nie mógłbym być czytać. To jedna z twoich ulubionych książek, a autorka była moją przyjaciółką. Tych słów angielskich ty nie możesz zrozumieć, inni również nie będą mogli ich zrozumieć — i dlatego nie nabazgrałem ich po włosku. Ale poznasz rękopis tego, który kochał

cię namiętnie, i odgadniesz, że siedząc nad książką, należąca do ciebie, mógł myśleć tylko o miłości. W tym wyrazie, który we wszystkich językach brzmi pięknie, ale najpiękniej w twoim — *amor mio* — zamkniętem jest moje istnienie teraz i na przyszłość... Pomyśl czasem o mnie kiedy Alpy i ocean rozdzielać nas będą; ale to nie nastąpi nigdy, chyba chciałabyś sama“. Nie potrzebujemy wyrażen tych porównywać z listem pożegnalnym do lady Lamb, ażeby poczuć, że to jest mowa prawdziwej i serdecznej miłości. Kiedy we wrześniu interesy powołały hrabiego do Rawenny, pozwolił młodej żonie swojej i Byronowi, ażeby swobodnie towarzyszyli sobie w Bolonii, a następnie razem pojechali do Wenecyi, gdzie mieszkali pod jednym dachem, gdyż hrabina zamieszkała w La Mira, wiejskiej siedzibie Byrona. Po śmierci Byrona tak pisze o owych dniach w liście do Moore'a: „Ale nie mogę zatrzymywać się na tych wspomnieniach o szczęściu—zbyt okropnym jest kontrast z teraźniejszością. Gdyby błogosławiony duch z pełnego używania szczęśliwości niebieskiej zesłany został na ziemię, aby przecierpieć wszelką jej nędzę, jego męka nie byłaby większa, nad tę, jakiej doznałam od chwili, gdzie o moje uszy obilo się owe straszne słowo, i kiedy na zawsze straciłam nadzieję zobaczenia go jeszcze, jego, którego widok był dla mnie więcej niż wszelkiem szczęściem ziemskim.“

Młoda kobieta, której świat zawdzięcza to, że Byron nie zginął w niegodnych roztargnieniach, od chwili, kiedy zamieszkała w wiejskim ustroniu Byrona, skompromitowała się na zawsze w oczach swoich ziomków. Moralny kodeks włoski owych czasów—wybornie skreślony w opowiadaniach włoskich Stendhala—pozwalał młodej kobiecie mieć swojego amico, owszem uważał go nawet jako właściwego jej małżonka, ale jedynie pod warunkiem zachowania zewnętrznej formy, przeciw której ona teraz wykro-

czyła. Nie lekkomyślność skłoniła ją do wystawienia się na naganę ze strony opinii publicznej, lecz stosunek swój do Byrona widziała w świetle poetycznym. Uważała ten stosunek za zadanie życia, ażeby mianowicie przez swoją miłość szlachetnego i wysoce utalentowanego poetę wywolić z więzów nieszlachetnych stosunków i przywrócić w nim wiarę czystą i ofiarną miłość. Spodziewała się ona wpływać na niego jak muza. Była młodziuchną i niezwykle piękną. Była jasną blondyną z ciemnymi oczami małą, lecz z pięknym biustem. Amerykański malarz, West, który malował Byrona w Villa Rossa pod Pizą, podaje następujący jej obraz: „Kiedym go malował, okno, które dawało mi światło, zaciemniło się nagle, i usłyszałem odzywający się głos: *E troppo bello*. Odwróciłem się i zobaczyłem młodą piękną kobietę, która się nachyliła, aby zajrzeć do pokoju, ponieważ ogród zewnątrz znajdował się na równej wysokości z oknem. Jej długi złoty włos spadał na twarz i na ramiona, postać jej była wykończoną pięknosci, a uśmiech uzupełniał głowę o najromantyczniejszej budowie, jaką kiedykolwiek widziałem, szczególnie, kiedy okoliła ją gloria światła słonecznego.“ Otóż im więcej zależało hrabinie i musiało zależeć na tem, ażeby nieuchodzić za jedną z wielu kochanek Byrona, tem bardziej pragnęła podnieść jego poezję do sfery wyższej i czystszej, aniżeli ta, po której teraz krążyła.

Pewnego wieczora, kiedy Byron przewracał kartki rękopisu *Don Juana*, którego, dwie pieśni zaczął był przed zapoznaniem się z hrabiną, stanęła za jego krzesłem, wskazała na miejsce, do którego doszedł, i zapytała go, co tam napisano. Była to 137 strofa pierwszej pieśni, a Byron odpowiedział po włosku: „Jej mąż przychodzi!“ — O „Boże! czy to on przychodzi?“ zawołała hrabina i cofnęła się przestraszona; sądziła, że on mówi o jej mężu. Ale ten wypadek wzbudził w niej chęć poznania *Don Juana*, i kiedy Byron

przeczytał jej w tłumaczeniu francuzkiem dwie pierwsze pieśni, zaklinała go, kobieco oburzona cynizmem treści, ażeby nie pisał w dalszym ciągu poematu. Przyrzekł natychmiast swojej dyktatorce wszystko, czego żądała. Był to pierwszy bezpośredni wpływ, jaki osiągnęła hrabina Guiccioli na poetyczną twórczość Byrona,—tym razem zapewne nie dobry; tymczasem wkrótce cofnęła swój zakaz, ale pod warunkiem, że nadal nie będzie tamnie przeciwnego obyczajom, i obcowanie z nią w najbliższym czasie wystawiło sobie szereg pięknych i trwałych pomników we wszystkich dziełach, które teraz wyszły z pod pióra Byrona. Sposób, w jaki w *Don Juanie* poeta zdarł zasłonę ze wszelkiego złudzenia, nieubłagane szyderstwo, wymierzone przeciw sentymentalności, razily hrabinę jako kobietę, ponieważ tkwi to w naturze kobiet, że nie mogą patrzeć na zdarcie ostatniej zasłony z mamideł, które, dopóki trwają, upiększają życie. Ale jeżeli teraz hrabina usiłowała odwrócić Byrona od tego rodzaju utworów, które burzą wiarę w ludzi i w wartość życia ludzkiego, to zmysłem swojej natury romantycznej do wzniosłości i jako namiętna patryotka włoska skłaniała go do wybierania takich przedmiotów, któreby mogły podnieść ducha jej współziomków i podniecić ich zapal do wyzwolenia ojczyzny z pod jarzma obcego panowania. Na jej życzenie Byron napisał *proroctwo Dantego* i przetłumaczył sławne wiersze Dantego o miłości Franceski Rimini; pod jej wpływem wytworzył dramata weneckie *Marino Faliero* i *Dwaj Foscari*, chociaż napisane w języku angielskim, stylem i treścią właściwie przypadają raczej do literatury romańskiej, aniżeli do angielskiej, jakoż faktycznie należą nie do angielskiej sceny, lecz do włoskiej. Są to namiętne utwory z dążnością polityczną, których celem było, za pomocą środków najsilniejszych, zapalić odrętwiałych patryotów włoskich, ażeby jak jeden mąż powstał przeciw ciemierzcom. Bezpośrednio

pod pierwszym wrażeniem miłosnego stosunku do hrabiny, Byron napisał *Mazepę*, którego kochanka miała jej imię; nakoniec jej osobistość przeszła wprost w dwie najwspanialsze postacie kobiece, które Byron stworzył w tym okresie, a temi są: Adah w *Kainie* i Myrra w *Sardanapalu*.

W hrabinie Guiccioli Byron znalazł rzeczywistniyny ideał kobiety, który oddawna snuł mu się w wyobraźni, ale którego w pierwszych powieściach poetycznych nie udało mu się przedstawić w sposób naturalny. Sam on wynurzył kiedyś przed lady Blessington naiwne wyznanie co do trudności w pomyśle i co do sposobu, w jaki tworzył swoje ideały. „Trzymam ja wiele,“ powiedział do niej, „o silnych, pełnych kobietach, ale terazadko kiedy mają takie piękne i wysmukłe palce, jakie właśnie odpowiadają ideałowi kobiety; przeto dla zadosyćuczynienia mojej fantazy musiałem stwarzać sobie sam kobiety i młode dziewczyny, któreby jednoczyły w sobie to wszystko, czego razem nie znajdujemy nigdy. Następnie lubię tylko proste, naturalne kobiety, ale te zwykle nie bywają wykształcone i nieobeznane z formami wykwinniejszego ułożenia, a znowu wykwinne i wykształcone nie są naturalnemi. Dla tego też przyszły mi na myśl dziewczęta greckie, które z bezwiedną gracją i naiwnością łączą zarazem najwyższą wrodzoną swobodę myśli i uczuć!“ Powstająca stąd mieszanina była równie niemożliwą, jak piękną, nie miała prawie piętna rzeczywistości i o tyle też odpowiadała zupełnie charakterowi bohaterów, uwielbiających te kobiety. Wszystkie epiczne utwory Byrona od *Giaura* aż do *Obleżenia Koryntu* są romantyczne, ale z piętnem silnie osobistem. Namiętność w obu płciach stoi w apoteozie. Wszyscy ci bohaterowie, że użyjemy wyrażenia *Giaura*, są to rozbitkowie, których skolatała namiętność, którzy jednak wolą tulać się wśród burz swoich, aniżeli żyć w głuchej ciszy; nie kochają oni zimną miłością pochodzącą z zimnego klimatu, lecz serca ich buchają „pło-

mieniami lawy.“ Najwybitniejszym z tych, tak już dziś przedawnionych bohaterów Byronowskich, jest szlachetny rozbójnik morski, *Korsarz*, dumny, kapryśny i nawskroś pełny urągania rodzajowi ludzkiemu, mściwy aż do okrucieństwa, dręczony zgryzotami sumienia, a tak szlachetny i wzniosłego serca, że woli poddać się pod najsrozsze tortury barbarzyńców, aniżeli zabić śpiącego wroga. Zajmujący bandyta, o tajemniczych rysach twarzy, ze swoją pozą teatralną i nieznaną granic rycerskością względem kobiet, jest Byronowskim pobocznikiem do Schillerowego Karola Moora. Z jego ideałem mężczyzny nie bardzo licował król w kraju urządzonym podług prawa, otoczony etykietą dworską; takiemu brakło czynów romantycznych, swobodnego życia na побереżu i na morzu; przeto Byron wybrał sobie dowódcę piratów, i do przymiotów, które wynikały z jego rzemiosła, dodał najdelikatniejsze przymioty własnej duszy. *Korsarz*, który przyzwyczaił się brnąć we krwi, cofa się z drżeniem przed młodą sultanką, która go kocha, dostrzegłszy na jej czole krwawą plamkę,—nie dlatego, żeby można było przypuścić, że taki Konrad wzdrygnąłby się na taką drobnostkę, lecz dlatego, że sam Byron byłby poczuł zgrozę na taki widok. Krótko mówiąc, wszyscy ci bohaterowie i bohaterki poety z okresu jego młodości do takiego stopnia zyskali sobie rozgłos i uznanie masy, że, jak trafnie powiedziano o nich—wciąż poruszają się tam, gdzie nie mają stawów w członkach. Publiczność nie zachwycała się bardziej żarem namietności w partyach lirycznych i luźnemi (zwykle dopiero przy korekcie wtrąconemi) poetycznemi perlami, aniżeli niemożebnością ruchów, które przechodziły granicę natury ludzkiej. Było to „podziwianie podobnego rodzaju, jak oklaski dawane zuchwałemu akrobacie, który wykonywa sztuki łamane, grożące złamaniem karku z przeciwnem naturze wykręcaniem członków ciała. Ale oddzielne rysy tych postaci pomimo to zbliżają się do głębokości ideału Byrona, który teraz już się wyraził.

Nieugiętość Konrada wśród cierpień już była wskazówką zapowiadającą nieugiętość Manfreda; tak samo nie chce on ugiąć kolana, jak Kain przed Lucyferem, albo Don Juan przed Gulbeyazem. Współczucie ku ludziom niższym położeniem, które nigdy nie gasło w duszy Byrona, już żyje w Sarze, chociaż po największej części jako „nienawiść ku panom“, a zapal do wyzwolenia Grecyi nawskroś przebija się w *Giaurze*, jak i w *Obleżeniu Koryntu*. Godnym podziwu i uwielbienia jest fakt, że sam poeta zakończył zawód swego życia jako dowódzca dzikich ludzi w rodzaju tych, których opiewał. Krew wikingów płynąca w jego żyłach nie dawała mu spocząć dopóty, aż sam stał się takim królem wikingów, jak owi normanowie, od których pochodził. A jakkolwiek wszyscy ci desperados (renegat Alp prowadzący Turków przeciw własnym ziomkom, niemniej jak Lara, który zostaje w poróżnieniu z równym sobie stanem) są to subiektywnie idealistyczne widma, to jednak zasadniczym rysem we wszystkich tych postaciach jest rys, panujący we wszystkich tych, które należą do ich grupy: realizm tragiczności. Humor w historii *Beppa* jest formą, pod którą realizm pokonał teatralność i manierowatość znamionującą jego idealizm. Współbolewanie nad cierpieniem ludzkim, pochlaniające stopniowo w patetycznej poezji Byrona interes uczucia ku wszystkim innym żywiołom, jest formą, w której uczucie rzeczywistości przebija i niszczy stronę romantyczną. Uczucie to po zerwaniu z Anglią stało się jaskrawszem i prawdziwszem, niż przedtem *Więzień z Chilionu* malował męki cierpiane przez szlachetnego Bonnivarta, który przez sześć lat przykrępowany był do podziemnego słupa tak krótkim łańcuchem, że nie mógł położyć się na ziemi, a nadto jeszcze patrzył na konanie swoich braci, przywiązanych w taki sam sposób łańcuchami do pobliskich słupów, nie mogąc podać im pomocnej dłoni. Teraz po tym samym śladzie

nastąpił *Mazepa*: młodzieniec przywiązany do grzbietu dzikiego konia, co ze spienioną grzywą i zięjącymi bokami pędzi ze rżeniem przez lasy i stepy, podczas kiedy sam z cierpieniem po za sobą a grozą przed sobą, oderwany od kochanki, czuje tortury pragnienia ran i wstydu. Dotąd Byron wyszukiwał szczególnie treści najstraszniejszej dla ciała i krwi; nawet tam gdzie, jak w *Bonivarcie*, boleść przedstawiała pewną stronę duchową i przedmiot dawał sposobność do przedstawienia charakteru heroicznego, poeta z zamilowaniem malował cierpienia fizyczne. Teraz, kiedy obudził się w nim zapal do wielkich męczenników Włoch, jego poczucie tragizmu uszlachetniło się. W *Pro-roctwie Dantego* tymi wyrazami opisuje los poety:

Nie jeden jest poetą, chociaż bez imienia;
Bo cóż to jest poetą być, jeśli nie stwarzać
Z nadmiaru uczuć dobra lub zła; za granicę
Losu naszego sięgać po życie zewnętrzne,
Dla nowych ludzi nowym być Prometeuszem,
Przynieść im ogień z nieba, a potem—zbyt późno,
Za daną roskosz znaleźć w odpłacie męczeństwo,
Sępy szarpiące serce dobroczyńcy, który
Rozrzuciwszy napróżno szczytny dar, nad morskim
Leży brzegiem, przykuty do odludnej skały.

I wielki, podobnie jak Byron niesprawiedliwie, wygnany z ojczyzny poeta, woła tu:

Taki to los zagraża pokrewnym mnie duchem,
Taki: w życiu tortury, targanie się wieczne,
Serce, co krwawi samo siebie, śmierć samotna!

Już poprzednio śpiewał o *Tassie*. Najpobieżniejsze porównanie pomiędzy *Tassem* Goethego a *Żalami Tassa* Byrona pokazuje, z jaką namiętnością fantazyja Byrona wyszukiwała cierpienia bez nadziei. Goethe odmalował Tassa jako ognistego młodzieńca, jako kochającego i poetę a umieścił na dworze Ferrarskim w kole pięknych kobiet, gdzie on, szczęśliwie nieszczęśliwy, doznaje uwielbienia i obrazy. Byron maluje Tassa jako samotnego, rozbitego,

wyrzuconego ze świata, zamkniętego w celi obłąkanych, chociaż nie obłąkanego, jako ofiarę barbarzyństwa dawnego dobroczyńcy:

Lubię samotność—lecz serce płonące
Ani marzyło spędzenia lat mnogich
W zupełnej z bytem społecznym rozłące.
Pośród szaleńców i siepaczy srogich.
O gdybym z tymi miał umysł pokrewny,
Jużbym był dawno popadł w obłąd pewny,
Któż przecie słyszał, kto widział me szale?
Więcej się więzień nacierpi w tej celi,
Niż żeglarz burzą rzucony na skały;
Przed nim świat leży—a mój tu jest cały—
Mało mniej grabarz na grób mi wydzieli.
Tamten przynajmniej, gdy go niebo karze,
Może doń sięgnąć wyrzutem spojrzenia—
Ja nie chcę mego w tym podnieść zamiarze,
Choć widzę w górze tylko sklep więzienia. ⁽¹⁾

Z dworu księcia Ferrary, z dworu, który odwiedzała Lucrezia Borgia, i gdzie kwitły wszelkie dzikie namiętności i okrucieństwa epoki odrodzenia, Goethe zrobił mały Weimar niemiecki, w którym wszędzie panowała teńnająca najdelikatniejszymi uczuciami humanitarność wieku ośmnastego; wzrok Byrona pociągało magnetycznie barbarzyństwo księcia Ferrary, rozumie on okrucieństwo owej nieludzkiej epoki, a jego poemat przeistacza się w akt oskarżenia przeciwko niesprawiedliwości książęcej i tyraństwa władzy. Nakoniec jeszcze gwałtowniej oskarżający, ale zbyt natężony charakter przybiera odmalowanie tragicznych cierpień w dramacie *Dwaj Foscari*, gdzie ojciec własnego syna, którego kocha, skazać musi na wszelkie męki, tortury i gdzie syn, bohater dramatu, katowską ławę, na

(1) Przekł. Ludwika Kamińskiego, *Przyp. tłum. polsk.*

której leży przywiązany od pierwszej aż do ostatniej sceny, opuszcza jedynie na to, ażeby umrzeć ze smutku i rozpacz nad swoim wygnaniem. Tragedya ta, jak wszystkie pozostałe tragedye Byrona, na przekór panującym teoryom, napisaną jest zupełnie podług zasad Arystotelesa i ściśle krojem tragedyj francuskich; do tego stopnia jest on przekonany o prawidłowości jedynie tej a nie innej drogi, że posuwa się nawet do koniecznego paradoksu, iż Anglia nie posiadała dotąd dramatu. Nadzwyczaj dziwiono się, że Byron, który tak zupełnie, jak i wszyscy inni poeci angielscy tego okresu, był wybitnym naturalistą, t. j. przekładał las nad ogród, człowieka natury nad człowieka salonu, a pierwotny wyraz namiętności nad jej mowę wyuczoną, mógł mieć tak szczególne upodobanie do Popego i do małej grupy poetów, którzy (jak Samuel Rogers, Crabbe i Campbell), zachowali jeszcze tradycje klasyczne, że upodobanie to doszło u niego aż do naśladowania dramatycznego stylu przeszłości. Duch przeciwieństwa był tu najpierwszą przyczyną. Że szkoła Jezior, którą, pogardzał, wciąż poniżała w przesadzonych wyrażeniach Popego, było to samo przez się dostateczną dla niego zasadą, ażeby wynosić Popego pod obłoki, nazywać go pierwszym ze wszystkich poetów angielskich, bo nawet narodowym poetą ludzkości, któremu chciał własnym kosztem wzniesć pomnik w oddziale poetów w opactwie westminsterskiem, skąd wyłączono go, jako katolika. Do tego przyłączyły się wrażenia szkolne z Harrow, które Byron zatrzymał przez całe życie a w Harrow, Popego przedstawiano zawsze jako poetę wzorowego — następnie brak zmysłu krytycznego, który kazał mu wychwalać *Sapho* Grillpazera, kiedy jednocześnie dawał do zrozumienia Lady Blessington, że Shakespeare połowę sławy winien niskiemu pochodzeniu swemu — następnie ta okoliczność, że Pope był ułomny, a pomimo swej ułomności miał piękną głowę, że był dysydentem, że był

poetą społeczeństwa arystokratycznego, że jego ułomność była dlań źródłem satyrycznego rozstroju — a wszystko to były rzeczy, z którymi Byron sympatyzował; nakoniec wynikająca z normandzkiego jego pochodzenia żywa skłonność do retoryki z zacięciem narodów normanskich. Przez estetyczne obstawanie za systematem przeszłości, kiedy tymczasem pod wszelkimi innymi względami należy do postępu, Byron ma niejakiś podobieństwo z Armandem Carrelem, który aż do skrajności wolnomyślny we wszystkich kwestiach politycznych i religijnych, występował z walką przeciwko nowej szkole w literaturze. Ponieważ we wszystkich prawie dziedzinach ducha zajęli stanowisko Francyi, więc nie dziw, że i w tym jednym punkcie, w którym Francya stawiała w obronie zastoju, t. j. w literaturze poszli jej śladem. Tymczasem wiadomo, że ten teoretyczny kaprys wpłynął niekorzystnie na jego dramaty włoskie. Składają się one z monologów i deklamacyi. Geniusz Byrona i miłość ojezyzuy hrabiny Guiccioli w połączeniu nie potrafiły dać im cokolwiek więcej, nad technienie ogólne poetyczne.

Ale przy wypracowaniu *Kaina* i *Sardanapala* młoda hrabina, jak się tego spodziewała, rzeczywiście staje się muzą dla Byrona. W całym *Kainie* Adah jest postacią najdoskonalszą. Kiedy męskie charaktery Byrona, jak to nieraz zauważono, wszystkie są do siebie podobne, tymczasem jego postacie kobiece — na co rzadziej zwracano uwagę — są całkiem odmiennych względem siebie rodzajów. Adah nie jest to Kain kobiecy, chociaż jest żoną, która jedynie licuje z jego charakterem. Kobiecy przeciwobraz Kaina widzimy w dumnej, upornej Aholibamah w *Niebie i ziemi*. Ale jak Kain wszędzie widzi zniszczenie, Adah widzi wzrastanie, miłość, siłę zapładniającą, szczęście. Cyprys rozpościerający dach z liści nad głową małego Enocha jest dla Kaina drzewem żaloby; Adah widzi tylko to, że on daje cień jej dzie-

cięciu. Kiedy Kain wypowiedział owe rozpaczliwe słowa, że Enoch ma rozkrzewić wszelkie zło i wszystkie nieszczęścia tego świata, Adah mówi:

Spojrzyj na niego!—Patrz, ile tu życia,
Kwiatu, piękności, siły i rokoszy!
Jak on podobny do mnie i do ciebie,
Kiedy ty bywasz dobrym!

Tak mało wyrazów kładzie tu poeta w usta Ady, że wszystkie jej odpowiedzi razem wzięte nie zajęły by ósemkowej kartki druku. Kiedy Kain ma wybierać między wiedzą a miłością, ona mówi: „Wybierz miłość, Kainie!“ Kiedy Kain zabił Abła i zostaje sam jeden, przeklęty i obrzydzony jako morderca, wtedy na jego wykrzyk: „Opuść mnie!“ ona odpowiada: „Wszak wszyscy opuścili ciebie.“ A ten charakter Byron wytworzył, prawie nie odstępując od słów Biblii, tylko że tu i owdzie kładzie je w usta innej osoby. W *Genzie* Kain, kiedy przeklina go Pan, mówi: „Oto mię dziś wygnałeś z oblicza tej ziemi“ i t. d. U Byrona, kiedy przez anioła wyrzeczonym zostało straszne przekleństwo, Kain milczy, ale Adah otwiera usta swoje i mówi:

Kara jest większą, niżli znieść on może.
Oto wyganiaś go dziś z kraju ziemi
I kryć się musi przed obliczem Boga.
Będzie-ż biegunem, tułaczem po ziemi?
I oto stanie się, że kto go znajdzie,
Zabije go—

są to dosłowne wyrazy, które Biblia kładzie w usta Kaina, ale Byron wzrokiem geniuszu w tej jednej odpowiedzi, w tej drobnej starotestamentowej bryłce gliny dostrzegł kontury na całą postać ludzką, i prostem naciśnięciem ręki urobił ją na posąg pierwszej kobiety kochającej.

zv

Męska
życiem w rosk
biona jego niew
aby porzucił swo
przeciw nieprzyja
że go kocha, jak i n

Czemuż ja kocham
Pokochać mog
Córki mej ziemi
Kajdany tylko nazywa
Kocham go; to jest najcięższe
W długim łańcuchu: pokocha
Którego świat dziś nie szanu
Sama upadłam w mych oczach
Jak pokochałam tego cudzoza
I jeszcze bardziej kocham go
Jak widzę, że go własni barbarzyńcy
Dziś nienawidzą.

Ale kiedy nakoniec nieprzyja
dzy królewskiej i kiedy Sardana

